



**KSIĘGOZBIÓR**

**Bohdana i Marii Paczowskich**

**Dar dla Biblioteki Politechniki Krakowskiej**

Biblioteka Politechniki Krakowskiej



100000321379











# BIBLIOTEKA LAUREATÓW NOBLA

POD REDAKCJĄ  
STANISŁAWA WASYLEWSKIEGO

Tom 59.

KNUTHAMSDUN  
MISTERJA.



POZNAŃ 1928.  
NAKŁADEM WYDAWNICTWA POLSKIEGO.

*KNUT HAMSUN*  
*MISTERJA*

*PRZEKŁAD AUTORYZOWANY*  
*F. MIRANDOLI*



*POZNAŃ 1928.*  
*NAKŁADEM WYDAWNICTWA POLSKIEGO.*



1-301934

OKŁADKĘ RYSOWAŁ E. CZERPER  
—  
WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE  
—  
DRUKARNIA CONCORDIA SP. AKC., POZNAŃ



## KNUT HAMSun.

Wyjątkowy rodzaj genjuszu Hamsuna porywa oddawna czytelników wszystkich narodów cywilizowanych i stoi dziś na czele twórców Północy. Nie przebywa na wyżynach fantastycznych abstrakcyj, ani wśród niedostępnych wertepów doktrynerskiego indywidualizmu. Nie jest wodzem duchowym tego czy owego światopoglądu, ani magiem wkraczającym hałaśliwie na jarmark życia i kładącym się podziwiać. Nie jest apostołem i nie jest literatem, bo nim być nie chce, bo t. zw. literatury nie znosi. Wróg uczoności książkowej.

Knut Hamsun — to radosny miłośnik życia, gorący wielbiciel młodości, tężyzny, siły. Wędrowiec samotny, uciekający od zgiełku i kultury miasta, które rozdrabnia siłę żywotną człowieka i rozprasza jego życie uczuciowe. Romantyk, fanatyczny wielbiciel natury — nie tej sielankowej, przez człowieka opanowanej, ale owej wielkiej puszczy, która zachowała jeszcze nieujarzmioną moc pierwotną. Krańcowo nieśmiały i wrażliwy gdy idzie o swoją osobę, a jednocześnie uparty do zuchwalstwa w zmaganiu się z losem. Wiecznie młody optymista życiowy, który niesłychanie wiele przeżył i przecierpiał, lecz zbyt dumny, by kogo z tego powodu obwiniać.

Knut Hamsun — to wirtuoz słowa, mimo wrodzonej i przekornej abominacji wobec oficjalnego podręcznika

gramatyki. Swoistem, skąpem swem słowem z siłą sugestywną wydobywa na jaw najsubtelniejsze i najskrytsze życzenia i dążenia, poruszenia i przeżycia duszy człowieka. Wydobywa je i przedstawia swych ludzi zasadniczo z największą dyskrecją i przy pomocy minimalnych środków. Instynktownie unika długookresowych, traktatowych rozpraw. Najczęściej jednym słowem zaznacza to, co się dzieje między wierszami. I to jedno słowo jego posiada dźwięk niezawodny, przecudowną pełnię obrazu, życia, nastroju. Posiadając fenomenalny dar podsłuchiwania drgnień duszy i serca człowieka, dobył z nich na światło dzienne tak wiele splotów poprzednio ukrytych i nieznanych, że w opisie jego ludzi dostrzegamy w istocie rzeczy opis nas samych z wszelkimi naszymi właściwościami. Przez swój relatywny sposób oceniania najgłębszego życia człowieka osiągnął mądrość przebaczenia, skojarzoną z humorem pogodnym i ciepłym. Śmiechem ledwo dostłyszalnym potrafi ozłocić i opromienić wszelką niedorzeczność ludzką.

Takim wylania się przed nami genjusz Hamsuna z dzieł jego. W zarysie najogólniejszym. Choć olbrzymi, to przecież tak ogromnie ludzki, tak mocno na ziemi i wśród nas wszystkich stojący. I to jest tajemnicą Hamsuna. Bo o ile dla innych sztuka jest motorem życia, to dla niego życie z całą różnorodnością przeżyć wewnętrznych jest motorem sztuki.

Lecz jak się układała mozaika życia pisarza? Tego można się domyślać tylko z dzieł jego. Pozatem Hamsun, samotnik, wróg snobizmu i reklamiarstwa, nie odstępował przed nikim tajemnicy swych przeżyć. Na ten temat pisano już wiele. O jego autobiografię zabiegano z wielu stron. Jakiś literat na zlecenie wydawcy rosyjskiego, ofiarował Hamsunowi po tysiąc koron za każdą godzinę



rozmowy, z którejby mógł zebrać materiał do biografji, lecz spotkał się z stanowczą odmową. Komuś innemu znów miał Hamsun odpowiedzieć: „Całą prawdę o sobie zdecydowałbym się odsłonić chyba tylko na łożu śmierci.“ — Tak więc o wielkim tym Norwegu w ciągu ostatnich dwudziestu lat pojawiło się zagranicą wiele rozpraw i szereg dzieł (w Polsce najobszerniejsza rozprawa Stefana Kołaczковского w „Przeglądzie Warszawskim“, 1921, i „Przegl. współczesnym“), — ale wszystkie, gdy idzie o biografię Hamsuna, stoją bezsilne wobec zagadki, obracając się w sferze domysłów, ogólników, anegdoty.

Dopiero w roku zeszłym Hamsun po raz pierwszy wykroczył przeciwko swej zasadzie milczenia o sobie. Po raz pierwszy w rozmowach i listach — zresztą nierozlewnych, raczej skąpych, — dopomógł biografowi do naszkicowania twardych i niezwykłych kolei swego życia. Szczęśliwym wybrańcem losu był Szwed John Landquist. Z jego tedy relacyj korzystamy, by po raz pierwszy zapoznać czytelnika polskiego z źródłem — choć z konieczności tu skróconem — przedstawieniem obrazu życia Hamsuna, które, doprawdy, jest rewelacją.

Knut Hamsun wywodzi się w prostej linii z norweskiej rodziny chłopskiej. Do 29 roku życia zdobywał sobie utrzymanie jako ciężko pracujący robotnik. Jednocześnie staczał najzaciętszą walkę artysty. W ciągu długich pięćdziesięciu lat odrzucano stale wszystko, co napisał; nie opiekował się nim nikt, żaden opiekun literacki. Lata wędrówki jego młodości nie odbywały się symbolicznie w świecie książek, nie podejmował też podróży do środowisk kultury. Jego wędrówki to tułaczka zmieniającego zajęcie robotnika.

Urodził się 4 sierpnia 1859 roku w Lom nad jeziorem Ottavand, w Norwegji środkowej. Ojciec jego, Peder, był

krawcem wiejskim i atrakcją całej okolicy z powodu wesołego usposobienia. Widocznie jednak zbyt trwale szły ubrania, skoro zabrakło zamówień i rodzina staczała się powoli na dno nędzy. W nadziei polepszenia bytu wyemigrował Peder z żoną i sześciorgiem dzieci — Knut miał wtedy 3 lata — daleko na północ do Hammaröi, opodal miasta Narwik, naprzeciw potężnej ściany Lofotów. Ale i tu szczęście im niebardzo sprzyjało i dlatego Knuta oddano na wychowanie do wujka, pastora. Srogi to był jednak wujaszek, z rysem przejawiającego się raz po raz okrucieństwa. Hamsun wspomina o nim nie bez pewnej goryczy w obrazku pt. „Upiór”: „Był to dla mnie czas bardzo ciężki: dużo pracy, dużo batów, a rzadko kiedy choćby godzina wytchnienia i przyjemności... Z czasem doszło do tego, że jedyną moją przyjemnością było, gdy mogłem się gdzie ukryć i być sam. Jeżeli kiedy miałem jaką wolną godzinę, uciekałem do lasu albo na cmentarz i wędrowałem pomiędzy krzyżami i nagrobkami, marzyłem, rozmyślałem i głośno z sobą rozmawiałem...” Te twarde lata dzieciństwa wpłynęły decydująco na ukształtowanie się osobowości pisarza.

W czternastym roku życia powrócił do Lom na konfirmację a jednocześnie na praktykę w sklepie kramarskim Hesthagena. Zaraz jednak po konfirmacji powrócił do Hammaröi, gdzie kontynuował praktykę u miejscowego kramarza. Wytrzymał rok cały. Potem zmieniał zajęcia. Jakiś czas był wędrownym domokrzężcą. Potem w nowej niespokojnej przemianie — uczył się trochę szewstwa w Bodö. W dwóch następnych latach przebywa w Bö, w najdalej na północ wysuniętej części Lofotów. Tu przez rok zajmuje stanowisko nauczyciela ludowego, a następnie jest czynny jako pomocnik sołtysa.



W tym czasie 18-letni Knut występuje po raz pierwszy na niwie literackiej. W r. 1877 ukazuje się w Tromsø nowela jego pt. „Zagadkowa historia miłosna z kraju północy,“ a w r. 1878 wiersz „Spotkanie“ oraz opowiadanie pt. „Björger,“ wszystkie drukowane w Bodö, własnym nakładem z szczerpłymi oszczędności. Na utworach tych podpisał się Knut Pedersen Hamsun. Rzecz zrozumiała, że krytyka ówczesna nie poświęciła najmniejszej uwagi tej odległej literaturze dzielnicy północnej. Dziś wydawnictwa te należą do najbardziej poszukiwanych norweskich osobliwości bibliofilskich. (Znamienne jest, że już w pierwszych tych utworach Hamsuna zarysowuje się motyw Wiktorji, który z taką siłą i pełnią uczucia rozwinie się w formie doskonałej po latach dwudziestu).

W roku następnym, 1879, znajduje wyjątkowego dobrodzieja w osobie wielkiego kupca Zahla. Otrzymawszy od niego pewną pomoc materialną, młody poeta udał się w okolice słynącego z malowniczości fiordu Hardanger. Tam pisze trzecią nowelę pt. „Freda“ i szereg liryków, których druk proponuje wydawnictwu Gyldendala w Kopenhadze. Oczywiście — bezskutecznie. (Dziś Gyldendal jest generalnym wydawcą wszystkich dzieł Hamsuna.) Następnie udaje się do Krystjanji, gdzie w dalszym ciągu pisze bez przerwy, i wciąż kołace do poszczególnych redakcyj i wydawców — zawsze z tym samym rezultatem: odmową. Ostatecznie zasilek pieniężny Zahla wyczerpany i Hamsun przywdział znowu bluzę robotniczą. Przez dwa lata pracuje w Toten, w dolinie Gudsbrandsdal, w charakterze zwykłego robotnika drogowego.

Nadszedł rok 1880, rok spętęgowanej emigracji do Ameryki — po złote runo. Fala emigracyjna porwała i 21-letniego Hamsuna, który w skrytości żywił nadzieję,

że tam właśnie będzie mógł się uniezależnić i rozwinąć talent pisarski. Mimo wszystko bowiem czuł w sobie instynktownie, że powołaniem jego jest twórczość literacka. Przejazd statkiem do Ameryki miał bezpłatny, ponieważ chciał pisywać korespondencje do kilku gazet. „Pisałem owe korespondencje pilnie i bez przerwy, ale wszystkie wędrowały do kosza redakcyjnego“. Pelen najpiękniejszych nadziei wylądował na ziemi obiecanej Nowego Świata i... rozpoczął na nowo żywot tułacza, stokroć gorszy i uciążliwszy, niż w ojczyźnej Norwegji. Uparty jednak i nieustępliwy, boryka się z wszelkimi trudnościami. Jest znowu robotnikiem drogowym, jest robotnikiem rolnym na farmach, wycina i karczkuje lasy dziewicze, jest pomocnikiem kupieckim w stanie Wisconsin. We dnie pracuje ciężko, nocą pisze, zapisuje stosy kartek poto, by je nad ranem podrzeć i spalić. Potem przenosi się do Minneapolis, gdzie występuje jużto jako przygodny karczodziela w kolonji norweskiej, już też jako posługacz, a wreszcie aukcjoner. I w dalszym ciągu całe noce trawi na marzeniach, pisaniu i niszczeniu manuskryptów. Z natury obdarzony był siłą fizyczną olbrzyma, spotęgowaną nadto ciężką pracą rąk. Ale przyszła chwila, kiedy i te siły załamały się. Gwałtowny krwotok powalił go, lekarz orzekł „galopujące suchoty“ i wróżył najwyżej jeszcze „dwa miesiące życia“. Przy składkowej tedy pomocy kolonji emigrantów norweskich wraca do Norwegji, gdzie w ciągu półtora roku odzyskuje zpowrotem dawne zdrowie i siły.

I od nowa rozpoczyna straszliwą walkę o byt. Bez egzaminów, bez patentów, bez protekcji. „W roku 1886 siedziałem znowu w Krystjanji, szukałem bez powodzenia jakiegobądź zajęcia, byłem bardzo biedny, kiedy niekiedy tylko kapło mi kilka koron za artykuł gazetowy“. W tem



wyznaniu naszkicowany model do owej wielkiej poetyckiej opowieści o głodzie. Pisanie nie daje mu chleba, pisze jednak w dalszym ciągu, na chleb zaś zarabiać próbuje wygłaszaniem odczytów. Objeżdża miasteczka norweskie z odczytami o Kiellandzie i Strindbergu. Gdy zdobędzie z odczytu ośm koron, będzie dużo. Częściej jednak nie zdobył nawet oera.

Po raz drugi przeto jedzie do Ameryki szukać szczęścia. Jesienią 1886 r. Znowu praca na farmie, w kamieniołomach, potem stanowisko konduktora tramwajowego w Chicago. Życie urozmaicone, ruchliwe, pełne najróżniejszych przygód. Znowu serja odczytów literackich o Björnsonie, Ibsenie, Garborgu, Jonaszu Lie, pełnych satyrycznego zacięcia przeciwko moralizatorstwu, papierowemu symbolizmowi i naturalizmowi. Satyra ta znajduje później echo w „Misterjach.“ Twórczość Hamsuna poczynna dojrzewać. Przekonywa się ostatecznie, że do życia amerykańskiego nie zdoła się nigdy nagiąć. I w początkach 1888 r. jedzie do Kopenhagi, gdzie latem pisze pierwszą część „Głodu.“

Pierwszy ten rękopis wielkiego dzieła wręczył osobiście Edwardowi Brandesowi, kierownikowi literackiemu organu lewicy „Politiken“. Wspomnienie tego spotkania utrwalił pisarz szwedzki Axel Lundegard na podstawie osobistej relacji Brandesa. Warto je przytoczyć. — Może pan sobie wyobrazić moją sytuację — powiedział Brandes. — Zgłosił się do mnie w redakcji pewien Norwegczyk. Oczywiście, z manuskryptem w kieszeni! Człowiek ten zainteresował mnie zaraz na wstępie. Rzadko kiedy spotkałem kogoś w takiej nędzy. Mniejsza o ubranie, które było w strzępach. Ale twarz jego! Nie jestem wrażliwy, lecz twarz tego człowieka wzruszyła mnie. Wziąłem do ręki manuskrypt. Była to opowieść. Za obszerna na jeden numer



„Politiken,“ a na powieść w odcinku za krótka. Ocenilem to na pierwszy rzut oka. I już wykonałem ruch, aby mu manuskrypt zwrócić, gdy w tejże chwili ujrzałem wyraz jego oczu z poza binokli... i odpowiedź odmowna nie chciała mi przejść przez usta. Obiecałem przeczytać raz jeszcze, zanotowałem nazwisko jego i adres. Późem odszedł. — Zabrałem się do zwykłej pracy. Ale doznanego wzruszenia nie mogłem się być pozbyć. Wyraz drżącej bladej twarzy prześladował mnie. Było w nim coś... coś, czego nie umiałem sobie wytłumaczyć. Teraz jednak zaczynam go już nieco pojmować. Opowieść jego zabrałem z sobą na obiad. Po obiedzie zacząłem ją czytać. Porwała mnie od pierwszej kartki. A im dalej się w nią wczytywałem, tem silniejsze było moje wzruszenie. Nie było to tylko dzieło talentu, jak tyle innych. Było czemś więcej, czemś, co mną wstrząsnęło. Wśród czytania uświadomiłem sobie nagle, że autor błąka się teraz po mieście, trawiony gorączką głodową. Odczułem coś w rodzaju wstydu. I jak warjat pobiegłem na pocztę i przekazałem mu 10 koron. Potem wróciłem do domu i dalej czytałem. I im dalej czytałem, tem większy mnie palił wstyd. A kiedy skończył, byłem całkiem zdruzgotany. — Słuchaj pan! — Brandes wydobył ostatnią kartkę manuskryptu i czytał głośno o głodującym i bezdomnym poecie bez nazwiska, który pewnego wieczora otrzymał nareszcie upragnione zawiadomienie o przyjęciu manuskryptu do druku: „Kilka drobnych zmian... kilka poprawek gramatycznych... rzecz napisana z talentem... ukaże się jutro... dziesięć koron“. — Brandes przeczytawszy to, uśmiechnął się znowu pełen zakłopotania i rzekł: — Rozumie pan teraz, że uczułem się zdruzgotany mojami nędznymi dziesięciu koronami?

— Rozumiem.

— Gdyby pan to w całości przeczytał, zrozumiałby pan jeszcze lepiej.

— Jaki tytuł?

— „Głód“.

— A nazwisko autora?

— Knut Hamsun.

Brandes opublikował ów ułamek „Głodu“ w czasopiśmie „Ny Jord“ (Nowa Ziemia) w r. 1888. A na wiosnę 1890 ukazała się w wydaniu książkowym cała powieść. „Głód“ jednym zamachem wstawił nazwisko Hamsuna. Nietylko w krajach skandynawskich, ale i poza ich granicami. Niebawem bowiem pojawił się przekład niemiecki, wkrótce potem polski. Pamiętamy wrażenie, jakie u nas powieść ta wywołała. Wszakże były to wtedy czasy przysłowiowej nędzy ludzi pióra. Z podobnym głodem borykali się wtedy Żeromski, Reymont i własnymi przeżyciami potwierdzali straszną prawdę tej powieści.

Skończył się dla Hamsuna okres odpowiedzi odmownych wydawców i zmagania się z twardym losem. Wystąpił jako talent całkiem dojrzały, budząc podziw powszechny. W dwa lata później pojawiła się druga jego powieść „Misterja“, która zupełnie już ustaliła pozycję literacką pisarza. Wędrowki jego jednak nie ustały. Gnany koniecznością wrodzoną czy nabytą, wiódł nadal życie koczownicze. W Krystjanji pisze ostrą satyrę na dziennikarstwo tamtejsze — „Redaktor Lynge“ (1893). Potem przenosi się do Paryża, gdzie powstaje powieść pt. „Nowa ziemia.“ Następnie zaszywa się w górach norweskich na wybrzeżu południowym opodal Kristiansand i tworzy owo arcydziełko „Pan“. Zima 1894 roku zastaje go znowu w Paryżu przy pracy nad utworem scenicznym „U wrót królestwa.“ Do Paryża jednak już nie wróci, natura ciągnie go, pcha do gór ojczystych i dziczy pustoszy



leśnej, odwiecznej. Tu w osamotnieniu czuje się najlepiej, tu jednoczy się z wszechświatem. Tak powstaje najpiękniejsza pieśń o miłości, klejnot w literaturze świata, „Wiktorja,” oraz wielki dramat wierszem pisany „Munken Vendt.” W roku 1902 otrzymuje stypendjum rządowe, zwiedza Finlandję i Rosję, dociera do Kaukazu. Po blisko dwóch latach wraca z tomem wesołego i z prostotą spisanego opisu „W krainie baśni.” W tymże roku wydaje „Marzyciela” i tom liryk: „Dziki chór.”

Twórczość Hamsuna nie słabnie, a przeciwnie nabiera coraz większego rozmachu. W pięćdziesiątym roku życia wstępuje w nowy wspaniały okres, okres epopei norweskiego ludu. Zapoczątkowuje go powieścią „Benoni” (1908), a w ślad za nią idzie poprzez „Różę,” „Dzieci swej epoki,” „Miasto Segelfoss” do nowego potężnego arcydzieła, do „Błogosławieństwa ziemi” (1917). Po tym okresie następuje cisza w twórczości blisko 60-letniego Hamsuna. Cisza pozorna. Bo oto w r. 1920 Akademia szwedzka w Sztokholmie mianuje go laureatem Nobla, a jednocześnie Hamsun występuje z nową wielką powieścią, tym razem na tle życia małomiejskiego „Kobiety u studni,” a po upływie dalszych trzech lat wyrzuca z siebie pełen kpiarskiej zabawy ze śmiercią „Ostatni rozdział,” w którym powiększa galerję nieporównanie świetnych swych typów. Mijają dalsze cztery lata, i oto 68-letni Hamsun sprawia światu nową wielką niespodziankę: W końcu 1927 r. wydaje „Włóczęgów,” powieść w pewnej mierze awanturniczą, która porywa i czaruje wręcz niestychaną swoją świeżością, tętnem młodości, mocą. Jest to zjawisko tak zadziwiające, że wyciągnąć z niego można jedno tylko porównanie: Twórczość Hamsuna podobna jest w pełnem tego słowa znaczeniu do źródła górskiego, które z ukrycia wytryska bez przerwy, stale, zawsze przeczyste, zawsze



orzeźwiające, młode zawsze ochoczo i wesoło huczące w wędrówce po zrębach skalnych. Albo też przyrównać można do potężnego dębu, który w samotni góruje nad lasem wszystkim i trwa wieki całe w swem cudownem odradzaniu się, wystrzelając coraz to wyżej zielenią młodego listowia. Siły twórcze Hamsuna stały się synonimem wieczystej młodości pisarskiej.

\*

\*

\*

W całej twórczości Hamsuna miejsce (1882) do pewnego stopnia odosobnione zajmują „Misterja.“ Powstały one z przejściowego rozdzielenia poety, którego intuicja w danej chwili znalazła się na rozdrożu. Jest to powieść najbardziej wybuchowa, niepokojąco paradoksalna. Objasnienie Hamsuna o jej powstaniu tłumaczy wiele: „Pisana w Sarpsborg, w Krystjanji, w Kopenhadze wśród przeprowadzek, wśród kochliwości, wśród biedy — dlatego ta luźność scen.“

Bohater jej, Jan Nagel, rozsadza sobą poprostu całą powieść. Fantasta — neurastenik. Zabłąkany na tym padole ziemskim. Krańcowy indywidualista, nieobliczalny w czynach, którego trawi niczem nieugaszony płomień tęsknoty za czemś nieznanem, niepojętem, a tylko przeczuwanem. W paradoksalności swej miota się z jednej ostateczności w drugą. Z hulaszcznej wesołości wpada nagle w stan ciężkiej melancholji lub panicznego lęku, pełnego halucynacyj. Bicz na kółtuństwo małomiasteczkowe, uosobiony w postaci kaleki Minuty. Natrzęsa się z niego na wesoło, aby niebawem wybuchnąć krzykiem nienawiści przeciwko wszelkiej moralności kółtuńskiej, maskującej fałsz, obłudę, hipokryzję, bezmyślność, bezduszną. Całość jest jednym potężnym krzykiem protestu prze-

*ciwko pętom dogmatyki współczesnego ustroju społecznego, przeciwko małości i bezsensowi życia współczesnego. —*

*„Nagel — powiada trafnie Stefan Kołaczkowski — to nowoczesny Don Kiszot i sędzia Hamlet, ginący z nadmiaru sił twórczych, nie mogących znaleźć na tym świecie miejsca... Nagel — konsekwentny do absurdu szalenię...“ Mimo całą jednak dysharmonję, w jakiej utrzymane są „Misterja“, zaznaczają się w nich silnie i wyraźnie pewne zasadnicze motywy, które w twórczości Hamsuna rozwinąć się miały czasem do wielkiej symfonji. Tak np. nieszczęśliwa miłość Nagla do Dagny, która w oczach jego opromienia mu życie i las i niebo, i wszystko, co tylko oddycha, — rozwinęła się w wielki poemat „Wiktorji.“ Zakreślony w „Misterjach“ stosunek Nagla do przyrody rozspiewał się niebawem potężnym hymnem w „Panie“.*

*Powstały „Misterja“ w okresie Nietzscheańskiego nadczłowieka i modernizmu i były programowym utworem tej epoki. Rzecz jednak szczególna, że drugi nakład norweski tej książki pojawił się dopiero w r. 1908, a więc w szesnaście lat po pierwszym wydaniu. Od r. 1908 natomiast poczytność jej tak wzrosła, że obecnie doczekała się już wydania ósmego. To wskazywałoby, że „Misterja“ wyprzedziły znacznie swój czas.*

**CZESŁAW KĘDZIERSKI.**



## I.

**W** połowie minionego lata rozegrały się przedziwne sprawy w pewnem nadmorskiem, norweskiem miasteczku. Przybył człowiek nieznany zgoła, niejaki Nagel, cudaczny i oryginalny szarlatan, który, po dokazaniu mnóstwa szczególnych rzeczy, znikł równie tajemniczo, jak się ukazał. Człowieka owego odwiedziła nawet raz jakaś tajemnicza młoda dama w nieznanym zgoła interesie, nie śmiąc jednak zatrzymać się w mieście dłużej nad kilka godzin. Ale to wszystko nie jest początkiem.

Początek był taki: O szóstej wieczorem przybił do portu miejscowego statek parowy, przywożąc dwu, czy trzech podróżnych, pośród nich zaś mężczyznę w jaskrawo-żółtem ubraniu i białej aksamitnej czapce. Stało się to dwunastego czerwca wieczorem, kiedy ogłoszono właśnie zaręczyny panny Kielland, a wiele domów wywiesiło z tego powodu flagi. Posługacz Hotelu Centralnego udał się na pokład, a żółto ubrany podróżny oddał mu swe rzeczy. Jednocześnie wręczył swój bilet jednemu ze sterników. Potem jął spacerować po pokładzie, nie myśląc wysiadać na ląd. Był, jakby wzburzony. W chwili trzeciego dzwonięcia nie załatwił jeszcze rachunku za utrzymanie w czasie drogi.



Czynił to właśnie, gdy nagle statek odbił od brzegu. Przez chwilę stał zaskoczony, potem jednak skinął na czekającego posługacza i pochylając się przez tylny pomost, powiedział:

— To nic! Proszę zanieść rzeczy i przygotować pokój.

Za chwilę był już wraz z okrętem daleko, pośród fiordu.

Mężczyzna ten zwał się Jan Nilsen Nagel.

Posługacz hotelowy zawiózł na wózku ręcznym rzeczy, to jest, dwa małe kufereczki, futro, mimo że było właśnie lato, jeszcze jeden, większy kufer i futerał ze skrzypcami. Nigdzie nie było nazwiska właściciela.

Następnego dnia, koło południa zajechał przed hotel Jan Nagel dwukonnym powozem, mimo, że równie dobrze, a nawet wygodniej mógł przybyć drogą morską. Mimo to przybył końmi, a miał z sobą jeszcze sporo rzeczy, mianowicie duży kufer, torbę, płaszcz i zwinięty pled, mieszczący różne drobiazgi. Na rzemyku pledu widniał wyszyty perłami monogram: J. N. N.

Siedząc w powozie, spytał gospodarza o pokój, gdy go zaś zaprowadzono na pierwsze piętro, jął badać grubość ścian dla przekonania się, czy słychać coś do pokoju sąsiedniego. Potem spytał nagle pokojówkę:

— Jak panience na imię?

— Sara.

— Sara? — powtórzył. — Acha! Czy mogę dostać coś do jedzenia? Więc panience Sara na imię? W tym domu była dawniej apteka... nieprawdaż?

Sara zdumiała się.

— Tak! — odparła. — Ale to było przed kilku jeszcze laty!

— Tak... tak... przed kilku laty? Zaraz na wstępie zauważyłem to. Nie rozpoznałem po zapachu, ale takie miałem uczucie.

Podczas jedzenia, nie ozwał się słowem. Podróżni, przybyli z nim razem statkiem dnia poprzedniego, dwaj panowie, siedzący przy końcu stołu, mrugnęli do siebie wzajem gdy wszedł, potem zaś dość głośno stroili żarty z wczorajszej jego przygody, ale udawał, że nie słyszy. Skończył jeść szybko, odmówił deseru i wstał żywo, zesuując się wstecz z taburetu. Zapalił zaraz cygaro, ruszył w dół ulicą i znikł z oczu patrzących.

Wrócił dobrze po północy, bo dopiero około trzeciej zapukał do bramy. Niewiadomo, gdzie był. Później dopiero okazało się, że chodził do sąsiedniej miejscowości, przebywając piechotą tam i z powrotem tę samą długą drogę, którą dopiero co przejechał powozem. Musiała to być więc sprawa ważna. Otwierając mu, zauważyła Sara, że ubranie jego było nawskroś przepocone. Mimo to jednak uśmiechnął się do dziewczyny kilka razy i był w doskonałym humorze.

— Ach, jakież śliczny masz karczek, dziecko! — powiedział. — Czy nadeszła podczas mej nieobecności poczta? Dla Nagła, dla Jana Nagła? Uff! Odrazu trzy telegramy? Proszę mi zrobić przysługę i zdjąć ze ściany tamten oto portret, bym nie musiał nań patrzeć ciągle. Straszna to rzecz leżeć w łóżku i mieć go przed oczyma. Napoleon III nie miał tak zielonych włosów, ni brody... Dziękuję.

Po odejściu Sary stał długo, nieruchomo pośrodku pokoju, zapatrzony tępo w jeden punkt ściany. Głowa opadała mu zwolna na bok, pozatem nie uczynił najłżejszego gestu. Trwało to czas pewien.



Miał wzrost mniej niż średni, ciemną cerę twarzy, dziwne, głębokie spojrzenie i delikatne, kobiece usta. Na palcu jego widniał skromny pierścionek z ołowiu, czy żelaza. Był barczysty, a wiek jego określić należało na lat dwadzieścia ośm, lub trzydzieści, nie więcej. Mimo to włosy na skroniach okrywała już siwizna.

Zbudził się z zadumy gestem niezmiernie gwałtownym. Wydawało się, iż uczynił go po długim namyśle i z premedytacją, mimo że sam był jeno w pokoju. Potem dobył z kieszeni pęczek kluczy, kilka monet i coś w rodzaju medalu za uratowanie życia, na zniszczonej bardzo wstążce. Wszystko to złożył na stole, przy łóżku. Następnie wetknął portfel pod poduszkę i wyjął z kamizelki zegarek i małą flaszeczkę apteczną, ze znakiem trupiej główki. Zegarek trzymał czas jakiś w dłoni, flaszeczkę schował atoli zaraz z powrotem. Wkońcu zdjął pierścione, umył się i przeczesał włosy palcami, nie używając lustra.

Leżąc już w łóżku, zauważył brak pierścionka zostawionego na umywalni, wstał i włożył go na palec, jakby się nie mógł obejść bez tego nędznego z wyglądu przedmiotu, ni na chwilę. Otworzył wszystkie trzy telegramy, ale nie doczytawszy pierwszego, roześmiał się milcząco i krótko. Leżał przez czas jakiś, połyskując pięknymi nadzwyczaj zębami, potem spoważniał i obojętnie odrzucił telegramy mimo, że dotyczyły sprawy ważnej i doniosłej. Była tam mowa o kwocie sześćdziesięciu dwu tysięcy koron za posiadłość ziemską i oferta wypłacenia jej gotówką, w razie dojścia interesu do skutku. Nie zawierały nic śmiesznego owe czysto kupieckie telegramy, nie noszące atoli podpisu. W kilka minut potem Nagel zasnął. Dwie zapalone świece zostawił na stole, zapomniawszy je zgasić. Oświeślały



one wygoloną twarz jego, oraz piersi, rzucając blask na rozłożone szeroko telegramy...

Nazajutrz posłał Nagel na pocztę i dostał kilka dzienników, pośród nich zagraniczne, lecz nie było doń listu. Futerał ze skrzypcami ustawił pośrodku pokoju na krześle, jakby chciał nań zwrócić uwagę, nie otworzył go jednak i nie tknął instrumentu.

Przez całe przedpołudnie nie wziął się do niczego, napisał tylko kilka listów i chodził po pokoju, czytając książkę. Prócz tego kupił w sklepie parę rękawiczek, oraz później, zaszedłszy na rynek, za dziesięć marek małego, rudego pieska i darował go zaraz gospodarzowi. Pieska tego nazwał ku wesołości ogólnej „Jakobsenem“, mimo że była to w dodatku suczka.

Przez ciąg dnia nie zajął się niczem więcej. Nie miał w mieście spraw żadnych, nie złożył nikomu wizyty, nie zaszedł do biura żadnego i nikogo, zda się, nie znał. W hotelu dziwiono się potrosze jego obojętności na wszystko i zaniedbywaniu nawet własnych spraw. Telegramy leżały dotąd na stole, nietknięte od zeszłego wieczoru. Umiał również pomijać milczeniem pytania, skierowane wprost do siebie. Dwa razy próbował zeń wydostać gospodarz, kim jest i poco przybył do miasteczka, ale nie odpowiedział wcale. W ciągu dnia przybył nowy, dziwny szczegół. Oto, mimo że nikogo nie znał, zatrzymał się przed pewną młodą damą miejscową u wniścia do cmentarza i skłonił jej się nisko, bez słowa wyjaśnienia. Dama zaczerwieniła się bardzo. Potem natręt ruszył gościńcem, dotarł do plebanji, minął ją i zawrócił. Czynił to również dni następnych. Hotel zamykano dość wcześnie, że zaś wracał zawsze o późnej porze ze swych wędrówek, musiano go wpuszczać.



Trzeciego dnia, u wejścia do swego pokoju został Nagel zagadnięty przez gospodarza i pozdrowiony nader uprzejmie. Udali się na werandę, usiedli, a gospodarz skierował rozmowę na skrzynię ze świeżemi rybami, którą chciał wysłać.

— Czy mógłby mi pan powiedzieć, — zaczął — jak najlepiej należy ją wysłać?

Nagel spojrzał na skrzynię, uśmiechnął się i potrząsnął głową.

— Nie, nie znam się na tem! — powiedział.

— Szkoda! Myślałem, że pan w podróżach swych widywał po innych miastach, jak się to załatwia.

— O nie, niewiele podróżowałem.

Pauza.

— Pewnie zajmowałeś się pan innemi rzeczami, — podjął gospodarz — może pan jesteś kupcem?

— Nie, nie jestem kupcem.

— Tak? Więc pan nie przybył tu w interesach?

Nie było odpowiedzi. Nagel zapalił cygaro, puszczał zwolna dym i patrzył w powietrze, a gospodarz spoglądał nań zukosa.

— Możebyś pan był łaskaw zagrać nam trochę! — podjął na nowo. — Widziałem pośród rzeczy pańskich, skrzypce.

Nagel odrzekł obojętnie:

— Już nie grywam.

Niebawem wstał i bez słowa odszedł, ale wrócił za chwilę i rzekł:

— Przyszło mi właśnie do głowy... możesz mi pan każdej chwili przedkładać rachunki. Jest mi zgoła obojętne, kiedy zapłacę.

— Dziękuję! — odparł gospodarz. — Nic pilnego. Jeślibyś pan mieszkał dłużej, trzebaby obliczyć



wszystko taniej. Nie wiem, na jak długi pobyt liczyć mam.

Nagel ożywił się odrazu, odpowiedział zaraz, a nawet poczerwieniał bez żadnego widocznego powodu.

— O, bardzo możliwe, że zatrzymam się przez czas pewien. Wszystko zawisło od okoliczności. Zresztą zapomniałem powiedzieć, jestem rolnikiem, agronomem, wracam z pewnej podróży i być może zatrzymam się tu dłużej. Ale prawda... zapomniałem,... nazywam się Nagel, Jan Nilsen Nagel.

Przystąpił do gospodarza, uściśnął mu serdecznie dłoń i przeprosił za to, że się wcześniej nie przedstawił. W wyrazie jego twarzy nie było śladu ironji.

— Możeby pan chciał lepszy, zaciszniejszy pokój? — spytał gospodarz. — Mieszkasz pan obecnie tuż przy klatce schodowej, a to niezawsze miło.

— Dziękuję! — odrzekł. — Nie potrzebuję nic lepszego. Mój pokój jest bardzo miły i jestem bardzo zadowolony, że mogę z okien widzieć cały plac targowy. To mnie bawi.

Po chwili rzekł gospodarz:

— Tak. Zrobił pan sobie wakacje i chcesz spędzić tu, u nas lato?

— Dwa, trzy miesiące, może dłużej nawet — odparł Nagel — narazie nie wiem jeszcze. Wszystko zawisło od okoliczności, nie wiem jeszcze, narazie.

W tej chwili przeszedł obok nich jakiś mężczyzna i pozdrowił gospodarza. Był to człeczek niepozorny, niski i bardzo ubogo odziany. Poruszał się z wysiłkiem widocznym, ale mimo to szedł szybko. Na niski ukłon, nie tknął gospodarz kapelusza, natomiast Nagel zdjął przed nim czapkę.

Gospodarz spojrzał i rzekł:



— Człowieka tego zwiemy „Minuta“. Jest on trochę przygłupi. Szkoda, bo zacna zeń dusza.

Tyle tylko mówili o „Minucie“.

— Przed kilku dniami, — rzekł nagle Nagel — czytałem w dziennikach, że znaleziono tutaj, w lesie martwego człowieka. Któż to był? O ile wiem, nazywał się Karlsen. Czy tutejszy?

— Tak! — odparł gospodarz. — Był to syn miejscowej akuszerki. Dom jej, z czerwonym dachem, widać stąd. Przyjechał do matki na ferje i zaraz targnął się na swe życie. Wielka szkoda, był to bowiem nader zdolny młodzieniec i niedługo miał już zostać kaznodzieją. Niewiadomo, co o tem wszystkiem myśleć, sprawa mocno podejrzana. Fakt, że miał podcięte obie żyły na pulsach, świadczy, iż nie mógł to być czysty wypadek. Znaleziono także nóż, mały scyzoryk, w białej okładzinie. Policja znalazła go właśnie wczoraj, późnym wieczorem. Prawdopodobnie jest to jakaś sprawa miłosna.

— Tak... tak? Czyż zachodzą wątpliwości co do samobójstwa?

— Spodziewamy się jak najpomyślniejszego rozwikłania. To znaczy, ogół sądzi, że trzymał scyzoryk w ręku i padł tak nieszczęśliwie, iż zadał sobie odrazu dwie rany. Ale ja nie uważam tego za prawdopodobne. Mimo to zostanie pochowany w poświęconej ziemi. Nie... nie... nie sądzę, by się potknął i padł!

— Wspomniałeś pan, że nóż znaleziono dopiero wczoraj. Czyż nie leżał obok zmarłego?

— Nie, leżał o kilka kroków dalej. Musiał go po użyciu odrzucić od siebie, w las. Znaleziono scyzoryk przypadkiem jeno.

— Tak? Jakże mógł jednak odrzucić nóż od siebie? Wszakże leżał z otwartymi, ciętymi ranami? Nie ulegało też dla nikogo wątpliwości, że użył noża.

— Ha... Bóg raczy wiedzieć, jak to zrobił i jaki miał zamiar. Musiała w tem być, jak rzekłem, sprawa miłosna. Nie słyszałem dotąd o podobnem szaleństwie i w miarę jak rozważam, coraz mi się to gorzej przedstawia.

— Czemuż to przypuszczasz pan, że była w grze sprawa miłosna?

— Z różnych powodów. Nic pewnego jednak rzecz nie sposób.

— Czyż nie mógł upaść bezwiednie, przypadkiem. Wszakże ciało znaleziono w strasznym położeniu, na brzuchu, z twarzą w kałuży.

— To prawda. Był strasznie zawałany. Ale to nie dowodzi niczego. Mógł mieć taki zamiar. Może chciał ukryć walkę ze śmiercią odbitą w rysach twarzy. Któż to wie?

— Czy nie zostawił czegoś na piśmie?

— Podobno, idąc, napisał kilka słów na papierze. Często zapisywał zresztą w ten sposób to i owo. Przypuszczają niektórzy, że użył scyzoryka do zacięcia ołówka, lub innego celu i w tej chwili padł, przecinając sobie jeden przegub ręki na samej żyłę, a potem drugi w takim samym miejscu i to za jednym upadkiem. Ma pan zresztą słuszność zupełną. Znaleziono w dłoni jego papier, a na nim słowa: — O, gdybyż to stał twoja była tak ostra, jak ostatnia odmowa!

— Co za plotki? Czyż scyzoryk był tępy?

— Tak, był tępy.

— Czyż nie mógł go poprzód dać naostrzyć?

— To nie był jego scyzoryk.



— Czyjże był?

Gospodarz podumał, potem zaś rzekł z wahaniem:

— Scyzoryk był własnością panny Kielland.

— Panny Kielland? — spytał Nagel i zaraz dodał:

— Cóż to za panna Kielland?

— Córką pastora, Dagny Kielland.

— Dziwna rzecz! Czyż kto słyszał? Czy ten młodzieniec był w niej aż tak zakochany?

— Zapewne. Zresztą wszyscy się w niej kochają, nie był on jedyny.

Nagel zadumany milczał. Gospodarz podjął po chwili:

— Wszystko, com panu powiedział, to wielka tajemnica i proszę bardzo...

— No... no... oczywiście! Bądź pan spokojny... całkiem spokojny.

Gdy Nagel niedługo potem udał się na śniadanie, oświadczył gospodarz w kuchni, że rozmówił się nareszcie porządnie z żółtym gościem z pod numeru siódmego. Jest to agronom, przybywa z zagranicy, zamierza pozostać przez kilka miesięcy, pozatem Bóg raczy wiedzieć co to za człowiek.

## II.

Tego samego wieczoru spotkał Nagel Minutę. Przyszło między nimi do nudnej i nieskończenie długiej paplaniny, trwającej blisko przez trzy godziny.

Wszystko, od początku do końca odbyło się w sposób następujący:

Jan Nagel siedział w kawiarni hotelowej z dziennikiem w ręku, gdy wszedł Minuta. W lokalu, przy stolikach znajdowało się sporo ludzi, a pośród nich opasła

chłopka, w czarno-czerwonej chustce na ramionach. Minuta, zdawało się, znał wszystkich, bo składał na prawo i lewo korne ukłony, przyjęto go jednak śmiechem i okrzykami. Chłopka wstała i chciała z nim tańczyć.

— Nie dzisiaj! Nie dzisiaj! — powiedział wymijająco, zwrócił się, trzymając czapkę w rękę, do gospodarza i rzekł: — Zaniosłem węgle do kuchni. Narazie niema pewnie już nic do roboty...

— Nie! — odparł gospodarz. — Cóżby miało być do roboty?

— Oczywiście! — powiedział Minuta i cofnął się trwożnie.

Był niezwykle brzydki, miał wprawdzie jasne, spokojne oczy, ale niesamowite, sterczące kły i chód koślawy, bowiem był kaleką. Włosy mu przyprószyła siwizna, broda była ciemniejsza, ale tak rzadka, że skóra przez nią przeglądała. Dawniej był marynarzem, teraz zaś mieszkał u krewnego, posiadającego skład węgla w pobliżu portu. Rozmawiając z kimś, rzadko oczy podnosił od ziemi.

Od jednego ze stolików zaczęto go nawoływać. Jakiś pan w szarem, letniem ubraniu dawał mu znaki i pokazywał flaszkę piwa.

— Chodź tu i łyknij mleczka z piersi matki. Rad-bym też widzieć, jak wyglądasz bez brody.

Minuta zbliżył się pokornie, pochylając grzbiet. Mijając Nagła skłonił mu się osobno i ruszył zlekka wargami. Stał przed owym panem i szepnął:

— Ciszej, łaskawy panie podsędku. Wszakże są tu ludzie obcy.

— Na miły Bóg! — zawołał podsędek — Chciałem ci tylko zafundować piwa, a ty besztasz mnie za to, że zbyt głośno mówię?



— Nie... pan mnie źle zrozumiał! Proszę wybaczyć. Nie chciałbym tylko, by wznawiano wobec obcych stare historie. Piwa również nie chcę pić.

— Co? Nie chcesz piwa?

— Nie, dziękuję! Teraz nie.

— Jakto? Nie dziękujesz mi teraz? A kiedyż to podziękujesz? Ha... ha... wszakże jesteś synem pastora. Powinienbyś lepiej baczyć na sposób wyrażania się.

— Oo... znowu mnie źle zrozumiał. Ale już widać, inaczej być nie może.

— Nie gadaj głupstw. Cóż to ci się dzisiaj stało?

Podsędek zmusił go sięść na krzesło. Minuta wstał jednak zaraz.

— Proszę mnie puścić! — rzekł. — Nie znoszę picia, teraz bardziej jeszcze, niż poprzednio. Sam Bóg wie dlaczego. Zanim się spostrzegę, jestem pijany i nie wiem co się ze mną dzieje.

Podsędek wstał, spojrział bystro na Minutę, wcisnął mu szklankę w dłoń i powiedział:

— Pij zaraz!

Pauza. Minuta podniósł oczy, usunął z czoła włosy i milczał.

— Dobrze! — rzekł po chwili. — Spełnię pańskie życzenie, ale napiję się tylko trochę, by mieć zaszczyt trącenia się z panem.

— Do samego dna! — zawołał podsędek i musiał się obrócić, by nie wybuchnąć śmiechem.

— Nie, nie do dna! — prosił Minuta. — Czemuż mam pić, skoro mnie to mierzi? Proszę się nie gniewać i nie marszczyć czoła... No, zresztą dziś, wyjątkowo wypiję, skoro pan chce już koniecznie. Może mi nie uderzy do głowy. To śmieszne, że znoszę tak mało... Za pańskie zdrowie!

— Wypij, wypij do dna! — zawołał podsędek. — Tak... dobrze! Zgoda. Teraz siadajmy, będziemy robili chece. Naprzód musisz pozgrzytać trochę zębami, potem obetnę ci brodę, tak że odmłodziś się o dziesięć lat. Ale naprzód zgrzytaj.

— Nie, tego uczynić nie mogę w obecności wszystkich obcych. Nie żądaj pan tego ode mnie! — poprosił Minuta, wstając. — Zresztą nie mam nawet czasu.

— Nie masz czasu? Co? O, to źle, to bardzo źle... Nie masz nawet czasu...

— Nie mam czasu teraz...

— Słuchajno! A gdybym ci tak obiecał nowy surdut zamiast tego... Pokaż-no, całkiem się już rozłazi... o, widzisz. Nie wytrzymałe dotknięcia palcem! — podsędek, mówiąc to, zrobił dziurę w surducie. — O, popatrz sam! Materiał tak już lichey, że wypadają dziury za lada dotknięciem.

— Puść mnie pan, na miłość boską! — błagał Minuta. — Cóż panu złego zrobiłem? Daj pan pokój memu surdutowi.

— U licha! Obiecuję ci przecież nowy surdut! Obiecuję, że dostaniesz zaraz jutro i biorę na świadków... słuchajże... raz, dwa, cztery... siedm osób... wszystkich obecnych, rozumiesz? Cóż ci się to dziś stało? Nadymasz się, złościsz i radbyś nas wszystkich po-deptać. Tak... taką masz chętkę jedynie z powodu, że dotknąłem twego surduta.

— Proszę przebaczyć! Nie miałem zamiaru złościć się. Wie pan, że chętnie robię wszystko co pan każe... ale...

— No, zróbże mi więc przyjemność i siadaj.

Minuta musnął szpakowate włosy i usiadł.

— Zróbże mi jeszcze tę przyjemność i zgrzytaj trochę zębami!



— Nie, tego nie uczynię.

— Nie uczynisz? Co? Tak, czy nie?

— Na miłość boską, cóż panu zawiniłem? Proszę, zostaw mnie pan w spokoju. Czyż muszę błaznować wobec wszystkich? O, tamten obcy przybysz, jak za-uważyłem, nie spuszcza z nas oka i śmieje się niezawodnie. Tak jest zawsze. Pierwszego zaraz dnia, kiedy pan tu objął urzędowanie, złapał mnie dr. Stenersen i nauczył pana jak się ze mną wyrabia hece, pan zaś uczy tego samego owego obcego pana. Jeden po drugim bierze mnie sobie za pośmiewisko.

— Hm... Więc mów: tak, czy nie?

— Nie! Nie! — zawołał Minuta zrywając się, zaraz jednak, nie chcąc być zuchwałym, siadł i dodał: — Zaręczam, że nie umiem nawet zgrzytać zębami, na-prawdę nie potrafię.

— Co? Nie potrafisz? Oho! Umiesz to doskonale... Zgrzytasz jak mistrz zębami!

— Przysięgam, że nie potrafię!

— Ha... ha... a wszakże dawniej umiałeś... sam słyszałem.

— To prawda! Ale byłem wówczas pijany. Nie pamiętam nic. Wówczas wszystko mi tańczyło przed oczyma. Chorowałem potem przez dwa dni.

— Słusznie! — przyznał podsędek. — Byłeś pijany, przyznaję. Pocóż atoli gadasz o tem wobec wszystkich tych ludzi? Jabym czegoś takiego nie powiedział.

W tej chwili gospodarz wyszedł. Minuta umilkł, a podsędek spojrzał nań i rzekł:

— No, dalejże! Pamiętaj o surducie!

— Pamiętam! — odparł Minuta. — Ale nie mogę i nie chcę pić więcej... wiedz-że pan to raz!

— Możesz i będziesz pił! Słyszysz co mówię? Możesz i będziesz, powiadam! Inaczej naleję ci w gardło... — powiedziawszy to podsędek wstał i wziął w rękę szklanę Minuty. — Otwieraj gębę!

— Na miły Bóg! Nie chcę więcej piwa! — zawołał blady od wzburzenia. — Nie zmusi mnie do tego żadna siła ludzka. Nie gniewaj się pan, ale zbiera mi się na wymioty... nie mogę! Nie czyn pan tego, proszę gorąco. Wolę już raczej... bez piwa... trochę pozgrzytać zębami.

— A, to co innego... widzisz, to całkiem co innego. Do licha, zgrzytajże więc bez piwa.

— Wolę już bez piwa.

Minuta zgrzytał przez czas jakiś straszliwemi zębami swemi, a wszyscy obecni śmiali się głośno. Nagel jeden siedział cicho przy oknie, nibyto czytając dziennik.

— Głośniej! Głośniej! — zawołał podsędek. — Nie słyszymy wszyscy dobrze!

Minuta siedział wyprostowany, trzymając się oburącz krzesła, jakby się bał spaść, i zgrzytał, aż mu drżała głowa. Śmiała się także chłopka. Ocierała łzy z oczu, wiła się od śmiechu, plunęła z zachwyty bezmyślnie dwa razy na podłogę.

— Ach! — wrzasnęła wreszcie rozbawiona. — Ach, ten pan podsędek!

— Dość tego! — powiedział Minuta. — Nie umiem zgrzytać głośniej, Bogiem się świadczę! Wierzaj mi pan, już nie mogę dłużej.

— No, spocznij sobie trochę i zacznij na nowo. Pamiętaj, że musisz zgrzytać. Potem utniemy ci brodę. Napij się trochę. Musisz... patrz już nalane.

Minuta milczał, potrząsając głową. Podsędek dobył sakiewki, położył na stole monetę dwudziestopięcio-oerową i rzekł:



— Zawsze robisz to za dziesięć oerów, ale daję ci dwadzieścia pięć. Podnoszę twe honorarium.

— Ach! Nie dręcz mnie pan! Nie chcę!

— Nie chcesz? Wzbranasz się?

— Boże wielki! Przestańże pan raz, zostaw mnie w spokoju! Nie chcę dalej błaznować za ten surdut. Jestem wszakże też człowiekiem! Czegóż pan chcesz jeszcze?

— Słuchaj, powiem ci coś! — rzekł podsędek. — Oto, jak widzisz, rzucam do twojej szklanki popiół z cygara. A teraz biorę tę niewinną zapałkę i tę drugą i rzucam je także do środka. Patrzysz sam na to co czynię. Tak. A teraz zaręczam ci, że wypijesz wszystko aż do dna. Tak się stanie.

Minuta skoczył z krzesła. Drżał na całym ciele, szpakowate włosy opadły mu na czoło, stał i patrzył tępo w twarz podsędka. Trwało to kilka sekund.

— Nie... nie, tego już za wiele! — wykrzyknęła nawet chłopka. — Nie wolno tego czynić! Ha... ha... ha, niech mnie Bóg broni przed panem!

— Nie chcesz? Wzbranasz się? — spytał podsędek, wstając i patrząc na swą ofiarę.

Minuta uczynił wysilek, by coś rzec, nie wydał atoli głosu. Wszyscy nań skierowali oczy.

Nagle wstał Nagel od stolika pod oknem, złożył dziennik i przeszedł wpoprzek lokal. Nie spieszył się, zachowywał się cicho, mimo to jednak uwagę wszystkich zwrócił na siebie. Zatrzymał się przy Minucie, położył mu dłoń na ramieniu i rzekł głośno i wyraźnie:

— Dam panu dziesięć koron i wezmę wszystkie skutki na siebie, jeśli pan weźmiesz szklankę i ciśniesz w łeb temu szczeniakowi! — wskazał na podsędka i dodał: — Mam na myśli tego oto szczeniaka!

Wszystko nagle ścisnęło. Minuta patrzył przerażony to na jednego, to na drugiego. Po chwili wyjęknął: — Nie... ależ... — i urwał. Powtarzał te słowa raz po raz drżącym głosem, jakby były pytaniem. Nikt nie mówił. Podsądek cofnął się, jakby oszołomiony, krok wstecz i chwycił stołka. Był blady, jak kreda, usta miał otwarte, ale milczał.

— Powtarzam — rzekł raz jeszcze głośno Nagel, — że dam panu dziesięć koron, jeśli rozbijesz swą szklanę na łbie tego szczeniaka. Pieniądze mam w ręce. Skutków również nie masz się pan powodu obawiać. — Nagel wyciągnął rękę i podał Minucie banknot dziesięciokoronowy.

Minuta zachował się dziwnie. Pobiegł nagle, chwiejąc się na nogach, w jeden z kątów sali i usiadł tam, nie rzekłszy ni słowa. Siedział z pochyloną głową, spozierał zezem na wszystkie strony i podciągał co chwila, jakby ze strachu, kolana do góry.

Otworzy się drzwi i wszedł gospodarz. Zaczął grzebać w różnych rzeczach, nie zwracając uwagi na to, co się dzieje. Dopiero w chwili, gdy podsądek skoczył i krzyknawszy ochryple rzucił się ku Naglowi, wyciągając oba ramiona, zwrócił się do gości, pytając:

— Cóż się stało, u kroćset...

Nikt nie odpowiadał. Podsądek wymierzył raz po raz dwa ciosy, ale za każdym razem trafił w podstawioną pięść Nagla. Podrażniony niepowodzeniem, jął machać rękami w powietrzu, jakby chciał się bronić przeciw wszystkim, wreszcie zatoczył się wstecz między stoły i padł przy jednym z taburetów na kolana. Sapał w głos, a twarz jego zmieniła się do niepoznania z wściekłości. Ręce jego pokrwawione były od twardych pięści Nagla, na które natrafiał za każdym ciosem.



W kawiarni powstało teraz ogólne zamieszanie. Chłopka i jej towarzysze uciekli w stronę drzwi, inni pokrzykiwali i tłoczyli się bezładnie. Nagle wstał podsędek, podszedł do Nagła, stanął przed nim, wyciągnął ręce i nie znajdując właściwych słów z komicznej rozpacz, krzyknął:

— Ty przekłety... niech cię djabli biorą... ty błaznie!

Nagel patrzył nań z uśmiechem. Zbliżył się do stołu, wziął kapelusz podsędka i podał mu z ukłonem. Podsędek wyrwał mu z rąk kapelusz, uczynił gest, jakby go chciał cisnąć w przystępnie pasji, ale rozmyślił się i wbił go sobie uderzeniem pięści na głowę. Potem obrócił się i wyszedł z kawiarni. Gdy odchodził, wszyscy widzieli na kapeluszu dwa wielkie, śmieszne załamania.

Gospodarz przecisnął się teraz do środka i zażądał wyjaśnienia. Podszedł do Nagła, chwycił go za ramię i spytał:

— Co się tu dzieje? Co to ma znaczyć?

Nagel odparł:

— Proszę bardzo, puść mnie pan. Nie mam zamiaru uciekać. Obraziłem tego pana, który wyszedł, on zaś chciał się bronić, nie można mu tego brać za złe... wszystko w porządku.

Ale gospodarz wpadł w złość, tupnął i krzyknął:

— Wypraszam sobie wszelkie awantury w moim domu! Rób pan sobie co chcesz na ulicy, to mnie nic nie obchodzi. Tu jednak wara! Powściekaliście się, czy co?

— Słusznie! Słusznie! — zawołali inni. — Ale myśmy widzieli wszystko! — i ogarnięci właściwą obywatelom chęcią opowiedzenia się po stronie chwilowego zwycięzcy, stanęli murem przy Nagłu.

Objaśnili gospodarzowi całe zajście.

Sam Nagel wzruszył ramionami, podszedł do Minuty i bez wstępu spytał małego, szpakowatego błazna:

— Jaki stosunek łączy pana z podsędkiem, że pozwalam mu się pan traktować w ten sposób?

— Głupstwo! — odparł Minuta. — Niema żadnego stosunku, to obcy dla mnie człowiek. Raz tylko tańczyłem mu na rynku za dziesięć oerów. Zresztą wyprawia zawsze ze mną drwinki.

— Tańczysz pan tedy za pieniądze?

— Tak, czasem. Nie często, wówczas tylko gdy mi trzeba dziesięć oerów, a nie mam ich skąd wziąć.

— Na co panu potrzeba tych pieniędzy?

— Na różności. Po pierwsze... jestem człowiek nierozgarnięty, a to niedobrze. Dawniej, gdym był marynarzem i sam pracowałem na siebie, szło mi pod każdym względem dużo lepiej. Potem jednak zdarzył mi się wypadek, spadłem z rei i złamałem nogę w biodrze, od tego też czasu nie mogę sobie sam dać rady. Dostaję od stryja wikt i wogóle wszystko, mieszkam u niego i nawet żyję w dostatku, bo stryj ma skład węgla. Przyczyniam się potrochu do utrzymania, zwłaszcza, jak teraz, w lecie, kiedy bardzo mały jest na węgle popyt. Prawdę mówię szczerą, jak tu siedzę i opowiadam. W takiej porze letniej dobrze jest dostać dziesięć oerów, gdyż można to i owo przynieść do domu. Co się tyczy podsędka, to bawi go moje kalectwo, które sprawia że nie mogę tańczyć jak się należy.

— Czy stryj pański wie, że tańczysz na rynku za zapłatę?

— Nie... nie wie... nie sądz pan tak. Powiada zawsze: Precz z tym błazeńskim groszem! Tak, zwie



to błazeńskim groszem, gdy przynoszę dziesięć oerów, i łaje mnie, że pozwalam drwić z siebie.

— Więc to jest: po pierwsze, a cóż dalej?

— Jakto co?

— Cóż dalej?

— Nie rozumiem.

— Powiedziałeś pan, że... po pierwsze... jesteś człowiek głupi... cóż więc będzie... po drugie?

— Jeśli tak powiedziałem, przebacz pan!

— Jesteś pan więc tylko głupi?

— Proszę raz jeszcze o przebaczenie...

— Czy ojciec pański był proboszczem?

— Tak, był.

Pauza.

— Słuchaj pan, jeśli nie masz nic innego do roboty, chódź ze mną na górę, do mego pokoju. Czy dobrze? Palisz pan? Dobrze! Proszę, proszę, mieszkam tu, na pierwszym piętrze. Cieszyłbym się, gdybyś mnie pan zechciał odwiedzić.

Ku ogólnemu zdumieniu Nagel i Minuta udali się na piętro i spędzili cały wieczór razem.

### III.

**M**inuta usiadł i zapalił cygaro.

— Nie napije się pan czego? — spytał Nagel.

— Nie znoszę trunku, zaraz mi się miesza w głowie i wszystko dwoi w oczach... — odparł gość.

— Czy piłeś pan kiedy szampana? Oczywiście, pewnie tak?

— Przed wielu, wielu laty piłem szampana na srebrnem weselu rodziców.

— Smakował panu?

— Tak, pamiętam, bardzo był dobry.

Nagel zadzwonił i zamówił szampana.

Palili, pociągając przytem zwolna ze szklanek, nagle spojrział Nagel bystro na swego gościa i spytał:

— Powiedz pan,... jest to tylko pytanie i wyda się może dziwne... czy — zdecydowałbyś się pan dać zapisać jako ojciec pewnego dziecka, mimo że tak nie jest? To mi przyszło niespodzianie do głowy.

Minuta patrzył nań z szeroko otwartymi oczyma i milczał.

— Za drobną sumkę, za pięćdziesiąt koron na przykład. Albo, powiedzmy, za dwieście koron? — pytał dalej Nagel. — Nie idzie tak bardzo o kwotę.

Minuta wstrząsnął głową i milczał długo.

— Nie... — powiedział wreszcie.

— Nie? Nie chciałbyś pan? Pieniądze mogę wyliczyć natychmiast.

— Nie... nie mogę, tej przysługi panu nie uczynię.

— Dlaczegoż to?

— Nie prosz mnie pan! Zostaw mnie pan w spokoju. Jestem także człowiek.

— Ano, może za dużo żądałem. Czemużbyś pan miał zresztą czynić taką przysługę? Zapytam pana jeszcze... czy zechciałbyś obejść całe miasto, począwszy od hotelu przez rynek i wokoło portu, z przytrocowanym na plecach dziennikiem, albo woreczkiem papierowym... za pięć koron. Uczyniłbyś pan to za kwotę pięciu koron?

Minuta zawstydzony pochylił głowę i powtórzył mechanicznie: — Pięć koron! — potem zamilkł.

— Tak... tak, albo, powiedzmy, dziesięć koron. Uczynisz to pan więc za dziesięć koron?



Minuta odsunął włosy z czoła.

— Nie pojmuję — rzekł, — dlaczego każdy kto tu przybędzie w góry wie, że jestem blaznem do najęcia?

— Jak pan widzisz, — podjął Nagel — wręczam panu natychmiast pieniądze. Zależy więc wszystko jedynie od pana.

Minuta wlepił oczy w banknot, patrzył napoły przytomny i oblizywał się łakomie. Wreszcie bąknął:

— Tak... ja...

— Przepraszam! Przepraszam, że panu przerywam... — wpadł mu w słowo Nagel, nie dopuszczając, by mówił dalej. — Jakież jest pańskie nazwisko? Nie wiem, nie wymienił mi go pan!

— Nazywam się Grögoard.

— Grögoard? Czy jesteś pan krewnym słynnego męża stanu z Eidsvoldu \*).

— Tak jest.

— O czemże to mówiliśmy? Sądzę, Grögoardzie, że pan nie chcesz zarobić w ten sposób owych dziesięciu koron.

— Nie... — szepnął Minuta z wahaniem.

— Słuchaj mnie pan! — ozwał się Nagel i mówił bardzo powoli: — Daję panu te dziesięć koron właśnie za to, że pan nie chce uczynić tego, co proponowałem. Prócz tego zaś dam panu raz jeszcze dziesięć koron za tę przyjemność, że je pan przyjmiesz ode mnie. Nie zrywaj się pan, ta mała przysługa niewiele mnie kosztuje, mam dużo pieniędzy obecnie i nie popadnę w kłopot z powodu kilku koron! — dobył banknoty i dodał: — Uczyni mi pan wielką przyjemność. Proszę!

---

\*) Członek pierwszego norweskiego stortingu, który położył podwaliny konstytucji krajowej w dniu 27 maja w Eidsvoldzie.

Minuta siedział bez słowa, szczęście uderzyło mu do głowy i walczył ze łzami. Mrugał oczyma i robił ruchy, jakby coś przełykał. Nagel rzekł:

— Masz pan około czterdziestki... nieprawdaż?

— Czterdzieści trzy, przeszło czterdzieści trzy.

— Schowaj pan pieniądze! Niech panu służą jak najlepiej. Jak się nazywa podśudek, z którym spotkalismy się na dole, w kawiarni?

— Nie wiem, wszyscy go zwiemy podśudkiem. Jest tu urzędnikiem z ramienia sądu okręgowego.

— Tak, tak... ano to obojętne... Powiedzno pan...

— Przepraszam! — Minuta nie może dłużej wytrzymać, chce coś powiedzieć, mimo, że bełkoce, jak niemowlę. — Przepraszam... proszę mi wybaczyć...!

— wyjąknął wkońcu i długo nie mógł rzec nic ponadto.

— Co pan chciałeś powiedzieć?

— Dziękuję, gorąco dziękuję... z całego...

Pauza.

— Ależ to już załatwione... — rzekł Nagel.

— Nie! Czekajże pan! — zawołał Minuta. — Przepraszam bardzo! To nie jest załatwione... Sądziłeś pan, że nie chcę przystać z powodu uporu i że mi to miło chodzić, jak pies na tylnych łapach... przysięgam na Boga... Czyż można rzecz nazwać załatwioną, skoro panu wydać się mogło, żem rozważał, czy za kwotę pięciu koron opłaci mi się błaznować... Otóż to właśnie...

— Dość tego. Człowiek o pańskim nazwisku i wykształceniu nie powinien pozwalać sobie na takie głupstwa. Ale przyszło mi do głowy... znasz pan, oczywiście, stosunki miejscowe dobrze? Zamierzam tu zabawić czas jakiś, a w każdym razie spędzić miesiące letnie, cóż pan na to? Czyś pan tutejszy?



— Tak, urodziłem się tu, ojciec mój był tu pastorem, a od lat trzynastu nie ruszyłem się z miasta, to jest od czasu okaleczenia.

— Mimo to jednak roznosisz pan węgle!

— Tak, roznoszę i idzie mi doskonale. Nawykłem, nie szkodzi mi to, tylko muszę ostrożnie stąpać po schodach. Zeszłej zimy upadłem raz i potłukłem się, tak że długo chodziłem o kiju.

— Tak? Jakże się to stało?

— Niosłem węgle do banku. Na schodach było trochę lodu, a worek był dosyć ciężki. Doszedłszy do połowy, zobaczyłem u szczytu schodów konsula Andersena. Chciałem zawrócić, zejść i przepuścić konsula. Nie domagał się tego, ale rzecz była naturalna. W tej chwili pośliznąłem się i upadłem na prawe ramię. Konsul spytał co mi jest, że zaś nie krzyczałem, sądził, że się nie potłukł. Sam go zapewniłem, iż miałem szczęście. Ale po chwili zemdlałem, a potem jeszcze raz. Przytem dolna część ciała, nadwerężona dawniej, napuchła. Konsul zaopiekował się mną, chociaż nie był niczemu winien.

— Czyś pan nie odniósł innego obrażenia? Czyś się nie uderzył w głowę?

— Tak jest. Przez pewien czas plulem krwią.

— A konsul wspomagał pana przez czas choroby?

— I to jak jeszcze! Przysyłał mi różności, nie zapominając, ani na jeden dzień. Ale największą miałem radość w dniu, kiedy ozdowiałem, poszedłem mu podziękować. Kazał on na moją cześć wywiesić flagę. Dał wyraźnie rozkaz, by dla mnie wywieszono flagę, mimo, że były właśnie urodziny panny Fryderyki.

— Któż to jest ta panna Fryderyka?

— Jego córka.

— Tak? To ładnie z jego strony... Ale prawda... musisz pan chyba wiedzieć, z jakiego powodu wywieziono tu w mieście flagi przed kilku dniami?...

— Przed kilku dniami... oho... mniej więcej przed tygodniem! Tak, już wiem, obchodzono w ten sposób zaręczyny panny Dagny Kielland. O tak, jedno po drugim zaręcza się, albo żeni i wyjeżdża. Mam teraz przyjaciół i znajomych niemal w całym kraju, a wszystkich zobaczyłbym rad jeszcze kiedyś. Widziałem ich dziećmi, jak się bawili, chodzili do szkoły, jak ich konfirmowano i jak dorastali potem. Dagny ma niespełna dwadzieścia trzy lata i jest ulubienicą całego miasta. Piękna z niej dziewczyna. Zaręczyła się z porucznikiem Hansenem, który pochodzi stąd także. O, proszę patrzeć, darował mi on tę czapkę.

— Czy panna Kielland ma jasne włosy?

— Tak, jasne i jest bardzo piękna. Wszyscy ją tu kochają.

— Zda mi się, że ją spotkałem pod plebanją. Czy nosi czerwoną parasolkę?

— Tak jest! O ile wiem, nikt, prócz niej, w mieście nie ma czerwonej parasolki. Jeśliś pan spotkał damę z jasnym warkoczem, to napewno była to panna Kielland. Niema jej równej w całej okolicy. Ale pewnie nie rozmawiałeś pan z nią dotąd.

— Może i rozmawiałem nawet... — powiedział i dodał zamyślony: — To jest więc panna Kielland!

— Myślę, żeś pan z nią nie rozmawiał jak należy i dłużej, radość wielka czeka pana tedy. Gdy ją coś rozweseli, śmieje się głośno i to często z najmniejszej rzeczy. Tak jest wesola. Przekona się pan, jak uważnie słucha opowiadania, bacząc na każde słowo, a gdy się skończy, dopiero wówczas odpowiada i zawsze przy-



tem rumieni się zlekka. W takich chwilach bywa jeszcze piękniejsza. Ze mną, co innego, papple nieraz długo o byle czem bez żadnych ceregieli. Gdybym podszedł do niej na ulicy, stanęłaby i podała rękę, nawet w razie pośpiechu. Jeśli pan nie wierzy, przekonam pana.

— Wierzę... wierzę. Panna Kielland jest więc szczerą przyjaciółką pańską?

— Oczywiście... a raczej, powiedzmy, jest dla mnie bardzo pobłażliwą. Inaczej być nawet nie może. Przychodzę też czasem na plebanję, gdy mnie zaproszą, a zdaje mi się, że nie gniewa to nikogo, jeśli nawet zjawię się bez zaproszenia. Podczas choroby przychodziła do mnie panna Dagny i przynosiła mi własnoręcznie książki.

— Cóż to były za książki?

— Pan pyta, jakie książki, ja zrozumieć jestem w stanie?

— Tym razem źleś mnie pan zrozumiał. Pytanie bardzo sprytne, ale nie trafne. Jesteś pan bardzo interesującym człowiekiem. Szło mi o dowiedzenie się, jakie książki posiada i czytuje ta młoda dama.

— Pamiętam, że mi raz przyniosła książkę p. t. „Chłopi-studenci“ Garborge, i dwie jeszcze. Jedna z nich był to „Rudzu“ Turgenjewa, a przy tej sposobności czytała mi głośno ustępy z „Nieprzejeđnanych“ Garborge.

— Czy to były jej książki?

— Książki były własnością ojca i przezeń podpisane.

— Wspomniałeś pan o wizycie u konsula Andersena...

— Chciałem mu podziękować za pomoc.

— To prawda... czy konsul wywiesił flagę przed przybyciem pańskim?

— Tak. Ale sam powiedział, że się to stało na moją cześć.

— Słusznie. Czy jednak nie obchodził on w ten sposób urodzin córki?

— Możliwe... możliwe. Zresztą wszystko w porządku. Wstydby był, gdyby nie wywieszono flagi w dniu urodzin panny Fryderyki.

— Masz pan zupełną słuszność... Ale teraz rzecz inna... Ile ma lat stryj pański?

— Około siedmdziesiąt. Nie... to może za wiele... w każdym jednak razie przeszło sześćdziesiąt. Mimo to jednak rześki jest jeszcze bardzo. Od biedy, może jeszcze bez okularów czytać.

— Jak się nazywa?

— Grögoard. Obaj nosimy to nazwisko.

— Czy stryj ma własny dom, lub czy odnajmuje mieszkanie?

— Pokój, w którym mieszkamy, stryj wynajmuje, ale skład węgla jest jego własnością. Nie mamy kłopotów z czynszem... jak pan może sądzi. Spłacamy węglami, a czasem przyczyniam się i ja jakąś robotą do zapłaty.

— Stryj nie roznosi zapewne węgla?

— Nie. To robię ja. On waży towar, kieruje wszystkim, a ja roznoszę, gdyż jestem silniejszy.

— Oczywiście. Ale macie pewnie jakąś kobietę, która wam gotuje?

Pauza.

— Proszę wybaczyć... — rzekł Minuta — proszę się nie gniewać. Jeśli pan woli, to pójdę sobie już. Chcesz mi pan zrobić przyjemność rozmową, ale czyż pana samego może to bawić, co mówię o sobie? Przypuszczam nawet, że masz pan jakiś inny cel w tem



nudzeniu się ze mną i jest to cel bardzo dobry. Ale zaręczam, że jeśli odejdę, nikt mi nic złego nie uczyni... zaręczam... nie mam tu wrogów w mieście... Nawet podsędek nie czyha na mnie pod drzwiami, jak pan może sądzi. A gdyby nawet tak było, nie uczyni mi, napewno nic złego... napewno nie... zaręczam.

— Zostań pan jeszcze, a zrobisz mi prawdziwą przyjemność. Nie zobowiązuję pana, oczywiście, do opowiadania wzamian za tych kilka koron zaliczki na tytoń. Jesteś pan wolny zupełnie, proszę postąpić wedle własnej woli.

— Zostanę! Zostanę! — zawołał i dodał: — Niech pana Bóg błogosławi! Czuję się szczęśliwym, że pan znajdujesz jaką taką przyjemność w mem towarzystwie, chociaż powinienbym się właściwie wstydzić siebie i swego ubrania. Mógłbym być wdziać, coprawda, trochę lepszą odzież, gdybym się spodziewał. To stary kaftan stryja, łach do niczego, nie znosi dotknięcia palcem, a podsędek rozdarł go szkaradnie... Proszę łaskawie przebaczyć... Nie... nie mamy gospodyni. Gotujemy i pierzemy sami. Ale to nie sprawia dużo kłopotu, bo unikamy, ile się tylko da, tego zajęcia. Rano gotujemy naprzykład kawę i pijemy resztę na zimno wieczorem. Tak samo obiad warzymy na kilka dni odrazu i z czego się da. Czegóż więcej ludzie, jak my, żądać mają? Pranie to moja rzecz. Jest to rozrywka na wolne chwile i sprawia mi przyjemność.

W tej chwili zabrzmiał dzwonek hotelowy, a na schodach zaczęli schodzić goście, spiesząc na kolację.

— Dzwonią na wieczerzę! — rzekł Minuta.

— Tak! — odparł Nagel, ale nie ruszył się, nie okazał zniecierpliwienia, przeciwnie, rozsiadł się wygodniej jeszcze i spytał: — Może pan znałeś tego Karl-

sena, którego niedawno znaleziono martwego w lesie? Jest to smutna historia.

— O, bardzo smutna! Czy go znałem? Był to człowiek niełada i miał szlachetny charakter. Wiesz pan, pewnego razu w niedzielę rano, jakoś przed rokiem w maju, wezwał mnie do siebie o wczesnej godzinie i polecił odnieść list. Powiedziałem, że uczynię to chętnie, ale mam tak liche trzewiki, że się wstydzę ludziom pokazać. Chciałem pójść naprzód do domu i pożyczyć od stryja innej pary. — To nic! — powiedział. — To nic! Byłeś nie przemoczył nóg! — Wyobraź pan sobie, troszczył się o to, bym nie przemoczył nóg! No, a potem dał mi list i wetknął w rękę koronę. Byłem już w kurytarzu, gdy otworzył spieszenie drzwi i dogonił mnie. Twarz jego lśniła takim blaskiem, że stanąłem zdumiony. Oczy mu pały i były wilgotne. Objął mnie, przycisnął do piersi... naprawdę przycisnął... a potem rzekł: — Idź, idź, stary przyjacielu, nie zapomnę o tobie. Gdy zostanę proboszczem, wezmę cię do siebie na plebanję i nie puszcę do śmierci! Idź! Niech ci szczęście sprzyja! — Niestety, nie został proboszczem... Ale byłby napewno dotrzymał słowa, gdyby jeno żył dłużej.

— I zaniósłeś pan list?

— Tak.

— Czy otrzymawszy go, panna Kielland była uradowana?

— Skądże pan wiesz, że list był skierowany do panny Kielland?

— Skąd wiem? Od pana samego.

— Ode mnie? To nieprawda.

— Jakto nieprawda? Czy pan sądzisz, że siedzę tu poto, by cię okłamywać?



— Nie... nie... przebacz pan, proszę. Być może, że pan ma słuszość. Nie powinienem się był jednak żadną miarą wygadać. Popełniłem wielki błąd... Ach... czyż to naprawdę powiedziałem?

— Czemużby nie? Czy on zabronił wspominać o liście?

— On, nie...

— Tylko ona... nieprawdaż?

— Tak, właśnie.

— Dobrze! Będę milczał, jak grób. Ale czy pan rozumiesz, dlaczego się właśnie teraz zabił?

— Nie, nie rozumiem. Widać nieszczęście to było już pisane.

— Kiedyż go pochowają?

— Jutro w południe.

Nie mówili już o tej sprawie. Milczeli przez czas pewien. Sara zajrzała i oświadczyła, że kolacja gotowa. Zaraz potem spytał Nagel:

— Panna Kielland zaręczyła się tedy. Jakiż ten jej narzeczony?

— Porucznik Hansen? Młody, dziarski, wspaniały człowiek! Nie będzie jej u niego niczego brakowało.

— Czy bogaty?

— Ojciec jego jest bardzo bogaty.

— Czy jest kupcem?

— Nie, posiada okręty. Mieszka o kilka domów stąd. Dworek jego niewielki, ale starczy na dwoje starych ludzi w czasie nieobecności syna. Ma też córkę, wydaną za mąż do Anglii.

— Ileż mieć może stary Hansen? Jak pan sądzisz?

— Pewnie z miljon! Któż wie zresztą?

Pauza.

— Tak... — powiedział Nagel — źle są na tym świecie podzielone bogactwa. Gdybyś pan tak, Grögoardzie, miał częśćkę tego majątku...?

— A broń Boże! Pocóż mi to? Trzeba się zadowolić tem co się ma.

— Tak się to mówi... Ale przychodzi mi coś na myśl... Niewiele panu zostaje wolnego czasu poza roznoszeniem węgla... to rzecz oczywista. A jednak pytałeś pan gospodarza, czy niema na dziś jakiejś roboty.

— To prawda! — rzekł Minuta, potrząsając głową.

— Było to na dole, w kawiarni. Zaniósłszy węgle do kuchni, pytałeś pan wyraźnie o dalszą robotę na dziś.

— Zauważyłeś to pan? Hm... powód był inny. Miałem nadzieję, że zaraz dostanę pieniądze za węgle, ale nie śmiałem prosić tak wprost. Oto cała sprawa. Jesteśmy właśnie w kłopotach i liczyliśmy na tę gotówkę.

— Ileż potrzeba, byście się pozbyli tych kłopotów?

— Niech Bóg broni! — zawołał Minuta w głos. — Nie wspominaj pan już o tem! Wszystko zostało z nadwyżką wyrównane. Szło tylko o sześć koron, a oto siedzę tu z pańskimi dwudziestu koronami w kieszeni! Niech Bóg stokrotnie zapłaci! Winniśmy te sześć koron sklepikarzowi za ziemniaki, owoc i inne drobiazgi i rozbijaliśmy sobie głowy, skąd je wziąć. Teraz już koniec biedy, możemy spać spokojnie, a potem wstać weseli.

Pauza.

— Ano, teraz wypijmy i na dziś zakończmy pogadankę! — powiedział Nagel, wstając. — Za pańskie zdrowie! Mam nadzieję, że się często będziemy spotykali. Przrzeknij mi pan to. Mieszkam tutaj pod numerem siódmym. Dziękuję panu bardzo za wizytę!



Nagel wypowiedział te słowa zupełnie szczerze i uściśnął dłoń Minuty. Sprowadził gościa na dół, aż do bramy, zdjął, jak to raz już uczynił, swą aksamitną czapkę i skłonił się nisko.

Minuta pożegnał go i idąc wstecz ulicą, składał Naglowi niezliczone ukłony. Ale chociaż się wysilał, nie mógł przez cały czas dobyć z siebie słowa.

#### IV.

Następnego ranka ocknął się Nagel, zbudzony przez Sarę, która mu przyniosła dzienniki. Przejrzał je i cisnął jeden po drugim na ziemię. Dwa razy przeczytał telegram, donoszący, że Gladstone był chory z przeziębienia, dwa dni leżał w łóżku, a obecnie wrócił do zdrowia, poczem wybuchnął głośnym śmiechem. Podłożywszy ręce pod głowę, zaczął myśleć, a od czasu do czasu mówił głośno do siebie.

Jest to — dumal — rzecz bardzo niebezpieczna, iść przez las z otwartym scyzorykiem, gdyż można się potknąć, a wówczas ostrze zamyka się, przecinając odrazu obydwie arterje na pulsach. To się właśnie przydarzyło owemu nieszczęsnemu Karlsenowi!... Zresztą, równie niedobrze jest chodzić z flaszeczką trucizny w kieszeni. Można upaść, flaszka się tłucze, odłamki szkła przenikają do ciała, a trucizna dostaje się w krew. Wszędzie czyha więc niebezpieczeństwo. Jedynie pewną jest drogą, którą kroczy taki Gladstone. Idzie sobie rozważny, przezorny, unikając fałszywego kroku, a Opatrzność dopomaga mu i chroni od złego. Przeziębienie minęło szczęśliwie i Gladstone będzie żył w szczęśliwości zupełnej, aż do chwili, kiedy z onej szczęśliwości umrze.

Pastorze Karlsenie, czemuż zanurzyłeś twarz w kałuży? Pozostaje kwestją sporną, czyś chciał ukryć grymas przedśmiertny, czy też kurcz rzucił cię w tę pozycję. Obrąłeś zresztą porę dzienną w samo południe, jak dziecko, bojące się ciemności. Ległeś z pożegnaniem w ręce. Mały, mały Karlsenie!

Czemuż to w lesie dokonałeś swego świetnego pomysłu? Czyż las miał ci coś więcej do powiedzenia, niż pole, gościniec, czy morze? Młodzieniec wędruje lasem i przystaje sobie czasem, la la la la! Mnóstwo wokoło lasów, na przykład wardelskie, wzdłuż drogi ku Gjörikowi. Ach, jakże miło leżeć tam, marzyć, zapomnieć o sobie, gapić się w powietrze, zaglądać do nieba i nadśłuchiwać, jak tam szepcą i plotkują o człowieku. Nieboszczka mama powiada: — Nie, jeśli on tu przyjdzie, to dalibóg idę sobie precz! — i robi z tego kwestję gabinetową. — He... he! — odpowiadam i mówię do siebie: — Cicho, sza... niech cię to nie płoszy... cicho sza! — Mówię tak głośno, że zwracam na siebie uwagę dwu anielic, mianowicie, czcigodnej córki Jaira, oraz Swawy Björnsonówny... — He... he... he!...

Do licha! Czemuż się właściwie śmieję? Czy to zarozumiałość? Dzieciom tylko śmiać się wolno i podlotkom, zresztą nikomu. Śmiech, to pozostałość z czasu małego, wstrętny, bezwstydný głos niedokształconej gardzieli. Gdy mnie łaskocą pod brodę, wydobywa się skądś, z głębi mej istoty. Rzeźnik Hauge, który śmiał się tak głośno, że zwracał uwagę, powiedział raz do mnie: — Kto ma w porządku wszystkie...

Ach, jakże ponętą miał córeczkę! Gdym ją spotkał swego czasu na ulicy, padał właśnie deszcz. Zgubiła pieniądze przeznaczone do kuchni parowej, niosła



w ręku ronderek i płakała. Nieboszczko mamó, wszakże widziałas z nieba, że nie miałem w kieszeni szylinga, by pocieszyć biedne dziecko. Widziałas również pewnie, jak sobie z tego powodu wyrywałem włosy. Nagle przeszła mimo nas muzyka. Piękna diakoniska obróciła ku mnie głowę i rzuciła mi cudne spojrzenie, potem zaś opuściwszy oczy, poszła do domu, osmuciona widać tym darem spojrzenia. W tej samej jednak chwili szarpnął mnie za ramię jakiś brodacze w miękkim kapeluszu pilśniowym. Gdyby nie to, zostałbym przejechany... Ach... tak, jak Bóg miły, zostałbym...

Cicho! Raz... dwa... trzy... jakże powoli bije zegar! Cztery... pięć... sześć... siedem... osiem... Acha! Już ósma! Dziewięć... dziesięć... Już dziesięć! Ano, trzeba wstawać. Gdzież to bił zegar? Chyba nie w kawiarni, na dole? Zresztą to obojętne... całkiem obojętne. Nieżle mi się, co prawda, udał wczorajszy występ w kawiarni. Minuta drżał, przybyłem w sam czas. Niewątpliwie wypiłby był wkońcu piwo wraz z popiołem i zapalkami. I cóż dalej? Czy wolno cię zapytać, ty natrętny żółtodzióbie,... co dalej? Pocóż się właściwie wtrącasz w sprawy cudze? W jakimże to celu przybyłeś do miasta? Czy spowodowała to jakaś katastrofa światowa w guście przeziębienia Gladstona? Ha... ha... ha, niech cię Bóg ma w swej opiece! Powiedz otwarcie i uczciwie, że wracałeś do domu, aż nagle widok tego miasteczka, przystrojonego we flagi, choć nędzne i małe, nappełnił cię taką tajemniczą radością, że mało nie wybuchnąłeś płaczem. Było to dwunastego czerwca, święcono zaręczyny panny Kielland, a w dwa dni później spotkałeś ją samą.

Dlaczegóż atoli onego dnia byłem w tak rozpaczliwym nastroju, żem nie wiedział co czynię? Wspomnienie napełnia mnie, psim iście, wstydem.

— Dobry wieczór pani! — powiedziałem. — Przepraszam, ale jestem tu obcy i nie wiem w którą iść stronę.

Minuta ma rację, czerwieni się zaraz, a bardziej jeszcze, gdy odpowiada.

— Dokądże pan zmierza? — spytała, mierząc mnie oczyma.

Stałem bez czapki, nieruchomy i naraz wpadło mi, by rzec:

— Radbym bardzo dowiedzieć się, jak daleko do miasta. Jak daleko, w ścisłym znaczeniu.

— Jak daleko stąd, nie wiem. Ale najbliższe osiedle, to plebanja, a stamtąd ma pan ćwierć mili drogi.

Zwróciła się, by odejść.

— Stokrotne dzięki! — powiedziałem. — Jeśli atoli plebanja znajduje się poza lasem, a pani tam zdąży, albo dalej, to możebym mógł towarzyszyć. Słońce nie świeci już. Mógłbym nieść parasolkę. Nie będę natrętny, nie odezwę się nawet, jeśli pani chce. Pójdę obok, słuchając świegotu ptaków! Nie... nie, proszę nie odchodzić! Czemuż pani ucieka?

Biegła przed siebie, nie chcąc słuchać, skoczyłem więc za nią, by się usprawiedliwić.

— Niech djabli porwą jasną twarz pani, jeśli nie uczyniła na mnie silnego wrażenia! — zawołałem.

Rzuciła się tak szybko naprzód, żem ją w ciągu dwu minut stracił z oczu. Biegnąc, trzymała w ręce jasny, gruby warkocz. Czegoś podobnego nie przeżyłem dotąd.

Tak się rzecz miała. Nie chciałem jej się narzucać, nic złego nie zamierzałem, szedłbym o zakład, że kocha



owego porucznika i nie miałem żadnych planów na nią. Ale dobrze się stało. Porucznik mnie wyzwie, wyzwą mnie zapewne oba razem, he... he... razem z podsędkiem sądu obwodowego...

Przy tem wszystkiem radbym wiedzieć, czy podsędek da Minucie obiecany surdut? Zaczekamy dzień, zaczekamy, dajmy na to, dwa dni, a jeśli nie dotrzyma, przypomnę mu obietnicę. Punctum. Nagel.

Jest tu pewna biedna kobieta. Spojrzała tak wstydliwie, jakby chciała mnie o coś poprosić, ale nie śmiała. Opętały mnie jej oczy, chociaż ma białe włosy. Cztery razy wybierałem drogę okrężną, by jej nie napotkać. Nie starość to uczyniła ją siwą. Brwi ma straszliwie czarne, okrutnie czarne, a oczy jej płoną. Nosi ciągle niemal skryty pod fartuchem koszyk, a wstydzi się tego. Ile razy ją mijam, widzę, że niesie na plac targowy kilka jaj, które dobywa z koszyka. Sprzedaje te dwa, trzy jajka i wraca do maleńkiego domku nad przystanią, gdzie mieszka. Domek to parterowy i nie bielony nawet. Widziałem ją parę razy przez okno, bo niema firanek, a tylko kilka białych kwiatków w doniczkach. Gdym przechodził, stała pośrodku izby zapatrzona we mnie. Któż wie co to za kobieta... ręce ma tak małe. Mógłbym ci dać jałmużnę, biała kobieto, ale wolę ci pomóc w inny sposób.

Wiem zresztą, czemu oczy twoje mnie tak pociągają, wiedziałem to zaraz od początku. Dziwne to, że młodsza miłość idzie za człowiekiem i jawi się nagle. Nie masz jednak... jej... oblicza, biała kobieto, i starsza od niej jesteś. Ach tak... ona... wyszła za telegrafistę i wyjechała do Kobelvaagu. Trudno... co głowa, to rozum. Nie mogłem czekać na jej miłość, bo nie byłaby mi dana. Trudna rada... Acha! Bije

pół do jedenastej... czy możliwe?... Gdybyś jednak wiedziała chociaż, że przez dwanaście lat myślał o tobie, a nie zapomniałem dotąd... Ha... ha... był to mój błąd własny, nie zaś jej wina. Inni tęsknią przez rok i basta, ja zaś noszę się z tem tak długo...

Wspomogę białą kobietę jałmużną, a także w inny sposób... wszystko zaś uczynię dla jej oczu! Pieniędzy mam w bród... tylko sięgnąć... sześćdziesiąt dwa tysiące koron za posiadłość ziemską, gotówką do ręki. Wystarczy rzucić okiem na stół... tam leżą trzy telegramy, dokumenty ogromnej wartości... Doprawdy, śmiech zbiera! Jestem agronom, kapitalista, nie sprzedaję za pierwszą zaraz ofertą, muszę rzecz rozważyć... tak, tak... I nikt nie zauważył tak grubego żartu, ślepy by namacał. Ludzie, to osły kwadratowe! Można ich wodzić za nos wedle woli.

Naprzykład, tam z kieszeni wygląda flaszka z trucizną, kwasem pruskim. Noszę to przez dziwactwo, nie mając odwagi użyć. Pocóż mi tedy kwas pruski i w jakim go kupilem celu? Humbug... i to tylko humbug... modny, dekadenski humbug, reklama... oszustwo... Pfuj!

Albo weźmy rzecz tak niewinną, jak mój medal ratunkowy. Zasłużyłem nań, jak się to powiada, rzetelnie. Któż nie fuszeruje tu i tam potrochu? Można wreszcie też ratować ludzi. Ale czy to była istotnie zasługa? Osądźcież sami, panowie i panie! U parapetu statku stoi młody człowiek i płacze, tak że mu drgają plecy. Odzywam się doń, on zaś spoziera jak warjat i ucieka do kajuty. Biegnę za nim, a on już w łóżku. Znajduję jego nazwisko w liście podróżnych i dowiaduję się, że jedzie do Hamburga. To było pierwszego wieczoru. Odtąd pilnowałem go, spotykałem



w różnych dziwnych miejscach i patrzyliśmy na siebie. Nieraz widziałem, że płacze, coś go tedy dręczyło strasznie, ciągle też spoglądał w toń obłędnie, jakby go pociągała. Cóż mnie to mogło obchodzić? Prawda? Sami osądźcie, panowie i panie, i wyrażcie swe zdanie otwarcie. W kilka dni potem był lichej wiatr i wysokie fale. W nocy, o drugiej młodzieniec udał się na tylny pomost. Śledziłem go jednak i widziałem twarz jego w żółtych promieniach księżyca. I cóż dalej? Oto obejrzał się wokoło, wyciągnął ręce i skoczył nogami naprzód. Nie mógł jednak stłumić okrzyku. Czy żałował, czy to był strach? Osądźcież, państwo, co byście uczynili na mojem miejscu? Może uszanowalibyście decyzję nieszczęśnika i nie uczynili nic? Ja zaś ryknąłem kapitanowi co się stało i skoczyłem za nim. Z pośpiechu skoczyłem wprost na głowę. Rzucałem się jak szalony, szukając desperata, a jednocześnie słyszałem słowa komendy. Nagle natrafiłem na wyciągnięte ramię, było sztywne, a palce rozwarte. Nogi ruszały się jeszcze trochę. Dobrze! Biorę go na plecy, ale coraz mi ciężiej, a on zesuwa się ciągle. Wkońcu szarpnął mnie, chcąc się wyrwać. Fala przewróciła nas i uderzyła głowami. Ściemniało mi przed oczyma. Zgrzytnąłem zębami i nie puściłem, mimo wszystko chłopaka, trzymając go za kark, aż wreszcie nadpłynęło czółno ratunkowe. Cóżbyście uczynili, czcigodni państwo? Ocaliłem go brutalnie, jak niedźwiedź, i cóż dalej? Sądźcież, nie licząc się ze mną! Weźmy jednak pod rozwagę, że temu biedakowi zależało na tem, by nie wylądować w Hamburgu! Ładna historia... nieprawdaż? Może nie chciał się z kimś spotkać? Ale co medal, to medal, nagroda za czyn chwalebny. Noszę go w kieszeni i nie rzucam przed

świnie. I to osądźcie do djaska... cóż mnie cała historia obchodzi? Obojętne mi wszystko do tego stopnia, że zapomniałem nazwiska nieszczęśnika, chociaż na pewno żyje do dziś dnia. Czemuż to uczynił? Może skutkiem nieszczęśliwej miłości, może istotnie tkwiła w tem kobieta... nie wiem, i jest mi to obojętne... basta!...

O tak... kobiety... kobiety! Weźmy na przykład taką Kamnę, małą Duneczkę, Kamnę! Chroń Boże! Czuła jak gołębiczek, rozpada się z czułości, pełna poświęcenia... a mimo to potrafi wydostać z ciebie ostatniego szylinga, doprowadzić do torby dziadowskiej. Wystarczy jej przekręcić chytrze na bok główkę i szepnąć: — Daj, Simonsen... dajże, drogi Simonsen!... Bóg z tobą, Kammo, byłaś tak oddaną... Niech cię piekło pochłonie... skwitowaliśmy się!...

Muszę już wstawać.

O... trzeba się wystrzegać kobiet tego typu. Synu mój, strzeż się kobiet... powiedział któryś z wielkich poetów... tak rzekł, czy jakoś podobnie... Karlsen był to człowiek słaby, idealista, zbyt słaby w stosunku do swych silnych uczuć i umarł, miał, powiedzmy, za delikatne nerwy, co znowu było wynikiem braku sutego odżywiania i pracy fizycznej na świeżem powietrzu... he, he, he... tak jest... na świeżem powietrzu. — O, gdybyż stał twoja była równie ostrą jak ostatnia odmowa! — Zepsuł sobie doszczętnie opinię tym poetyckim cytatem. Przypuśćmy, że zdążyłbym spotkać Karlsena na jakieś pół godziny przed śmiercią. Dowiedziawszy się, że chce umierać z cytatem w dłoni, rzekłbym mu mniej więcej te słowa: — Spójrz pan i przekonaj się, że mam klepki w porządku. — Otóż przez wzgląd na ród ludzki zależy mi



na tem, byś pan nie brudził swej śmierci cytatem któregoś z wielkich poetów. Wielki poeta, jest to człowiek zgoła bezwstydnym. Inni głupcy mają na dnie duszy kącik ze wstydem... on nie! Jeśli już chcesz, zacytuj wielkiego... geografa, a nie ośmieszysz się. Weźmy n. p.: Czy Wiktor Hugo odczuwał śmieszność? Rozmawiał raz z baronem Leadain. — Kto jest, pańskim zdaniem, pierwszym poetą Francji? — spytał baron. — Drugim jest Alfred de Musset! — odparł Wiktor Hugo z grymasem. He... he... he... Ale może pan nie odczuwasz śmieszności? Wiesz pan, co zrobił Wiktor Hugo w roku 1871? Napisał proklamację do ludów kuli ziemskiej, a w niej zabronił najsurowiej wojskom niemieckim obłężenia i bombardowania Paryża. — Mam tu wnuczęta i rodzinę, nie chcę, by w nie rzucano granaty! — Tak napisał wielki poeta.

Cóż to, u licha, znaczy? Dotąd nie mam trzewików! Gdzie Sara? Już jedenasta, a dotąd mi ich nie przyniosła!

Zacytuje przeto geografa...

Ta Sara ma zresztą śliczną figurkę. Gdy idzie, pośladowki jej ruszają, się jak u sprośnej klaczki. Zachwycająca. Dałbym coś, by się dowiedzieć, czy była już kiedyś zameżną. W każdym razie niebardzo piszczymy, gdy się jej da kuksa w bok, i pewnie zdecydowałyby się na to i owo. Pewnego razu widziałem, czyli nawet przeżyłem, rzec można, scenę małżeńską. Moi państwo, działo się to w niedzielę wieczorem... podkreślam tę okoliczność... w Szwecji, na stacji kolejowej Kungsbacka. Ona miała duże, białe ręce, on nowiuteńki uniform kadecki, był młody i bezwąsy. Ona też była młoda, dziecko niemal, a jechali do Göteborga. Widziałem z poza dziennika, że im przeszkadza moja

obecność. Patrzyli na siebie nieustannie. Dziewczyna miała jasne oczy i nie mogła usiedzieć na miejscu. Przed stacją Kungsbacka gwizdnęła lokomotywa, on ją chwycił za rękę, porozumieli się i gdy pociąg stanął, wyskoczyli co prędzej. Ona pośpieszyła do pewnego domku, do oddziału z napisem: „Dla pań“, on zaś szedł tuż za nią... Wyobraźcież sobie, omylił się i wszedł również do tego samego oddziału. W tej chwili zabrzmiały dzwony wszystkich kościołów... jak podkreśliłem, był to wieczór niedzielny, oni zaś przy dźwiękach tych zabawiali się w najlepsze. Minęło trzy minuty... cztery... pięć... Ich niema. Dzwony biją dalej. Bóg sam raczy wiedzieć, czy się nie spóźni! Nakoniec on otwiera drzwi i wygląda, jest bez czapki, ona tuż za nim wkłada mu czapkę, on się obraca i uśmiecha. Potem on skoczył ze schodów i pobiegł pędem, ona tuż za nim, poprawiając w drodze spódnice, dopadli pociągu i wskoczyli do przedziału, przez nikogo, prócz mnie, nie dostrzeżeni. Oczy dziewczyny były złote, spojrzała na mnie i uśmiechnęła się. Małe jej piersi falowały gwałtownie. W kilka minut potem oboje zasnęli, padli poprostu na siedzenie i znieruchomieli, rozkosznie znużeni.

Cóż wy na to, moi państwo? Skończyłem opowiadanie. Pomijam tę damę w binoklach i męskim kołnierzyku, czyli w niebieskich pończochach, a zwracam się do was dwu, czy trzech z towarzystwa, pełniących czynności codzienne a użyteczne. Przebaczyć, jeśli którąś dotknął. Niechże mi przebaczy, zwłaszcza owa dama w binoklach i niebieskich pończochach. Na Boga... wstaje właśnie... Albo pójdzie w swoją stronę, albo zacznie cytować, a jeśli zacytuje, to poto, by zbić moje zapatrywanie. Powie pewnie tak: —



Hm... ten pan zapatruje się na życie tak ordynarnie jak mało kto, jak to może uczynić jeno mężczyzna. Czy... to... ma być życie? Czy temu panu niewiadomo, co powiedział jeden z pierwszych myślicieli świata: — Życie, to walka z draństwem w własnym sercu i umyśle... tak powiedział...

Życie to walka z draństwem... prawda... prawda zupełna! Panowie i panie. Piotr, pocztyljon norweski, wioził raz pewnego, wielkiego poetę. W drodze, spytał naiwny Piotr: — Bez urazy pańskiej! Co wielmożny pan uważa za poezję? — Wielki poeta zacisnął usta, wydał co sił swą ptasią pierś i wyrzekł: — Poezja, to sąd nad sobą samym, bez żadnych skrupułów! — Tak, rzekł, a Piotr, pocztyljon, zadrżał, trafiony w samo serce.

Jedenasta, a trzewików jeszcze niema. Gdzież, u djaska, moje trzewiki? Ach... czyż warto toczyć o wszystko wojnę z każdym człowiekiem?...

Pewna dama, blada, czarno ubrana, rozkosznie uśmiechnięta, jak najlepiej dla mnie usposobiona, pociągnęła mnie za rękaw, powściągając moją swadę, i rzekła: — Nabierz pan sam takiego rozgłosu, jak tamten wielki poeta, a będziesz miał prawo rezonować.

— Co? — zawołałem. — Ja to mam zrobić, ja, który nie znam żadnego poety, nie mówiłem nigdy z nim, ja, będący agronomem i od młodości żyjący pośród guana, ja, który nie potrafię napisać poematu o parasolce, nie mówiąc już o życiu, śmierci i wiecznym odpoczywaniu?

— Tak... bądźże pan przynajmniej wielkim człowiekiem innego rodzaju! — powiedziała. — Szarpiesz się pan, poniżasz wszystkie wielkości, ale mimo to, przekonasz się pan, że będą istnieli przez całe pańskie życie.

— Łaskawa pani! — odpowiedziałem — chylę pokornie czoło. — O Boże, jakże parafjańsko brzmią słowa pani! Gdybyś pani była mężczyzną, przysięgłbym, że się zaliczasz do lewicy. Nie poniżam wielkości, ale nie sędzę wielkiego człowieka po rozgłosie, jaki posiada. Sędzę go wedle samego siebie, wedle słabych sił mego mózgu i własnych zdolności rozpoznawczych. Sędzę go, rzecz można, wedle smaku, jaki mi zostawia na języku. Nie jest to wcale zuchwalstwo, ale wynik subiektywnej logiki własnej krwi. Nie idzie tu, o wywołanie ruchu w gminie Hoeivaag, lub innej jakiejś, nie idzie również o ruchawkę przy pomocy odezwy, wywołaną pomiędzy jurystami, nauczycielkami, dziennikarzami, czy galilejskimi rybakami. Nie idzie też o broszurę o Napoleonie Małym. Idzie o moc oddziaływania, o potęgę wychowawczą, skierowaną ku wybrancom, ludziom wyższym, ludziom-panom, wielkim, jak Kajfasz, Piłat i Cezar. Cóżby mi znaczyło posiadać wpływ na hołotę, gdybym sam ulegać musiał krzyżowi? Można zebrać taką masę hołoty, że pazurami przywłaszczysz sobie część władzy, można hołocie tej dać nóż rzeźnicki do ręki i pędząc przed sobą, niby osła, kazać jej mordować, kłuć i głosować, a w ten sposób przy wyborach osiągnąć przewagę. Ale hołota nie może odnieść zwycięstwa w znaczeniu duchowem, nie jest w stanie posunąć świata, bodaj o krok naprzód. Wielcy ludzie, to doskonały temat dla konwersacji, ale gdy mowa o wielkich ludziach, to dobrą chwilę muszą medytować nasi dostojnicy, nasi panowie, jadący konno, przywódcy świata itd., zanim pojmą o co właściwie idzie. Wielki człowiek zostaje zawsze na tylnym planie i stanowi przedmiot podziwu dla bez-



wartościowej większości, dla jurysty, dla nauczycielki ludowej, czy też dziennikarza, lub cesarza Brazylii.

— Ano — upiera się dama z ironją, mimo, że przewodniczący puka w stół, prosząc o spokój — ano, jeśli pan nie wszystkich wielkich ludzi ściągasz na ziemię, to może raczysz wymienić kilku bodaj, którzy znaleźli łaskę w oczach pańskich! Radabym usłyszeć...

Odpowiadam:

— I owszem, mógłbym to uczynić, gdybym się nie bał, że zostanę brutalnie wzięty za słowo. Wymienię jednego, dwu, czy dziesięciu, a pani pomyśli, że prócz nich nie znam nikogo. Zresztą cóż z tego wyniknie? Gdybym dał pani do wyboru Tolstoja, Chrystusa i Imanuela Kanta, musiałyby się pani dobrze namozolić i powiedziałyby pewnie, że wszyscy w swoim rodzaju byli wielcy. Taka opinia godziłaby się doskonale z zapatrywaniem całej prasy liberalnej i postępowej...

— Któż jest tedy, wedle pana, największy.

— Sądzę, łaskawa pani, że nie ten jest największy, kto osiągnął największy dochód brutto, choćby narobił najwięcej hałasu w świecie. Nie, głos krwi mojej powiada, że ten jest największy, kto nadał istnieniu najwięcej wartości zasadniczych, najwięcej pozytywnych korzyści. Wielki terrorysta to człowiek największy, jego dymentję mierzy siła dźwigni, jaką podważa kulę ziemską.

— A więc z trzech wymienionych, niezawodnie Chrystus, który...

— Tak, tak, Chrystus! — rzekłem śpiesznie. — Zupełna racja, łaskawa pani. Cieszę się, że zgodni co do tego jesteśmy... Zresztą niewiele przykładam wagi do zdolności osiągania dochodu, do tak zwanej zdolności głoszenia nowych prawd, jest to bowiem jeno talent czysto formalny, zręczne zużywanie od-

powiednich słów i basta. Czemże jest taki zawodowy głosiciel? Jest to coś jak pośrednik, agent, handlujący towarem. Im więcej dostanie zamówień, tem większą osiągnie sławę światową! He... he... tak jest. Im głośniej krzyczy, tem lepiej prosperuje jego handel. Jakaż jednak korzyść stąd, że się sąsiadowi memu, Oli Nordistuenowi objawi zapatrywania Fausta na istotę bytu? Czy to zmieni może poglądy przyszłego stulecia?

— Cóżby się jednak stało z Olą Nordistuenem, gdyby...

— Niech djabli porwą Olę Nordistueną! — prze-  
rwałem jej. — Niema on nic więcej do roboty, jak łązić  
po świecie, czekając śmierci, im prędzej, tem lepiej.  
Ola Nordistuen to kompost, to nawóz, po którym  
przejdą podkowy napoleońskiego rumaka... wiedzże  
pani, że tem jest jeno Nordistuen! Nordistuen,... pal  
mnie sześć... nie jest nawet początkiem... coś  
dopiero mówić o końcu... nie jest to nawet przecinek  
w wielkiej księdze, a ledwo kleks na papierze. Oto,  
czem jest Ola Nordistuen!...

— Cicho... sza! Na miłość boską, cicho! — rzekła  
przerażona dama, spoglądając na przewodniczącego,  
pewna, że mnie każe wyrzucić.

— Zgoda! — odparłem. — He... he... he... nie po-  
wiem już ni słowa! — Jednocześnie zauważyłem, że  
ma piękne usta, dodałem przeto: — Raczy pani prze-  
baczyć, żem ją nudził długą gadaniną. Dziękuję uprzej-  
mie za dobre chęci i cierpliwość. Usta pani są w uśmie-  
chu tak przedziwnie piękne... Żegnam panią.

Zarumieniła się na te słowa po uszy i zaprosiła mnie  
do siebie... poprostu do siebie, do domu... he, he,  
he... Mieszka, powiedziała, przy tej, a tej ulicy, pod  
tym, a tym numerem, dodając, że pragnie dłużej po-



gwarzyć ze mną o różnych rzeczach, bo ma odmienne poglądy i dużo zarzutów w zanadrzu. Jeśli przyjdę jutro wieczór, będzie sama. Spytała czy przyjdę. Dziękuję i... do widzenia.

Miała zresztą tylko zamiar pokazać mi nową, miękką kapę na łóżko, haftowaną w deseń ludowy, tkaninę, pochodzącą z Hollingtału.

Jakaż piękna pogoda...

Wyskoczył z łóżka, rozsunał firanki i wyjrzał. Plac targowy tonął w świetle słonecznem, dzień był przecudny. Zadzwoił. Niedbalstwo Sary odnośnie do trzewików chciał wykorzystać, by się do niej zbliżyć potrosze. Zobaczymy, pomyślał, z jakiej gliny ulepione są te drontheimskie dziewczęta o zmysłowych oczach. Pewnie i to humbug tylko.

Objął ją w pól.

— Puśćże mnie pan! — krzyknęła ze złością i odepchnęła go od siebie.

Wówczas spytał chłodno:

— Czemuż to wcześniej nie dostałem trzewików?

— Przepraszam! — odpowiedziała. — Dzisiaj u nas pranie i mamy mnóstwo roboty.

Do południa siedział w domu, potem zaś udał się na cmentarz, na pogrzeb Karlsena. Jak zawsze, miał na sobie żółte ubranie.

## V.

Gdy Nagel przyszedł na cmentarz, nie było jeszcze nikogo. Podeszedł do grobu, spojrzał w głąb i zobaczył dwa białe kwiaty. Któż je tam rzucił i z jakim zamiarem? Wspomniał, że te białe kwiaty widział już

gdzieś przedtem. Nagle wpadło mu, że nie ogolił się dotąd. Spojrzał na zegarek, pomyślał, i wrócił szybko do miasta. Dotarłszy do rynku spostrzegł, że zbliża się doń podsędek. Zwrócił się tedy wprost ku niemu. Patrzyli na siebie, nic nie mówiąc, ani nie wymieniając ukłonów. Nagel wszedł po chwili do golarza. Właśnie zaczęły dzwony bić na pogrzeb.

Nie spiesząc się wcale, chodził w milczeniu od ściany do ściany, oglądał obrazy z wielką dokładnością i gdy wreszcie przyszła nań kolej, siadł w krześle.

Gdy był gotów i wyszedł, zauważył, że podsędek zawrócił i stoi, czekając jakby na coś. W lewej ręce trzymał laskę. Spostrzegłszy Nagla, przełożył ją do prawej i zaczął nią machać. Obaj zbliżali się teraz powoli do siebie. Naglowi przyszło na myśl, że za pierwszym spotkaniem podsędek nie miał laski. Ta laska nie jest nowa, mruknął do siebie, nie kupił jej, ale wziął od kogoś. To trzcina hiszpańska.

Gdy byli blisko siebie, podsędek stanął. Nagel uczynił to samo. Stali tak przed sobą. Nagel zesunął czapkę na czoło, jakby się chciał poskrobać w kark, i cofnął ją zpowrotem w położenie właściwe, podsędek zaś oparł się silnie na lasce. Trwali w bezruchu przez kilka sekund, potem zaś podsędek wyprostował się, obrócił plecami do Nagla i odszedł. Za moment Nagel zobaczył, jak znika na rogu, w lokalu fryzjera.

Ta niema scena rozegrała się w obecności znacznej liczby widzów. Pośród innych patrzył na nią domokrażca, roznoszący losy. Nieco dalej siedział przy kramiku handlarz figurek gipsowych i widział wszystko. W tym handlarzu poznał Nagel jednego z gości kawiarni, którzy byli świadkami zajścia i wzięli go w obronę.



Proboszcz przemawiał właśnie, gdy po raz drugi Nagel znalazł się na cmentarzu. Czarno tu było od ludzi. Podeszedł do samego grobu, potem zaś usiadł z boku na wielkiej, nowej płycie marmurowej z napisem: Wilhelmina Meek, ur. 20. maja 1873, zm. 16. lutego 1891. Nic poza tem. Płyta była całkiem nowa, a ziemia wokoło świeżo ubita.

Skinął na wyrostka.

— Czy widzisz tego mężczyznę w brunatnym kaftanie? — spytał.

— Tego, z czapką w ręce? To Minuta.

— Idźże i poproś go tu, do mnie.

Chłopak poszedł. Gdy Minuta zbliżył się doń, Nagel wstał, podał mu rękę i rzekł:

— Dzień dobry, drogi przyjacielu. Cieszę się, że pana widzę. Czyś pan dostał nowy kaftan?

— Kaftan? Nie jeszcze. Ale zapewne go otrzymam — rzekł Minuta. — Dziękuję panu za wczoraj... dziękuję za wszystko! Ach... dziś chowamy biednego Karlsena... W imię boże musimy się pogodzić z tym smutnym faktem.

Siedli obaj na płycie, rozmawiając, a Nagel dobył ołówka i coś napisał na marmurze.

— Kto tutaj leży? — spytał.

— Wilhelmina Meek. Zwaliśmy ją pokrótce Miną Meek. Była niemal dzieckiem jeszcze, nie skończyła nawet, zda mi się dwudziestu lat.

— Nie, zmarła przed ośmnastym rokiem życia, jak świadczy napis. Czy... i ona... była również tak dobra?

— Tak pan to dziwnie mówi... z jakiejże przyczyny?

— Zauważyłem, że pan posiada piękną zaletę mówienia dobrze o wszystkich.

— Znając Minę Meek, uczyniłbyś pan to samo. Była to wyjątkowo dobra dusza. Jeśli ktoś z ludzi staje się aniołem boskim po śmierci, to Mina jest nim przede wszystkim.

— Czy była zaręczona?

— Zaręczona? Nie wiem nic o tem. Nie... pewnie nie. Modliła się ustawicznie i rozmawiała często z Bogiem głośno, na ulicy, tak że ludzie stawali zdziwieni. Wszyscy jednak kochali bardzo Minę.

Nagel schował ołówek. Na płycie znalazł się teraz wiersz jakiś, ale wyglądał brzydko wśród białej płaszczyzny.

Minuta powiedział:

— Wzbudza pan ogólne zainteresowanie. Przez chwilę słuchałem mowy pogrzebowej, ale zauważyłem, że co najmniej połowa zgromadzonych szepce o panu.

— O mnie?

— Tak. Wszyscy zachodzą w głowę, kto pan właściwie jesteś. Proszę, spójrz pan tylko.

— Cóż to za dama z wielkiem, czarnem piórem na kapeluszu?

— Z parasolką o białej rączce? To Fryderyka Andersen, panna Fryderyka, o której już wspomniałem. Ta zaś, co stoi obok i patrzy właśnie na nas, to córka naczelnika policji, nazywa się panna Gudrun Olsen. Znam wszystkie. Dagny Kielland jest tu także. Ma czarną suknię, w której jej bardzo do twarzy... widział ją pan? Tak, dziś wszyscy zresztą są czarno ubrani, jak przystało. Ten jegomość w brunatnej narzutce wiosennej i okularach, to doktor Stenersen. Nie jest to lekarz powiatu, ale tylko miejscowy lekarz i ożenił się przed rokiem dopiero. Żona jego stoi opodal... to ta niska dama w płaszczu o jedwabnym rąbku... jest trochę



chorowita i musi być zawsze ciepło ubrana. O... właśnie nadchodzi podsędek...

Nagel spytał:

— Czy może mi pan pokazać narzeczonego panny Kielland?

— Porucznika Hansena? Nie. Niema go tu, wyruszył w podróż morską przed kilku jeszcze dniami, zaraz po zaręczynach.

Po chwili milczenia, rzekł Nagel:

— Na dnie grobu leżały dwa białe kwiaty... czy wiesz pan skąd się tam wzięły?

— Wiem... — odparł Minuta. — Czy pan pyta wprost mnie? Wstyd, doprawdy, opowiadać o tem. Pozwolonoby mi pewnie przymocować je do trumny, szkoda, że je tak poprostu rzuciłem. Ale jakże dawać dwa tylko kwiatki? To też wstałem dziś, zaraz po trzeciej, to znaczy jeszcze w nocy, zszedłem aż na sam spód grobu, położyłem je jak należy i powiedziałem dwa razy głośno: — Żegnaj cię! — Uczyniło to na mnie takie wrażenie, że musiałem iść do lasu i co chwila przyciskać z bólu ręce do oczu. Dziwne to rozłączać się z kimś na zawsze, a chociaż Jens Karlsen stał pod każdym względem wyżej ode mnie, to jednak był mym serdecznym przyjacielem.

— Pan dałeś więc te kwiatki?

— Tak, ja. Ale, świadczyć się Bogiem, nie czuję żadnej pychy. O takiej bagatelce mówić nawet nie warto. Kupiłem je, wyszedłszy wczoraj od pana, bo stryj podarował mi pół korony z pańskich pieniędzy. Był tak uszczęśliwiony, że mało mnie nie przewrócił. Przyjdzie pewnie sam podziękować panu... przyjdzie niezawodnie. Dostawszy pół korony, pomyślałem, że

nie mam dotąd kwiatów dla zmarłego, udałem się przeto na wybrzeże, do portu.

— Na wybrzeże?

— Tak. Do pewnej kobiety, która tam mieszka.

— W małym, parterowym domku?

— Tak.

— Kobieta owa ma białe włosy?

— Tak. Całkiem białe! Widziałeś ją pan? To córka kapitana statku, ale bardzo biedna. Nie chciała wziąć pieniędzy, więc położyłem pół korony na stołku, chociaż się wzbraniała i mówiła: nie i nie! Jest bardzo wstydliva i to jest przyczyną mnóstwa kłopotów i trosk.

— Jak się nazywa... wiesz pan?

— Marta Gude.

— Marta Gude! — powtórzył Nagel, dobył notesu i zapisał nazwisko.

— Czy była zamężną? Czy jest wdową?

— Nie. Długo podróżowała z ojcem, gdy był jeszcze w służbie, zaś po jego śmierci, tu zamieszkała.

— Czyż nie ma krewnych?

— Nie wiem. Pewnie nie.

— Z czegoż żyje?

— Bóg to raczy wiedzieć... pewnie dostaje zapomogę z gminnych funduszków dobroczynności.

— Słuchajże pan! Byłeś u niej. Jakże tam wygląda?

— Jakże ma wyglądać w niskiej, ubogiej stancyjce? Jest tam łóżko, stół, dwa stołki... nie, trzy zdaje się, bo przy łóżku stoi jeszcze jeden. Jest to właściwie krzesło, pokryte pluszem, a stoi oparte o ścianę, gdyż inaczej przewróciłoby się. Jest całkiem rozklekotane ze starości. Zresztą nie zauważyłem niczego więcej.

— Niczego niema? Nawet zegara, czy starego obrazu na ścianie? Niema naprawdę nic?



Nie. Czemuż pan pyta?

— Jakże wygląda to stare krzesło rozklekotane, podścianą? Czy bardzo stare? Czemu stoi przy łóżku? Czy można na niem siedzieć? Czy posiada wysokie oparcie?

— Tak, ma wysokie oparcie, zdaje mi się przynajmniej, nie pamiętam dobrze.

U grobu zaczęto śpiewać. Rzucono trzy łopaty ziemi, a gdy śpiew ścichł, zapadło głębokie milczenie. Po chwili, zebrani jęli rozpraszać się na wszystkie strony. Większość zdążyła ku bramie głównej, reszta została, rozmawiając grupkami. Kilku mężczyzn i dam skierowało się drogą, wiodącą obok miejsca, gdzie siedzieli Nagel i Minuta. Byli to młodzi ludzie i młode kobiety, i one to zwłaszcza spoglądały na siedzących ze zdumieniem niemałym. Dagny Kielland, mijając ich, zarumieniła się bardzo i szła, patrząc wprost przed siebie. Także podsędek nie podniósł oczu od ziemi, szedł, rozmawiając półgłosem z jedną z dam.

Doktór Stenersen przystanął i skinął na Minutę, który zaraz wstał.

Nagel został sam.

— Poproście tego pana... — usłyszał słowa doktora, potem zaś nie mógł chwycić o co idzie. Za chwilę jednak wymieniono głośno jego nazwisko, wstał tedy i skłonił się nisko.

Doktór przeprosił go i oświadczył, że ma przykre zlecenie od towarzyszącej mu damy, panny Meek. Idzie o to, by był łaskaw ostrożnie obchodzić się z tą właśnie płytą grobową. Świeżo ją dopiero położono, fundament jest ledwo co ukończony, zaś grunt pod nim miękki, przeto skutkiem nacisku wszystko mogłoby się zapaść. Dodał, że prosi o to siostra zmarłej.

Nagel wyraził głębokie ubolewanie i przeprosił gorąco za swą bezmyślną nieuwagę, oraz zapewnił, że rozumie obawę damy o nagrobek. W zakończeniu podziękował doktorowi za zwrócenie uwagi.

Rozmawiając o tem szli zwolna, przy bramie pożegnał ich Minuta, a Nagel został sam z doktorem. Dopiero teraz przedstawili się sobie wzajem.

Doktór spytał:

— Zabawisz pan tutaj dłuższy czas?

— Tak jest! — odparł Nagel. — Moda nakazuje spędzać lato na wsi i odprawiać wakacje w celu wzmocnienia się, by w zimie móc jąć się ostro pracy... Wcale ładne to miasteczko...

— Skąd pan rodem? Nie mogę jakoś zorjentować się w dialekcie pańskim.

— Pochodzę z Finnmarken, jestem Kwaenem, ale przebywałem w różnych stronach, raz tu, raz tam...

— Przybywasz pan z zagranicy?

— Z Helsingforsu tylko.

Rozmawiali chwilę o rzeczach postronnych, potem jednak przeszli do innych kwestyj, do wyborów, nieurodzaju w Rosji, literatury i wreszcie zajęli się zmarłym Karlsenem.

— Czy, zdaniem pańskim, pochowaliśmy dziś samobójcę? — spytał Nagel.

Doktór wzbraniał się wydać sądu, nie chciał rozstrzygać. Twierdził, że to nie jego sprawa, przeto mieszać się w nią nie chce, a plotki puszcza mimo uszu. Zresztą, czemużby to nie miało być samobójstwem? — Pal lichu wszystkich teologów! — zawołał skończywszy.

— Dlaczegoż to?

— Dlaczego? Bo rolę swą skończyli, a nasze stulecie ich nie potrzebuje. Ludzie zaczęli myśleć samoistnie, a wiara zanika coraz to bardziej.



To lewicowiec, pomyślał Nagel i zauważył, że niewielka to korzyść dla ludzkości, jeśli się zniweczy wszystkie symbole i całą poezję. Zresztą kwestja jeszcze wielka, czy stulecie obecne nie potrzebuje teologów, bo nie jest zgoła rzeczą udowodnioną, by wiara miała zanikać.

— To prawda — przyznał doktor — trwa ona jeszcze, chociaż przejawia się coraz słabiej, w sferach niższych ludu, ale u ludzi oświeconych zanika bardzo szybko — zresztą, dajmy temu spokój! — urwał nagle. — Stoimy na przeciwległych biegunach! — oświadczył wkońcu, że jest wolnomysłicielem, słyszał wszystkie zarzuty tysiące razy, ale nie przekonało go to i przez całych dwadzieścia lat został tym samym człowiekiem. Jako lekarz wydobywał z ludzi tak zwaną „duszę“, całemi łyżkami. Nie... nie, wolnym się czuł od wszelakiego zabobonu. — Cóż pan powie o wyborach? — spytał, by zmienić temat.

— Spodziewam się, że wszystko pójdzie dobrze! — odparł Nagel z uśmiechem.

— I ja także! — zawołał doktor. — Hańbą byłoby, gdyby gabinet nie uzyskał większości dla tak nawskroś demokratycznego programu. Jestem lewicowcem i radykałem, od czasu władania rozumem. Obawiam się o losy okręgu huskerudskiego! Co do okręgu Smoalenene, niema żadnej nadziei. Cała rzecz w tem, — dodał po chwili — że posiadamy za mało pieniędzy na wybory! Pan i inni, posiadający zapas gotówki, powinniście nam pomóc teraz właśnie. Idzie o dobro kraju!

— Czyż ja posiadam aż tyle pieniędzy? — zdziwił się Nagel. — O, tak nie jest wcale.

— Hm... nie jesteś pan miljonerem, ale ktoś mówił, że z pana złoty człowiek, że posiadasz wieś, wartości sześćdziesięciu dwu tysięcy koron.

— He... he... nigdy nic takiego nie posiadał. W tych dniach otrzymałem co prawda niewielki spadek po matce w wysokości kilku tysięcy, ale na tem koniec. Owa wieść, to jakaś mistyfikacja...

Doszli właśnie do domu doktora. Był to żółto pomalowany, jednopiętrowy budynek z werandą. Ale farba poodpadała, rynny zwisały w strzępach, a firanki w oknach nie były wcale czyste. Nagła odrzucił zaniebdany wygląd domu i chciał zawrócić, ale doktor powiedział:

— Może pan wstąpi? Nie! Więc innym razem, bardzo proszę. Oboje z żoną będziemy radzi. Chociaż dobrzeby było gdybyś pan wstąpił i zapoznał się z moją żoną.

— Małżonka pańska była na pogrzebie i pewnie jeszcze nie wróciła.

— To prawda. Poszła ze znajomymi. No, więc tedy zechciejże pan zajrzeć do nas innym razem, przechodząc tędy.

Nagel udał się do hotelu, ale w samym progu przyszedł mu pomysł. Strzepnął palcami, zaśmiał się i rzekł głośno:

— Radbym wiedzieć, czy wiersz jest tam jeszcze!

Poszedł szybko na cmentarz i stanął u grobowca Miny Meek. Nie było nikogo. Wiersz atoli został usunięty. Któż to mógł zrobić? Nie zostało ni jednej litery.

## VI.

Nazajutrz rano ogarnął Nagla nastrój subtelnej radości. Naszło go to, gdy jeszcze leżał w łóżku. Doznawał wrażenia, że powała pokoju uniosła się wysoko, w górę, aż pod sklepienie niebios. Czuł łagodny,



miły powiew, jakby leżał w świeżej trawie. Muchy brzęczały. Był ciepły ranek letni.

Ubrał się prędko, wyszedł bez śniadania i zaczął włóczyć się po mieście. Była jedenasta.

Z każdego domu dolatywały dźwięki fortepianu, wszędzie grano co innego, przez otwarte okna płynęły najróżniejsze akordy, a zdenerwowany pies odpowiadał głośnem, przeciągłym wyciem. Przepojony weselem Nagel zanucił coś bezwiednie zcicha, a mijając jakiegoś starca, wcisnął mu w dłoń szylinga.

Zbliżył się do wielkiego, białego domu. W tej chwili otwarto na pierwszym piętrze okno i wąska, biała dłoń zatknęła haczyk. Firanka poruszyła się, podczas gdy dłoń spoczywała jeszcze na haczyku, a Nagel odczuł, że ktoś stoi za firanką i spogląda nań. Stał, wbił oczy w firankę i dłużej, niż minutę trwał tak na stanowisku. Ale nie pokazał się nikt. Nad drzwiami był szyld: — Konsulat duński — F. M. Andersen.

Nagel chciał już iść, ale obróciwszy się raz jeszcze, spostrzegł, że panna Fryderyka wychyla pociągłą swą, wytworną twarzyczkę i patrzy nań zdziwiona. Stał, spojrzenia ich skrzyżowały się, a dziewczynę oblał rumieniec. Jakby naprzekór, podciągnęła trochę rękawów i oparła się o deskę okienną łokciami. Tak trwali oboje długo, bez ruchu i wkońcu widząc, że niema rady, musiał Nagel iść dalej. Jednocześnie zjawilo mu się w głowie dziwne pytanie. Czy młoda dama klęczała u okna? W takim razie, pokoje w domu konsula są bardzo niskie, bo okno nie przekracza wysokością sześciu stóp, a zaczyna się najwyżej półtory stopy pod dachem. Sam się roześmiał z tego dziwaczного pytania. Cóż go, u licha, obchodziło mieszkanie konsula?

Powędrował dalej.

W porcie wrzała praca. Przebiegali robotnicy ze śpichrzów, urzędnicy celni i marynarze, wszyscy swojemi sprawami zajęci, jęczały bloki, a dwa statki odrazu dały sygnał odjazdu. Morze było całkiem gładkie, a słońce czyniło wodę jakby złotą, jednolitą płytą z wtopionymi w nią okrętami i łodziami. Z olbrzymiego trójmasztowca dolatywały dźwięki nędznej katarynki, a gdy łoskot łańcuchów i gwizd syren cichnął, słychać było smutną, drżącą, żałosliwą pieśń zrezygnowanej dziewczycy. Na pokładzie wyprawiano żarciki z katarynką i tańczono polkę, przy wzruszających tonach pieśni.

Nagel spostrzegł małą dziewczynkę, przyciskającą do piersi kota. Kot wisiał cierpliwie bez ruchu, a tylne łapy jego dotykały niemal ziemi. Nagel pogładził twarzyczkę dziecka i spytał:

— Czy to twój kotek?

— Tak! — odrzekła — dwa, cztery, sześć, siedem...

— Umiesz, widzę rachować?

— Tak! Siedem, osiem, jedenaście, dwa, cztery, sześć, siedem...

Poszedł dalej. Spojrzawszy w kierunku plebanji, zobaczył zlatującego pionowo z powietrza, jakby pijanego światłem, białego gołębia. Lśniący, jak srebrna strzała, znikł w dali, pośród koron drzew. Gdzieś padł strzał bezgłośny niemal i z lasu, po drugiej stronie zatoki uniósł się kłęb sinawego dymu. Nagel dotarł do ostatniego portowego pomostu i pospacerowawszy po opustoszałym wybrzeżu, ruszył bez namysłu pod górę, do lasu. Szedł, dobre pół godziny, zanurzając się weń coraz to bardziej i stanął przy odgałęzieniu wąskiej ścieżki. Cisza panowała, ni ptak się nie ozwał, ni chmury nie było na niebie. Zboczył nieco z drogi i wyszukawszy suche miejsce, legł



na grzbiecie. Po prawej stronie miał plebanję, po lewej bezmiar błękitnego nieba.

Dobrzeby było, włóczyć się tak od słońca do słońca i chłodzić czoło wianiem ogonów komet, myślał. Jakżeż małą jest ziemia i znikomy człowiek! Cóż to za Norwegja, z dwu miljonami górali i bankiem hipotecznym dla utrzymania życia! Czyż warto być człowiekiem, wzamian za taką nicość? Parę nędznych lat okupionych pracą w pocie czoła, a potem... mimo wszystko... trzeba ginąć! Chwycił się za głowę. Możeby wziąć rozbrat z tym światem... Czyż się kiedy na to zdobędzie? Tak... Bóg świadkiem... nie cofnie się. W tej chwili zachwycony był do tego stopnia tym tak prostym sposobem wyjścia, że mu łzy napłynęły do oczu i dyszał ciężko. Kołysał się już na morzu niebios, łowił ryby srebrną wędką i śpiewał. Łódź jego była z wonnego zrobiona drzewa, wiosła połyskiwały, jak białe skrzydła, żagiel zaś miał kształt półksiężyca, jedwabny był i błękitny...

Drżał z radości, oczarowany, półprzytomny i krył się formalnie w jaskrawą poświatę. Zatopiony był w ciszy, nic mu nie przeszkadzało, a jeno wysoko gdzieś szemrał miękki ton nieogarniętej myśli maszyny świata, której koło obracał sam Bóg. Ni liść, ni igła sosny nie poruszała się, a Nagel z wielkiego ukontentowania skulił się i podciągnął pod siebie kolana. Coś nań wołało, on zaś odpowiadał potakująco. Po chwili uniósł się na łokciach i spojrział wokoło. Nie było nikogo, a jednak słyszał najwyraźniej wołanie. Nie myślał nad tem, było to snadź przywidzenie, a nie chciał mącić sobie spokoju. Dziwny go ogarnął nastrój ukoju duchowego. Każdy nerw czuwał, muzyką płynęła mu krew, czuł się pokrewnym całej naturze, słońcu,

górom; drzewa, kopce ziemi, dźbła traw było to wszystko włączone w jego osobowość. Duszę miał wielką, brzmiaącą, niby organy, a już chyba nie mógł zapomnieć nigdy owego falowania muzyki w krwi własnej.

Leżał długo, sycąc się samotnością. Nagle usłyszał przed sobą, na ścieżce kroki, realne, prawdziwe kroki. Uniósł głowę i zobaczył idącego z miasta chłopą. Niósł on pod pachą długi bochen chleba i wiódł za sobą, na postronku krowę. Ocierał ciągle pot z czoła, z powodu gorąca miał tylko koszulę, ale gruby, czerwony, wełniany szal otulał mu szyję. Nagel obserwował chłopą. Oto on właśnie, góral, Norweg, ... he... he... he... tuziemiec z chlebem pod pachą i krową, tuż za piętami! Cóż za widok! Niechże cię Bóg... ty przezacny wikingu norweski! Czemuż nie uchyłisz szala, by wszy mogły odsapnąć trochę? Nie mógłbyś żyć, zażywszy świeżego powietrza i zmarłbyś z tego. Gazety, w numerach specjalnych, opłakiwałyby twój zgon przedwczesny. Celem zapobieżenia wypadkom tego rodzaju, liberalny poseł stortingu Vetle Vetlesen przeprowadziłby uchwałę starannej ochrony robactwa narodowego.

Przez umysł Nagla przesuwala się teraz jedna po drugiej złośliwa uwaga. Wstał wzburzony, zły i ruszył ku domowi. Tak... tak... miał zawsze rację... wszędzie tylko wszy, zgniły ser i katechizm luterński. Ludzie, to obywatele, mieszkający w dwupiętrowych chałupach, którzy jedzą i piją tyle by nie umrzeć z głodu, uprzyjemniają sobie życie wódką i polityką, a zajmują się przez całe życie handlowaniem szarem mydłem, mosiężnymi grzebieniami i rybą. Nocą zaś, kiedy grzmi, leżą w łózkach, drżą i czytają Jana Arendta. Ach, dajże nam Boże jakiś wyjątek co się zowie, jeśli to możliwe! Ześlij nam n. p. jakiś dorosły występpek, jakąś wybitną



zbrodnię, czy grzech! Wszystko, byle nie owe śmieszne, drobne *a b c* grzeszki! Pożadam wybryku, od którego włosy stają na głowie, wyszukanego wszeteczeństwa, grzechu królewskiego, przepojonego dziką wspaniałością piekieł... Ach, jakież wszystko drobnostkowe! — Cóż pan sądzisz o wyborach? O, mam najwyższy szacunek dla obwołu huskerudzkiego...

Gdy dotarł przez pomosty portowe z powrotem do śpichrzów i otoczyła go ruchliwa krzątanka, humor mu się poprawił, więc poweselał i zaczął znowu nucić. W taką pogodę trudno się srożyć, trudno płakać w lśniący blaskami dzień czerwcowy. Mieścina, oblana słońcem, wyglądała jak w bajce.

Przekraczając bramę hotelu, zapomniał goryczy, w sercu nie miał już gniewu, a jeno myślał o majakowej łodzi z wonnego drzewa, o jasno błękitnym żaglu, w kształcie półksiężyca.

— — — — —  
Przez cały dzień trwał ten nastrój. Pod wieczór wyszedł znowu, udał się nad morze i obserwując tysiące drobnostek, odczuwał zachwyt nieopisany. Słońce się zniżało, brutalne światło łagodniało, kładąc się cicho na wodę. Było coraz ciszej, z okrętów jeno dolatywał gwar. Zobaczył flagi w porcie, a także z wielu domów powiewały chorągwie. Niebawem ustała praca w magazynach.

Nie zastanawiając się nad tem ruszył w las, włóczył się po nim, dotarł aż do zabudowań plebanji, zajrzał w podwórze, wrócił do lasu i usiadł w najciemniejszym zakątku na kamieniu. Głowę złożył na jednej ręce, drugą bębnił po kolanie. Siedział tak długo, z godzinę może, a gdy wstał, by wracać, słońce już zaszło. Miasto zaczęło tulić się w mrok.

Spotkała go wielka niespodzianka. Wyszedłszy z lasu, ujrzał wszędzie po górach mnóstwo płonących ognisk. Błyskały niby małe słońca, a było ich ze dwadzieścia. Po wodzie krążyły liczne łodzie, a z pokładów świeciły czerwono i zielono palone ciągle bengalskie świece. Na pokładzie jednej z łodzi śpiewał kwartet i wystrzelały stąd wysoko w powietrze rakiety. Kto żył, krzątał się, a na wybrzeżu portowem gęsto było od ludzi.

Nagel krzyknął zdziwiony, zwrócił się do spotkanego mężczyzny i spytał, co znaczą te ognie i flagi. Mężczyzna spojrzał nań, splunął, spojrzał znowu i powiedział, że dziś jest przecież dwudziesty trzeci czerwca, a więc obchodzi się noc świętojańska. Tak, noc świętojańska... sobótki — prawda! Nie było pomyłki i zgadzało się wszystko z datą. Nagel zatarł ręce i poszedł także na wybrzeże, powtarzając sobie raz po raz, że mu się udał dzień dzisiejszy.

Zdała już dostrzegł krwisto-czerwoną parasolkę Dagny Kielland w grupie dam i panów, a zobaczywszy również i doktora Stenersena, nie namyślając się długo, podszedł doń, skłonił się, podał mu rękę i stał przez czas dłuższy z obnażoną głową. Doktor przedstawił go wszystkim, pani Stenersen podała mu rękę, a on usiadł obok niej. Była blada i miała szarą, chorowitą cerę. Ale zdawała się młodą, ledwo dwudziestoletnią kobietą. Była ciepło ubrana.

Nagel włożył czapkę i rzekł, zwracając się do wszystkich:

— Proszę przebaczyć, że się narzucam państwu i przybywam bez zaproszenia...

— Ależ drogi panie, bardzo nam miło! — przerwała uprzejmie doktorowa. — Może pan coś zaśpiewa?

— Niestety, — odparł — nie posiadam żadnych zdolności wokalnych.



— Dobrze żeś pan się zjawił! — powiedział doktor. — Właśnie mówiliśmy o panu. Podobno pan grywasz na skrzypcach.

— Nie! — odparł, potrząsając głową i uśmiechając się. — Nie grywam! — Potem zaraz wstał, bez żadnego powodu oczy mu rozbłysły i powiedział: — Taki jestem wesoły dzisiaj! Od samego przebudzenia było tak pięknie. Przez dziesięć godzin chodziłem, jak we śnie. Proszę sobie tylko pomyśleć... ciągle mi się zdawało, że płynę łódką z wonnego drzewa, o błękitnym, jedwabnym żaglu w kształcie półksiężyca. Prawda, że to piękne? Nie mogę sobie przypomnieć dobrze zapachu łodzi i nie mógłbym go żadną miarą opisać... Ale płynąłem i wiecie państwo, łowiłem ryby srebrną wędką... Przyznacie mi co najmniej wy, panie, że to było... Nic, już nie wiem.

Żadna z pań nie odpowiedziała, spozierały po sobie zakłopotane, nie wiedząc co począć. Wreszcie, jedna po drugiej zaczęły się śmiać, coraz to głośniej i bezlitośniej. Nagel patrzył na nie pokolei, oczy miał spokojne, myślał pewnie o łodzi z błękitnym żaglem. Ręce mu trochę drżały, ale twarz miał równie jak oczy, spokojną.

Doktor przyszedł mu z pomocą, mówiąc:

— Był to więc rodzaj halucynacji, która...

— O nie... przepraszam... — odrzekł. — A, zresztą być może... dlaczegożby nie? Nie idzie o nazwę. Czy to była zresztą halucynacja, czy nie, zostawałem przez cały dzień pod tem wrażeniem. Zaczęło się to, gdym jeszcze leżał w łóżku. Usłyszałem brzęczenie muchy. Było to pierwsze świadome wrażenie. Potem ujrzałem promień słońca, wpadający przez dziurę w storze, i natychmiast zjawił się pogodny, łagodny, miły nastrój. W duszy uczułem lato. Proszę sobie wyobrazić... w sercu mia-

łem miękki poszum świeżej trawy... Halucynacja? Być może... nie wiem. Ale w każdym razie, musiałem się znajdować w stanie wielkiej wrażliwości, jeśli brzęk muchy i blask słońca przez storę wystarczył do stworzenia tej impresji. Wstałem, potem wyszedłem i zaraz ujrzałem w oknie bardzo piękną kobietę... — tu spojrzał na pannę Fryderykę, która spuściła oczy — następnie widziałem dużo okrętów, małą dziewczynkę z kotem pod pachą, słowem mnóstwo rzeczy, które wywarły na mnie wrażenie. Po pewnym czasie udałem się do lasu i tam, leżąc na grzbiecie i wpatrując się w niebo, ujrzałem łódź z półksiężycowym żaglem.

Damy śmiały się dalej, a zarażony widać tym chichotem, doktor spytał z uśmiechem:

— Potem zaś łowiłeś pan ryby srebrną wędką?

— Tak, srebrną.

— Ha... ha... ha...

Dagny Kielland uderzyła nagle krew do twarzy i rzekła:

— Rozumiem doskonale, że takie widzenie... Ja wyobrażam sobie zupełnie jasno łódkę, żagiel, srebrny półksiężyc... i srebrną wędkę, zatapiającą się w wodę! Jest to bardzo piękne!

Nie mogła dalej mówić, zająknęła się, urwała i wbiła oczy w ziemię.

Nagel pospieszył jej zaraz z pomocą.

— Prawda? Powiedziałem też sobie zaraz: Bacz pilnie, bo może to być wróżbą, lub ostrzeżeniem. Używaj czystych wędek! Czystych wędek! Pytał pan doktor, czy grywam? Nie, nie grywam, mimo że włóczę ze sobą futerał na skrzypce. Ale niema w nim skrzypiec, jeno brudna bielizna. Wydało mi się tylko, że dobrze jest mieć pośród rzeczy futerał ze skrzypiec, przeto



kupiłem go sobie. Nie wiem, możem na panu wywarł niekorzystne wrażenie, ale już wszystko przepadło i chociaż mi bardzo przykro, rzecz się nie da zmienić. A wszystkiemu winna ta srebrna wędka.

Zdumione damy przestały się śmiać, a nawet doktor, podsędek Reinert... zastępca sędziego obwodowego... i adjunkt sądowy, wszyscy siedzieli z otwartymi ustami, gapiąc się na Nagla. Doktor nie wiedział co myśleć. Cóż za lichy opętało tego tajemniczego przybysza? Nagel umilkł nagle, jakby nic już nie miał do powiedzenia, i przykra cisza trwała bez końca. Sytuację uratowała pani Stenersen, niby uosobienie towarzyskości, niby matka czuwająca, by się nikomu krzywda nie stała. Zmarszczywszy brwi, by wyglądać starzej i słowom nadać większej wagi, spytała:

— Panie Nagel, pan przybywa z zagranicy... nieprawdaż?

— Tak, łaskawa pani.

— Z Helsingforsu... mówił mąż?

— Tak... z Helsingforsu. To znaczy, przebywałem tam ostatnio. Jestem agronomem, rolnikiem... studjowałem tam przez czas krótki.

Pauza.

— Jakże się panu podoba miasto? — spytała.

— Helsingfors?

— Nie, nasze miasto?

— O,... jest to czarowna miejscowość. Nie ruszę się już stąd... nie, nie... Ha... ha... ha... proszę się zresztą nie bać, być może, że sobie pojedę kiedyś, wszystko zawisło od okoliczności... Zresztą — dodał wstając — proszę wybaczyć, jeśli państwu przeszkadzam. Czulbym się szczęśliwym, mogąc korzystać z towarzystwa, nie mam bowiem nikogo znajomego tutaj i na-

brałem niemiłego zwyczaju rozmawiania z samym sobą głośno. Najlepiej raczcie państwo rozmawiać dalej, tak jak przed mojem przybyciem, i zachowywać się, jakby mnie całkiem nie było.

— Urozmaicałeś pan już tu sobie życie w niejeden sposób! — zauważył podsędek Reinert z kąśliwą intonacją głosu, ale Nagel zwrócił się doń zaraz uprzejmie i rzekł:

— Winien jestem panu, panie sędzio, usprawiedliwienie i dam też wszelką satysfakcję, jakiej pan zażadasz. Ale to rzecz prywatna i odrębna, której w tej chwili załatwić nie sposób. Pomówimy o tem... nieprawdaż?

— Naturalnie! — przyznał podsędek. — Pomówimy innym razem.

— Przytem tak mi dziś wesoło! — zawołał Nagel z uśmiechem. Ten serdeczny uśmiech rozjaśnił twarz jego, tak że przez chwilę wyglądał, jak dziecko...

— Cóż za rozkoszny dziś wieczór! — ciągnął dalej. — Niebawem zabłyszczą gwiazdy. Wszędzie po górach płoną ognie, a od portu dolatują pieśni. Wcale nieźle śpiewają... posłuchajcież państwo. Nie znam się na tem, co prawda, ale wcale ładnie brzmią te pieśni. Przypomina mi się potrosze noc na morzu Śródziemnem u wybrzeży Tunisu. Było na statku około stu podróżnych i chór śpiewacki, wracający z Sardynji. Nie żyłem blisko z towarzystwem i nie umiałem śpiewać, siedziałem tedy na pokładzie, słuchając chóru, produkującego się na dole, w salonie. Trwało to niemal przez całą noc, której nie zapomnę. Potajemnie zamknąłem drzwi, zamknąłem, że tak rzekę śpiew i wydało mi się, iż tony dolatują z samego dna morza, wiodąc okręt tą czarowną muzyką w dal wieczności. Proszę sobie wy-



obrazić tylko to pełne akordów morze, ten podwodny chór...

Panna Andersen, siedząca najbliżej Nagła, powiedziała bezwiednie:

— Miły Boże... jakież to musiało być cudne!

— Raz tylko doznałem czegoś jeszcze ciekawszego i to we śnie. Dawno już temu, dzieckiem będąc, śniłem. Dorośli nie śnią nigdy równie pięknie, jak dzieci.

— Nie? — spytała młoda dama.

— Nie... nie!... Oczywiście, twierdzenie moje nie jest całkiem ścisłe... Ale wracając do snu, pamiętam, że stałem na wielkim trzęsawisku... Raczcież państwo zresztą przebaczyć, że ciągle gadam sam... co może nużyć. Nie zawsze tak bywa...

W tej chwili ozwała się Dagny Kielland:

— Niema, zda się tu nikogo, ktoby nie wołał raczej słuchać pana, niż sam opowiadać! — potem, pochylona do pani Stenersen dodała szeptem: — Może posłucha ciebie, droga moja... skłoń go, by mówił dalej.

Nagel uśmiechnął się i rzekł:

— Chętnie będę paplał dalej. Jestem dziś w doskonałym usposobieniu, sam nie wiem nawet dla czego. Otóż, ten sen nie był znowu tak szczególny... Stałem pośród rozległego trzęsawiska bez drzew, natomiast wszędzie leżało mnóstwo korzeni, długich i krętych, jak węże, poprzez które brodził z trudem człowiek obłąkany. Widzę dotąd jego bladą twarz i ciemną brodę, tak krótką i rzadką, że przez włosy majaczyła skóra. Spozierał wokół szeroko rozwartemi i boleściwemi oczyma, ja zaś leżałem skryty za głazem. Zawołałem nań. Spojrzał zaraz w mym kierunku i nie zdziwił się zawołaniu, jakby wiedział, mimo dobrego ukrycia, że tam jestem. Patrzył, ja zaś myślałem, że mnie nie znajdzie. W najgorszym

razie, mogłem przecież umknąć. Nie miłym był mi jego wzrok, mimo to jednak wołałem nań ciągle, by go złościć. Podeszedł kilka kroków, otworzył usta, jakby do kąsania, ale nie mógł iść dalej, bowiem korzenie spiętrzyły się przed nim. Wołałem ciągle, chcąc go doprowadzić do wściekłości, on zaś usiłował przedrzeć się przez zawadę korzeni i zbliżyć do mnie. Całemi nareęczami odrzucał korzenie i walczył z nimi mężnie, ale daremnie. Jęczał z bólu i poglądał smutnie, ja natomiast, czując, że mi nic zrobić nie może, wstałem, pokazałem mu się, potrząsałem czapką, tupiałem i drażniłem go ciągle nawoływaniem. Chcąc mu bardziej jeszcze dokuczyć, pokazywałem nań palcem i krzyczałem tuż nad uchem. Potem odszedłem, by mu uświadomić jak byłem blisko. On walczył dalej z korzeniami, toczył bój rozpaczny, zrywał je z siebie, rozdzierał o nie twarz, podnosił się na palcach i wołał na mnie, ociekając potem, zbolwały i oszalały tem, że mnie nie może dosięgnąć. Chcąc rzecz jeszcze dalej posunąć, podeszedłem blisko, strzepnąłem mu palcami pod nosem i siląc się na okrucieństwo, krzyknąłem: Ti... hi... hi... hi... Potem cisnąłem weń korzeniem, i trafiłem go w górną wargę, tak że omal nie padł. Splunął krwią, chwycił się za zranioną twarz i walczył dalej z korzeniami. Przyszło mi na myśl, że mogę go dosięgnąć, wyciągnąłem przeto rękę, by mu palec położyć na czoło, potem zaś odejść. Ale w tejże chwili pochwycił mnie. Ach... było to straszne! Rozwścieklony, ścisnął me ramię i nie puszczał, ja zaś wydałem krzyk przerażenia. Pociągnął mnie ze sobą. Opuściliśmy trzęsawisko, bowiem korzenie nie były mu już teraz, kiedy mnie trzymał, żadną przeszkodą, i doszliśmy do głazu, za którym byłem z początku skryty. Tutaj rzucił się obłąkaniec przede mną na ko-



lana i całował ślady stóp moich. Okrwawiony i wyczerpany klęczał, dziękując mi za wyświadczoną łaskę. Błogosławił mnie i błagał Boga, by mnie w nagrodę po-błogosławił. Szeroko miał rozwarte, rozmodlone oczy i ciągle całował, nie ręce moje, ni trzewiki, ale ziemię, gdzie stałem. Spytałem, czemu całuje ziemię przede mną, on zaś odparł: — Mam zranione usta, nie chcę tedy powalać twych trzewików! — Spytałem znowu: — Czemuż mi dziękujesz? Wszakże sprawiłem ci ból! — Odrzekł: — Dziękuję ci za to, żeś mnie bardziej jeszcze nie dręczył i był dobry dla mnie! — Ha... — powiedziałem. — Dlaczegoż to jednak otwierałeś usta do kłaniania i krzyczałeś? — Nie chciałem kłasać, — zapewnił — chciałem cię błagać o ratunek. Ale nie mogłem znaleźć słów, a tyś mnie nie zrozumiał. Wówczas krzyknąłem z bólu. — Z tego powodu krzyczałeś? — Tak, z tego! — rzekł. Patrzyłem na obląkańca. Krew zeń spływała, on jednak modlił się za mnie do Boga. Spostrzegłem, że go kiedyś już napotkał i że go znam. Nie był jeszcze stary, miał siwe włosy i rzadką, nędzną brodę... był to jednym słowem... Minuta.

Nagel umilkł. Zebrani drgnęli. Podsędek spuścił oczy i patrzył długo w ziemię.

— Minuta? To był, on? — spytała pani Stenersen.

— Tak, to był on! — odparł Nagel.

— Uff! Nieswojo mi się zrobiło.

— Wie pan, — powiedziała nagle Dagny Kielland — poznałam go w tej chwili, kiedy pan mówił o tem, że klęcząc całował ziemię. Zaręczam, poznałam go zaraz. Czy pan z nim rozmawiał kiedy?

— Ach, nie, spotkałem go tylko parę razy... Ale zdaje mi się, że go zepsuł wesoly nastrój. Jaka pani blada... Cóż na miły Bóg... wszakże to był jeno sen!

— Tak... tak — powiedział doktor — rzecz bez znaczenia. Cóż nas obchodzi, że Minuta... Niechże sobie całuje dowoli wszystkie korzenie Norwegji. Patrzcież państwo... panna Andersen płacze... ha, ha, ha...

— Ani mi w głowie płakać! — zawołała. — Mimo to jednak przyznaję, że doznała silnego wrażenia. Pewna jestem zresztą, że podziałało to również i na pana.

— Na mnie? — zawołał doktor. — Ani mowy! Ha, ha, ha... Czyście państwo wszyscy powarjowali? Dość tego, przejdźmy się trochę! Proszę wstać, jak jeden mąż. Zerwał się wiatr. Czy ci zimno, Jetto?

— Nie! Nie czuję zimna. Wolałabym posiedzieć jeszcze!

Ale doktor postanowił przejść się i chciał koniecznie postawić na swoim. Powtórzył, że wiatr wieje i że musi się przejść, choćby miał iść sam jeden. Nagel wstał i ruszył z nim.

Zaczęli spacerować po wybrzeżu, przeciskając się przez tłum, paplając i odpowiadając na ukłony. Po upływie pół godziny zawołała pani Stenersen:

— Chodźcież do nas, panowie! Wiecie, cośmy obmyślili podczas waszej nieobecności! Ułożyliśmy, że jutro odbędzie się u nas wielkie przyjęcie. Pan Nagel musi także przyjść! Tak, koniecznie. Proszę tylko przyjąć do wiadomości, że owo wielkie przyjęcie, to minimum jedzenia i picia...

— A maksimum wyprawiania głupstw! — przerwał żywo doktor. — Rzecz znana powszechnie. Wiesz co, Jetto, że to pomysł wcale dobry. Już dużo gorsze miałaś nieraz! — Doktor wpadł odrazu w dobry humor i zaczął się śmiać, rozweselony nadzieją miłego wieczoru. — Nie przyjdź pan tylko zbyt późno! — powiedział do Nagla. — Mam nadzieję, że mnie nie odwołają do chorego...



— Ale czyż mogę przyjść w tem ubraniu? — spytał Nagel. — Nie mam ze sobą innego.

Wszyscy roześmiali się, a pani Stenersen oświadczyła:

— Oczywiście. To będzie właśnie wielce uciészne.

W drodze powrotnej, szedł Nagel obok Dagny Kielland. Nie zbliżył się do niej z umysłu, ale zgoła przypadkowo, a młoda dama nie unikała go wcale. Opowiadała z ożywieniem, jak się cieszy na zebranie jutrzejsze, bo doktorowie są to przemili ludzie i umieją zabawić gości... Nagle rzekł Nagel cichym głosem:

— Czy mogę mieć nadzieję, że mi pani przebaczy mój postępek w lesie, w dniach ostatnich?

Mówił porywczo, szeptem niemal, tak że musiała odpowiedzieć.

— Tak! — rzekła. — Rozumiem dziś lepiej pańskie zachowanie w lesie. Jesteś pan, widzę, niepodobny do innych ludzi.

— Dziękuję! — szepnął. — Dziękuję, jak nie dziękowałem jeszcze nikomu w życiu. Czemuż mam być niepodobny do innych? Proszę wierzyć, że przez cały wieczór dzisiejszy starałem się złagodzić wrażenie, jakie uczyniłem wówczas na pani. Wszystko co mówiłem, skierowane było wyłącznie ku pani. Zawiniłem bardzo i musiałem koniecznie czemś rzecz naprawić. Przyznaję, że byłem przez cały czas w niezwykłym nastroju, przedstawiłem się nierównie gorszym, niż jestem i bardzo nawet wyglądam teraz podejrzanie. Szło mi o to, by w panią wpoić przekonanie, że naprawdę nie jestem całkiem normalny i dopuszczam się dziwacznych rzeczy. W ten sposób umyślnie chciałem zdobyć przebaczenie pani. Dlatego to w porze niestosownej narzuciłem się z opowiadaniem o śnie i zblamowałem się w dodatku tym fu-

terałem od skrzypiec, nie będąc zgoła zmuszony do odkrywania tego głupiego kaprysu...

— Przepraszam! — zawołała nagle. — Czemuż mi pan opowiada to wszystko i psuje na nowo całą rzecz?

— Nie psuję niczego! Rozumie pani teraz mój niemądry pomysł w lesie. Uczulem, na widok ucieczki pani, wielką chęć przestraszenia jej jeszcze bardziej. Nie znałem pani wówczas jeszcze. Ośmieszyłem się dziś i zadziwiłem całe towarzystwo ekscentrycznym postępkim, wyłącznie w celu ułagodzenia pani i skłonienia do wysłuchania mych wyjaśnień. To osiągnąłem, bowiem pani słuchała i zrozumiała.

— Muszę wyznać, że nie wszystko rozumiem. Ale mniej-sza z tem, nie będę się zapuszczała w rozmyślenia...

— Oczywiście, że nie... czyż warto roztrząsać ową kwestję? Wszak prawda, że ułożono jutrzejsze przyjęcie z powodu, iż wszyscy sądzą jakobym był człowiekiem niezwykłym i spodziewają się jakichś cudactw? Może ich rozczaruję, może będę mówił jeno: tak i nie... może nawet wcale nie przyjdę. Któż to wie?

— Musi pan przyjść!

— Muszę? — spytał, spoglądając na nią.

Nic nie odpowiedziała. Szli obok siebie w milczeniu.

Dotarli do drogi, ku plebanji wiodącej, panna Kiehl-land stanęła i roześmiała się w głos.

— Nie... czegoś podobnego nie słyszałam dotąd!

— zawołała, potrząsając głową.

Czekała na resztę towarzystwa, które zostało w tyle. Nagel miał już spytać, czy się pozwoli odprowadzić do domu, ale w tej chwili obróciła się i zawołała na adjunkta:

— Chodźże pan! Chodźże pan raz!

Uczyniła niecierpliwy gest, by go ponaglić.



Następnego wieczora, o szóstej poszedł Nagel do doktora. Sądził, że przybędzie za wcześnie, zastał już jednak całe wczorajsze towarzystwo, oraz kilka innych osób, pewnego adwokata i młodego, jasnowłosego studenta. U dwu stolików pito koniak z wodą selterską, przy trzecim siedziały damy, podsędek Reinert, student i rozmawiano z ożywieniem. Milczący zazwyczaj adjunkt był już niemal pijany, podniecony, policzki mu pały i gadał różności.

— Weźmy naprzykład Serbję! — wołał. — Osiemdziesiąt procent ludności składa się z analfabetów! Czyż więc jest tam lepiej, niż u nas? — Oglądał się wokoło srogo, chociaż nikt nie przeczył.

Pani domu podprowadziła Nagla do stolika pań, zrobiła mu miejsce i spytała, czego się napije. Rozmawiano właśnie o Krystjanji. Powiedziała mu to, dziwiąc się, czemu wybrał małą miejscinę, gdy może mieszkać w stolicy.

Nagel nie uznał tego za dziwne. Trzeba przecież spędzić lato na świeżem powietrzu. Zresztą, nie chciałby mieszkać w Krystjanji. Oświadczył, że jest to miejsce ostatnie, jakieby obrał na pobyt.

— Doprawdy? — spytała. — Wszakże to jednak miasto stołeczne, punkt zborny wszystkich ludzi wybitnych i słynnych. Kwitnie tam sztuka, są teatry i najróżniejsze rozrywki!

— Tak — dodała panna Andersen. — Przytem zjeżdżają się tam cudzoziemcy, napływają najlepsi aktorzy, śpiewacy, muzycy, artyści wszelkiego rodzaju.

Dagny Kielland słuchała w milczeniu.

— Tak... tak... — przyznał Nagel. — Nie wiem skąd to pochodzi... ale ile razy słyszę o Krystjanji, widzę przed sobą Graensenstroede i czuję w nosie odór suszącej się odzieży. Zaręczam, że mówię prawdę, choć nie wiem skąd to pochodzi. Krystjanja czyni na mnie wrażenie pyszałkowatej dziury małomiejskiej, posiadającej kilka kościołów, dzienników, jeden hotel i jedną studnię publiczną. Oczywiście, są tam naj-słynniejsi ludzie świata... nigdzie atoli nie posiadają tyle pychy i... na miły Bóg... czasu, kiedym tam przebywał, pragnąłem ciągle uciekać!

Podsędek nie mógł pojąć owego uprzedzenia nie-tylko do poszczególnych osób, ale do całego miasta, stolicy kraju. Twierdził, że Krystjanja wcale już teraz nie jest małomiejską dziurą, ale zaczyna liczyć się do pierwszorzędných metropolij. Zwłaszcza ka-wiarnia „Grand“ jest wspaniała.

Zrazu nie krytykował Nagel „Grandu“, potem jednak zmarszczył brwi i rzekł głośno, że wszyscy usłyszeli:

— O, prawda... „Grand“ to istna osobliwość!

— Nie mówi pan chyba serjo?

— Całkiem serjo. „Grand“, to lokal, gdzie schodzą się wszystkie wielkości. Siedzą tam najwięksi malarze świata, najbardziej obiecująca młodzież świata, naj-elegantsze damy świata, najzdolniejsi redaktorowie świata i najwięksi poeci świata! Ha... ha... siedzą tak wszyscy i nadymają się jedni wobec drugich, uszczęśliwieni, że się wzajem uważają za wielkich. Widziałem tam pana Bylekto uradowanego, że robi wrażenie na innych panach Bylektach.

Ta odpowiedź wywołała ogólne zgorszenie. Pod-sędek nachylił się ku pannie Kielland i powiedział dość głośno:



— Jest to śmieszne zuchwałstwo.

Zbudziła się z zadumy i spojrzała błyskawicznie ku Naglowi. Usłyszał on niezawodnie uwagę podsędką, ale nie wziął jej sobie jakoś do serca. Trącił się ze studentem i z obojętną miną zaczął mówić o czemś innem. Gniewała ją też wyższość, okazywana przez niego. Mówiąc z taką zarozumiałością, musiał chyba mieć za nic całe towarzystwo. Co za pycha, co za manja wielkości! Podsędek spytał ją, co o tem sądzi, a ona umyślnie odparła głośno: — Krystjanja jest dla mnie aż nadto dostateczną stolicą.

I to nie naruszyło spokoju Nagla. Posłyszawszy jej, na poły doń skierowane słowa, zapatrzył się na nią, tak jakby chciał zrozumieć, czem ją mógł rozniewać. Spoglądał blisko przez minutę, mrugał oczyma, myślał i miał w dodatku żałośliwą minę.

Teraz również i adjunkt pojawił, o czem mówi, i za-protestował przeciw mniemaniu, jakoby Krystjanja miała być miastem mniejszem, niż na przykład Belgrad. Oświadczył, że... wogóle Krystjanja wcale nie jest mniejszą od innych miast równej wielkości...

Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Śmiesznie wyglądał adjunkt z pałającymi policzkami i niewzruszonym przekonaniem swoim. Adwokat Hansen, mały, łysy grubasek w złotych okularach, śmiał się bez końca, uderzając dłońmi po kolanach.

— ...Równej wielkości! — wołał. — Równej wielkości... Krystjanja nie jest mniejszą od innych miast dokładnie równej wielkości! Niewiele mniejsza... O, co za kawał... W ręce pańskie!

Nagel podjął przerwana rozmowę z studentem Olsenem:

— W młodych latach i ja zachwyciałem się muzyką, zwłaszcza wagnerowską. Ale z latami zatarło się to.

Nie doprowadziłem zresztą dalej, jak do zapoznania się z nutami i kilku akordami.

— Na fortepianie? — spytał student, zamiłowany w tym instrumencie.

— Nie! Pfe! Na skrzypcach! — odparł Nagel. — Ale, jak rzekłem, nie doprowadziłem do niczego i dałem pokój.

Nagle oczy jego musnęły przelotnie siedzącą w kącie pod piecem pannę Andersen, zajętą od kwadransa rozmową z podsędkiem. Spojrzała nań błyskawicznie jeno, ale mimo to poruszyła się niespokojnie na krześle i urwała w pół zdania.

Dagny uderzała się złożoną gazetą po rękę. Długie, białe palce zdobiło kilka małych pierścionków. Nagel patrzył na nią z pod oka. Jakże śliczną dziś była. W wieczornem świetle, jasny jej warkocz odcinał się jaśniej jeszcze od ciemnej ściany. Siedząc, wydawała się nieco korpulentną, ale gdy wstała, odzyskiwała właściwą sobie smukłość kształtów. Kroczyła lekko, kołysząc się, jakby skutkiem dłuższego uprawiania sportu łyżwiarskiego.

Wstał i podszedł do niej.

Przez chwilę patrzyła nań ciemno-szafirowemi oczyma, on zaś wyrzekł nagle, bez namysłu:

— Jakaż pani śliczna!

Otwartość ta zmieszała ją, otworzyła usta, nie wiedząc co począć, po chwili zaś szepnęła:

— Miejsze pan przecież trochę zastanowienia!

Wstała, zbliżyła się do fortepianu i zalana ciemnym rumieńcem, zaczęła przerzucać nuty.

Doktór pałał chęcią rozmawiania o polityce, korzystając tedy z przerwy, zagadnął:



— Czyście państwo czytali gazety? Niech lichobierze taki „Kurjer Poranny,” Co za wiele, to za wiele! Wszakże tak nie wyrażają się ludzie kulturalni. To ordynarne klątwy i wyzwiska.

Doktór mówiłby bez końca, gdyby mu nie oponowano. Wiedząc to, ozwał się adwokat Hansen chytrze i dobrodusznie:

— Powiedzmy, że obie strony popełniają błędy!

— Cóż to ma znaczyć? — krzyknął doktor zrywając się z krzesła. — Czy sądzisz...

Poproszono do stołu, a doktor ciągnął w jadalni dalej, tak, że panowała rozmowa o polityce, a Nagel siedzący między panią domu a młodą panną Olsen, córką naczelnika policji, nie brał w niej udziału. Gdy jeść skończono, dotarto w samo sedno polityki europejskiej. Wydawano opinię o carze Konstantynie i Parnelu, a gdy poruszono kwestję bałkańską, znalazła się znowu dla adjunkta sposobność zaatakowania Serbji. Czytał on właśnie „Miesięcznik statystyczny” i z rozgoryczeniem rzucił kilka zdań na temat straszliwych stosunków serbskich, zaniedbania szkolnictwa itp...

— Jedno cieszy mnie nad wszelki wyraz — zawołał doktor ze łzami w oczach — oto, że Gladstone jeszcze żyje. Zróbcieź sobie, panowie, po dobrej szklaneczce, wypijemy na zdrowie Gladstona, wielkiego, czystego demokraty, męża teraźniejszości i przyszłości!

— Czekajcie trochę! Dopuść i nas! — odparła żona doktora. Napełniła szklanki winem, rozlewając je z wielkiego zapachu i podając drżącymi rękami tacę. Wypili wszyscy.

— Ha... co za chłop! — podjął doktor, strzeliwszy językiem. — Biedaczysko chorzał przez czas pewien

ale mam nadzieję, że się wyliże. Z pośród wszystkich polityków, najmniejbym rad jego właśnie utracić. Jest on w mych oczach sygnałową wieżą, ślącą światłość po całym świecie... Panie Nagel,... masz pan zgoła nieprzytomną minę... Czyżbyś pan był innego zdania?

— Co, proszę? — spytał Nagel. — Acha! Oczywiście, podzielam je w zupełności.

— To dobrze! Coprawda i Bismark imponuje mi w wielu rzeczach, ale Gladstone...

Nikt się nie opierał doktorowi, wszyscy znali jego elokwencję, ale niebawem obumarło zainteresowanie ogólne i doktor zaproponował karty, dla zabicia czasu. Spytał obecnych, kto chce grać, ale pani Stenersen zawołała na cały salon:

— Ach... coś niesłychanego! Wiedzieć państwo, pan Olsen opowiedział mi właśnie, że pan Nagel nie zawsze był, jak dziś, zachwycony Gladstonem... Pan Olsen słyszał przemówienie pańskie w Krystjanji... w związku robotniczym... nieprawdaż? Tam miałeś pan porządnie zmasakrować Gladstona. Ładny z pana ptaszek! Czy to prawda?... Mówże pan, jeśli śmiesz...

Pani Stenersen powiedziała to całkiem niewinnie i ze śmiechem, podnosząc żartobliwie palec w górę.

Nagel drgnął i odparł:

— To pomyłka, tak nie było.

— Nie twierdzę, — rzekł Olsen — żeś pan zmasakrował Gladstona, aleś pan silnie oponował i jak pamiętam, nazwał Gladstona bigotem.

— Bigot? Gladstone miałby być bigotem? — wrzasnął doktor. — Musiałeś się chyba upić!

Nagel roześmiał się.



— O, nie byłem napewno pijany... Zresztą może byłem... nie pamiętam. W istocie wszystko na to wygląda.

— To prawda... to prawda! — rzekł z zadowoleniem, uspokojony już doktor.

Nagel nie chciał się tłumaczyć, ni nawet dalej mówić, ale Dagny Kielland szepnęła pani Stenersen, by go sprowokowała dla zabawienia towarzystwa.

— Proszę pana, dlaczego pan wówczas oponował? Musiałeś pan to chyba brać na serjo. Proszę, opowiedz nam pan to, bo radziibyśmy uniknąć nudnej gry w karty.

— Jeśli mam się przyczynić do zabawienia towarzystwa, to...

Niewiadomo, czy drwił ze swej roli, czy z mającego nastąpić wyводу, ale uśmiechnął się w tej chwili.

Zaczął od stwierdzenia, że nie pamięta owego wieczoru, o którym wspomniał pan Olsen. Potem spytał, czy ktoś z obecnych widział i słyszał Gladstona. Czyni na słuchaczach wrażenie, że jest otwarty i szczery w postępkach życia i sprawiedliwy bezwzględnie. Najoczywiściej posiada czyste sumienie. Jakżeby mógł człowiek tej miary uchybić Bogu! Czystość własnego sumienia sprawia, że przypisuje ją również i słuchaczom... uważając ich za nawskroś uczciwych.

— Śliczny to rys charakteru! — zawołał doktor. — Świadczy o zacności i ludzkim sposobie myślenia. Nie często zdarza się to zaiste na świecie.

— Tak również sędzę... i właśnie... he, he, he... przytaczam dla charakterystyki szlachetnego męża. Wspomnę o pewnej sprawie, która mi się nasuwa, a raczej nie potrzebuję chyba opowiadać całego zdarzenia, wystarczy wspomnieć nazwisko Coreya. Nie

wiem, czy państwo pamiętacie, jak przyjął Gladstone ówczesny minister, oskarżenie przeciw zdrajcy Corey-owi, któremu zresztą dopomógł potem w ucieczce do Afryki, by go uchronić przed zemstą Fenjan. Ano... nie o to tutaj idzie. To inna sprawa, wiem, że minister musi się imać czasem pewnych drobnostek i nie przypisuję im nadmiernego znaczenia. Ale wracając do punktu wyjścia... stwierdzam, że Gladstone, jako mówca, jest uosobieniem czystego sumienia. Gdybyście go państwo znali, starczyłoby przypomnieć jego miny podczas przemówienia. Czyste sumienie jego jest tak gruntownie czyste, że przejawia się nawet w spojrzeniu, głosie, pozie i ruchach. Mówi prosto, zrozumiale, powoli i bez końca... o... trwa to całą wieczność, a nie traci nigdy wątku. Szkoda, żeście państwo nie byli świadkami, jak hojnie rozdziela względy po sali... Temu handlarzowi żelaziwem odrobinę... i temu kuśnierzowi odrobinę! A przytem waży słowa, jakby każde warthało koronę. Wspaniałe widowisko! Jak się rzekło, jest Gladstone rycerzem bezwzględnej sprawiedliwości i nie czyni żadnych ustępstw błędom. Czując prawo po swej stronie, stosuje je bezlitośnie, podnosi je na wyże, do nieba, ukazuje słuchaczom, jak ulata w górę i niweczy przeciwników. Moralność jego najzdrowsza, najtrwalsza, pracuje bowiem dla chrześcijaństwa, humanizmu i cywilizacji. Gdyby mu ofiarowano tyle a tyle tysięcy funtów na ocalenie od szafotu niewinnej kobiety, ocaliłby ją, pieniędzmi wzgardził, a przytem nie miałby sobie tego za zasługę. Nie uważałby tego wcale za zasługę... o nie. Taki to już jest mąż wielki! Walczy niezmordowanie w imię dobra kuli ziemskiej, co dnia gotów ruszyć w bój za prawdę i Boga. A jakież to



walne odnosi zwycięstwa! Dwa razy dwa jest cztery... prawda zwyciężyła... chwała bądź Bogu!

...Ho, ho... Gladstone umie wznosić się nawet wyżej nad dwa razy dwa. Słyszałem, jak podczas pewnej debaty budżetowej udowodnił, że siedemnaście razy dwadzieścia trzy daje w rezultacie trzysta dziewięćdziesiąt jeden. Zwycięstwo jego było druzgocące, świetne, miał znowu rację, a racja ta, błyszcząca w jego oczach i drgająca w głosie, wzniosła go na wyże nieśiężne. Zrozumiałem, że miał rację, ale mimo to przyrzekałem mu się lepiej. Stałem, dumałem, liczyłem i doszedłem do wniosku, że się wszystko zgadza. Mimo to jednak wziąłem na kiel i powiedziałem: — Nie! czekajcie! Siedemnaście razy dwadzieścia trzy daje trzysta dziewięćdziesiąt siedem! Wiedziałem, że daje dziewięćdziesiąt jeden, ale wbrew przekonaniu rzekłem: dziewięćdziesiąt siedem, a to w celu, by stanąć na stanowisku odmiennem, jak ten profesjonalista sprawiedliwości. Posłyszałem głos w duszy, mówiący: — Wznies się ponad to ustawiczne apelowanie do racji i słuszności i powodowany wewnętrzną żądzą, powiedz: dziewięćdziesiąt siedem! Powiedz to w imię świadomości, że masz prawo nie dać się zabanalizować na śmierć przez tego oto człowieka, stojącego niezaprzeczalnie na gruncie słuszności i prawa...

— Niech mnie Bóg skarże, jeśli słyszał kiedy podobny nonsens! — zawołał doktor. — Czyż pana to razi, że Gladstone ma zawsze słuszność?

Nagel uśmiechnął się, niewiadomo, skutkiem łagodności czy afektacji, i ciągnął dalej:

— Nie razi mnie to, nie oburza, ani demoralizuje. Ano... trudno, nie zostanę, widać zrozumianym. Gladstone, to błędny herold prawa i prawdy, a umysł

jego pełen jest uznanych od wieków rezultatów. Za największą prawdę pod słońcem uznaje: dwa razy dwa, cztery. Trudno temu przeczyć, a wspominam o tem jeno, by pokazać, że Gladstone ma zawsze słuszność. Idzie o to jeno, czy ludzie są dość mądrymi durniami, by sobie dać to wszystko załadować na plecy, czy świadomość nasza ma paść na ziemię, przywalona brzemieniem stwierdzonych faktów. O to idzie właśnie!... A Gladstone tak jest o konieczności tego przekonany, że mu nawet na myśl nie przyjdzie powstrzymać szafowanie dobrodziejstwami swemi. Ciągłe jest w drodze, wszyscy go potrzebują. Pcha swoje prawdy świata w Birmingham, w Glasgowie, przywodzi do swych poglądów to przykrawacza korków, to adwokata, walczy jak lew w imię przekonañ, wysilając stare, wierne płuca do ostateczności, by słuchacze nie uronili żadnego z nieocenionych słów jego. Gdy zaś akt bohaterski skończony, gdy się skłonił, a lud mu dał oklaski, idzie Gladstone do domu, kładzie się do łóżka, składa ręce, odmawia pacierz i zasypia, nie czując zgola wyrzutów sumienia i nie wstydząc się, że przepoił Birmingham i Glasgow tem i owem. Przeciwnie pewny jest, że dopełnił obowiązku wobec ludzkości i samego siebie, tedy śpi snem sprawiedliwego. Nie będzie na tyle grzeczny, by spytać, żali nie wykonał źle swej rzeczy, żali nie znudził dwu tkaczy z pierwszej ławki... wszakże jeden ziewnął... nie zada sobie tego pytania, bowiem nie jest pewny, czy to jest ścisła prawda. A kłamać nie chce, gdyż kłamstwo to grzech, a Gladstone nie chce grzeszyć. Dziwna rzecz, ale wydało mi się, jakoby ów słuchacz w istocie ziewnął... Ale musiałem się omylić... nie, nie... nie mógł ziewać! He, he, he... Nie pamiętam, czym



się w ten sposób wyraził w Krystjanji, ale mniejsza z tem. W każdym razie wyznaję, że wielkość Gladstona nigdy nie czyniła na mnie imponującego wrażenia.

— Biedny Gladstone! — powiedział podsędek Reinert.

Nagel nie odrzekł nic.

— Nie, nie o tem mówiłeś pan w Krystjanji! — zauważył Olsen. — Zaatakowałeś pan Gladstona za jego stanowisko wobec Irlandczyków i Parnella i powiedziałaś pan między innemi, że nie jest to umysł wybitny. Oświadczyłeś pan, że jest wielki i pożyteczny, ale tylko jako siła podrzędna, jako bardzo wielki i mały palec Beaconsfielda.

— Acha! Pamiętam! Odebrano mi głos... he, he, he... Zgoda... zgoda i na to... czemużby nie! Trudno pogorszyć sprawy. A teraz, sądzicież mnie państwo pobłażliwie!

Doktór Stenersen podumał, a potem spytał poważnie:

— Czy się pan zaliczasz do prawicy?

Nagel rozwarł szeroko oczy, buchnął śmiechem i rzekł:

— Ja?...

W tej chwili rozległ się dzwonek u drzwi kancelarii doktora. Pani Stenersen skoczyła zobaczyć. Oczywiście, niestety, doktor musiał znowu iść do chorego. Doktorowa poprosiła, by nikt, pod żadnym warunkiem, nie odchodził do domu przed północą. Usadziła na nowo pannę Andersen i kazała Annie przynieść dużo gorącej wody na grog. Była wszakże dopiero dziesiąta.

— Panie sędzio, pan nie pije?

— I owszem, nie zapominam o sobie!

— Nikomu nie wolno odchodzić! Czemuż to milczysz, Dagny?

— Nie więcej, niż zawsze.

Doktór wrócił z kancelarji i poprosił o przebaczenie, że musi odejść. Przypadek groźny... krwotok. Ale niebardzo daleko, tak że za dwie, trzy godziny będzie z powrotem i radby zastać jeszcze gości. Potem rzekł: — Do widzenia wszystkim! Do widzenia, Jetto!

Wyszedł, a za minutę ujrzano, jak biegł wraz z jakimś mężczyzną, drogą ku portowi wiodącą. Tak mu aż było spieszo.

Pani Stenersen powiedziała:

— Musimy teraz wymyślić coś wesołego... Och! Nie masz pan, panie Nagel, wyobrażenia, jak mi nudno czasem pod nieobecność męża! Najgorsze są noce zimowe, bo nie wiem nawet nieraz czy wróci.

— Łaskawa pani nie ma, jak widzę, dzieci? — spytał Nagel.

— Nie mam... Nawykam już teraz powoli do długiej samotności, ale w początkach było bardzo źle. Tak się bałam ciemności... niestety boję się jej dotąd... że nieraz szłam spać do służącej, by nie być samą. Dagny, ozwij że się! O czemże to myślisz? Zapewne o umiłowanym?

Dagny zmieszała się i zarumieniła.

— Oczywiście... — powiedziała — cóż w tem dziwnego... Ale spytaj lepiej sędziego Reinerta, o czem дума. Przez cały wieczór nie wyrzekł słowa.

Podsędek zaprotestował, twierdząc że rozmawiał z panną Olsen i Andersen, w cichości rozwinał, rzecz można, wielką aktywność, a zarazem śledził pilnie tok dyskusji politycznej... słowem...



— Narzeczony panny Kielland — rzekła doktorowa do Nagla — udał się w podróż. Jest oficerem marynarki i pojechał do Malty... wszak prawda, Dagny?

— Tak jest... — odrzekła.

— U ludzi takich, zaręczyny odbywają się migiem. Przybył na trzy tygodnie do rodziców i nagle, pewnego wieczoru... ach ci porucznicy!

— Dziarscy ludzie! — powiedział Nagel. — Przeważnie piękni, opaleni chłopcy, o przedsiębiorczym umyśle i otwartych rysach twarzy. Uniform mają również piękny i noszą go ze smakiem. Tak... tak... oficerowie marynarki czynili na mnie zawsze wielkie wrażenie.

Panna Kielland zwróciła się nagle do studenta Olsena i spytała z uśmiechem:

— Pan Nagel twierdzi tak obecnie, ale co mówił o tem w Krystjanji?

Wszyscy się rozśmiali, a podpity adwokat Hansen wybełkotał:

— Tak... co mówił w Krystjanji... co mówił... co? A to dopiero heca... w ręce pańskie!

Nagel trącił się z nim, wypił i powtórzył, że zachwycił się zawsze oficerami marynarki, a nawet gdyby był dziewczyną, wybrałby oficera, albo zrezygnował wogóle z męża.

Znowu wszyscy buchnęli śmiechem, uniesiony zapalem adwokat trącał o wszystkie będące na stole szklanki i wypił, a Dagny rzekła znagła:

— Mówi się powszechnie o oficerach, że są niezbyt inteligentni... Jest pan więc innego zdania?

— Głupstwo! Ale gdyby nawet tak było, wolałbym, jako dziewczyna, męża pięknego, niż mądrego... bezwarunkowo! Cóż począć z mózgiem bez ciała? Co-

prawda, można by również powiedzieć, coś począć z ciążem bez mózgu... ale jest to, u djaska, wielka różnica! Rodzice Szekspira nie umieli czytać... No... Szekspir sam, pono, nie zbyt biegle czytał, a jednak jest osobistością historyczną. Tak, czy owak, dziewczynie prędzej znudzi się mąż brzydki, a uczony, niż piękny, a głupi. Gdybym był dziewczyną, bezwarunkowo wybrałbym ładnego chłopca. Niech djabli biorą zapatrywania narzeczonego na politykę norweską, filozofję nietzscheańską i problem Trójcy Świętej.

— Pokażę panu porucznika panny Kielland! — rzekła doktorowa i przyniosła album.

Dagny zerwała się, rzuciła bezwiednie: — Nie! — ale zaraz usiadła z powrotem.

— Zła fotografia... — powiedziała po chwili. — Wygląda dużo lepiej.

Nagel ujrzał przystojnego młodzieńca z pełną brodą. Siedział wyprostowany przy stole z ręką na szabli. Niezbyt obfite włosy, rozdzielone były pośrodku głowy. Wyglądał trochę po angielsku.

— To prawda, — przyznała doktorowa — jest przystojniejszy, niżli tu. W dziewczęcych latach kochałam się w nim nawet sama... Spójrz pan... to jest teolog, zmarły tragicznie, Karlsen, któregośmy przedwczoraj pochowali. Smutna to sprawa.

Fotografia wyobrażała chorowitego człowieka, o zapadłych policzkach i wąskich wargach, tak zaciśniętych, że wyglądały, jak kreska na twarzy. Oczy miał duże, ciemne, czoło niezwykle wysokie i piękne, natomiast piersi płaskie, a w ramionach wąski był niby kobieta.

Tak wyglądał Karlsen.

Nagel pomyślał, że człowiek ten musiał mieć zimne, wilgotne ręce i studjować teologję. Chciał powiedzieć,



że jest to twarz niesamowita, ale widząc, iż Reinert przysunął się do Dagny i wszczął z nią rozmowę, umilkł, by im nie przeszkadzać, i przeglądał dalej album w milczeniu.

— Użała się pani dziś — rzekł podsędek — na moją małomówność, przeto pozwolę sobie opowiedzieć pewne wydarzenie z ostatniej podróży cesarza... To cała historia, a właśnie mi przyszła na pamięć...

Przerwała mu, mówiąc zcicha:

— Cóżeś to pan za żarty wyprawiał tam, w kącie? Powiedz mi pan to raczej. Mówiąc o milczeniu pańskim, chciałam to właśnie podkreślić. Zawsześ pan złośliwy, oczywiście. Szkaradnie jest przedrzeźniać się wszystkim i błaznować. Przyznaję coprawda, że zbyt wyraźnie zwraca uwagę na ten żelazny pierścionek na małym palcu, podnosi, ogląda i czyści go ciągle... ale czyni to może bezwiednie. W każdym razie przesadzałeś pan strasznie. Nie zaprzeczam, że ten Nagel, to wielki pyszałek, dziwak i zasługuje na drwiny... ale i ty, Gudrun, posunęłaś się jednak za daleko. Musiał spostrzec, żeś się zeń wyśmiewała.

Gudrun zbliżyła się, zaręczając, że jedynie podsędek ponosi winę... ale człowiek ten jest w istocie niesłychanie komiczny... Jak on to powiedział: — Wielkość Gladstona nie czyniła nigdy na mnie imponującego wrażenia — na mnie... rozumiecie?

— Ciszej! Znowu mówisz za głośno, Gudrun. Może usłyszeć... obejrzał się nawet... Czyś zauważyła, że nie zwraca uwagi, gdy mu się przerwie... prawda? Spogląda w takim razie tylko trochę smutno po wszystkich. Wiesz, żal mi naprawdę, że siedzimy tu i plotkujemy na jego niekorzyść... Lepiej opowiedz pan swoją historję z podróży cesarskiej.

Podsędek opowiedział. Nie była to żadna tajemnica, jeno niewinne zdarzenie na temat pewnej damy z buketem, przeto podsędek mówił głośno, coraz głośniej, tak że wkońcu wszyscy słuchali. Trwało to kilka minut, bo zawierało dużo szczegółów, gdy zaś skończył, rzekła panna Andersen:

— Panie Nagel, czy pamięta pan swoją, wczorajszą opowieść o chórze śpiewackim u brzegów Tunisu?

Szybko zamknął album i spojrzał, z przestraczem niemal. Czy było to szczere, czy jakąś kryło pułapkę? Odparł cichym głosem, że może pomylił się w szczegółach, ale nie zmyślił całej rzeczy, którą przeżył.

— O, nie, drogi panie, — powiedziała ze śmiechem — nie o to mi idzie. Chciałabym tylko wiedzieć, czy pan pamięta, coś rzekł, gdym zauważyła, że to piękne? Powiedziałeś pan, iż przedtem spotkało pana coś jeszcze piękniejszego i to we śnie.

Skinął na znak, że pamięta.

— Proszę, opowiedz nam pan to! Opowiadasz pan tak dziwnie. Prosimy wszyscy...

Odmówił, tłumacząc się że to rzecz bez znaczenia, majak senny bez początku i końca, mglista zjawia tylko, której w słowach oddać nie sposób. Istnieje mnóstwo takich, niejasnych wyobrażeń, które odczuwamy jeno jako promienie, ginące zaraz bezpowrotnie. Dodał, że wszyscy zrozumieją o co idzie, jeśli powie, iż rzecz się dzieła w białym, srebrnym lesie...

— Doskonale... srebrny las i cóż dalej?

— Nie... — wstrząsnął głową. — Uczyniłbym dla pani wszystko co tylko możliwe... niechże mnie pani wystawi na próbę, ale tego snu, proszę wierzyć, opowiedzieć nie mogę.

— Zgoda... więc co innego. Prosimy wszyscy.



— Przepraszam... dziś nie jestem w usposobieniu... naprawdę nie!

Padło teraz kilka obojętnych słów, pytań wprost dziecinnych, głupkowatych odpowiedzi, a wkońcu Dagny spytała:

— Uczyniłbyś pan dla panny Andersen wszystko co tylko możliwe? Cóżbyś to pan dla niej na przykład uczynił... proszę powiedzieć?

Roześmiano się z tego pomysłu Dagny, a ona sama śmiała się także. Po krótkim namyśle odparł Nagel:

— Dla pani, panno Kielland, zdolny byłbym uczynić coś bardzo złego!

— Coś bardzo złego? Mówże pan... może popełniłbyś morderstwo?

— Naturalnie. Zabiłbym Eskimosa, ściągnąłbym zeń skórę i kazał zrobić teczkę na listy dla pani.

— Doprawdy? A cóż dla panny Andersen? Pewnie coś bardzo dobrego!

— Tak... zdaje mi się... nie wiem dobrze. Zresztą o tym Eskimosie czytałem gdzieś. Zaręczam, nie jest to mój własny pomysł.

Pauza.

— Jesteście państwo bardzo łaskawi... — rzekł Nagel po chwili. — Przez cały czas stawiacie mnie na przedzie, domagając się, bym opowiadał rzeczy mało-ważne, a to dlatego, że jestem tutaj obcy.

Adjunkt spojrział chyłkiem na zegarek.

— Nie wolno odchodzić! — zawołała pani Stenersen. — Wiesz pan to przecież dobrze. Aż do powrotu męża mego, jest to surowo zabronione. Rób pan co chcesz... iść nie wolno!

Zaproponowała kawę i wszyscy ożywili się zaraz.

Adwokat, dysputujący ze studentem grubas ociężały, skoczył jak rzucony sprężyną i zaklaskał w dłonie na znak uznania. Student również zatarł ręce, podszedł do fortepianu i uderzył kilka akordów.

— Ach prawda! — zawołała pani domu. — Jakże mogliśmy zapomnieć, że pan gra na fortepianie. Musi nas pan uraczyć czemś pięknem. Prosimy!

Student zgodził się, dodając że umie niewiele, ale może zagrać coś Szopena, albo, jeśli ktoś woli, walca Lannera...

Nagel bił muzykusowi brawo i rzekł do Dagny:

— Nieprawdaż? Słuchając takiej muzyki radby człowiek siedzieć w pewnej odległości, gdzieś w bocznym pokoju, trzymać w dłoni dłoni ukochanej i milczeć! Nie wiem, ale wyobrażam sobie, że to musi być urocze.

Spojrzała nań z uwagą, nie wiedząc czy serjo mówi, ale w twarzy jego nie było ironji, przeto uderzyła również w ton banalny i rzekła:

— Tak. Ale w pokoju musiałyby panować półcień... nieprawdaż, fotele musiałyby być miękkie i niskie, a na świecie panować mrok i padać deszcz.

Była tego wieczoru niezwykle piękna. Ciemne oczy połyskały cudnie na białej twarzy. Mimo że nie miała zbyt białych zębów, pokazywała je, śmiejąc się ciągle, śmiejąc z byle czego. Usta czerwone i pełne zwracały uwagę. Najciekawszem było jednak, że gdy się jeno ozwała, brzask różowy przelatywał jej po policzkach i nikł natychmiast.

— Macież państwo! — zawołała nagle doktorowa. — Adjunkt uciekł! Oczywiście! Niema z nim rady... zawsze tak robi. Spodziewam się, panie sędzio, że pan przynajmniej powie, odchodząc: dobranoc?



Adjunkt wyszedł przez kuchnię, wymknął się cichaczem, jak to czynił zwykle. Był znużony po przepiciu, śpiący, to też wyszedł i nie wrócił. Natychmiast, wobec tego faktu ożywił się Nagel, gdyż mu błysło, że może Dagny zgodzi się, by jej towarzyszył, miast adjunkta, w drodze powrotnej przez las. Nie zwlekając, poprosił ją zaraz o pozwolenie, spozierając błagalnie i spuszcza-  
jąc oczy. Wkońcu dodał:

— Będę bardzo grzeczny!

Roześmiała się i odparła:

— Jeśli tak, to zgadzam się chętnie.

Teraz czekał już tylko powrotu doktora, by zaraz wyruszyć. Nadzieja odprowadzenia Dagny ożywiła go bardzo, mówił różności, rozśmieszał wszystkich i był niesłychanie miły. W uniesieniu radości obiecał nawet, jako poniekąd fachowiec, zbadać ziemię w jednym kącie ogrodu pani Stenersen, gdzie rosły maliny i chorowały, z nieznanego powodu. Przyrzekł formalnie, że zaradzi złemu, wygłosiwszy czarodziejskie zaklęcie.

Na zapytanie, czy umie też czarować, odparł, że fuzeruje potrosze na każdym polu.

— Tu oto widzicie państwo niepozorny pierścionek żelazny, posiada on jednak przedziwne właściwości, których się nawet domyśleć trudno. Gdybym go zgubił około dziesiątej, musiałbym znaleźć do dwunastej, w przeciwnym bowiem razie byłoby ze mną źle. Do-  
stałem go w Pireusie od pewnego starego Greka. Uczyniłem człowiekowi temu pewną przysługę, a w dodatku dałem za ten pierścionek wór kawy.

— Czy pan w to wierzy? — spytano.

— Tak... trochę. Istotnie, pierścionek ten wyleczył mnie już raz.

Posłyszano naszczekiwanie psa, dolatujące od strony portu. Pani Stenersen poznała go po głosie, spojrzała na zegar i zapewniła, że mąż wraca. Jakże się dobrze stało! Dopiero dwunasta, a on w domu. Zadzwoiła, polecając, by przyniesiono więcej kawy.

— A więc jest to cudowny pierścień, panie Nagel! — powiedziała. — I pan weń wierzy na serjo?

— Dość na serjo! — odparł. — Mam zresztą dane, by wierzyć potrosze. Wszystko jedno w co się wierzy, o ile człowiek w głębi duszy wie, czego się trzymać. Pierścionelek ten wyleczył mnie z nerwowości, uczynił odpornym i silnym.

Śmiała się zrazu, potem zaś zaczęła oponować, mówiąc że znieść nie może takiej zblazowanej gadaniny. Przepraszała za te słowa, ale upierała się, że sam nie wierzy w to co mówi. Jeśli ludzie wykształceni są tak zabobonni, czegoż się spodziewać od prostaczków. Do czegoż to zresztą prowadzi? Lekarze winniby spakować manatki.

Nagel bronił się, twierdząc, że jedno nie przeszkadza drugiemu. U chorego idzie też o wolę, wiarę i podatność. Lekarze są potrzebni, mają swą gminę wiernych, ludzi wykształconych, ufających ich miksturom, zaś kacerze, czyli prostaczkowie, mogą sobie wierzyć w żelazne pierścienie, palone kości ludzkie i ziemię z cmentarza, czem się leczą równie dobrze. Przytaczał dowody, że pacjenci odzyskiwali zdrowie po szklance czystej wody, o ile im tylko wmówiono, że jest to niezawodne lekarstwo. Ileż razy zdarzyło się to na przykład u morfinistów. Wobec tych doświadczeń nie jest dziwne, że człowiek wolny od doktryny nic sobie z wszystkiego nie robi i nie wierzy w wiedzę lekarzy. Zakończył uwagą, że nie zna się na tych rzeczach, nie jest zgoła fachowcem, nie chce psuć innym humoru i prosi panią doktorową o przebaczenie.



Co chwila spoglądał przytem na zegar ścienny i zapinał surdut.

Doktór wszedł podczas tej rozmowy. Był zły i zdeenerwowany, pozdrowił gości z wymuszoną wesołością i podziękował im, że się nie rozeszli. Na adjunkta nie ma rady... pokój mu... Zresztą jednak nie brakło nikogo... — Ach!... zawołał wkońcu. — Ileż się trzeba namartwić w życiu!

Zaczął, jak zawsze, opowiadać o chorych. Kwaśną minę jego wywołali pacjenci, którzy zawiedli jego oczekiwania. Postąpili jak osły, lub szaleńcy. Należałoby ich zamknąć, poprostu. Co za dom! Kobieta chora, ojciec jej chory, syn także chory... a co za smród! Ale mimo to reszta rodziny zwłaszcza dzieci, rumiane i kipiące wprost od zdrowia. Poprostu niepojęte, zdumiewające! Trudno zrozumieć. Stary ojciec owej chorej kobiety zadał sobie siekierą ogromną ranę. Zawołano czarownicę, umiejącą zamawiać i ona to rzeczywiście zatamowała krew. Ale czem?... Ach... to oburzające, karygodne poprostu... a śmierdziało, że wyskoczyć ze skóry! Przytem mogła przyjść gangrena. Gdyby go nie wezwano dziś, straszneby się stały rzeczy. Należałoby zaostrzyć ustawę o fuszerce leczniczej i wykonanie jej powierzyć ludziom, którzy... Ale krew zatamowała. A teraz drugi pacjent, dorosły gamoń ma liszaj na twarzy. Dałem mu niedawno dwie maści i przykazałem, by przykładał maść żółtą przez godzinę... wyraźnie tylko przez godzinę, zaś drugą, białą, cynkową przez resztę dnia. Cóż robi ten osioł? Przykłada, oczywiście, przez godzinę maść białą, a potem trzyma przez cały dzień i noc, na gębie maść żółtą, która ciągnie i pali, jak piekło. Najciekawsze jednak, że dureń wytrzymał to wszystko i mimo głupoty wyzdrowiał

zupełnie! To bydlę pokazuje mi dziś usta i policzki, zdrowiuteńkie, bez jednej zmarszczki... Widział kto podobne świńskie szczęście? Mógł sobie na długo, lub na zawsze zniszczyć twarz... Czy myślicie, państwo, że mrugnął bodaj oczyma?... A teraz matka jego... Otóż jest chora, bezsilna, nerwowa, miewa zawroty i szum w uszach, nic jeść nie może... — kąpiele! — powiadam. — Kąpać się, zmywać, nacierać... zrozumiano, u diabła? Wody trzeba! Jeść cielęcinę, otwierać okna i mieć świeże powietrze. Suche zawsze nogi, ruch na powietrzu... oto czego trzeba. Rzućże, kobieto, w ogień tę książkę jakiegoś tam Jana Arendta, czy innego warjata. Przedewszystkiem zaś kąpiel, zmywanie i nacieranie... inaczej lekarstwa skutkować nie mogą. Ano, nie stać ją było na cielęcinę... mniejsza z tem. Zaczęła się kąpać, zmyła trochę brudu ze skóry, ale marzła, zęby jej kłapały od tak wielkiej czystości, przeto dała pokój wodzie! Powiedziała, że nie mogła wytrzymać takiej czystości. I oto cóż zrobiła? Sprawiała sobie łańcuch od reumatyzmu, krzyż Volty, czy jak się tam zowie, i zawiesiła na szyi. Spytałem, czy mogę to obejrzeć. Płyta cynkowa, kawałek łacha, kilka haczyków większych i mniejszych i na tem koniec. — Nacóż — pytam — używa pani tego u licha? — Odpowiedziała, że jej to trochę ulżyło... że ból głowy zleżał i cieplej jej teraz. Naprawdę... ta płyta i te haczyki, jak mówiła, pomogły jej. Cóż robić? Mógłbym napluć na kawałek drzewa i dać jej, a zapewne pomogłoby tak samo. Ale próżno gadać. — Rzuć pani to świństwo! — powiadam. — Inaczej nie przyjdę już i nie tknę cię, kobieto, palcem! — I cóż, jak myślicie państwo, zrobiła? Nie rozstała się z płytą cynkową, a zrezygnowała ze mnie... Hi, hi, hi... puściła mnie na zieloną pa-



szę... Wielki Boże, trzebaby nie być lekarzem, ale szarlatanem...

Zasiadł wzburzony do kawy. Doktorowa zamieniła spojrzenie z Naglem i powiedziała, śmiejąc się:

— Pan Nagel uczyniłby to samo, co ta kobieta. Mówiliśmy na ten właśnie temat, nim przyszedłeś. Nie wierzy on w twą wiedzę.

— Tak? Nie wierzy? — odparł. — Ano, niechże sobie więc Nagel myśli co chce.

Pił kawę milcząc zły, obrażony, gniewny na złych pacjentów, którzy nie stosowali się do jego poleceń. W dodatku dokuczało mu, że goście siedzą i patrzą nań... — Róbcież państwo coś, ruszajcież się! — powiedział. Ale po kawie nabrał lepszego humoru, rozmawiał przez chwilę z Dagny, pokpiwał z człowieka, który go zawiózł łodzią do chorego, nawrócił ponownie do utrapień fachowych. Nie mógł zapomnieć odwrotnego zastosowania maści i twierdził, że wszystko to skutek dzikości, zabobonu i osielstwa, oraz głupoty, jaka włada masami prostego ludu.

— W każdym razie parobczak ten wyzdrowiał, — powiedziała Dagny.

Doktor, usłyszawszy to, skoczył, jakby ją chciał pożreć. — Wyzdrowiał? I cóż dalej? Czyż to zmienia fakt wołający o pomstę ciemnoty mas? Chłopak wyzdrowiał rzeczywiście, ale mógł sobie na nic spalić twarz! Czyż można stawać w obronie tak bydlęcej głupoty?

To fatalne spotkanie z pacjentem, który przeciwnie wykonał zlecenie, a mimo to wyzdrowiał, złościło doktora więcej, niż wszystko inne, a łagodne jego zazwyczaj oczy błyskały dziko z poza okularów. Złośliwy przypadek wypłatał mu figła, został też wzgardzony dla płyty cynkowej i nie mógł o tem zapomnieć, do-

póki prócz kawy nie wypił wielkiej szklanki mocnej tod dy. Potem rzekł nagle:

— Wiedz, Jetto, że m dał przewoźnikowi pięć marek. Ha... ha... ha... nie spotkałem dotąd takiego draba. Miał w spodniach na całym siedzeniu ogromną dziurę, ale za to ogromnie był silny i obojętny na niebezpieczeństwo. Istny djabeł! Śpiewał przez całą drogę. Chciał się zakładać, nie wiem o co, że stanąwszy na szczycie Etjebergu, dosięgnie wędką nieba. — Musiałbyś chyba podnieść się na palcach! — powiedziałem mu. Nie zrozumiałwszy żartu, oświadczył, że umie lepiej od wszystkich stać na palcach. Ha... ha... ha... czy kto słyszał coś podobnego? Bardzo mnie ubawił ten łotrzyk.

Wkońcu wstała panna Andersen, a za nią wszyscy i zaczęto się zabierać do domu. Nagel dziękował doktorowi za gościnę tak serdecznie, że go rozbroił całkiem, chociaż przez ostatnie pół godziny z kwaśną nań spozierał miną.

— Proszę zajrzeć niedługo! — powiedział mu doktor na odchodnem. — Czy masz pan cygaro? Weźże pan sobie jeszcze jedno cygaro na drogę!

Zmusił Nagla by wrócił po cygaro. Dagny czekała ubrana na schodach.

## VIII.

### JASNE NOCE.

Noc była piękna. Ludzie snujący się jeszcze po ulicach mieli wesołe twarze. Po podwórzu kościelnem chodził tam i z powrotem człowiek z taczkami i nucił zcicha. Pozatem panowała zupełna cisza.



Oglądane ze wzgórza, gdzie stał dom doktora, miasto wyglądało jak dziwny, ogromny owad, leżący na ziemi z rozczepierzonemi na wsze strony nogami, różkami i mackami. Czasem poruszył się jakiś członek, ściągnęły się szczypce, jak na przykład w tej chwili właśnie, w stronie portu, gdzie wybiegła na fale zatoki maleńka motorówka, ciągnąc za sobą brózdę po czarnej wodzie.

Dym cygara błękitniał w powietrzu. Nagel wciągał w piersi woń lasu i trawy, przepojony zadowoleniem, szczególną jakąś, a silną radością, od której łyzy mu się cisnęły do oczu i zapierało oddech. Szedł obok milczącej dotąd Dagny. Gdy mijali cmentarz, Nagel wyrzekł kilka słów pochwały dla doktorostwa, ale nie otrzymał odpowiedzi. Umilkł też, a cisza i piękność nocy oczarowały go tak bardzo, że oddychał spazmatycznie i mgłę miał przed oczyma. Ach, jakże niezrównane były te jasne noce! Po długiej chwili rzekł głośno:

— Proszę spojrzeć na te grzbiety gór,... jakże się ostro rysują! Jestem tak wesół, że proszę o pobłażanie. Dziś, z samego szczęścia gotówbym był wyrabiać głupstwa. A tam, te jodły, głązy skalne, jałowce i kretowiska, czyż nie wyglądają w świetle księżyca, jak grupy siedzących ludzi. Jakże rzeźwe, jak czyste jest powietrze nocne! Nie budzi niesamowitych przeczuc i nie tai się w tych mrokach tajemne niebezpieczeństwo... wszak prawda? Nie wolno gniewać się na mnie teraz... nie wolno! Wydaje mi się, że anioły śpiewają mi w duszy. Czy panią trwoży?

Przystanęła i dlatego spytał, czy ją trwoży. Uśmiechnięta spojrzała nań błękitnemi oczyma, spoważniała potem i rzekła:

— Myślałam nad tem, co pan jest za człowiek.

Mówiąc to, patrzyła nań badawczo. Przez całą drogę głos jej drżał, ale był jednocześnie jasny i dźwięczny, jakby się trochę bała i trochę radowała.

Zaczęli rozmowę, trwającą przez całą drogę, lasem. Szli powoli, przeskakując z tematu na temat i poddając się zmiennym ciągle nastrojom. Byli oboje podnieceni i niespokojni.

— Myślała pani o mnie, naprawdę? — spytał. — O, ja o pani myślałem dużo więcej. Wiedziałem o pani jeszcze przed przybyciem. Słyszałem nazwisko na pokładzie statku, podchwyciwszy przypadkiem rozmowę. Przybyłem w sam dzień dwunastego czerwca... akuratnie w ten dzień...

— Doprawdy?

— Tak. W całym mieście powiewały flagi, wydało mi się niesłychanie pociągające i dlatego wysiadłem. Zaraz też dowiedziałem się czegoś więcej o pani.

Uśmiechnęła się i spytała:

— Czy od Minuty?

— Nie. Słyszałem, że wszyscy tu kochają i podziwiają panią... — W tej chwili przyszedł nagle Nagłowi do głowy Karlsen, który przez tę właśnie miłość targnął się na własne życie.

— Czy pan na serjo ma takie, jak było wygłoszone, przekonanie co do oficerów marynarki?

— Naturalnie! Dlaczegożby nie?

— A więc godzimy się w tym punkcie.

— Czemużbym nie myślał tego, co o tem powiedziałem? Przepadam za oficerami marynarki i zawsze podziwiałem ich wolny sposób życia, piękny uniform, świeżość i męstwo. Są to przeważnie bardzo mili ludzie.



— Pomówmy teraz o panu. Cóż to zaszło pomiędzy panem a podsędkiem Reinertem?

— Nic. Czemuż pani wspomina o nim?

— Wczoraj prosiłeś pan go o przebaczenie czegoś, dziś zaś nie zamieniłeś pan z nim niemal słowa. Czy masz pan stale zwyczaj obrażać ludzi i przepraszać ich potem?

Roześmiał się i spuścił oczy.

— Prawdę mówiąc, źle uczynilem, obrażając podsędka. Ale sądzę, że wszystko zostanie po rozmowie z nim załatwione. Jestem trochę popędliwy, trochę rubaszny. Cała rzecz zaczęła się od tego, że mnie potracił w drzwiach. Była to więc z jego strony jeno drobna nieuwaga, ja jednak skoczyłem jak szalony, obrzuciłem go wyzwiskami, podsunąłem pod nos kufel piwa i załamałem mu kapelusz. On zaś wyszedł spokojnie, jak przystało kulturalnemu człowiekowi. Zaraz pożałowałem swego postępuku i postanowiłem złe naprawić. Coprawda, tłumaczy mnie potrochu fakt, że byłem silnie zdenerwowany, doznawszy tego dnia przykrości. Ale któż się z tem liczyć może, to też muszę całą winę wziąć na siebie.

Mówił bez namysłu, zupełnie szczerze, jakby chciał wymierzyć obu stronom pełną sprawiedliwość. Rysy twarzy nie zdradzały także podstępów. Ale Dagny zatrzymała się nagle, spojrzała nań zdziwiona i powiedziała:

— Nie... nie... wszystko odbyło się całkiem inaczej. Opowiadano mi coś wprost przeciwnego!

— Minuta kłamie! — zawołał silnie zaczerwieniony.

— Minuta? Wiem to nie od Minuty. Czemuż pan mówisz nieprawdę o samym sobie? Słyszałam wszystko od handlarza figurek gipsowych, siedzącego na rynku, który był świadkiem zajścia od początku do końca.

Pauza.

— Czemuż pan mówisz rzeczy kłamliwe o samym sobie? — ciągnęła dalej, nie spuszczaając zeń oka. — Dowiedziałam się wszystkiego dzisiaj i uradowało mnie to... chcę powiedzieć... wydało mi się, że postąpiłeś pan pięknie, z niezwykłą godnością. Było z tem panu do twarzy. Gdybym nie była dowiedziała się o sprawie dziś rano, nie miałabym odwagi iść z panem. Mówię to otwarcie.

Pauza.

Potem spytał:

— I teraz podziwia mnie pani z tego powodu?

— Nie wiem! — odparła.

— Tak... tak, podziwia mnie pani! Nie, proszę posłuchać! — zawołał po chwili. — Wszystko to jest czystą komedią. Pani jesteś atoli uczciwą osobą, nie mogę się tedy ważyć oszukiwać pani. Powiem też o co idzie.

Opowiedział jej zaraz z całą zuchwałością, bez drgnienia powiek jak całą sprawę ukartował:

— Starcie z podsędkiem przedstawiam po swojemu, przekręcam potrosze, mówię o sobie nieprawdę, a wszystko czynię przez czyste wyrachowanie, starając się wyciągnąć z tego czynu jak najwięcej korzyści. Widzi pani, że jestem szczerzy. Przypuszczam, że pani ktoś już powiedział, jak rzecz się miała, tedy oczerniając się zyskuję bardzo dużo, bo okrywam się w oczach pani blaskiem dostojęństwa i wielkoduszności niesłychanej... nieprawdaż? Dochodzę do tego drogą oszustwa tak płaskiego, że wzbudzi w pani oburzenie, gdy się dowiesz. Mimo to uważam za najwłaściwsze, powiedzieć prawdę, bo pani zasługuje na uczciwość. Ach, prawda... teraz zyskałem to jeno, żem się oddalił o tysiąc mil od pani.



Patrzyła nań uporczywie, dumiała nad tym człowiekiem i jego słowami, usiłując wyrobić sobie o nim zdanie. Cóż to znaczyło? Dokądże zmierzał z tą otwartością? Nagle stanęła znowu, uderzyła w dłonie i wybuchła rozgłośnym śmiechem.

— Ach! — zawołała. — Jesteś pan największym zuchwalcem, jakiego znam. Cóż to za metoda, oczerniać się raz po raz, opowiadając z całą powagą najniezdarniejsze bajdy, w celu szkodenia sobie! Tym sposobem nic pan u mnie nie wskórasz! To niesłychane! Któż panu zaręczył, że się dowiem, jak było naprawdę... no, mów pan! Albo zresztą nie, skłamałbyś pan znowu. Pfe... szkaradnie... ha, ha, ha! Słuchajże pan. Jeśliś sobie nawet wyrachował, że wszystko stanie się tak, a tak i że uzyskasz to, czego chcesz, to dlaczegóż psujesz pan potem sam całą rzecz odslaniając swe... jak pan zwiesz... oszustwo? Wczoraj uczyniłeś pan także coś w tym rodzaju. Nie rozumiem! Czemuż pan obliczasz wszystko, a nie bierzesz w rachubę, że sam zdradzisz swoje oszustwo?

Nie poddał się i odparł po chwili zastanowienia:

— Biorę i to w rachubę. Przyzna pani sama, że jeśli idę tu obok pani i spowiadam się, nie ryzykuję niczego, a co najmniej niewiele stawiam na kartę. Po pierwsze nie jest pewne, że osoba, której się spowiadam, wierzy mi, jak pani w tej chwili. A skutek jest taki, że zyskuję podwójnie. Zyskuję niesłychanie dużo, zysk mój wzrasta, niby lawina, rośnie do rozmiarów góry. Powtóre zaś, nawet w wypadku, jeśli mi pani wierzy, nie wychodzę bez zysku. Potrząsa pani głową? Proszę tego nie robić. Zaręczam, że tę metodę stosowałam już nieraz i zawsze wygrywałam. Jeśli pani wierzy w szczerłość mego wyznania, to w

każdym razie imponuje ono pani wielce. Powie pani sobie: — Oszukał mnie, coprawda, zrazu, ale zaraz, bez żadnego przymusu powiedział wszystko. Jego zachwalstwo jest mistyczne, niczego się nie lęka i zamyka swą pokorą wszystkie drogi. Krótko mówiąc, zmuszam panią, byś na mnie patrzyła, podniecam ciekawość, zmuszam byś się mną pani zajmowała i doprowadzam do pewnego lękania się mnie. Przed niespełną minutą powiedziałaś pani: — Nie rozumiem pana! — a to dlatego, żeś pani chciała mnie właśnie zrozumieć. Podnieca mnie to i jest mi nader miłe. W rezultacie odnoszę tedy korzyść, czy mi pani wierzy, czy nie.

Pauza.

— Chcesz pan we mnie, widzę, wmówić — odparła — żeś sobie cały podstęp ułożył zgóry, żeś pan wziął w rachubę każdy możliwy przypadek i poczynił wszelkie kroki. Ha, ha, ha! Teraz nie dziwię się już niczemu, cobyś pan powiedział, jestem na wszystko przygotowana. Ale dość tego! Mogłeś pan gorzej jeszcze nakłamać, gdyż z pewnością pan to czynisz.

Upierał się przy swoim, twierdząc, że z ostatnich nawet jej słów wynika, iż wspaniałomyślność jego wzrosła w potężną górę. Podziękował też ze śmiechem za to, iż osiągnął to co zamierzał. Wielka to łaskawość z jej strony, wielka dobroduszość...

— Dość tego! — przerwała mu. — Dajmy pokój! Teraz on stanął.

— Powtarzam, żeś zakpił z pani! — powiedział, patrząc w nią uporczywie.

Spoglądali na siebie przez chwilę. Serce Dagny zaczęło bić mocno i przybladła trochę. Czemuż to zależało mu, by miała o nim jak najgorszą opinię? Ustę-



pliwy we wszystkim, na tym punkcie był nieugięty. Cóż za manja prześladowcza? Cóż za głupstwo! Podrażniona wybuchnęła wreszcie:

— Nie pojmuję, czemu idziesz pan ze mną i wynętrasz się aż do dna duszy. Wszakże obiecałeś pan być grzecznym.

Gwałtowność jej była szczerą. Postępowanie Nagła mieszało ją, a żelazny upór zachwiał nią silnie. Przytem czuła niezadowolenie, że daje się tak wodzić za nos. Podniecona, uderzała parasolką po dłoni, on zaś popadł w nastrój desperacki i bąkał bezradnie i komicznie, tak że wybuchła ponownie śmiechem. Dała mu do zrozumienia, że go nie bierze serjo, bowiem jest niemożliwy i niemożliwym na zawsze pozostanie. Zaproponowała też, by mówił dalej, jeśli go to bawi, byle nie potrącał o tę swoją manję prześladowczą.

Pauza.

— Czy pani pamięta, — rzekł — tutaj właśnie spotkaliśmy się po raz pierwszy. Nigdy nie zapomnę... wyglądała pani czarownie w ucieczce swej... jak nimfa... jak zaziemska zjawa... Ale teraz opowiem, com przeżył pewnego dnia.

Jest to zresztą jeno fragment przeżycia i opowieść nie potrwa długo.

Siedziałem w swym pokoiku, w małym miasteczku, nie w Norwegji... zresztą obojętne, gdzie to było... słowem, przed ośmiu laty, w r. 1883 siedziałem w pokoju pewnego jesienno, łagodnego wieczoru, zwrócony tyłem do drzwi i czytałem książkę.

— Miałeś pan lampę?

— Tak. Na dworze ciemno już było zupełnie. Siedziałem, czytając. Nagle usłyszałem wyraźnie kroki na schodach, potem pukanie. Powiedziałem: — Proszę!

— Ale nie wszedł nikt. Otworłem drzwi... nie było nikogo. Zadzwoiłem i spytałem pokojówki, czy ktoś szedł schodami. Nie! Ano to dobrze! Dobranoc! Dziewczyna odeszła.

Siadłem zpowrotem nad książką. Nagle uczułem oddech, tchnienie, jakby człowiecze, i szeptał: — Chodź! — Obejrzałem się... nie było nikogo. Zacząłem ponownie czytać, uczułem gniew i mruknąłem: — Do diabła! — Wtem ujrzałem obok siebie małego, bladego człowieczka o rudej brodzie i szczecinowatych włosach, sterczących w górę. Stał po lewej stronie i mrugał jednym okiem. Mrugnąłem w odpowiedzi i tak, chociaż nieznani sobie, mrugaliśmy przez chwilę. Zamknąłem książkę, a człowieczek podszedł do drzwi i zniknął, widziałem to wyraźnie. Wstałem, zbliżyłem się również do drzwi i usłyszałem szeptał: — Chodź! — Dobrze. Wdziałem płaszcz, kalosze i wyszedłem. Przyszło mi na myśl wziąć cygaro na drogę. Wróciłem, zapaliłem, wziąłem kilka cygar, niewiedomo poco, i wyszedłem.

Było strasznie ciemno, nie widziałem nic, ale czułem że człeczek kroczy obok mnie. Zacząłem machać rękami, by go dosięgnąć. Postanowiłem stawić opór, o ile mi nie da jakichś wyjaśnień. Ale nie było nikogo. Mrugałem też oczyma w różnych kierunkach, ale nic nie pomogło. — Dobrze! — powiedziałem sobie. — Nie idę, by cię usłuchać, ale z własnej woli. To przechadzka... pamiętaj o tem, jeśli łaska! — Mówiłem głośno, by mnie słyszał. Szedłem kilka godzin, znalazłem się za miastem, w lesie i czułem na twarzy mokre gałęzie i liście. — Dość tego! — powiedziałem, dobywając zegarka. — Teraz wracam! — Ale nie zawróciłem, nie byłem w stanie wracać. — Śliczna pogoda! — zauważyłem. — Możesz sobie tak wędrować przez całą



noc, lub przez kilka nawet nocę. Masz czas! — Powiedziałem to, mimo, że byłem zmęczony i porządnie przemokłem. Zapaliłem świeże cygaro, czując przy sobie ciągle tajemniczego człowieczka. Miałem na twarzy oddech jego. Kroczyłem bez przestanku w różne strony, ani razu jednak w kierunku miasta. Nogi mnie bolały, aż do kolan byłem mokry, a z twarzy lały się strumienie wody, skutkiem ciągłych uderzeń gałęzi. Powiedziałem do siebie: — Trochę dziwnie wygląda ta nocna włóczęga po lesie. — Ale od dziecka nawykłem spacerować tak nocą po najgęstszych borach! Zacisnąwszy zęby, szedłem dalej. Nagle usłyszałem bicie zegara raz... dwa... trzy... aż do dwunastu. Te znane tony orzeźwiły mnie bardzo, mimo złości, że po tak długiej wędrówce nie oddaliłem się od miasta. Z ostatniem uderzeniem, ujrzałem tuż przed sobą najwyraźniej dziwnego człowieczka. Stał i śmiał się. Nie zapomnę tego póki żyję... widziałem go dokładnie, spostrzegłem nawet, że mu brak dwu przednich zębów. Ręce miał założone na plecach.

— Jakżeś go pan mógł widzieć pociemku?

— Świecił sam, przedziwnem światłem, które błyszczało, jakoby poza nim, dobywało się gdzieś, z grzbietu i czyniło przejrzystym. Odzież jego nawet była jasna, spostrzegłem, że ma zbyt krótkie i zniszczone spodnie. Trwało to ledwo sekundę. Zdziwiony tą zjawą, zamknąłem bezwiednie oczy i cofnąłem się krok, a gdym spojrział znowu, człowieczek znikł...

— Ach!...

Ruszyłem dalej i znalazłem się pod wieżą. Stała tuż przede mną, widziałem ją dobrze i dotykałem. Była to czarna, ośmioboczna wieża, podobna do Wieży Wiatrów w Atenach, którą pani może widziała na ry-

cinie. Nie słyszałem nigdy, by istniała wieża w tym lesie. Ale była. Stanąwszy pod nią, usłyszałem znowu wyszeptane: — Chodź! — i wszedłem do wnętrza. Brama została poza mną otwarta i odczułem to jako wielką ulgę.

W sklepiastej sieni spotkałem znowu tajemniczego człowieczka. Na ścianie wisiała lampka, tak żem go mógł widzieć dokładnie. Wyszedł naprzeciw, jakby się stąd nigdy nie wydalał, stanął przede mną i śmiał się, milcząc. Spojrzałem mu w oczy i spostrzegłem, że pełne są rzeczy strasznych, na jakie patrzeć musiały w życiu. Mrugnął na mnie, ale nie odpowiedziałem, przeciwnie, cofałem się w miarę, jak podchodził ku mnie. Nagle usłyszałem poza sobą lekkie kroki, a obejrzawszy się, zobaczyłem młodą kobietę.

Rozradowany jej widokiem, spostrzegłem zaraz, że ma rude włosy i czarne oczy. Odzież jej była nędzna, kroczyła boso po kamiennej posadzce, ale nagie jej ramiona białe były i bez plamki.

Przez chwilę spoglądała na nas obu, potem schyliła przede mną głowę i podeszła do małego człeczka. Nie mówiąc słowa, zaczęła szukać czegoś po nim, rozpinać odzież i za chwilę dobyła z podszewki płaszcza maleńkie jaskrawe światelko, które zawiesiła sobie na palcu. Błyszczało tak silnie, że przyćmiło zupełnie lampkę wiszącą na murze. Człeczek stał spokojnie podczas przeszukiwania i uśmiechał się wciąż. — Dobranoc! — powiedziała kobieta, wskazując na jakieś drzwi, a człeczek ów, to pół-zwierzę, usłuchał natychmiast i poszedł. Zostałem sam ze zjawioną istotą.

Przystąpiła do mnie, skłoniła mi się nisko i spytała bez uśmiechu, nie podnosząc głosu:

— Skąd przybywasz?



— Z miasta, śliczna dziewczyno! — powiedziałem.  
— Z miasta!

— Cudzoziemcze, przebacz memu ojcu! — rzekła porywczo. — Nie czyn nam nic złego. On jest chory, szalony... widziałeś przecież oczy jego.

— Widziałem jego oczy, uczułem ich moc nad sobą i przyszedłem tutaj.

— Gdzieś się z nim spotkał?

— U siebie, w domu, w pokoju. Siedziałem, czytając, gdy przyszedł.

Potrząsnęła głową i spuściła oczy.

— Nie martw się tem, drogie dziecko! — powiedziałem. — Rad jestem z przechadzki, nie straciłem nic przez to, a w dodatku spotkałem ciebie. Widzisz, jestem wesoły i zadowolony, uśmiechnij się też do mnie.

Ale nie uśmiechnęła się i rzekła:

— Zdejm trzewiki. Nie możesz wracać tej nocy. Wysuszę twoje suknie.

Spojrzałem po sobie. Ubranie ociekało wodą, a trzewiki były również przemoczone zupełnie. Uczyniłem, co chciała i podałem jej trzewiki. Gdy się to stało, zgasiła światelko i rzekła:

— Chodź!

— Czekałże... — odparłem, powstrzymując ją.  
— Czemuż kazałaś to mi zdjąć trzewiki, gdy przecież nie będę tutaj spał!

— Nie wolno ci tego wiedzieć... — odparła.

I nie dowiedziałem się.

Wprowadziła mnie do ciemnej komnaty, posłyszałem szmer, jakby coś węszyło za nami, uczułem miękką dłoń na ustach, a dziewczyna rzekła głośno:

— To ja, ojcie. Tamten człowiek odszedł już!

Raz jeszcze usłyszałem węszenie potwornego szaleńca.

Wstąpiliśmy na schody, trzymała mnie za rękę, szliśmy bez słowa. Stanęliśmy znowu w ciemnej, sklepiastej komnacie, nie rozjaśnionej jednym nawet błyskiem światła.

— Cicho! — szepnęła. — Tu jest moje łóżko.

Trafiłem omackiem do łóżka.

— Zdejm ubranie! — szepnęła znowu.

Zdjąłem i oddałem jej.

— Dobranoc! — powiedziała.

Zatrzymałem ją, prosiłem by została.

— Zaczekaj! Nie odchódź! Teraz wiem, czemuś mi kazała zdjąć trzewiki. Będę się zachowywał cicho, by ojciec twój nie usłyszał mnie. Chodź!

— Dobranoc! — szepnęła ponownie i poszła.

Pauza. Dagny pałała rumieńcem, piersi jej falowały, nozdrza drgały. Spytała zadyszany głosem:

— Czy poszła naprawdę?

Pauza.

— Od tej chwili zaczęło się coś, co mógłbym nazwać feerją z bajki. Pamiętam wszystko dokładnie...

Zostałem sam, a ciemność otaczająca mnie była ciężka i gęsta, niby aksamit. Kolana mi drżały ze zmęczenia i byłem oszołomiony. Ten drab szalony włączył mnie ze sobą całymi godzinami wkrótce po mokrej trawie, niby bydlę, a ja siedłem za jego spojzeniem i szeptaniem: — Chodź! Chodź! — Następny razem wyrwę mu światełko i dam w gębę. Zły i rozgoryczony zapaliłem cygaro i ległem spać. Przez chwilę leżałem, patrząc na żar cygara. Nagle usłyszałem, że brama na dole zapada i nastała cisza.

Minęło dziesięć minut. Proszę uważać, że leżałem zupełnie przytomny i paliłem cygaro. Nagle posłyszałem w górze szum, jakby w sklepieniu otwarto



mnóstwo wentylów. Uniosłem się na łokciu, pozwoliłem zgasnąć cygaru, wbiłem oczy w ciemność, ale nie mogłem dostrzec niczego. Ległem znowu, nasłuchując i uchwyciłem daleki śpiew chóralny, nieustanny śpiew tysięcy głosów, dochodzący skądś wokół mnie, z góry, z nieba, czy szczytu wieży. Uniosłem się ponownie na łokciu i to com przeżył, napełnia mnie dziś, gdy wspomnę, przedziwną, zaziemską radością, Niespodzianie zalała mnie fala maleńkich, oślepiająco jasnych, białych istotek. Były to mirjady drobniutkich aniołków, a strumień ich płynął pochyło, tworząc coś w rodzaju świetlanej zasłony, czy muru. Napełniły całą komnatę aż pod sklepienie. Było ich mnóstwo, falowały w przestrzeni i śpiewały, a były nagiśienkie. Na ten widok serce mi bić przestało. Nasłuchiwałem śpiewu, one zaś muskały mi powieki, siadały we włosach, a całą izbę przepajał zapach ulatujący z ich maleńkich, otwartych usteczek.

Oparty na łokciu, wyciągnąłem dłoń, a kilka siadło zaraz na niej. Wyglądały na mej dłoni jak siedem gwiazdek, a gdym się pochylił i spojrzał im w oczy, spostrzegłem, że są ślepe. Puściłem siedmiu ślepców, schwyciłem siedem innych aniołków i przekonałem się, że i one są ślepe. Wszystkie były ślepe, cała wieża pełna była ślepych, śpiewających aniołków.

Nie ruszałem się, ale tchu mi zbrakło na ten widok, a ślepe oczy aniołków wprawiały mnie w bolesny, smutny nastrój.

Upłynęła minuta. Leżałem zasłuchany i nagle coś uderzyło tępo, zadudniło, zostawiając po sobie długi pogłos grzmotu. To zegar miejski wybił pierwszą.

Odrazu znikł śpiew aniołków. Widziałem jak się szykują, odlatują, pchają i przynaglają, by zniknąć

pod dachem. Świetlisty mur unosił się coraz to wyżej, a każdy z aniołków spozierał na mnie przed odlotem. Ostatni również obrócił się i rzucił mi spojrzenie ślepych oczu, nim zniknął.

Ten ostatni ślepiec to zarazem ostatnie me wspomnienie. Ogarnęła mnie ciemność, padłem na łóżko i zasnąłem.

Gdym się zbudził, dzień był jasny. Byłem sam w sklepiastej komnacie. Odzież moja leżała poskładana na ziemi, ale chociaż była jeszcze nieco wilgotna, ubrałem się co prędzej. Po chwili weszła dziewczyna widziana wczoraj.

Zbliżyła się, a ja spytałem:

— Skąd przybywasz? Gdzie spędziłaś noc?

— Tam! — powiedziała, wskazując na dach.

— Nie spałaś?

— Nie, czuwałam.

— Czyś słyszała w nocy muzykę? Była niezrównana.

— Tak. To ja grałam i śpiewałam.

— Ty? Ty, naprawdę, dziewczyno?

— Ja.

Podawała mi rękę i rzekła: — Chodź teraz, doprowadzę cię do drogi.

Krocząc, ręka w rękę, opuściliśmy wieżę i wydostali się z lasu. Słońce złociło jej włosy, a czarne oczy były tak piękne. Objąłem ją w ramiona i dwa razy pocałowałem w czoło, ona zaś uklękła przede mną. Drżącymi rękami zdjęła czarną wstążkę i otoczyła mi nią przegub ręki, a czyniąc to, płakała i była wzruszona. Spytałem:

— Czemuż płaczesz? Jeśli ci sprawiam przykrość, to opuść mnie.



— Czy widzisz stąd miasto? — powiedziała w odpowiedzi.

— Nie, nie widzę! A ty widzisz?

— Wstań i chodźmy dalej! — rzekła i wzięła mnie znowu za rękę. Zatrzymałem się, przycisnąłem ją do piersi i wyszeptalem:

— Kocham cię! Napelniasz mnie szczęściem!

Drżała w mych objęciach, ale odparła:

— Muszę wracać. Widzisz już pewnie miasto.

— Widzę... a i ty je widzisz chyba?

— Nie! — powiedziała.

— Czemuż to?

Cofnęła się, spojrzała szeroko otwartemi oczyma i odchodząc, skłoniła mi się nisko. Uczyniwszy kilka kroków, obróciła się raz jeszcze i spojrzała.

W tej chwili zauważyłem, że i ona była ślepa...

Nastąpiło dwanaście godzin, z których nie mogę sobie zdać sprawy. Zostały one wymazane z mej świadomości i nie wiem, gdzie się podziały. Biłem się po głowie i powtarzałem sobie, że idzie o dwanaście godzin, że muszą gdzieś być, tylko się schowały, a ja muszę je odnaleźć. Niestety nie znalazłem ich...

Znowu nastał ciemny, łagodny wieczór jesienny. Siedziałem w pokoju z książką w ręku i spoglądałem po trzewikach mokrych jeszcze trochę, oraz patrzyłem na przegub ręki, na którym widniała czarna wstążka. Wszystko było tedy prawdą.

Zadzwoiłem i spytałem pokojówki, czy jest tu w lesie ośmioboczna stara wieża. Dziewczyna potwierdziła. Spytałem, czy mieszkają tam ludzie, i dowiedziałem się, że w wieży mieszka starzec chory i opętany, zwany „Błędny ognek,” który ma córkę. Poza tem nie mieszka tam nikt.

Podziękowałem za informację i położyłem się spać.

Nazajutrz, wczesnym rankiem ruszyłem do lasu. Odnalazłem drogę, poznałem drzewa i dotarłem do wieży. Zbliżywszy się do bramy, ujrzałem rzecz taką, że mi serce bić przestało. Pod wieżą leżała roztrzaskana, pokaleczona i martwa ślepa dziewczyna. Usta miała otwarte, a słońce złociło jej włosy. W górze na blanku wieży powiewał strzęp sukni, oderwany w skoku, a u dołu chodził po ścieżce mały człeczek, ojciec zmarłej, patrzył na zwłoki, wił się z bólu, krzyczał, ale nie umiał uczynić nic ponad to chodzenie i ten krzyk. Spojrzał na mnie tak, że zadrżałem pod tem straszliwym wejrzeniem i uciekłem przerażony do miasta. Nie widziałem go już nigdy potem...

Taką miałem przygodę.

Milczeli długo oboje. Dagny kroczyła zwolna, patrząc w ziemię. Wkońcu rzekła:

— Mój Boże! Co za dziwne zdarzenie!

Nastala znowu cisza. Nagel starał się przerwać ją, zwracając uwagę na wielki spokój, panujący w lesie.

— Czy czuje pani, jak właśnie w tem miejscu las pachnie? Możebyśmy usiedli na chwilę?

Milcząc dalej, usiadła zadumana, a on naprzeciw niej.

Wydało mu się, że powinien ją rozweselić. Starał się tedy wyjaśnić, iż nie była to zgoła smutna, ale przeciwnie, wesoła bajka. Bo... w Indjach słyszy się inne bajki, od których traci się dech i czuje zamróz strachu. Są dwa rodzaje — mówił — baśni hinduskich. Jedne nadziemskie, z wspaniałemi grotami diamentowemi, książętami z gór tajemnych, czarującemi kobietami z dna morza, duchami ziemi i powietrza, pałacami z pereł, latającemi końmi, lasami ze złota i srebra. Drugie przeciwnie biorą za temat rzeczy



mistyczne, wielkie, szczególne i cudowne. Żaden lud wschodu nie może iść z Hindusami w zawody, o ile chodzi o takie gorączkowe twory fantazji. Życie im upływało zawsze w środowisku baśni, to też z równą łatwością mówią o cudownych pałacach, wrózkach za górami, jak o zaświatowej mocy, która tkwi kędyś w przestrzeni, milcząca, straszliwa i żuje gwiazdy. Przypisuję to odmiennym warunkom klimatycznym i temu, że ludzie owi jadali owoce, nie zaś befsztyki.

Dagny spytała:

— Czyż nie posiadamy własnych, doskonałych baśni?

— Przewyborne! Tylko są one całkiem innego rodzaju. Nie mamy pojęcia o słońcu, wyposażonem w żar nieprawdopodobny. Nasze baśni trzymają się ziemi, lub schodzą pod ziemię. Są to wytwory fantazji chłopskiej, zrodzone podczas długich nocy zimowych, w chatach z kłodzin budowanych, z otworem na dym w dachu. Wszakże pani czytać musiała baśni tysiąca i jednej nocy. Inne są baśni nasze, gusbrandstałskie na przykład, pełne chłopskiej poezji, fantazji, kroczącej pieszo, swoiste i przepojone naszym, własnym duchem. Nie wprawiają nas w drżenie, są miłe, łatwe i pobudzają do śmiechu. Bohater nasz, to nie wspaniały książę, ale chytry latarnik. Co pani powiada? To prawda, wszystkie baśni ludów północnych są podobne. Mnóstwo wzięliśmy z mistycznych i dzikich uroków morza. Sam taki n. p. okręt mórz północnych stałby się w oczach orientala czemś baśniowem, łodzią duchów. Widziała pani kiedyś taki żaglowiec stary? Nie? Wydaje się, że ma płeć żeńską, że jest to potworna samica z brzuchem wypchanym potomstwem i wąskim zadem, na którym może usiąść. Dziób sterczy w powietrzu, niby trąba, wzywająca wiatry czterech

stron świata... Żyjemy zbyt wysoko na północy... zresztą to co mówię, jest jeno skromną opinią agronoma o fenomenie geograficznym...

Widocznie znużyła ją jego paplanina, gdyż błękitne oczy nabrały nieco drwiącego wyrazu. Spytała:

— Która godzina?

— Która godzina? — powtórzył nieprzytomnie. — Pewnie będzie pierwsza. Jeszcze wcześniej. Zresztą cóż znaczy pora dnia, czy nocy?

Pauza.

— Co pan sądzisz o Tołstoju? — spytała.

— Niecierpię go! — zawołał i rzucił się nań zaraz.

— Nie cierpię Anny Kareniny, Wojny i Pokoju...

— A co pan sądzisz o wiecznym pokoju?

Był to cios co się zowie. Zmieszał się, rysy mu się ściągnęły.

— Do czego pani zmierza? — spytał. — Ach tak... musiałem panią znudzić śmiertelnie.

— O nie, nie! — zawołała śpiesznie i oblała się rumieńcem. — Przyszło mi tylko na myśl... proszę za złe nie brać. Widzi pan, urządzamy bazar, to znaczy p zedstawienie i loterję na dochód obrony kraju, to też wpadło mi to do głowy.

Pauza. Nagle spojrzał na nią rozbłyśnięmi oczyma...

— Taki dziś jestem wesoły — powiedział — że za dużo gadam. Cieszy mnie wszystko, głównie zaś to, że mogę pani towarzyszyć. Cieszy mnie również piękność tej nocy, jakiej równie pięknej nie przeżyłem dotąd. Nie wiem czemu, ale zdaje mi się, że jestem sam częścią tego lasu, czy tej okolicy, czy sośnianej gałęzi, czy nawet, powiedzmy, kamienia, o ile jest on



przepojony subtelną wonią i pokojem, jaki nas otacza. Spójrz pani tam, zaczyna dzień, ot tam błyszczy srebrzysty pas.

Spojrzeli w kierunku świetlnego pasa.

— I mnie dziś wesoło! — powiedziała.

Wyrzekła to bez przymusu, z własnego impulsu, jakby jej te słowa bezpośrednio sprawiały radość. Nagel popatrzył na nią uważnie i dostał znowu wody na swój młyn. Zaczął mówić nerwowo i impulsywnie o świętojańskiej nocy, o kołysaniu się lasu i szumie jego i o tem, że świtający dzień wywołuje w nim zmianę, dobywając na powierzchnię skryte we wnętrzu moce. Zacytował Grundtviga: — My, dzieci słońca czujemy, że noc przeminęła... — Potem zaproponował, że jeśli ją nuży gadanina, to pokaże jej sztuczkę z gałęzią i żdźbłem, przy czem okaże się, iż żdźbło silniejsze jest od gałęzi. Oświadczył, że wszystko uczyni...

— Spójrz pani, pozwól mi wskazać na najdrobniejszą rzecz, która czyni na mnie wrażenie, na przykład na ten jałowiec, opodal. Pochyliła się ku nam formalnie z życzliwością i pozdrawia. Od sosny do sosny rozpina pająk tkaninę swoją, podobną chińskiej siatce, podobną słońcu utkanemu z wody. Może pani chłodno? Pewny jestem, że w tej oto chwili tańczą wokół nas rozgrzane ruchem elfy-dziewczęta. Ale mimo to, jeśli pani zimno, rozniecę ognisko... Ach... coś mi przyszło do głowy... Wszakże tu gdzieś, niedaleko znalaziono Karlsena...

Była to zemsta, za otrzymany poprzednio cios. Wszystkiego było się można po nim spodziewać.

Drgnęła, błysnął w jej oczach wyraz niechęci i rzekła:

— Zostawże go pan, proszę, w spokoju! Czy słyszał kto coś podobnego?

— Przepraszam! — odrzekł i zboczył na inny tor.  
— Mówiono, że był w pani zakochany... nie dziwię się wcale...

— Zakochany, we mnie? Czyż nie mówią również, że się zabił z mego powodu i to moim scyzorykiem? Już musimy iść.

Wstała. Ostatnie słowa wyrzekła smutnym głosem, ale bez zmieszania i z całą szczerością. Nagel zdumiał się. Wiedziała, że doprowadziła do śmierci jednego ze swych wielbicieli i nie wykorzystywała tego dla siebie, ani nie natrzęsała się, mówiąc o wydarzeniu, jak o rzeczy pożałowania godnej i koniec. Jasne jej włosy rozsypywały się po kołnierzu sukni, policzki o świeżym, ciepłym tonie, wilgne nieco od rosy nocnej, przysnuła ciemność, idąc, kołysała się zlekka w wydatnych biodrach.

Wyszli z lasu, przed nimi leżała rozległa polana, zaszczekał pies, a Nagel rzekł:

— Oto już plebanja. Jakże zacisznie wyglądają te białe budynki, ogród, psia buda i maszt flagowy pośród gęstwy leśnej. Czy nie zatęskni pani do tego kiedyś po wyjeździe, po ślubie? Choć prawda, wszystko zależy od tego, gdzie pani zamieszka.

— Nie rozmyślałam nad tem dotąd! — odparła. — Każdy dzień ma swe własne troski.

— I swe radości.

Pauza. Zapewne rozważyła jego słowa, bo rzekła:

— Proszę pana, nie dziwić się, żem z panem tak długo spacerowała po lesie. Jest to tutaj istotnym zwyczajem, gdyż my, żyjąc tu niemal jak chłopci, dzieci natury, chętnie z nią obcujemy. Nieraz chodzę tą drogą z adjunktem do białego rana i rozmawiamy.

— Z adjunktem? Wydało mi się, że adjunkt nie jest wcale rozmowny.



— To prawda. Mówię ciągle niemal sama... to znaczy pytam, a on odpowiada. Cóż pan uczynisz teraz, wróciwszy do domu?

— Co uczynię teraz, gdy wrócę? Położę się i będę spał... aż do południa... jak kamień... jak nieżywy, nie budząc się i nie śniąc. A pani?

— Czy pan nie rozmyśla przed zaśnięciem, nie leży długo jeszcze bezsennie, marząc o różnościach? Czy sen przychodzi panu zaraz?

— Natychmiast. A pani nie?

— Słyszysz pan? Ptak śpiewa. Musi być znacznie później, niż pan mówił. Proszę mi pokazać zegarek. Na miły Bóg, już po trzeciej, już niemal czwarta! Dlaczegoż to przed chwilą mówiłeś pan, że dopiero pierwsza?

— Proszę przebaczyć... — rzekł:

Spojrzała nań, bez niezadowolenia zresztą, i powiedziała:

— Nie było potrzeby okłamywać mnie. Byłabym została z panem i tak do tej pory. Mówię całkiem szczerze i proszę do tych słów nie przywiązywać żadnego innego, niewłaściwego znaczenia. Niewiele mam rozrywek, a te, które się nadarzają, chwytam oburącz. Nawykłam żyć w ten sposób od kiedy tu jestem i nie sądzę, by to kogoś raziło. Może zresztą i razi, ale nic sobie z tego nie robię. Ojciec, w każdym razie, nie oponuje, a to mi wystarcza. Przejdźmy się jeszcze trochę.

Minęli plebanję i weszli w las, po drugiej stronie polany. Ptaki śpiewały, biały pas świtu na wschodnim niebie rozszerzył się znacznie, ale rozmowa o rzeczach obojętnych utraciła żywość poprzednią.

Niebawem też zawrócili i weszli w bramę plebanji.

— To ja, Biks, to ja! — zawołała na psa szarpiącego łańcuch. — Dziękuję za towarzystwo, panie Nagel. Był to piękny wieczór. Będę miała o czym donieść narzeczonemu. Napiszę, że pan we wszystkim różnisz się od reszty ludzi. Widzę już jak medytuje nad listem, nie mogąc go zrozumieć. Ach! Jakiż on dobry... Nie sprzeciwia się nikomu. Szkoda tylko, że go pan nie pozna przez czas swego pobytu w tych stronach... Dobranoc!

Nagel powtórzył parę razy: dobranoc i patrzył za nią, aż znikła w drzwiach domu.

Zdjął czapkę i niósł ją w rękę, idąc przez las. Był bardzo zadumany, przystawał, patrzył przed siebie i ruszał znowu powolnym krokiem dalej. Cóż za głos! Jakiż ona ma głos! Nie słyszał dotąd takiego głosu, brzmiącego niby śpiew.

## IX.

Nazajutrz w południe.

Nagel wstał i wyszedł bez śniadania. Wałęsał się długo po mieście, a potem ruszył ku portowi, zwabiony pogodą i ruchem tu panującym. Nagle zwrócił się do przechodnia i spytał, gdzie jest gmach sądowy. Użytkawszy informację, poszedł tam zaraz.

Zapukał, wszedł, minął kilku zajętych pisaniem panów i poprosił podsędkę Reinerta o rozmowę w cztery oczy, zaręczając, że długo nie potrwa. Podsądek wstał trochę niechętnie i udał się z nim do sąsiedniego pokoju.

Nagel rzekł:

— Proszę wybaczyć, że wracam do wiadomej sprawy z Minutą. Niniejszem przepraszam pana solennie za moje zachowanie.



— Uważam rzecz za załatwioną kompletnie przez pańskie oświadczenie, złożone w noc świętojańską wobec całego towarzystwa! — powiedział Reinert.

— To ślicznie! — rzekł Nagel. — To bardzo ładnie! Ale nie zadowalnia mnie jeszcze tego rodzaju rozwiązanie. To znaczy osobiście uważam, że wszystko w porządku, natomiast idzie jeszcze o Minutę. Bardzo mi zależy na tem, byś pan uznał, że Minucie należy się zadośćuczynienie i że to pan właśnie winieneś mu je dać.

— Czy, pańskiem zdaniem, mam prosić tego błazna o przebaczenie tych głupich żartów? Tak pan sądzisz? Radzę, nie wtrącaj się pan w nie swoje rzeczy...

— Zupełna racja... Ale wracając do rzeczy... podarłeś pan surdut Minuty i wobec świadków przyobiecawszy mu pan nowy... wszak prawda?

— Powiem panu coś. Znajdujesz się pan w gmachu urzędowym, a gadasz o sprawach prywatnych, które pana, w dodatku, nic a nic nie obchodzą. Tu ja jestem panem. Proszę, możesz pan nie przechodzić zpowrotem przez biuro... na ulicę wyjdiesz pan wprost temi drzwiami.

Powiedziawszy to, uchylił podsędek małe drzwiczki.

— Dziękuję! Ale sądzę, że powinienbyś pan niezwłocznie posłać Minucie obiecany surdut. Potrzebuje go bardzo, a zawierzył pańskiemu słowu.

Podsędek otworzył drzwi naściężaj i zawołał:

— Proszę bardzo!

— Minuta przypuszczał, że pan jesteś człowiek uczciwy i nie należałoby go zawodzić! — powiedział Nagel.

Podsędek otworzył na to drzwi do biura i przywołał dwu urzędników. Nagel włożył czapkę i wyszedł bez słowa.

Sprawa wzięła tedy obrót niekorzystny i lepiej było nie próbować. Nagel wrócił do domu, zjadł obiad, przeczytał dzienniki i pobawił się z psem Jakobsena.

Po południu zobaczył z okna Minutę, idącego kamienistą drogą od strony wybrzeża, z wielkim workiem węgla na plecach. Kroczył nisko pochylony, ledwo mogąc widzieć coś przed sobą. Ciężar tłoczył go ku ziemi, szedł krzywo, a wewnętrzna strona spodni, wyświechtana była od ciągłego tarcia. Nagel wyszedł naprzeciw i spotkał go przed pocztą, gdzie złożył na chwilę worek.

Obaj skłonili się sobie równie nisko. Gdy się Minuta wyprostował, zwisło mu lewe ramię. Nagel chwycił za to ramię i spytał bez wstępu, wielce wzburzony:

— Czyż pan rozgadał o tych pieniądzach otrzymanych ode mnie, czyś wspominał komu?

Minuta odrzekł zdziwiony:

— Nie, zaręczam, że nie...

— Zapamiętaj pan sobie! — zawołał Nagel blady z podniecenia. — Zapamiętaj sobie, że jeśli piśniesz słówko o tych kilku groszach, to... jak Bóg miły, zabiję cię! Rozumiesz pan? I stryj musi również milczeć!

Minuta stał oszołomiony i bąkał z trudnością, że nie powie nikomu, że to obiecuje... ślubuje uroczyście...

Nagel dodał zaraz, w celu wyjaśnienia, czemu był tak wzburzony:

— Miasteczko, to istna dziura prowincjonalna. Ruszyć się nie mogę, bo każdy wlepia we mnie zaraz ślepie. Nie życzę sobie tego szpiegostwa... gwizdę na wszystkich. Pamiętaj pan, żem ostrzegał. Mam powody przypuszczać, że na przykład panna Kielland z plebanji wydobywa z pana więcej, niż mi to miłe. Jest to chytra i ciekawa osoba, ale nie chcę o tem wiedzieć. Byłem w jej towarzystwie wczoraj wieczór, i przekonałem się,



że z niej wielka kokietka. Ale mniejsza z tem. Proszę tedy raz jeszcze milczeć o tej drobnostce między nami. Dobrze zresztą, że pana spotkał... idzie o coś innego. Siedzieliśmy, wszak prawda obaj, przedwczoraj na nagrobku.

— Tak jest.

— Napisałem na kamieniu wiersz, przyznaję sam, nie-stosowny i zły, ale mniejsza z tem. Napisałem go i był tam gdym odchodził, za powrotem jednak, po małej chwili, nie znalazłem nic. Ktoś go zmazał... czy to pan?

Minuta spuścił oczy i powiedział:

— Tak, ja.

Pauza. Minuta zaczął po chwili tłumaczyć niespokojnie swe zuchwalstwo, swój uczynek na własną rękę, na którym został schwytany.

— Chciałem zapobiec... pan nie znał Miny Meek, gdyż nie uczyniłby pan tego, nie napisałby pan wiersza... Powiedziałem sobie zaraz... nie ponosi winy... jest tu obcy, ja zaś, człowiek miejscowy, mogę wszystko naprawić... Czyż mogłem tego nie zrobić? Wymazałem wiersz, zanim go ktoś przeczytał.

— Skądże pan wiesz, że go nikt nie czytał?

— Nikt. Pożegnawszy pana i doktora Stenersena u bramy, wróciłem zaraz i wymazałem. Upłynął ledwo moment.

Nagel spojrzał i w milczeniu uściśnął dłoń Minuty. Patrzyli na siebie, a usta Nagla drżały trochę.

— Bądź pan zdrow... — powiedział. — Acha! Czyś pan dostał surdut?

— Hm... dostanę go napewno, gdy mi będzie potrzebny... Za trzy tygodnie...

W tej chwili minęła ich białowłosa kobieta, Marta Gude. Niosła ukryty pod fartuchem koszyk. Szła szybko, spuściwszy na ziemię czarne oczy. Minuta skłonił się i Nagel także, ale skinęła niepostrzeżenie, podążyła na plac targowy, sprzedała dwa, czy trzy jaja i odeszła, trzymając w ręku kilka uzyskanych groszy. Miała cienką, zieloną suknię. Nagel rzekł, nie spuszcza-  
jąc tej sukni z oczu:

— Więc za trzy tygodnie potrzebujesz pan surduta? Czemuż to aż za trzy tygodnie?

— Ma się odbyć bazar, czyli wielkie przedstawienie wieczorne. Pewnie pan słyszał... Otóż mam brać udział w żywych obrazach, panna Dagny zaprosiła mnie.

— Tak! — rzekł w zadumie Nagel. — Ano, otrzymasz pan surdut niezadługo. Podśudek powiedział mi to dziś. Nie jest to w gruncie człowiek zły... Ale zapamiętaj pan to sobie dobrze... nie wolno panu dziękować mu za to... pod żadnym warunkiem! Nie wolno nawet wspomnieć o tem przy nim. Byłoby zgoła nie takto-wnem przypominać mu, że upił się pewnego dnia i wyszedł z lokalu w załamany kapeluszu.

— To prawda.

— Nie mów też pan stryjowi od kogo dostałeś surdut. Nikt nie ma wiedzieć... podśudek wymaga tego stanowczo! Zrozumiesz pan chyba, że byłoby mu niemiłe, gdyby całe miasto wiedziało iż robi awantury, które potem musi okupywać podarkami.

— Rozumiem to doskonale.

— Ale coś mi wpadło... Czemuż to nie używasz pan wózka na węgle?

— Przeszkadza mi kalectwo moje, nie mogę ciągnąć. Dźwigam doskonale znaczny nawet ciężar, jeśli go ostro-



źnie wezmę na plecy, ale nie sposób mi zaprząć się i ciągnąć, to mnie męczy bardzo, dostaję bóleści i muszę iść do łóżka. Z workiem natomiast radzę sobie wybornie.

— Dobrze. Przyjdźże pan do mnie niedługo. Mieszkam pod numerem siódmym, przyjdź pan bez skrępulów żadnych.

Rzekłszy to, wcisnął banknot w dłoń Minuty i ruszył prędko w stronę wybrzeża. Przez cały czas śledził zieloną suknię i poszedł teraz za nią.

Doszedłszy do domku Marty Gude, stanął i obejrzał się. Nikt go nie śledził. Zapukał, ale nie dostał odpowiedzi. Dwa razy był już pod jej drzwiami nadaremnie, teraz jednak zauważył, że wróciła do domu, nie chciał tedy wracać bez rezultatu. Otworzył drzwi i wszedł.

Stała pośrodku izby i patrzyła nań. Była wzburzona, blada i tak trwożna, że przez czas pewien trzymała ręce sztywno rozpostarte, nie wiedząc co począć.

— Proszę przebaczyć, iż jestem natrętny, łaskawa pani, — powiedział, skłoniwszy się z wielkim szacunkiem. — Byłbym wysoce wdzięcznym za chwilkę rozmowy. Proszę się uspokoić, sprawa zostanie rychło załatwiona. Kilka już razy przychodziłem tu nadaremnie, dziś jednak poszczęściło mi się zastać panią. Nazywam się Nagel i mieszkam w „Hotelu Centralnym“.

Nie mówiąc słowa, podsunęła mu stół, ale cofnęła się ku drzwiom kuchennym. Była wysoce zakłopotana, skubała fartuch i patrzyła na gościa.

W izbie było tak, jak sobie to wyobrażał. Stół, kilka stołków i łóżko stanowiły całe umeblowanie. Na oknie stało kilka doniczek biało kwitnących roślin, ale szyby nie były przysłonięte firankami. Podłogę pokrywała warstwa brudu. Nagel zobaczył też zniszczony fotel,

o wysokiem oparciu w kącie, przy łóżku. Miał tylko dwie nogi, był spróchniały, nędzny, pokryty czerwonym pluszem i podpierał ścianę.

— Radbym panią uspokoić! — ozwał się po chwili. — Nie wszyscy, do których przychodzę, boją się mnie do tego stopnia... he... he... he! Nie u pani jednej tylko w mieście byłem dotąd, bowiem chodzę od domu do domu, próbując wszędzie szczęścia. Może pani słyszała? Nie? A jednak tak jest. To wynika z zawodu, jestem bowiem zbieraczem starych rzeczy, które kupuję, płacąc wedle wartości. Proszę się nie obawiać, nie zabiorę niczego, odchodząc stąd, nie mam takich złych nawyczek. Proszę być spokojną, jeśli kupno nie uda się, to trudna rada.

— Ależ ja nie posiadam starożytności! — powiedziała wreszcie zupełnie zrozpaczona.

— Tak każdy powiada zawsze. Przyznaję, oczywiście, że można się przywiązać do różnych rzeczy i przykro bywa, gdy się je traci, zwłaszcza jeśli są to pamiątki po rodzicach, a nawet dziadach. Ale z drugiej strony rzeczy tego rodzaju zawadzają tylko, nie przynosząc pożytku, a tkwi w nich nieraz sporo pieniędzy, które przepadają, bo wkońcu przedmioty te rozlatują się i wędrują na strych. Czyż nie lepiej sprzedać je póki czas? Zdarza się, że na mój widok ludzie wpadają w gniew i twierdzą, że nie mają żadnych starożytności. Ano trudno, każdy ma swą wolę, tedy kłaniam się i odchodzę. Inni znowu wstydzą się pokazać mi brytannę bez dna. Tak im się wydaje, ale nie mają racji, bowiem w naiwności swej nie wiedzą, co znaczy manja zbieracza. Przyznaję otwarcie, że na tym punkcie jestem skończonym manjakiem i nazywam rzecz po imieniu. Ale to rzecz moja... O czemże to mówiłem... acha...



o tem, że głupio robią ci, którzy wstydzą się swych starożytności. Jakże wyglądają naprzykład z pozoru pierścienie i broń dobywana ze starych kurhanów! A czyż rzeczy te nie posiadają wartości? A widzi pani! Szkoda, że pani nie zna mej kolekcji dzwoneków krowich! Posiadam dzwonek, z prostej blachy żelaznej zrobiony, który był czczony, jako bóstwo w pewnym szczepie Indjan. Proszę wyobrazić sobie, że dzwonek ten przez niezliczone lata wisiał u pała namiotu, że zanoszono doń modły i składano mu ofiary. Osądźże to pani sama! Coprawda, zbaczam od tematu, ale wspomniawszy sobie o mych dzwonekach, zawsze zaczynam pleść zbyt dużo.

— Ja nie posiadam, naprawdę, żadnych starożytności!  
— powiedziała.

— Czy mógłbym — odparł Nagel, rozglądając się z miną znawcy — czy mógłbym obejrzyć naprzykład tamten fotel? Jest to jeno zapytanie. Bez zezwolenia, nie ruszę go, oczywiście, z miejsca. Zresztą, od chwili przybycia obserwuję go stąd, gdzie siedzę.

Marta zmieszała się jeszcze bardziej i powiedziała:

— Fotel? Proszę bardzo... brak mu dwu nóg...

— Brak mu nóg? Oczywiście... ale cóż to znaczy? Właśnie dlatego może nawet posiada wartość. Czy wolno zapytać, skąd go pani ma?

Wziął w ręce fotel i obracał na wszystkie strony, oglądając szczegółowo. Nie było żadnych złoceń, na oparciu jeno widniała ozdoba w kształcie korony, wyrzeźbiona z mahoniu. Tył pokaleczony był w wielu miejscach nożem, a oprawa siedzenia wyraźnie świadczyła, że krajano na niej tytoń.

— Dostał się do naszej rodziny z zagranicy, niewiadomo skąd. Dziadek mój przywiózł kilka takich foteli, ale ten jeden tylko został. Dziadek był marynarzem.

— Tak?... A ojciec pani również?

— Tak...

— Może więc odbywała pani podróże wraz z ojcem? Proszę przebaczyć to pytanie.

— Jeździłam z ojcem długie lata.

— Doprawdy? A to ślicznie! Orała pani, jak się to mówi, słony ugór oceanu. Tak... ślicznie... A potem osiadła pani tu... Oczywiście, niema jak w domu! Czy wie pani może, w jaki sposób doszedł dziadek do tego fotelu? Muszę zauważyć, że mi bardzo zależy na tem, by znać pochodzenie, czyli życiorys przedmiotów starożytnych.

— Nie, nie wiem gdzie go kupił... to już tak dawno... może w Holandji... Nie, doprawdy nie wiem.

Zauważył z radością, że się zaczyna ożywiać. Postąpiła na środek izby i stała niemal tuż przy nim, patrząc jak obraca fotelem, nibyto nie mogąc mu się dość napatrzeć. Mówił bezustanku, czyniąc bystre spostrzeżenia odnośnie do wykonania, a wpadł zgoła w zachwyt, znalazłszy na odwrotnej stronie oparcia małą mozajkę z drzewa, kilka razy wkładanego jedno w drugie, rzecz wprost niesmaczną, dziecinną i w dodatku źle wykonaną. Fotel był spróchniały, tedy musiał się z nim obchodzić bardzo ostrożnie.

— Jeśli się panu naprawdę... — powiedziała wreszcie — jeśli się panu ten fotel podoba, to proszę go sobie wziąć. Sama odniosę do hotelu... Jest mi całkiem niepotrzebny! — Nagle roześmiała się, patrząc na jego zachwyt i dodała: — Ma, prawdę mówiąc, tylko jedną zdrową nogę!

Spojrzał na nią. Włosy miała białe, ale śmiech jej był namiętny, młody, a zęby prześliczne. W śmiechu zwilgotniały jej oczy i jęły błyszczeć mocno. — Cóż to



za czarnooka stara panna! — pomyślał Nagel, ale nie drgnęły mu rysy twarzy.

— Cieszy mnie, — rzekł oschle, — że pani się decyduje odstąpić mi ten przedmiot. Teraz przystąpmy do ceny. Nie... nie... za pozwoleniem, proszę mi dać skończyć. Nie domagam się, by pani oceniała, sam podam wysokość kwoty. Taksuję zawsze sam, daję tyle, a tyle i basta! Mogłaby pani zażądać sumy niesłychanej, mogłaby pani wykorzystać mnie... czemuż nie? Na to mogłaby pani odpowiedzieć, że nie ma wcale wyglądu zachłannej na pieniądze. Przyznaję... ale z tylu ludźmi miałem już do czynienia, że nie ufam nikomu i z zasady sam oznaczam cenę. Wiem wówczas co czynię. Cóż pani przeszkadza na przykład zażądać za ten fotel trzysta koron? Mogłoby się to stać tem prędzej, że, jak pani wiadomo, idzie o przedmiot wartościowy i rzadki. Ale takich bajecznych cen płacić nie mogę i powiadam to otwarcie, by pani oszczędzić złudzeń. Nie chcę się rujnować, płacąc trzysta koron... krótko i wezłowato, dam pani dwieście koron... ani grosza więcej! Płacę ile warto, nie więcej.

Patrzyła nań bez słowa, szeroko otwartemi oczami. Po chwili zaś, sądząc, że żartuje, uśmiechnęła się z zakłopotaniem.

Nagel dobył spokojnie z portfelu dwa czerwone banknoty i powiewał niemi w powietrzu, nie spuszczaając oczu z fotelu. Potem rzekł:

— Nie przeczę, że mogłaby pani dostać od kogoś innego więcej, mówiąc uczciwie, nieco więcej dałoby się wycisnąć. Ale umyśliłem sobie okrągłą sumkę dwustu koron i nie postąpię. Może pani uczynić co chce, ale radzę się namysleć. Dwieście koron, to przecież także pieniądze.

— Nie... — powiedziała uśmiechając się lękliwie. — Zatrzymaj pan pieniądze.

— Zatrzymać? Cóż to znaczy? Czyż pani ma tym banknotom coś do zarzucenia? Chyba nie przypuszcza pani, że ja sam zrobił, lub skradł... he, he, he... nieprawdaż?

Nie uśmiechała się już. Poznawszy, że mówi na serjo, zaczęła myśleć. Czyżby od niej samej chciał czegoś ten postrzeleniec? Był tak bystry, któż wie, czy nie miał planu i nie zastawiał pułapki. Czemuż właśnie do niej zwrócił się z pieniędzmi? Wkońcu powziąwszy decyzję, rzekła:

— Będę panu wdzięczną, jeśli mi dasz koronę, lub dwie, skoro już pan tak chcesz. Więcej nie przyjmę.

Udał zdumionego, postąpił krok i spojrzał na nią. Potem wybuchnął śmiechem.

— Ależ... czy pani rozważyła... Coś takiego zdarza mi się po raz pierwszy od czasu, jak zostałem zbieraczem... Rozumiem żart, ale...

— To nie jest żart. Nic równie szalonego nie widziałam! Nic więcej... nic nie chcę! Proszę, zabierz sobie pan ten fotel, jeśli się panu podoba!

Nagel śmiał się w głos.

— To niesłychany żart... zachwycony nim jestem... niech mnie licho porwie, jeśli to nie prawda! Dobry żart tyńfa wart! Ale powinniśmy dojść do porozumienia... nieprawdaż? Póki mamy humor, trzebaby sprawę ubić, potem bowiem postawi pani ten fotel z powrotem w kącie i zażąda pięćset koron.

— Proszę, weź go pan sobie... Ja... Cóż za plany masz pan?

Patrzyli na siebie.



— Myli się pani przypuszczając, że mam inny plan prócz kupna tego mebla za odpowiednią cenę! — powiedział.

Marta zawołała:

— Na miłość boską, bierz go pan! Bierz go sobie!

— Powinienbym być, naturalnie, wdzięcznym za taką uprzejmość! — rzekł poważnie. — Ale my, zbieracze, mamy także sumienie i honor jaki taki, a to nie pozwala mi przyjąć, buntuje się, staje dęba, że tak rzekę... i nie mogę szacherką zdobywać przedmiotu tak cennego. Cały mój zbiór straciłby w oczach posiadacza wartość, gdybym doń włączył obiekt, któryby rzucił niejako cień, na rzecz najdrobniejszą. He... he... he... śmiesz mnie, że muszę stawać w obronie interesów pani, miast myśleć o własnej jeno korzyści. Ale zmusza mnie pani do tego...

Nie ustąpiła i nie uzyskała nic. Obstawiała przy tem, by wziął fotel za drobną kwotę jednej, czy dwu koron, albo dał wszystkiemu pokój. Przekonawszy się, że nie złamie tego upor, rzekł wkońcu, by zachować bodaj pozór:

— Ano, dajmy tedy spokój na dziś całej sprawie. Proszę mi tylko przyrzec, że pani nikomu nie sprzeda tego przedmiotu, nie zawiadomiwszy mnie wprzód... dobrze? Nie wyrzeknę się go... proszę pamiętać, choćby miał nawet kosztować nieco więcej. Gotów jestem dać w każdym razie to, co zaofiaruje ktoś inny, a mam pierwszeństwo, gdyż się wcześniej zgłosiłem.

Wyszedłszy na ulicę, kroczył Nagel zły i wzburzony ku miastu. Cóż za upór! Jakże biedną jest ta kobieta, myślał, a jak podejrzliwą! — Czyś widział łóżko? — pytał sam siebie. — Nie ma nawet siennika, prześcieradła... nic prócz dwu spódnic, które pewnie wdziewa

porą chłodną. A mimo to tak bardzo boi się wpaść w coś nieznanego, że rezygnuje z najlepszej oferty! Ale cóż mi u licha do tego? Nic, a nic. Czarł nie dziewczyna! Czyżby to wzbudziło w niej podejrzenie, gdybym posłał kogoś, coby dał więcej i podbił cenę? Głupia... głupia dziewczyna! Cóż mam tam zresztą do roboty po takiej odprawie?

Wściekły był i sam nie wiedział, jak doszedł do hotelu. Staął, zawrócił i ciągle jeszcze zły poszedł prosto do zakładu krawieckiego J. Hansena. Tu, wziął na bok właściciela, w cztery oczy z nim zamówił surdut taki zataki i polecił trzymać to w najściślejszej tajemnicy wobec wszystkich. Gdy surdut będzie gotowy, należy go niezwłocznie odesłać do Minuty, do Grögoarda, ułomnego roznosiciela węgla...

— Czy to dla Minuty? — spytał krawiec.

— Jakto? Pocóż ta ciekawość i wścibstwo?

— Idzie przecież o miarę!

— Ach, prawda! Tak to dla Minuty. Słusznie. Proszę zawiadomić Minutę, że ma przyjść do miary... oczywiście. Tylko bez niepotrzebnej gadaniny... bez mru-gania oczyma... dobrze? Kiedyż będzie ten surdut? Za parę dni... doskonale!

Nagel wypłacił niezwłocznie należność, pożegnał się i wyszedł. Zacierał ręce, złość gdzieś przepadła i zaczął nucić!... — Tak, tak — mruzczał do siebie. — Mimo wszystko uda mi się... Czekaajcież tylko!... Wróciwszy do domu, wbiegł do pokoju i zadzwonił. Ręce mu zadrżały z niecierpliwości i zanim się jeszcze drzwi otwarły, zawołał:

— Saro! Proszę o blankiety telegraficzne!

W chwili wejścia Sary stał otworem futerał na skrzypce i pokojówka zobaczyła z wielkiem zdumie-



niem, że to, z czem obchodziła się tak ostrożnie, zawiera jeno brudną bieliznę, trochę papierów i przyborów do pisania, ale nie skrzypce. Nie mogąc przyjść do siebie, stała zagapiona przez dobrą chwilę.

— Blankiety! — powtórzył głośniejsz. — Prosiłem o blankiety telegraficzne!

Otrzymawszy wreszcie blankiety, napisał do pewnego znajomego w Krystjanji, polecając mu wysłać dwieście koron pod adresem panny Marty Gude potajemnie i anonimowo, bez słowa objaśnienia.

— Żądam zupełnej dyskrecji. Jan Nagel.

Ale nie można było tak postąpić. Po namyśle doszedł do przekonania, że to zły plan. Lepiej wystosować list, wyjaśnić sprawę i dołączyć pieniądze. W ten sposób pewny będzie, że stanie się co chciał. Potargał telegram, spalił go i napisał śpiesznie list. Taki krótki list był stanowczo lepszy, dokładniejszy, tak trzeba postąpić... Ha... pokaże jej... da do zrozumienia...

Ale gdy już włożył pieniądze i zakleił kopertę, zadumał się głęboko. Dwieście koron to kwota zbyt okrągła, mogłaby więc powziąć podejrzenie, w dodatku podsuwał jej tyle dopiero co pod nos. Nie i to źle! Dobył jeszcze banknot dziesięcio-koronowy, otworzył kopertę i zmienił kwotę na dwieście dziesięć. Potem zapieczętował list i wysłał.

W godzinę jeszcze potem uważał żart za doskonały. List ten spadnie na nią jak z nieba, rzucony nieznanymi rękami. Cóż powie, otrzymawszy pieniądze? Ale zadawszy sobie to pytanie, stracił znowu pewność siebie. Plan był niebezpieczny, zuchwały, głupi... słowem, do niczego. Otóż właśnie otrzymawszy pieniądze, Marta zachowa się jak gęś. Nie zrozumiawszy o co idzie, złoży wszystko w ręce innych. List i pieniądze znajdą

się za okienkiem pocztowym, całe miasto się dowie, a rzecz zostanie oddana do decyzji kierownika urzędu pocztowego. On zaś puknie palcem w czoło i powie: — Hola! Coś sobie przypominam! — Potem zacznie szperać po książkach i zobaczy, że taka sama kwota została stąd wysłana przed kilku dniami, taka sama kwota, może nawet te same banknoty pod tym a tym adresem do Krystjanji, zaś nadawcą był, jak się okazuje, niejaki Jan Nagel, obcy w mieście człowiek, mieszkający narazie w „Hotelu Centralnym“... Ach, ci pocztmistrze mają tak długie nosy... węższą na milę...

Zadzwonił i polecił, by posługacz hotelowy wycofał list z poczty.

Przez cały dzień żył w podnieceniu, to też pod wieczór miał tego dość. Niech лихо porwie wszystko! Cóżby go mogło obchodzić, gdyby Stwórca zaaranżował naprzykład zderzenie pociągów w Ameryce nad jeziorem Erie i wytracił sporo ludzi? Nic, a nic! A wszakże tyleż samo łączyło go z czcigodną wielce, tubylczą panną Martą Gude!

Przez całe dwa dni nie wychodził z hotelu.

## X.

**W** sobotę wieczór zjawił się u Nagla Minuta, ubrany w nowy surdut i promieniejący radością.

— Spotkałem podsędka! — oświadczył. — Udał, że o niczem nie wie i nawet spytał, od kogo dostałem nowy surdut. Tak chytrze wystawił mnie na próbę.

— A cóż pan powiedziałeś?



— Roześmiałem się, odparłem, że najmocniej przepraszam, ale nie powiem tego nikomu z ludzi i pożegnałem go. Ha, ha, wiedziałem co mówić. Widzi pan, już trzynaście lat nie miałem na sobie nowego surduta... wyliczyłem dobrze. A teraz dziękuję bardzo za ostatnie pieniądze. Za dużo ich dla takiego jak ja kaleki i nie wiem co z tem zrobić. Psuje mnie pan swemi dobrodziejstwami, tak że aż strach czasem zbiera, wszystko się rozłazi jakoś i nie mogę dojść do równowagi. He, he, he... Dalibóg, jestem jak dziecko! Wiedziałem ja dobrze, że dostanę surdut... wszakżem to sam mówił. Czasem trzeba poczekać, ale nigdy nie dzieje się to nadaremnie. Porucznik Hansen obiecał mi raz darować dwie flanelowe, niepotrzebne mu już koszule. Minęły już dwa lata, ale pewny jestem, że je otrzymam. Zawsze tak bywa, ludzie przypominają sobie, a gdy czas przyjdzie, dają mi to, czego potrzebuję. Wszak prawda, że w porządnej odzieży wyglądał na innego zgoła człowieka?

— Dawnom pana nie widział.

— Czekałem na nowy surdut, nie chcąc przychodzić w starym. Mam swe chimery i przykro mi pokazywać się ludziom w podartem ubraniu. Bóg jeden wie czemu, ale wydaje mi się, że tracę szacunek dla samego siebie. Raczy pan zresztą przebaczyć, że wobec pana śmiem mówić o szacunku dla siebie, jakby był wielki. Zaręczam, że jest tak mały, jak tylko być może, mimo to jednak odczuwam go czasem...

— Napijesz się pan może wina? Nie. Więc przynajmniej cygaro?

Nagel zadzwonił, polecił przynieść wino i cygara. Sam popijał ostro, a Minuta palił tylko i przyglądał się. Był dziś rozmowny i gadał bez końca.

— Słuchajno pan. Nie masz, pewnie, porządnych koszul? — spytał Nagel raptownie. — Proszę przebaczyć me pytanie.

Minuta odparł żywo:

— Nie dlatego wspomniałem o tych dwu koszulach! Jak tu siedzę, przysięgam, że nie dlatego!

— Dobrze... dobrze! Nie krzyczże pan tak! Muszę zobaczyć, co pan masz pod surdudem... Pokażno pan, jeśli łaska.

— I owszem! O, proszę zobaczyć z tej strony... a druga także nie gorsza...

— No... jak widzę... trochę gorsza.

— Nie potrzeba mi nic lepszego! — zawołał Minuta. Teraz zupełnie mi nie potrzeba koszuli. Twierdzą nawet, że taka koszula zbyt jest dla mnie dobrą. Wie pan, od kogo ją dostałem? Od samego doktora Stenersena i to, zdaje się, bez wiedzy jego żony, która jest zresztą również dobroczynna. Otrzymałem to na Gwiazdkę.

— Na Gwiazdkę?

— Wydaje się panu, że to już dawno? Przecież nie drę koszuli, jak dzikus, i nie robię w niej umyślnie dziur. W nocy zdejmuję i śpię nago, bo pocóż niszczyć ją, gdy nic nie robię, a tylko śpię. W ten sposób wytrzyma dłużej i mogę się bez wstydu pokazać ludziom, czegobym nie uczynił, nie mając koszuli. Zwłaszcza teraz, przy żywych obrazach konieczna to rzecz. Panna Dagny trwa dalej przy tem, bym występował. Spotkałem ją wczoraj, pod kościołem. Mówiła też o panu...

— Sprawię panu spodnie. Konieczne są przy publicznym występie. Podsędek sprawił panu surdut, przeto ja mogę spodnie, jest to słuszne i zrozumiałe.



Ale uczynię to jeno pod wiadomym warunkiem zupełnego milczenia.

— Naturalnie! Naturalnie!

— Może się pan napijesz? Nie, nie, jak wola. Ja będę dzisiaj pił, gdyż jestem zdenerwowany i trochę smutny. Pozwolę sobie na pewne natrętne pytanie. Czy pan wiesz, że ludzie tutejsi nadali panu przezwisko? Zwą pana Minutą... wszak prawda?

— Oczywiście, wiem o tem. Zrazu było mi bardzo przykro i prosiłem Boga o wybawienie. Przez całą niedzielę chodziłem po lesie, klękając ciągle na trzech suchych miejscach... była to bowiem wiosna i śniegi tajały. Ale minęły lata i dziś wszyscy mnie zowią Minutą. Nie jest to nic złego, zresztą przywykłem. Cemu pan pyta, czy wiem? Zresztą cóż mogę na to poradzić?

— A możesz mi pan powiedzieć, jak doszło do tego niemądrego imienia?

— Naturalnie stało się to dawno, zanim jeszcze okaleczałem, ale pamiętam wszystko dobrze. Było to pewnego wieczoru, a raczej nocy, podczas kawalerskiej biby. Widział pan może żółty dom, obok urzędu celnego, po prawej stronie? Był on wówczas biało pomalowany i mieszkał tam burmistrz Sörensen, kawaler i wielce wesoły kompan. Pewnej wiosennej nocy wracałem z wybrzeża, gdzie oglądałem statki. Mijając dom, usłyszałem hałas, śmiechy i nawoływania licznych głosów. Dostrzegli mnie goście burmistrza, gdym przechodził, zaczęli pukać w szyby, wszedłem więc i znalazłem się wobec doktora Kolbye, kapitana Wiljama Prante, dozorcę ceł Folkedabla i wielu innych, którzy dziś już leżą w grobie, albo wyjechali stąd. Było około ośmiu osób, a wszyscy pijani, jak bele.

Żartem połamali wszystkie krzesła, bo tak chciał burmistrz, i potłukli szklanki, tak żeśmy musieli pić z flaszek. Upiłem się także strasznie i hałasowaliśmy bez końca. Panowie porozdziewali się do naga i skakali po pokojach, mimo że nie spuszczone stor. Nie chciałem tego uczynić, a wówczas rozebrano mnie gwałtem. Machałem rękami, broniłem się co sił i nie wiedząc co robić, brałem ich za ręce i prosiłem, by mi przebaczyli...

— Cóż mieli panu przebaczyć?

— Jakieś może niebaczne słowo, coś co im dało powód rzucenia się na mnie. Brałem ich tedy za ręce i prosiłem o przebaczenie, by zapobiec dalszym napadom. Ale nic nie pomogło. Rozebrali mnie, a doktor znalazł list w mej kieszeni i przeczytał go wszystkim głośno. Otrzeźwiałem potrosze, bo list był od matki z czasów, kiedym był marynarzem. Krótko mówiąc, w złości nazwałem doktora pijanicą, bo znany był z tego powszechnie. Rozgniewał się bardzo i chciał mnie chwycić za gardło, ale inni powstrzymali go, radząc, by mnie lepiej spać zupełnie. Lali we mnie co wlało. Potem dwaj z gości, nie wiem już którzy, wnieśli wielkie naczynie z wodą, postavili na ziemi i orzekli, że mam zostać ochrzczony. Wszyscy zgodzili się na to i podnieśli ogromny wrzask. Zaczęli rzucać do wody różności, by ją zbrudzić, pluli, lali wódkę, nawet przynieśli najpaskudniejszą rzecz z sypialni, wlałi do wody, potem zaś dosypali popiołu z pieca, tak, że zrobiła się ohydna mieszanina, którą miałem zostać ochrzczony. Błagałem burmistrza, chwytając go za nogi, by kogoś innego ochrzcił, ale powiedział, że wszyscy odebrali już taki chrzest. Uwierzyłem, gdyż ogólnie znanem było, że wszyscy jego przyjaciele zostali w ten sposób ochrzczeni. — Chodź i staw się



przed oblicze moje! — rozkazał burmistrz. Nie chciałem iść dobrowolnie i trzymałem się klamki drzwi. — Chodź natychmiast! — zawołał. — Chodź w tem minucie! — Powiedział: „w tem,“ a nie „w tej“ minucie, bo pochodził z Gudbrandstalu. Ale nie przyszedłem. Wówczas ryknął kapitan Prante: — Ten Minuta! Ten Minuta! Oto jego miano! Musimy go ochrzcić Minutą! — Wszyscy się zgodzili, bo uznali, że mały, jak minuta. Chwycono mnie i zawleczono przed burmistrza. Byłem mały i lekki, przeto burmistrz podniósł mnie sam, a potem zanurzył w naczyniu. Zatopił mnie głową aż na samo dno, gdzie był popiół i odłamki szkła i tarł przez chwilę twarzą po tem wszystkim, następnie zaś wydobył na wierzch i pobłogosławił. Ojcowie chrzestni spełnili również swój obowiązek, każdy podnosił mnie i zanurzył na nowo, gdy im się zaś znudziło, stanęli w dwu szeregach i rzucali mnie sobie, jak piłkę z rąk do rąk, w tym celu, bym wysechł. Trwało to dopóty, aż mieli dość. Wówczas krzyknął burmistrz: — Stać! — Puścili mnie, zaczęli nazywać Minutą i potrząsali mą dłonią, by przypięczętować dokonany obrządek. Nakoniec zostałem raz jeszcze rzucony do naczynia. Uczynił to doktor Kolbye, cisnął mnie z całej siły, tak że mi trzasło w boku. Nie mogłem mi przebaczyć, że go nazwałem pijanicą... Od tej nocy noszę owo miano, a rano dowiedziało się całe miasto, że byłem u burmistrza i zostałem ochrzczoney.

— Trzasło panu coś w boku? — spytał Nagel. — Ale chyba nie zranił się pan w głowę... To jest, nie odniósł pan obrażenia w głowie?

Pauza.

— Po raz drugi już pyta mnie pan, czym nie poniosłem szwanku w głowę, — rzekł Minuta — i myśli

pan zapewne o obrażeniu mózgu. Ale nie, nie skaleczyłem się wówczas w głowę, nie doznałem wstrząsu mózgu, czego się pan może obawia. Uderzyłem się jeno o brzeg naczynia i złamałem żebro. Ale wyszedłem z tego, doktor Kolbye leczył mnie za darmo i nie zostało ni śladu z tej przygody.

Podczas opowiadania Minuty, Nagel popijał ostro, gdy skończył, zadzwonił, kazał przynieść więcej wina, wypił i rzekł znienacka:

— Coś mi wpadło... Sądzisz pan, że znam się do pewnego stopnia na ludziach? Nie patrz pan z takim zdziwieniem. To tylko przyjacielskie pytanie. Czy sądzisz pan, że posiadam zdolność przenikania ludzi, z którymi rozmawiam?

Minuta patrzył lękliwie, nie znajdując odpowiedzi, a Nagel podjął na nowo:

— Musisz mi pan przebaczyć. Już za pierwszą wizytą, niepokoiłem pana głupimi pytaniami. Wszakże ofiarowałem panu tyle, a tyle za przyznanie się do ojcostwa pewnego dziecka. He... he... he! Popeliłem błąd, gdyż nie znałem pana, teraz zaś znowu pana wprowadzam w zdumienie, mimo że znam i wysoko pana cenię. Pochodzi to stąd, że dziś jestem nerwowy, i już bardzo pijany, jak to pan sam dobrze widzieć musisz, chyba. Prawda... spostrzegasz to pan... poco się zapierać?... Ale z czemże tu chciałem... ach... bardzobym rad wiedzieć, czy uważasz mnie za zdolnego do przenikania ludzkiej duszy. He... he... mianowicie w głosie ludzi, z którymi rozmawiam, wyczuć się daje pewien subtelny pod-ton... słuch mam niezwykle bystry. Nie potrzebuję nawet patrzeć, a tylko słuchając, poznaję, czy ktoś coś we mnie wmawia, lub coś fałszuje. Głos, to niebezpieczny instrument.



Racz pan zważyć... nie mam na myśli wysokiego, czy niskiego, dźwięcznego, czy chrapliwego głosu czyjegoś to znaczy, pomijam stronę materialną, natomiast idzie mi o tajemne misterjum głosu, przedźwięku od strony tego innego świata, skąd dochodzi. Pal licha, zresztą, ów świat inny! Czyż musi być jakiś świat inny? Nic mnie to wszystko nie obchodzi wreszcie...

Popił i mówił dalej:

— Pan nic nie mówi? Nie daj się zbić z tropu mą gadaniną na temat znajomości ludzi... Nie warta funta kłaków! Ale zapomniałem... o czemże to... Powiem teraz coś innego, co mi nie leży na sercu, ale będę gadał, aż sobie tamto pierwsze przypomnę. Miły Boże... ależ plotę... Radbym wiedzieć, jakie jest pańskie zdanie o pannie Kielland? Mówże pan. Ja sędzę, że jest do tego stopnia kokietką, iż sprawiłoby jej dziką radość, gdyby wszyscy, nie wyłączając mnie, odebrali sobie dla niej życie. Tak sędzę. Jest tak zachwycająca, że zginąć pod jej obcasem, to prawdziwa rozkosz i może kiedyś pokuszę się o to... Ale mam jeszcze czas... Dalibóg, przerażam pana, jak widzę, mą dzisiejszą gadaniną! Czy się pan może czujesz osobiście dotkniętym?

— O, gdyby pan wiedział, jak pięknie mówiła o panu panna Kielland! Spotkałem ją wczoraj i rozmawialiśmy długo...

— Powiedzno pan... przepraszam, że przerywam... może i pan posiadasz nieco owego daru wyczuwania rzeczy skrytych poza materialnym głosem panny Kielland! Ach, cóż za głupstwa wygaduję! Prawda?... A jednak radbym bardzo, byś pan także znał się trochę na ludziach, powinszowałbym wówczas nam dwom, tylko nam obydwom. Utworzylibyśmy związek, z warunkiem nie stosowania owych zdolności do siebie

wzajem... rozumiesz pan... do siebie wzajem, tak że na przykład nie atakowałbym pana, choćbym cię przejrzał nawskroś! Ha... znowum pana przeraził i zaniepokoił. Proszę sobie nic nie robić z mej bufonady, wszakże jestem całkiem pijany!... Acha... przypomniałem sobie, co chciałem powiedzieć w chwili, gdy zaczął mówić o panie Kielland, która mi jest zresztą obojętna, a czego podejmować nie należało, boś mnie pan nie pytał o zdanie. Zepsułem jeno wesoły nastrój, w jakim tu pan przybyłeś przed godziną... Całe głupstwo, to skutek wina... Ale do rzeczy... bo znowu zapomnę. Słyszając o tej popijawie kawalerskiej u burmistrza i chrzście pańskim, wpadło mi, że i ja urządzę... niech mnie licho weźmie, jeśli nie urządzę... coś takiego dla kilku zaproszonych osób. Tak będzie, a na pana liczę bezwarunkowo. Zaręczam, że nie zostaniesz pan raz jeszcze ochrzczony, że pana będą wszyscy traktowali z całym szacunkiem, oraz że nie porozbijamy krzesel i szklanek. Chcę, by się to odbyło jak najrychlej... powiedzmy z końcem przyszłego tygodnia. Cóż pan na to?

Nagel wypił dwie duże szklanki jedną po drugiej. Minuta milczała. Dziecięca radość jego pierzchła. Słuchał przez grzeczność jeno tej gadaniny i nie chciał pić.

— Jakiś pan milczący! — podjął na nowo Nagel. — Śmiesznie to, ale mam wrażenie, że pana tknęła i przejęła nawskroś pewna wzmianka, czy wyrażenie, słowem zauważyłem, żeś pan drgnął i osłupiał nagle... Nie... ano to nie... widać się omyliłem. Ale proszę... czy myślałeś pan kiedy nad tem, jakiego wrażenia doznać musi tajemny szalbierz, któremu nagle położy na ramieniu dłoń urzędnik wywiadowczy i spojrzy bez słowa w oczy...?



— Cóż począć z panem? Jesteś coraz smutniejszy i coraz bardziej skryty. Jestem dziś zdenerwowany i zagadam pana chyba na śmierć, ale taki już mój zwyczaj gdy jestem pijany. Proszę, nie odchódź pan, bo musiałbym jeszcze z godzinę rozmawiać z pokojówką Sarą, a byłoby to nie na miejscu, przytem zaś wielce nudne. Pozwól pan, że opowiem pewne wydarzenie. Zajmie ono pana, a zarazem zilustruje mój, tak zwany dar poznawania się na ludziach. He... he... he. Poprawi ono pański humor, gdyż, wbrew temu, com rzekł wyżej, okaże się, iż ja... wcale... daru tego nie posiadam... właśnie ja, nie... Krótko mówiąc, przybyłem raz do Londynu, będzie temu ze trzy lata najwyżej, i poznałem tam zachwycającą pannę, córkę człowieka, z którym miałem załatwić pewien mały interes. Przez trzy tygodnie spędzaliśmy z sobą całe nieraz dni i zawarliśmy przyjaźń. Pewnego popołudnia pokazywała mi miasto, zwiedzaliśmy muzea, zbiory, oglądali gmachy, ale pod wieczór uczułem potrzebę naturalną i popadłem w prawdziwe zakłopotanie. Nie mogłem się cichcem wysłiznąć, a nie chciałem prosić o pozwolenie odejścia na chwilę. Krótko mówiąc, wprost na ulicy dałem sobie folgę, no i zamoczyłem się od pasa aż do trzewików. Cóż miałem zrobić? Na szczęście długi płaszcz ukrył mój stan. Ale przypadek zrządził, żeśmy natrafili w jasno oświetlonej ulicy na cukiernię. Moja dama stanęła przed nią, jak na złość, i poprosiła, bym jej przyniósł kilka ciastek. Było to zrozumiałe, po wyczerpaniu pół dniową włóczęgą, ale odmówiłem. Spojrzała, widocznie niezadowolona z tego, i poprosiła, bym podał powód, ja zaś odrzekłem, że nie mam przy sobie pieniędzy, ani jednego penny. Przyznała rację, nie miała również pieniędzy,

patrzyliśmy na siebie i śmiali się z trudnej sytuacji. Ale niebawem znalazła wyjście, obrzuciła spojrzeniem domy i powiedziała: — Mam tu opodal na pierwszym piętrze przyjaciółkę! Proszę, zaczekaj pan kilka minut, przyniosę zaraz pieniądze! — Powiedziawszy to, odeszła i nie było jej dość długo, ja zaś przechodziłem męki straszliwe. Cóż pocznę, gdy wróci z pieniędzmi? Nie mogłem wejść do przeraźliwie jasnej cukierni, pełnej ludzi, gdyż wyrzuconoby mnie za drzwi. Po-  
stanowiłem tedy zaciąć zęby i prosić, by sama za-  
łatwiła sprawunek. Po chwili wróciła zadowolona,  
niemal wesoła i oświadczyła, że nie zastała przyja-  
ciółki, ale to nic, gdyż wkrótce zje w domu ko-  
lację. Przeprosiła, że mi kazała czekać, a ja, chociaż  
musałem iść dalej w okropnym stanie, rad byłem, że  
do katastrofy nie doszło. Ale teraz rzecz najlepsza.  
Możesz się pan domyślić wszystkiego... tak... napewno,  
mimo to jednak dokończę. Oto dopiero teraz, w roku  
1891 zrozumiałem, jak niezmiernie głupio rozumowałem  
wówczas. Przemyślałem wszystko na nowo i poznałem  
znaczenie każdego szczegółu. Moja dama nie była  
wcale na piętrze, otworzyła tylko bramę podwórzową  
i wśliznęła się w odpowiedni zakątek, poczem wyszła  
znowu cicho i niepostrzeżenie. He... he... he. Ro-  
zumiesz to pan doskonale, ja atoli doszedłem do tego  
dopiero w roku 1891, czyli po trzech latach. Nie przy-  
puścisz pan chyba, bym to zaaranżował z umysłu,  
bym wodził kobietę przez pół dnia celem doprowadzenia  
do ostateczności, bym wracał po trzy razy do jakiejś  
tam skamieniałej hieny w muzeum, nie spuszczać  
towarzyski z oczu i w ten sposób uniemożliwiając jej  
wyśliźnięcie się w jakiś cichy zakątek! Tego pan chyba  
nie przypuszczasz? Zdarzają się, co prawda, ludzie



zdolni do takiego dziwactwa, ja jednak domyśliłem się związku przyczynowego dopiero po latach trzech. Ha... ha... ha... cóż pan na to? — Pauza. Nagel popił znowu i mówił dalej. — Powiesz pan, zapewne, że rzecz ta nie ma nic wspólnego z nami dwoma i projektowaną bibą. Oczywiście. Chciałem panu dać tylko próbkę mej głupoty, kiedy idzie o przeniknięcie duszy ludzkiej. Cóż pan powiesz na to, że ja... Jan Nilsen Nagel... przechodząc przed kilku dniami pod domem konsula Andersena, schwytałem się na roztrząsaniu problemu, jak niskie mogą być jego pokoje. A to jest również, że tak rzekę, znamie ludzkiej duszy, dla której niema zbyt drobnej rzeczy, a każda bagatelka posiada znaczenie. Jakiegoż wrażenia doznajesz pan, naprzykład, wracając późną nocą spokojnie do domu, gdy nagle spotkasz na rogu ulicy kogoś co się wpatruje, lub obraca nawet za panem głowę, nie mówiąc słowa? Przypuśćmy dalej, że jest to człowiek ubrany czarno i widać mu jeno twarz i ręce... cóż wtedy? Ileż się nie dzieje rzeczy w ludzkiej duszy? Znajdujesz się pan w towarzystwie, jest dwanaście osób, trzynasta zaś, człek obojętny, jakaś telegrafistka, czy biedny kandydat prawa, kantorzysta, kapitan statku parowego... wogóle człowiek bez znaczenia... otóż ta trzynasta osoba nie bierze udziału w zabawie i siedzi w kącie cicho. Osoba ta posiada mimo to ogromną wartość, jako czynnik. Jest szczególnie, przypuśćmy, ubrana, patrzy głupio na innych, rola jej polega na tem, by być jak najniklejszą, ale przez to właśnie nadaje charakter całemu zebraniu. Nie mówiąc nic, działa negatywnie, wytwarza ponury ton i normuje siłę głosu innych. Jest to dosłownie osoba najpotężniejsza ze wszystkich. Jak rzekłem, nie rozu-

niem się na ludziach, ale cieszy mnie, gdy obserwuję takie niesamowite oddziaływanie drobiazgów. Raz byłem świadkiem, jak pewien biedny inżynier, który nie otwierał ust... Ale to inna historia i nie ma nic wspólnego... przeszła mi tylko przez mózg i zostawiła tam ślad. Pozostańmyż jednak przy porównaniu... kto wie, czy właśnie milczenie pańskie dzisiaj nie nadaje słowom mym pewnego tonu... pominąwszy zresztą moje straszne pijackie oszołomienie... kto wie, może mina pańska, spojrzenie napół przerażne, napół niewinne podnieca mnie, bym mówił to co mówię? To rzecz naturalna. Słyszysz pan chyba moje słowa bezprzytomne... i czujesz się tkniętym,... użyjmyż raz jeszcze tego wyrażenia... czujesz się przejętym nawskroś... ja zaś muszę rzucić panu w twarz jeszcze pół tuzina takich jątrzących słów. Przytaczam to jeno jako przykład wagi drobnostek. Nie przeocжай drobnostek, drogi przyjacielu! Przysięgam na Boga, właśnie drobnostki mają niesłychane znaczenie... Proszę!

Sara zapukała, zawiadamiając że kolacja czeka, a Minuta wstał z krzesła niezwłocznie. Nagel był wyraźnie pijany, mówił bez związku, wygłaszał sprzeczne opinie, bełkotał coraz to gorzej. W oczach miał zadumę, a nabrzmiałe żyły czoła świadczyły, że mnóstwo myśli kotłuje w jego głowie.

— Nie dziwi mnie, — powiedział, — że pan korzystasz ze sposobności odejścia, wycierpiawszy dziś tyle przez me gadulstwo. Szkoda jednak, bo chciałem zasięgnąć pańskiego zdania w różnych kwestjach. Nie powiedziałeś mi pan, co w głębi serca myślisz o pannie Kielland. Ja uważam ją za istotę najszlachetniejszą, czystą, jak śnieg... wyobraź pan sobie czysty, głęboki,



jedwabisty śnieg... Tak ją widzę w myślach. Jeśli poprzednie moje słowa inne na panu uczyniły wrażenie, to jest ono fałszywe... Teraz wypiję ostatnią szklankę za pańskie zdrowie!... Coś mi przyszło jeszcze do głowy i bardzo byłbym wdzięczny, gdybyś pan jeszcze chwilę został. Idzie o to... ale zbliż się pan trochę... ściany w tym domu są cienkie... Otóż zakochałem się w pannie Kielland. Powiedziałem na koniec! Twarde to i nędzne słowo, ale nie masz pan wyobrażenia jak ją gorąco kocham i jak cierpię. Kocham... cierpię... ano, to rzecz odrębna, to nie ma związku... zgoda... Ale sądzę, że pan zachowasz me wyznanie w tajemnicy, na jaką zasługuje... czy mogę liczyć? Dzięki, drogi przyjacielu! Spytasz pan, jak można nazwać kokietką osobę, którą się kocha? Przede wszystkim nic nie stoi na przeszkodzie, by się zakochać w kokietce. Ale mniejsza z tem. No, na tem koniec. Wszakżeś mi pan mówił przedtem, że znasz się na ludziach... tak mi się wydaje. W takim razie powinienbyś pan zrozumieć co mówię. Nie mogę chyba uważać panny Kielland serjo za kokietkę. Przeciwnie, jest bardzo naturalna... naprzykład cóż pan powiesz o tem, że się ciągle śmieje, nie mając nawet całkiem białych zębów! Mimo to mogę rozpowszechnić opinię, że jest ona kokietką... nic mi w tem nie przeszkadza. Nie czyniłbym tego, by jej szkodzić, albo dla zemsty, ale przez instynkt samozachowawczy, przez miłość własną, albowiem jest mi niedosiężną, drwi z wszystkich mych wysiłków pozyskania wzajemności, jest zaręczona, związana słowem i stracona dla mnie na zawsze. Jest to, jak pan widzi, nowa, odmienna strona duszy ludzkiej. Byłbym zdolny naprzykład zaczepić ją wobec ludzi na ulicy i powiedzieć, w celu ubliżenia

jakoby i zaszkodzenia jej: — Winszuję pani, że masz dziś czystą koszulę. — Zapewne nie słyszałeś pan nic równie szalonego, ale gotów byłbym to zrobić. Co potem, o tem lepiej nie wspominać, może uciekłbym do domu i łkał, a może wziąłbym kilka kropel z tej oto flaszeczki, którą noszę przy sobie. Podobnie, mógłbym pójść w niedzielę do kościoła, podczas kiedy ojciec jej, pastor Kielland głosi słowo boże, przewędrować całą nawę, stanąć przed nią i rzec: — Czy mi się pani pozwoli wziąć trochę za pośladek? — Cóż pan na to. Nie szłoby mi o sam pośladek, ale jeno o to słowo, któreby u niej wywołać musiało rumieniec zmieszania. Takbym powiedział, potem zaś padłbym przed nią, prosząc, by na mnie napłuła... Ha... przestraszyłem pana, widzę, nie na żarty. Przyznaję, że są to wyrazy tem zuchwalsze, iż mówię o córce pastora do syna pastora. Przebacz mi, drogi przyjacielu, ale nie pochodzi to ze złośliwości, jeno z powodu, żem się upił, jak bydlę... Słuchajże pan... znałem raz pewnego młodzieńca, który skradł kandelaber, sprzedał tandeciarzowi, a pieniądze przetrwonil. Szczerą prawdę mówię, był to mój dobry znajomy, krewny nieboszczyka pastora Haerema. Cóż za związek z panną Kielland... pytasz pan? Racja. Nie rzekłeś pan słowa, ale spostrzegłem, że usta pańskie chciały uczynić tę słuszną uwagę. Panna Kielland jest, oczywiście, dla mnie całkiem stracona i nie żal mi jej, ale siebie. Pan jesteś zupełnie trzeźwy i znasz się na ludziach, to też zrozumiałbyś, że mógłbym pewnego dnia puścić po mieście pogłoskę, iż panna Kielland siedziała u mnie na kolanach, trzy noce spędziła ze mną w lesie, w pewnem ściśle oznaczonem miejscu, a potem przyjmowała ode mnie podarki. Wszak zrozumiałbyś pan to? Ho, ho... dja-



belnie dobrze znasz się pan na ludziach... tak drogi przyjacielu... tylko bez wykrętów!... Czy się panu nie zdarzyło, żeś szedł ulicą, zatopiony w niewinnych zgoła myślach, a ludzie oglądali się i mierzyli pana od stóp do głowy. Straszna to sytuacja! Zawstydzony czyścisz się pan z przodu i z tyłu, jak złodziej chyłkiem patrzysz po ubraniu, czy nie masz n. p. rozpiętych spodni i taka pana nachodzi podejrzliwość, że zdejmujesz kapelusz, by zobaczyć, czy niema na nim kartki z ceną, chociaż to kapelusz stary. Ale wszystko daremne... chociaż ubranie w porządku, musisz pan znosić spojrzenie każdego krawczyka i porucznika... Drogi przyjacielu, jest to męka piekielna, ale cóż dopiero powiedzieć o przejściach, jakie czekają, gdy pan zostaniesz wezwany przez urzędnika śledczego... Acha... znowuś pan drgnął!... Tak... tak... napewno! Nie? Wydało mi się, że widzę doskonale... Otóż stoisz pan wezwany na przesłuchanie, szatański, podstępny policjant zadaje panu wobec wszystkich krzyżowe pytania, zmierzając dwunastu tajnymi drogami do jednego celu, do katastrofy. O, jakaż to satysfakcja dla kogoś postronnego, który jeno siedzi i słucha! Wszakże zgodzisz się pan ze mną na tym punkcie... Hm... któż wie... może się jeszcze znajdzie kropla wina w tej flasce, jeśli ją wycisnę.

Wypił resztę wina i podjął na nowo:

— Proszę mi przebaczyć, że ustawicznie zmieniam temat rozmowy. Liczne przeskoki myśli pochodzą w części stąd, żeś się sromotnie upił, w części zaś są mą wadą przyrodzoną. Jestem, wiedz pan, prostym rolnikiem, wychowankiem gnojowej akademji, nie uczyłem się myśleć... dajmy zresztą pokój szczegółom dość przykrym. Wiesz pan... siedzę sobie tu,

czasem medytuję o tem i tamtem i nagle głośno daje sobie miano... Rocheforta. Tak jest, biję się w piersi i zwę się Rochefortem... Ciekawym co pan powiesz na to... pewnego dnia zamówiłem sobie pieczęć z wyobrażeniem jeźatki. To mi przypomina pewnego człowieka, z początku nader przyzwoitego, przeciętnego, sumiennego studenta filologii na jednym z uniwersytetów niemieckich, który potem atoli stał się w ciągu dwu lat pijakiem i romansopisarzem. Gdy go obcy pytali kim jest, odpowiadał wkońcu już tylko, że jest... faktem! Zwał się... faktem... i pełen dumy zaciskał usta. To pana, widzę, nie zajmuje... Wspominałeś pan przed chwilą o myślicielu, który nie nauczył się myśleć. A może to ja mówiłem...? Przepraszam... jestem teraz pijany, jak bela, ale nic nie szkodzi, proszę się tem nie zrażać. Radbym bardzo objaśnić, co sądzę o owym myślicielu, nie umiejącym myśleć. Jeślim dobrze pojął wyrazy przez pana użyte, to chciałeś go atakować. Przepraszam, człowieka tego brać należy raczej jako całość. Przedewszystkiem był błaznem... tak, tak, muszę to podkreślić, nosił zawsze długą, czerwoną krawatkę i śmiał się zupełnie po błazeńsku. Był tak dalece głupi, że przyjmował gości, siedząc zatopiony w książce, chociaż nigdy nie czytał. Nie miał nigdy skarpetek w trzewikach, za to jednak fundował sobie zawsze różę do butonierki. Taki był. Najlepsza atoli rzecz to to, że posiadał kilka fotografii biednych, przystojnych dziewcząt, córek rzemieślników, na których powypisywał różne, dostojnie brzmiące nazwiska, by wywołać mniemanie, jakoby miał mnóstwo znajomości w wykwinnych kołach. Na jednej fotografii widniało wyraźnie: Panna Stang! a to dlatego, by myślano, że dziewczyna jest spokrewniona



z ministrem, gdy tymczasem zwać się mogła co najwyżej Lic, albo Haug. He... he... he... cóż pan powiesz o takiej bufonadzie? Zdawało mu się, że ludzie się nim zajmują i oczerniają go potem. Ludzie oczerniają mnie! Tak mawiał, chociaż... he... he... nikt sobie nie zadawał trudu oczerniać go. Pewnego dnia wszedł do sklepu jubilera pałac dwa cygara jednocześnie... dwa cygara! Jedno trzymał w ustach, a drugie, również zapalone, w ręce. Nie wiedział może o tem, gdyż będąc myślicielem, który nie nauczył się myśleć...

— Muszę już iść! — rzekł zcicha Minuta.

Nagel wstał zaraz.

— Musisz pan iść, na serjo? Chcesz mnie opuścić? W istocie historia to zbyt długa, jeśli się chce owego człowieka ująć jako całość. Odlóżmy to więc na inny raz. Pan zamierzasz, widzę, naprawdę iść? Bardzo dziękuję za dzisiejszy wieczór... bardzo dziękuję... Jestem teraz zgoła przedziwnie pijany. Jakże wyglądam... ha? Proszę, wsadź pan kiedy palec pod łupę, i przyjrzyj mi się! Ach, tak, zrozumieć pańską minę jesteś niemożliwie wprost mądrym człowiekiem, panie Grögaard i z wielką przyjemnością patrzę na pańskie... tak niewinne... oczy. Proszę, zapal pan jeszcze jedno cygaro przed odejściem. Kiedyż pana zobaczę? Do stu tysięcy... musisz pan przyjść na ten mój wieczór kawalerski... słyszysz pan? Włos z głowy panu nie spadnie. Będzie to tylko mała, kawalerska popijawa, cygarko, szklanka wina, rozmowa, dziewięć razy dziewięć krzykniemy: hura!... Ku czci ojczyzny, by zrobić przyjemność doktorowi Stenersenowi... i koniec! Będzie ślicznie. A spodnie, o których mówiliśmy, dostaniesz pan... niech mnie licho porwie... przysięgam!

Oczywiście, na znanych już panu warunkach. Dziękuję bardzo za dzisiejszą cierpliwość. Pozwól pan sobie uścisnąć dłoń! Zapalże sobie... człowiecze... świeże cygaro! Słuchaj pan, słowo jeszcze... czy możnaby panu czemś zrobić przyjemność, gdyż w takim razie... Ano, jak pan chcesz... Dobranoc! Dobranoc!

## XI.

Nastał dwudziesty dziewiąty czerwca, a był to poniedziałek.

Zdarzyły się dnia tego rzeczy dziwne, widziano nawet obcą jakąś, zawołowaną damę, która złożyła wizytę w hotelu i znikła z powrotem, po dwugodzinnej jeno obecności...

Nagel wstał wesóły, ubierając się, gwizdał i nucił od samego rana, słowem zachowywał się, jakby go spotkało coś bardzo radosnego. Przez cały dzień poprzedni był cichy i milczący, dokuczały mu bowiem skutki opilstwa sobotniego wieczoru, spędzonego w towarzystwie Minuty. Chodził dużemi krokami po pokoju i popijał ciągle wodę. Gdy jednak wyszedł z hotelu w poniedziałek rano, śpiewał i wyglądał wielce wesoło. W przystępie radości zagadnął nawet stojącą na schodach kobiecinę i wcisnął jej w dłoń kilka groszy.

— Może wiecie, — spytał — gdziebym tu mógł wypożyczyć skrzypce? Pewnie jest w mieście jakiś skrzypek?

— Nie, nie wiem tego! — powiedziała zdziwiona bardzo.

Mimo, że nie wiedziała, dał jej, uniesiony radością, kilka groszy i odszedł spiesźnie, gdyż spostrzegł wycho-



dzącą z jakiegoś sklepu Dagny z czerwoną parasolką i podążył za nią. Była sama. Skłonił się głęboko i zagadnął ją. Oblała się purpurą, jak zawsze, i pochyliła parasolkę, by to ukryć.

Zacząła pierwsza o wspólnym spacerze przez las, twierdząc, że była to pewnego rodzaju nieostrożność, gdyż przeziębila się w istocie trochę, mimo że powietrze było łagodne, i nie czuje się dotąd zdrową. Powiedziała to szczerze i otwarcie, jakby się zwierzała staremu znajomemu.

— Ale chyba pani tego nie żałuje! — powiedział, przystępując odrazu do rzeczy.

— Nie, nie żałuję! — odparła, zdziwiona że odgadł. — Skądże pan to wie? Noc była przecudna, chociaż bałam się przez cały czas człowieka ze świeatełkiem, o którym pan opowiadał. Śnił mi się też później, a był to sen przeraźny.

Mówili przez chwilę o człowieku ze świeatełkiem. Nagel paplał wesoło i przyznał się, że go zbiera czasem głuchy strach przed czymś i naprzykład nie może iść po schodach bez oglądania się za każdym krokiem, celem zobaczenia, czy ktoś za nim nie kroczy. Cóż to być mogło? Coś mistycznego, dziwnego, czego pojąć nie zdoła nigdy „wszystkowiedząca“ nauka niezdarna. Jest to wiew niewidzialnej potęgi, działanie ślepych sił życia.

— Wie pani — rzekł — miałbym właśnie ochotę zbożyć z tej ulicy w inną, bowiem te domy, kamienie po lewej, tamte trzy grusze w ogrodzie sądowym, słowem wszystko wywiera na mnie niesamowity jakiś wpływ i dręczy mnie, niewiadomo czemu. Cóż to może znaczyć?

Dagny rozśmiała się.

— Nie wiem! — zawołała. — Doktor Stenersen nazwałby to niezawodnie nerwowością i zabobonem.

— Słusznie! Takby powiedział! Ach, cóż to za dumna głupota! Przybywa pani pewnego dnia do obcego miasta, powiedzmy, do tego miasta... Nazajutrz chodzi pani, rozglądając się po ulicach. Pewne ulice, czy domy, budzą w pani tajemną niechęć, inne zaś miłe budzą uczucia i nastrajają wesoło. Czyż to nerwowość? Wyobraźmy sobie, że ma pani nerwy jak liny okrętowe i nie wie zgoła co to nerwowość. Idźmy dalej! Kroczy pani ulicami, mijając setki obojętnych ludzi, nagle... w chwili gdy pani stanęła na wybrzeżu pod biednym małym domkiem, z oknami bez firanek, w których widnieje kilka biało kwitnących roślin... nagle spotyka pani człowieka, który w dziwny sposób zwraca jej uwagę. Patrzycie na siebie wzajem. Niema w nim nic osobliwego, ubrany jest nędznie i chodzi pochylony, widzi go pani po raz pierwszy w życiu, ale nie sposób oprzeć się dziwacznej świadomości, iż ma na imię Jan. Właśnie Jan. Dlaczegoż to? Objaśnić tego nie można, ale fakt ten wypisany jest wyraźnie w jego oczach, ruchach ramion i słyszy go pani w stukocie kroków. Czy może spotkała pani gdzieś podobnego człowieka imieniem Jan? Nie, nie znała pani nigdy podobnego Jana. W żaden sposób nie może pani sobie rozumnie wytłumaczyć swego zdumienia i uczucia, zgoła mistycznego.

— Czy pan spotkał tu, w mieście, takiego człowieka?  
— spytała.

— Nie, nie! — powiedział żywo. — Wyobrażam sobie jeno takie miasto, ten mały domek i tego człowieka, przypuszczam jeno wszystko... Dzieje się dużo przedziwnych rzeczy. Przyjeżdża pani, powiedzmy, do



obcego miasta i wchodzi do jakiegoś domu, czy hotelu, nie znanego dotąd wcale. Nagle uczuwa pani z nieodporną pewnością, że w domu tym mieściła się przed laty apteka. Skądże się to bierze? Niema odoru lekarstw, śladu półek, ani prostokątnej plamy po recepturze na podłodze, a mimo to wie pani napewno, że dawniej była tu apteka! Niema omyłki, ta świadomość objawiła pani rzecz utajoną. Czy doznała pani kiedy czegoś takiego?

— Nie zastanawiałem się przedtem nad czemś podobnem, słowa pańskie przypominają mi, żem doznawała tych wrażeń. W każdym razie, chociaż nie boję się niczego, lękam się ciemności. Ale może to co innego?

— Bóg jeden wie co to wszystko znaczy! Mnóstwo jest rzeczy pomiędzy niebem a ziemią dziwnych, wspańiałych, niezrównanych, a niewytłumaczalnych. Są przeczucia, są też przerażne wiewy strachu, wstrząsające do głębi. Siedzę, powiedzmy, przy stole i palę fajkę. Jestem całkiem zaabsorbowany myślami i planami. Jestem najzupełniej przytomny. Nagle słyszę dokładnie, że ktoś skrada się wzdłuż ściany zewnętrznej, muskając drewniane oszalowanie domu. Co więcej, widzę w swym pokoju pod piecem cień na ścianie. Zdejmuję umbrę z lampy, by było jaśniej i zbliżam się do pieca. Stoję przed cieniem i spostrzegam nieznanego mi zupełnie człowieka, średniego wzrostu, w czarno-białym szalu na karku, o sinych wargach, podobnego trochę do chłopca żołądnego z talji kart norweskich. Przypuśćmy, ciekawość bierze górę nad strachem, przeto biorę się doń ostro, chcąc go przepędzić srogiem spojrzeniem. Ale nie rusza się z miejsca, chociaż jestem tak blisko, że widzę jak mruga oczyma i wygląda żywy, jak ja sam. Zaczynam dobrotliwie i powiadam —

Nazywasz się pan pewnie Berndt Homan? — Nie odpowiada, ja zaś decyduję się, że jest Homanem i pytam: — Czemużbyś pan nie miał się nazywać Berndtem Homanem... u licha? Potem śmieję się zeń. Ale on znowu nic nie odpowiada i nie wiem, doprawdy, co z nim począć. Następnie cofam się o krok, pokazuję nań fajkę i powiadam urągliwie: — Beee! A on znowu nic, nawet się nie uśmiecha. I djabeł mu nie poradzi! Wpadam w gniew i daję mu pięścią w bok. Mam zupełną świadomość, że człowiek ten jest tuż przy mnie, ale mój cios nie dosięgnął go wcale. Nie przewraca się, wsuwa ręce głęboko w kieszenie, podnosi ramiona i przybiera minę jakby mówił: — Co mi zrobisz? — Nie drgnął nawet po uderzeniu. — Co ci zrobię? — wrzeszczę rozwściekłony i kopię go z całej siły w brzuch. Nagle, po tem kopnięciu człowiek ów zaczyna się rozplýwać, stoję i patrzę jak znika, powoli staje się coraz mniej wyraźny, aż na koniec zostaje tylko brzuch, który po chwili również znika. Przez cały jednak czas trzymał ręce w kieszeniach i patrzył zuchwale, jakby mówił:—Co mi zrobisz?

Dagny roześmiała się znowu.

— Dziwne pan przeżywasz rzeczy! — powiedziała. — I cóż dalej... co się dzieje dalej?

— Siadam z powrotem przy stole, chcąc snuć dalej myśli i plany, ale spostrzegam, że... poobijałem sobie pięści na ścianie... Cóż to chciałem rzec... acha... Opowiadam tę historję nazajutrz znajomym, oni zaś twierdzą, że spałem. He... he... he... spałem! Tak mówią, chociaż wie to dobrze Bóg i wszyscy anieli, że nie spałem wcale. Snem zwać można chyba ordynarnie, żem palił fajkę i rozmawiał, zupełnie na jawie, przy piecu z nieznanym człowiekiem. Jawi się wyśmienity lekarz, reprezentant nauki, zacina usta i powiada, że



jest to nerwowość! Co za komedia! Nerwowość? Dla umysłu lekarza, jest to rzecz takich a takich rozmiarów, wysokości i szerokości tyłu, a tyłu cali, coś co można wziąć w rękę, słowem porządna, opasła, namacalna nerwowość. Taki pan bierze świstek papieru, zapisuje żelazo i chininę i kuruje cię na poczekaniu. Cóż za niezdana logika chamska, włożyć z chininą i ową namacalnością w sferę, w której wyznać się nie mogą najwykwintniejsze nawet dusze.

— Za chwilę zgubi pan guzik! — powiedziała.

— Guzik?

Pokazała, śmiejąc się, guzik zwisający u surduta na nitce.

— Trzeba go odciąć... inaczej zginie.

Posłuchał, dobył scyzoryka i odciął guzik. Przy tej okazji wypadło mu z kieszeni kilka drobnych monet i medal na zniszczonej wielce wstążce. Schylił się żywo i podniósł te przedmioty, ona zaś patrzyła co czyni.

— Jakże może pan obchodzić się tak niemiłosiernie z tą wstążką? Cóż to za medal?

— Medal zasługi za ratunek. Ale nie mojej on dotyczy osoby. To humbug.

Spojrzała nań, był całkiem spokojny, miał wyraz szczerzy, jakby zgoła nie kłamał. Ona trzymała dalej medal w ręku.

— Znowu pan zaczynasz! — powiedziała. — Jeśliś pan nie zasłużył na ten medal, skądże go pan masz i nośisz przy sobie?

— Kupiłem go! — zaśmiał się — Kupiłem, jest mój, pocóż go wyrzucać?

— Jakto, kupiłeś pan ten medal?

— Oczywiście, dla humbugu, nie zaprzeczam, czego się to czasem nie robi? Miałem go nawet na piersiach

przy pewnej okazji, pyszniłem się nim, słuchałem toastu na swą cześć wygłoszonego... Ano cóż? Jeden humbug wart tyle co drugi.

— Nazwisko zostało wyskrobane! — powiedziała. Zmienił się nagle wyraz jego twarzy, sięgnął po medal i rzekł:

— Co? Wyskrobane? Niemożliwe. Pewnie starło się jeno w kieszeni skutkiem noszenia, razem z pieniędźmi.

Dagny patrzyła nań podejrzliwie. On zaś strzepnął nagle palcami i zawołał:

— Ach! Jakże jestem bezmyślny! Nazwisko wyskrobałem przecież sam, a to dlatego bo nie było moje, ale właściciela, nagrodzonego nim człowieka. Zaraz po kupnie usunąłem je. Przepraszam, żem odrazu nie wyjaśnił sprawy, nie chciałem kłamać. Dumąłem zresztą, czemu pani tak nerwowo mówiła o odpadającym guziku. Czy było to odpowiedzią na to, com mówił o nerwowości i wiedzy?

Pauza.

— Dziwi mnie ta otwartość pańska wobec mnie... — rzekła po chwili, nie odpowiadając na pytanie. — Nie wiem dokąd pan zmierzasz. Poglądy pańskie są niezwykle, wmawiasz pan we mnie, że niema nic szlachetnego, wielkiego, czystego, że wszystko razem, to jeno humbug i basta i że jest zgoła obojętne, czy się kupi medal zasługi, czy go uzyska osobistym czynem poświęcenia.

Nic nie odparł, ona zaś ciągnęła dalej z powagą i powoli:

— Nie rozumiem pana. Słuchając, pytam czasem, czy władasz w pełni zmysłami. Proszę przebaczyć te słowa. Niepokoisz mnie pan, wprowadzasz w stan roz-



terki i obalasz wszystkie pojęcia, stawiając na głowie każdą rzecz, o której mowa. Cóż to znaczy? Nie spotkałam nikogo, ktoby w tej mierze przeczył wszystkiemu co pan. Proszę, powiedz pan jasno i szczerze, jaką wagę przykładasz do słów własnych... co jest pańskim, najgłębszem przekonaniem?

Mówiła tak gorąco, tak poważnie, że się zdumiał.

— Gdybym miał Boga — odparł — Boga jakiegoś wielkiego i świętego, przysiągłbym pani na niego, że wszystko co mówię, równie szczerze myślę, a mam najlepsze zamiary, wówczas nawet, kiedy panią niepokoję i wprawiam w zakłopotanie. Podczas ostatniej rozmowy naszej powiedziała pani, że oponuję przeciw wszystkim ludzkim poglądom. Tak, prawda, jestem wcieloną opozycją i sam nie wiem, skąd to pochodzi. Również nie mogę pojąć, czemu inni nie mają tych samych co ja poglądów. Wszystkie kwestje wydają mi się tak jasne, przejrzyste, że wprost olśniewa mnie ich logiczny związek. To jest moje najistotniejsze zapatrywanie, łaskawa pani. Radbym, by mi pani uwierzyła raz na zawsze.

— Raz na zawsze? Tego przyobieczać nie mogę.

— Bardzo mi na tem zależy! — rzekł.

Zaszli do lasu i kroczyli tak blisko siebie, że ocierali się rękawami. Było cicho, tak że mogli mówić półgłosem. Ptaki pogwizdały czasem.

Nagle on stanął i zmusił ją do zatrzymania się.

— O jakżem za panią tęsknił w dniach ostatnich! — powiedział. — Nie, nie, proszę się nie bać, nie mówię nic prawie i nic nie zamierzam... nie... nie żywię żadnych złudzeń. Pani mnie pewnie nawet nie rozumie, zagalopowałem się już tyle razy i mówiłem całkiem co innego, niż zamierzałem...

Milczała, potem zaś rzekła:

— Dziwny z pana człowiek!

Ruszyła dalej, ale wstrzymał ją znowu.

— Droga pani, proszę poczekać! Proszę być pobłażliwą. Boję się mówić, że mi pani przerwie i każe odejść precz, nie chcąc słuchać tego, co sobie ułożyłem przez tyle godzin bezsennych.

Spojrzała nań zdumiona wielce i spytała:

— Do czegoż pan zmierzasz?

— Do czego? Czy mogę powiedzieć wyraźnie? Oto kocham panią, panno Kielland. Nie pojmuję, że panią to dziwi. Wszakże jestem z krwi i kości jak inni, spotkałem panią i zostałem oczarowany. Czyż to dziwne? Inna sprawa, przyznaję, że nie powinien był tego wyznać pani.

— Tak jest. Nie należało tego mówić.

— Do czegoż jednak nie dochodzi czasem? Z miłości, mówiłem nawet źle o pani, nazwałem panią kokietką i starałem się poniżyć, by się pocieszyć, by mieć odškodowanie za to, że jest pani dla mnie nieosiągalna. Spotykamy się po raz piąty i musi mi pani wziąć za dobre, że się dziś dopiero oddaję w ręce pani, choć mogło to nastąpić za pierwszym razem. Przytem dziś jest rocznica mych urodzin, skończyłem dwadzieścia dziewięć lat i otwarkszy oczy, zacząłem śpiewać i byłem wesoły. Pomyślałem sobie... było to, przyznaję, głupstwo... że gdy panią spotkam, muszę wszystko wyznać, tem więcej, iż jest to właśnie rocznica mych urodzin. Postanowiłem opowiedzieć rzecz całą w przekonaniu, że z powodu urodzin będzie pani względniejszą i przebaczy mi łatwiej. Pani się uśmiecha? Tak, przyznaję, to śmieszne... cóż atoli poradzę? Przynoszę pani trybut, podobnie jak to czynią inni.



— Smutne to, że się przydarzyło w same właśnie urodziny. Nie miałeś pan tego roku szczęścia w swą rocznicę! Więcej mówić nie potrzebuję, chyba.

— Oczywiście... Jakąż władzę posiada pani na miły Bóg! Rozumiem, że dla pani możnaby uczynić wszystko. Teraz nawet, gdyś mi pani mówiła słowa przykre, głos twój brzmiał, jak śpiew. Wydało mi się, że coś we mnie zakwita. Dziwna to rzecz! Wiedz pani, że całymi nocami obchodził nieraz plebanję poto jeno, by cień pani ujrzyć w oknie, że klękał tu, w lesie zanosząc modły za panią do Boga, w którego nawet nie całkiem wierzę. Spójrz pani na tę osikę. Zatrzymałem się przy niej umyślnie, bo tutaj klęczałem nieraz zrozpaczony, bezradny i ogłupiały, nie mogąc się wyzbyć myśli o pani. Z tego miejsca mówiłem pani: dobranoc, co wieczora, tu rzucałem się na kolana, prosząc gwiazdy i wiatr, by panią ode mnie pozdrowiły. Musiałaś to pani czuć przez sen.

— Pocóż mi pan mówisz to wszystko? Czy pan nie wiesz?...

— Wiem! Wiem... — przerwał wzburzony — wiem co pani chce powiedzieć. Wiem, że oddała pani dawno innemu serce, że jesteś dla mnie niedosiężną, że jestem człowiekiem nieszlachetnym, który narzuca się w chwili, gdy już za późno... wiem to wszystko dobrze! Czemu jednak wbrew sensowi wyznałem? Uczyniłem to, by wyrzucić na pani wrażenie, by zmusić do myślenia o tem. Na Boga, mówię całą prawdę... nie mogę inaczej. Wiem, żeś pani zaręczona, że kochasz narzeczonego, a przeto dla mnie niema nadziei, a mimo to chciałem na panią oddziaływać i spróbować szczęścia. Wyobraź sobie pani, co znaczy stracić wszelką nadzieję, a zrozumiesz mnie lepiej. Mówiąc

przedtem, że nie spodziewałem się niczego osiągnąć, skłamałem. Powiedziałem to jeno, by panią, narazie uspokoić, zyskać na czasie i by pani się nie bała. Droga moja, plotę głupstwa! Nie powiadam, jakoby pani dawała mi kiedykolwiek nadzieję, nie miałem ambicji wyparcia tamtego człowieka z serca pani. Mówiłem sobie jeno w godzinach desperacji: — Tak, jest zaręczona, wyjedzie stąd niedługo... ba, trudno. Ale dziś nie wszystko jeszcze przepadło, nie odjechała, nie wyszła za mąż i nie umarła. Któż wie? Może czas jeszcze na próbę, może się uda? Stałaś się pani jedynym przedmiotem myśli moich, manją prześladowczą, chodzę i wszędzie widzę panią tylko. Wszystkie błękitne rzeki zwę imieniem: Dagny. W ciągu tych tygodni pobytu ustawicznie, dniem i nocą myślę o pani, Gdy wychodzę z hotelu, gdy otwieram drzwi, czuję w sercu nadzieję: — A może ją spotkasz teraz właśnie! — Wszędzie rozglądam się za panią. Nie, niczego już nie rozumiem i rady sobie dać nie mogę. Proszę, wierz mi pani, że wyznanie to nie przyszło mi łatwo. Człowiek broni się do ostatka mówić, wiedząc zgóry, że wszelki wysiłek daremny, ale mimo to, milczeć nie jest w stanie. Ileż rzeczy przejdzie przez głowę w ciągu bezsennej nocy, w samotni pokoju? Próbuje się czytać książkę i odkłada ją, zaciska się zęby, serce łomocze dziko, szepce się bezgłośnie słodkie, tajemne słowa, wymawia imię, całuje je w myśli. Mija godzina po godzinie i wreszcie, chcąc zrobić koniec męce, człowiek postanawia przy pierwszej okazji wykonać skok i złożyć wyznanie... O ile mogę o coś prosić, to proszę o milczenie... Proszę nic nie mówić... nic... Kocham panią, ale proszę, byś milczała... przez trzy minuty.



Słuchała przerażona, nie mogąc rzec słowa. Stali w miejscu.

— Nie... pan musi być chyba szalony! — rzekła wkońcu, potrząsając głową i dodała, blada, z tak smutnym wyrazem, że nawet oczy jej przybrały ton niebieskawego lodu: — Pan wiesz, że jestem zaręczona, wychodzisz pan z tego założenia, a mimo wszystko...

— Tak, wiem! Czyż mógłbym zapomnieć twarzy jego i uniformu? Jest ślicznym mężczyzną, nie mogę odkryć w nim wady, ale lekkim sercem przyjąłbym wieść, że umarł i niema go na świecie. Cóż z tego, żem sobie sto razy powiedział: — Niczego tu nie osiągniesz! — Przestaję myśleć o tej niemożliwości i powiadam: — Nie... mogę czegoś dokazać... może się stać jeszcze nie jedno... jeszcze jest nadzieja!... Prawda, że jest jeszcze nadzieja?

— Nie doprowadzaj mnie pan do rozpacz! — krzyknęła. — Co chcesz ze mną uczynić? Co myślisz? Czy pan sądzisz, że mogłabym... Na miłość boską, przestańmy o tem mówić... bądźże pan tak dobry! Proszę odejść... proszę! Temi niemądremi słowami zepsułeś pan wszystko, nawet poprzednie nasze spotkanie i już nie możemy się widywać. Czemu pan to zrobił? Ach, gdybym była wiedziała! Nie mów pan już o tem, proszę dla dobra nas obojga. Wiesz pan przecież, że niczem panu być nie mogę, nie pojmuję, skąd to wpaść mogło do głowy. Trzeba temu położyć koniec, musi pan odejść i przewyciężyć to nierozsądne uczucie. Mój Boże, żal mi pana szczerze, ale nie mogę inaczej postąpić.

— Tak się mamy rozstać, na zawsze? Już pani nie zobaczę? O, nie... nie!... Przyrzekam, będę roz-

sądny, mówił będę o rzeczach obojętnych... byleśmy się tylko mogli widywać... Proszę pozwolić, będę spokojny... poczekam na koniec, aż się pani znuży innymi... byłem jeno miał nadzieję! Potrząsa pani głową, śliczną główką swoją?... O, jakaż to straszna rzecz! Ach, czyż nie mogłabyś pani bodaj skłamać, dla zrobienia mi przyjemności... nawet będąc zdecydowaną nie spotykać się ze mną. Jakże mi smutno, chociaż rano śpiewałem... Raz jeden choćby tylko...

— Nie prosz pan o to, bo nie mogę przyrzec. Zresztą, w jakimże celu? Idz pan już... proszę bardzo. Może się spotkamy kiedyś, nie wiem sama... być może! Idz pan już! — zawołała niecierpliwie i dorzuciła: — Uczyn pan to, proszę, dla mnie.

Pauza.

Stał zapatrzony w nią, a piersi mu falowały, potem opanował się, pochylił, upuścił czapkę i schwyciwszy jej dłoń, której mu nie podała, ścisnął silnie w obu rękach. Wydała okrzyk, a on puścił zaraz, przerażony tem, że jej sprawił ból. Spoglądał jak odchodzi. Kilka kroków jeszcze i zniknie. Oblał go rumieniec, zagryzł do krwi wargi i postanowił mocno, że natychmiast obróci się do niej plecami. Chciał pokazać, że jest mężczyzną... Dobrze, już dobrze... bądź zdrowa...

Nagle ona spojrzała za siebie i rzekła:

— Proszę, nie chodź pan nocą wkoło plebanji... Proszę, drogi panie, nie czyn tego. Przez kilka nocy Biskuszczał tak zajadle, że ojciec chciał wstawać. Proszę tego nie robić. Nie zechce pan przecież, jak sądzę, sprowadzić na nas oboje nieszczęścia.

Wyrzekła te tylko słowa, on zaś, słysząc je, uczuł, że się gniewać nie może, potrząsnął tylko głową, zakrył twarz dłonią i rzekł, odchodząc:



— A właśnie dzisiaj są me urodziny!

Spojrzała za nim, zawahała się, a potem podbiegła i chwyciła go za ramię.

— Przepraszam pana, — rzekła — ale inaczej być nie może. Spotkamy się jeszcze kiedyś... prawda?... Tak... ale teraz muszę odejść.

Obróciła się żywo i odeszła.

## XII.

**Z**awołowana dama, przybyła parowcem, zmierzała od strony wybrzeża prosto do „Hotelu Centralnego.“

Nagel stał przypadkowo u okna i wyglądał. Przez całe poobiedzie chodził bezustannie po pokoju, zatrzymując się tylko czasem, by wypić szklankę wody. Policzki mu pały gorączkowo i piekły go oczy. Godziny mijały, a on rozmyślał ciągle nad ostatniem spotkaniem z Dagny.

Chciał zrazu wmówić w siebie, że byle wyjechał, zapomni o wszystkim. Otworzył kufer, dobył zeń papiery, kilka instrumentów mosiężnych, flet, nuty i ubrania, pośród których było jedno żółte, zupełnie podobne do tego, jakie miał na sobie. Wszystko to i inne drobiazgi rozrzucił po ziemi. Pakował się do drogi. Miasto zbrzydło mu, bowiem nie wywieszano już teraz chorągwi i ulice były puste. Czemużby u licha nie miał jechać? Pocóż wogóle wetknąć tu musiał nos. Wszakże była to nędzna, prowincjonalna dziura, sroczce gniazdo, śmietnik, po którym łazili mali, długousi ludziska.

Wiedział zresztą, że nie odjedzie, chciał się jeno sam okpić i wystrychnąć na dudka. Po chwili zapakował

zniechęcony rzeczy z powrotem, postawił kuferki na swoim miejscu i zaczął chodzić zgoła nieprzytomnie pomiędzy drzwiami i oknem. Chodził tak szybko, aż zegar wybił szóstą...

Stojąc u okna, zobaczył jak zawoalowana dama wchodzi na schody hotelu i w tej chwili zmienił się wyraz jego twarzy. Chwycił się kilka razy za głowę... Ha, trudno! Dama miała równe, jak on, prawo mieszkać w tym hotelu... Cóż go to obchodziło, miał o czym innem myśleć, zresztą skwitowali się przecież oboje.

Zmusił się do spokoju, siadł na krzesło, podjął z ziemi gazetę i udał, że czyta. Po kilku minutach Sara otworzyła drzwi i podała mu bilet z jednym jeno wyrazem „Kama“, wypisanym ołówkiem. Nic ponadto. Wstał i zszedł na dół.

Dama stała w korytarzu, nie podniósłszy welonu, Nagel skłonił się w milczeniu, a przybyła powiedziała donośnie z wzruszeniem:

— Jak się pan masz, Simonsen? — Tak powiedziała wyraźnie.

Drgnął, ale się zaraz opanował i spytał Sary:

— Gdzieby tu można chwilę spokojnie...

Wprowadzono ich do pokoju, obok jadalni, a gdy się jeno drzwi zamknęły, dama padła na krzesło. Była wielce wzburzona.

Rozmawiali słowami urywanemi, które oni jeno rozumieli, pełnemi aluzji do przeszłości, a znali się, widać dobrze. Trwało to niespełna godzinę, a dama mówiła raczej po duńsku, niż norwesku:

— Przebacz, żem cię nazwała jak dawniej, pieszczotliwie: Simonsen. Jakże pięknie, ile razy je wypowiem, widzę cię, jak żywego przed sobą.



— Kiedyż pani przybyła? — spytał:

— Teraz, przed chwilą, idę wprost z parowca... Zaraz też odjeżdżam z powrotem.

— Tak prędko?

— Słuchajże pan, — powiedziała — raduje to pana, widzę dobrze, że zaraz odjeżdżam... Proszę, powiedz mi pan, co mam uczynić, by się wyleczyć z choroby piersiowej. Boli tu... dotknijże pan... nie, wyżej. Cóż pan na to? Czuję, że mi się pogorszyło w czasach ostatnich... ach, zresztą to rzecz obojętna... Muszę wyglądać strasznie... nieprawdaż? Czy fryzura moja w porządku? Może jestem też poprostu brudna, gdyż jadę od dwudziestu czterech godzin... Nie zmieniłeś się pan nic a nic... zawsze ten chłód... czy nie masz pan przy sobie grzebienia?

— Nie... Jak pani wpadła na myśl przyjechania tutaj?

— A pan? Co pan miał za cel, chowając się w tę dziurę? Myślałeś pan zapewne, że cię nie odnajdę?... He... więc zostałeś tu agronomem? Ha... ha... ha... dowiedziałam się od ludzi na wybrzeżu, że jesteś agronomem i pracowałeś przez dwa dni w ogrodzie niejakiej pani Stenersen bez surduta, pielęgnując kilka zeschłych krzaków malin... Co za koncept... Ręce mam zimne jak lód, zawsze się to zdarza, gdy jestem wzburzona. Nie masz dla mnie litości, chociaż zwię cię, jak dawniej, Simonsenem i staram się być wesoła. Jeszcze dziś rano w kabinie myślałam, jak też mnie przyjmiesz, czy będziesz mówił ty i czy mnie weźmiesz pod brodę? Pewna byłam niemal, że się tak stanie, ale omyliłam się. Proszę pamiętać, nie rób pan tego teraz... już zapóźno... nie chcę... rozumiesz pan? Proszę, powiedz mi pan, czemu siedzisz i mrugasz oczyma? Czy myślisz o czym innym, gdy mówię?

Odpowiedział:

— Nie czuję się dziś zdrowym, Kamo. Możeby pani powiedziała mi powód swego przybycia? Bardzobym był rad.

— Jaki powód? — zawołała. — Miły Boże, czyż można być tak okrutnym? Czy obawiasz się pan, że przyjechałam jedynie po pieniądze, w celu obrabowania pana? Wyznaj, jeśli masz na sercu tak czarne myśli... Acha... dlaczego przybyłam... zgaduj! No, zgaduj! Cóż to dziś za dzień i jaka data? Czyżbyś zapomniał własnych urodzin?

Załkała, padła przed nim na kolana, ujęła jego dłonie,ложиła na nich twarz i przycisnęła do piersi. Zaskoczony tą niespodzianą czułością, doznał wzruszenia, podniósł ją i posadził sobie na kolanach.

— Nie zapomniałam o twych urodzinach, — powiedziała — pamiętam zawsze, a nawet nie wiesz, jak cię oplakuję nieraz bezsennemi nocami. Chłopcze mój... masz zawsze tak samo różowe usta!... Myślałam na statku, czy też masz jeszcze różowe usta. Czemuż oczy twe błędzą, czyżbyś się niecierpliwił. Jesteś ten sam co poprzód, tylko spojierasz na wszystkie strony, jakbyś dumał nad sposobem pozbycia się mnie co prędzej. Wolę usiąść na krześle obok ciebie... i ty to wolisz, prawda? Mam ci tyle do powiedzenia, a śpieszyć się muszę, bo statek odchodzi niedługo. Miesza mnie twe obojętne spojrzenie. Cóż mam uczynić, by cię zainteresować? Widzę, nie czujesz wdzięczności za to, że pamiętała o twojej rocznicy i przybyła... Czyś dostał dużo kwiatów? Pewnie tak, pani Stenersen nie zapomniała... Powiedz mi, jak wygląda ta pani, dla której zostałeś agronomem... ach, co za koncept! Byłabym ci również przywiozła



kwiaty, ale właśnie mi zabrakło pieniędzy... Na miły Bóg, poświęć że mi bodaj kilka marnych minut. Jakże się wszystko zmieniło? Czy pamiętasz... co-prawda, nie pamiętasz pewnie i szkoda o tem mówić... a może pamiętasz, jak to dawniej biegleś naprzeciw, poznawszy mnie zdala po kapeluszu. Wiesz sam, że prawdę mówię... Ale dziś, nie wiem doprawdy, poco przypominam tę historję z kapeluszem... Był to dobry argument, ale dalibóg, zapomniałam już jak go chciałam użyć... Cóż to? Czemu nie mówisz?

Wstał, podszedł na palcach do drzwi, otworzył je szybko i powiedział:

— Saro, dzwonią na ciebie już długo z jadalni! Wrócił, usiadł i szepnął Kamie:

— Wiedziałem dobrze, że zagląda przez dziurkę od klucza.

Kama zniecierpliwiła się.

— To i cóż, niech sobie zagląda! Czemuż myślisz w tej chwili o stu różnych rzeczach. Siedzę tu od kwadransa, a dotąd nie poprosiłeś mnie, bym zdjęła welon. Nie waż się pan czynić tego teraz! Czyż pomyślałeś, jak straszną jest męka przy tym upale mieć na twarzy ciężki, zimowy welon. Ładna nagroda! Pocóż jechałam? Słyszałam dobrze, pytałeś służącej, gdzie można porozmawiać przez chwilę... małą chwilkę... powiedziałeś pan, sądząc, że się ze mną załatwisz w ciągu dwu minut. Ach... nie czynię panu wyrzutów, tylko tak mi okropnie smutno... o mój Boże!... Czemuż nie mogę się oderwać od ciebie? Wiem, że jesteś warjat, słyszałam to od doktora Nissena i wierzę mu, oczy masz błędne... a mimo to, nie mogę się od ciebie oswobodzić. Jakżebyś inaczej mógł tu siedzieć i udawać agronoma? Nie słyszałam

nic podobnego. Przytem nosisz stale żelazny pierścionek i to niemożliwie żółte ubranie, któregoby nikt włożyć na siebie nie chciał...

— Doktor Nissen powiedział, żeś warjat? — spytał.

— Tak, powiedział bez ogródek. Czy chcesz wiedzieć do kogo to mówił?

Przez chwilę siedział zadumany, potem podniósł oczy i spytał:

— Proszę, powiedz mi otwarcie, Kamo, czy mógłbym ci dopomóc jakąś kwotą. Wiesz, że jestem w stanie to uczynić.

— Nigdy! Przenigdy! — zawołała. — Czemuż raz po razu obrażasz mnie!

Pauza.

— Pocóż siedzimy tu, — spytał — i zatruwamy sobie wzajem życie?...

Przerwała mu z płaczem i zaczęła bez zastanowienia:

— Kto ci zatruwa życie? Czy może ja? O, jakżeś się do gruntu zmienił w ostatnich miesiącach. Przybyłam tu, aby... Nie spodziewałam się, że odwzajemnisz me uczucie i nie chciałam o nie zebrać, nie zwykłam tego czynić... sądziłam jednak, że doznam lepszego przyjęcia. Nie mogę cię, choć powinna bym, wyrwać z serca, gonię za tobą i rzucam ci się do nóg. Czy pamiętasz, jak swego czasu uderzyłeś po mordzie psa, który na mnie skoczył? Winną byłam ja, bo krzyknęłam, sądząc, że mnie chce gryźć, on zaś chciał się bawić i po uderzeniu nie uciekł, ale legł przed nami na brzuchu. Wówczas uczułeś wzruszenie, pogłaskałeś psa, a nawet, jak widziałam, zapłakałeś potajemnie... dziś zaś nie płaczesz, mimo że ... Nie sądzi, iż się przyrównuję do psa... Tak myślisz... Bóg świadkiem, jesteś zuch-



walec, znam ten wyraz twarzy... śmiejesz się... drwisz ze mnie... mówię to otwarcie... Nie, nie, przebacz mi! Znowu mnie ogarnęła rozpacz. Jestem złamana, masz przed sobą istotę złamaną... daj mi rękę! Pragnę byś zapomniał o swem przeoczeniu, jakie miało miejsce wówczas... było to jeno drobne przeoczenie. Źle zrobiłam, że nie zeszłam do ciebie owego wieczora, kiedyś mi dawał jeden znak po drugim i bardzo tego żałuję. Ale on nie był u mnie, jak sądziłeś... to znaczy był, jeno poszedł już. Wyznam to i proszę o zlitowanie. Powinnam go była wygnać... przyznaję... wszystko przyznaję... nie powinnam była wówczas... ach nie wiem już nic... nic nie wiem...

Pauza. Słysząc było tylko łkanie Kamy, oraz brzęk nożów i widelców w jadalni. Płakała, ocierając chustką łzy pod welonem.

— On jest, wyobraź sobie, — podjęła na nowo — on jest zupełnie bezradny, nie umie stawiać się ostro. Czasem bije pięścią w stół, krzyczy, żeby mnie djabli brali, beszta, powiada że go rujnuję, słowem zachowuje się ordynarnie. Ale za chwilę wpada w rozpacz, traci odwagę i nie ma sił, by mnie wygnać. Cóż mam czynić, widząc jaki jest słaby? Z dnia na dzień odkładałam zerwanie z nim, chociaż nie jest mi wcale dobrze... Tylko nie lituj się pan nade mną... nie waż się okazać mi bezwstydnie swego politowania!... Jest on w każdym razie lepszy, niż inni, i sprawił mi więcej przyjemności od wielu... od ciebie nawet. Kocham go, jak dawniej, mówię to otwarcie. Nie przyjechałam też poto, by źle o nim mówić. Za powrotem, na kolanach będę prosiła, by mi przebaczył to, com już złego o nim rzekła. Tak uczynię niezawodnie!

Nagel powiedział:

— Droga Kamo, bądźże na moment rozsądna! Pozwól, że ci dopomogę... słuchaj! Pewny jestem, że ci się to przyda. Nie odmawiaj, bo brzydko odmawiać, gdy wiesz, że mogę i rad będę przysłużyć ci się.

Dobył portfelu.

— Człowieku, czyś słyszał, żem powiedziała: nie! — zawołała z wściekłością.

— O cóż ci tedy idzie? — spytał.

Siedziała na krześle, nie płakała, zdawało się, że żałuje swej porywczosci.

— Słuchaj, drogi Simonsen... pozwól się raz jeszcze nazwać tem imieniem. Powiem coś, tylko się nie gniewaj. Co cię skłoniło do przejazdu tutaj, do życia z tymi ludźmi? Powiedz... powiedz pan na miłość boską! Czyż dziwne wobec tego, że cię zwą warjatem? Muszę się za każdym razem namyślać nad mianem tego miasta, tak jest małe, a pan tu przesiadujesz, wprawiając w osłupienie głupców swemi pomysłami. Czyż nie masz nic lepszego do roboty? Nic mnie to nie obchodzi... mówię jeno przez dawną... Ach, jak sądzisz pan, co powinnam czynić, by ratować chore płuca? Czuję czasem, że w nich coś pęka. Dobrzeby było poradzić się lekarza... ale jakże mam to, na miły Bóg, uczynić, nie posiadając jednego oera?

— Właśnie chcę ci pewną kwotę pożyczyć... oddasz mi kiedyś...

— Ach, wszystko jedno, czy wezmę lekarza, czy nie...  
— dąsała cię, niby uparte dziecko — któż mnie będzie żałował, gdy umrę? — Nagle jednak zmieniło się jej usposobienie i powiedziała: — Przychodzi mi na myśl, że mogę brać od pana pieniądze teraz równie dobrze, jak dawniej. Nie jestem wszakże tak bogata, by przeto... Tylko skorzystałeś pan z chwili wzburzenia i za-



ofiarowałeś mi pieniądze, wiedząc zgóry, że odmówię. Wyrachowałeś pan to naprzód, chcąc oszczędzić wydatku, chociaż jesteś teraz zamożny. Doskonale to zauważyłam. Ofiarując teraz czynisz pan to w chęci upokorzenia mnie, ciesząc się tem, bo wiesz, że wkońcu zmuszona będę przyjąć. Trudno... przyjmuję i jestem ci wdzięczna... cóż robić... O Boże... gdybym cię nie potrzebowała! To jednak zapamiętaj sobie, że nie przyjechałam dziś wyłącznie po pieniądze. Wierz, lub nie wierz, ale tak jest. Nie sądzę, byś pan mógł tak nikczemnie myśleć... Ileż mi dasz, drogi Simonsenku? Proszę bardzo, nie rujnuj się... proszę, wierzaj, całkiem szczerze...

— Ile pani potrzeba?

— Ile?... Ach... parowiec nie odpłynie chyba beze mnie... Potrzeba mi dużo może... może kilkadziesiąt koron, ale...

— Proszę nie czuć się upokorzoną przyjęciem pieniędzy. Jeśli pani chcesz, możesz je u mnie zarobić. Możesz mi pani oddać wielką przysługę... o ile wolno prosić...

— O ile wolno prosić? — zawołała uradowana wielce takim rozwiązaniem. — Jakże możesz tak mówić, drogi! Jakaż to przysługa... jaka przysługa? Gotowa jestem na wszystko! Ach, jedyny chłopcze mój!

— Jest jeszcze trzy kwadranse czasu do odejścia parowca...

— Tak... cóż mam uczynić?

— Proszę udać się do pewnej damy i zrobić co powiem.

— Damy?

— Mieszka w małym domku, tuż przy wybrzeżu. W oknach niema firanek, ale stoją tam doniczki z bia-

łemi kwiatami. Dama zwie się Marta Gude, panna Gude.

— Ach więc to ona... nie pani Stenersen?

— Myli się pani. Panna Gude ma blisko czterdzieści lat. Posiada ona starożytny fotel, który chcę kupić i w tej sprawie może mi pani pomóc... Proszę schować pieniądze, a ja rzecz objaśnię.

Zaczęło potrochu zmierzchać. Goście wychodzili z hałasem z jadalni, a Nagel informował Kamę, co do starego fotelu. Powiedział, że ma być ostrożną, bo szeroki gest na nic się nie zda. Kamie owa podejrzana misja wydawała się coraz to bardziej zachwycającą, śmiała się wesoło i pytała raz po raz, czy nie należałoby wziąć jakiegoś przebrania, a przynajmniej postarać się o okulary. Wszakże miał swego czasu czerwony kapelusz, mogłaby go wdziać teraz!

— Nie — odparł. — Nie potrzeba żadnych sztuczek! Wystarczy podbić cenę do dwustu, albo nawet dwustu dwudziestu koron. Pewna pani być możesz, że go nie da.

— Boże... taka masa pieniędzy! Czemużby nie miała dać tego sprzętu za dwieście dwadzieścia koron?

— Bo ja sobie już zastrzegłem pierwszeństwo.

— Przypuśćmyż jednak, że mnie weźmie za słowo...

— Nie weźmie, ręczę. Możeby pani już poszła!

I teraz jeszcze Kama prosiła o grzebień i narzekała, że suknię ma zmiętą. Potem powiedziała krygując się: — Nie mogę znieść, że się tak kręcisz koło tej pani Stenersen! Strasznie mi przykro! — Dotknęła kilka razy stanika, za który wetknęła pieniądze, i wykrzyknęła: — Słodki z ciebie chłopak, żeś mi dał aż tyle! — Potem, szybkim ruchem podniosła welon i pocałowała Nagla w same usta. Przy tem wszystkiem rozgorączkowana była myślą o misji u Marty Gude i pytała:



— Jakże ci mam dać znać, że wszystko dobrze poszło? Mogłabym prosić kapitana statku, by dał sygnał świstawką po cztery, lub pięć razy... chcesz? A może nie wypada? Widzisz, nie jestem tak głupia. Zawierz mi tylko. Uczyniłabym nietylko to dla ciebie, gdybyś... Słuchajże, nie przyjechałam dziś tylko po pieniądze... wierz mi! Dziękuję ci raz jeszcze! Do widzenia! Do widzenia!

Raz jeszcze zbadala czy ma pieniądze.

W pół godziny potem usłyszał Nagel rzeczywiście pięć krótkich gwizdnięć puszczalki parowej

### XIII.

**M**inęło parę dni.

Nagel przesiadywał w domu, był nachmurzony i wyglądał, jakby mu coś dolegało. Oczy jego straciły blask, nie mówił z nikim, nawet z domownikami, a na ręce miał biały płatek. Pewnej nocy, wrócił, jak zawsze późno, z ręką przewiazaną chustką. Oświadczył, że dwie ranki pochodzą ze skaleczenia o brnę, leżącą na wybrzeżu, o którą się potknął.

Rano w czwartek padał deszcz, a niepogoda ciążyła mu na duszy. Lecz gdy przeczytał, leżąc w łóżku, opis jakiejś sceny w parlamencie francuskim, poweselał, strzelił palcami i zerwał się. — Niechże się tam djabeł smuci! — pomyślał. — Świat szeroki, bogaty, wesoły, piękny! Nie chcę o niczem innem wiedzieć!

Niezupełnie jeszcze ubrany, zadzwonił i powiedział Sarze, że odbędzie się u niego wieczorem zebranie męskie, że przybędzie sześciu do siedmiu panów, wesołych ludzi, celem rozruszania chałupy. Będzie doktor Stenersen, adwokat Hansen, adjunkt i tak dalej.

Rozesłał zaraz zaproszenia. Minuta odpowiedział, że przyjdzie, zaproszony również podsędek Reinert nie stawiał się. O piątej z wieczora wszyscy zebrali się w pokoju Nagla, że zaś deszcz padał ciągle, a niebo pokrywały ciemne chmury, zaświecono lampę i spuszczone story.

Potem zaczęła się pijatyka i hałas taki, że o orgji tej mówili wszyscy w miasteczku przez kilka dni następnych.

Gdy wszedł Minuta, zbliżył się doń Nagel i przeprosił go za nedorzeczną paplaninę wieczór, gdy byli razem. Ścisnął mu serdecznie dłoń i przedstawił studentowi Olsenowi, którego nie znał dotąd. Minuta podziękował szeptem za nowe spodnie. Był teraz od stóp do głowy wyświeżony.

— Brak panu jeszcze kamizelki.

— Tak, ale to zbyt uczte. Nie jestem hrabią... zaręczam, nie potrzeba mi kamizelki.

Doktór Stenersen stłukł okulary i miał na nosie spadające ciągle binokle bez sznurka.

— Mówmy co chcemy, — twierdził — ale żyjemy przecież w czasie wolności. Weźcież panowie na przykład wybory i porównajcie z poprzednimi.

Wszyscy pili tego, adjunkt zaczął już wyrzucać pojedyncze słowa, co było oznaką pewną oszołomienia, zaś adwokat Hansen, który już przed przybyciem łyknął parę szklanek, sprzeczał się z doktorem i gadał od rzeczy.

— Ja, jako socjalista — mówił — idę, że tak rzekę, dalej. Nie zadawalniają mnie wcale wybory. Cóż to za wolność z nich wyniknąć ma, ...ha? Do kroćset djabłów z niemi... Śliczny czas wolności! Czyż nawet taki Gladstone nie zwalcza nikczemnie Parnella ze



względów moralności, ze śmiesznych, befsztykowych względów moralności... A, niech to djabli biorą!

— Cóż to za głupie gadanie? — wrzasnął doktor. — Czy usunąć chcesz moralność? Jeśli się rozpowszechni pogląd, że няма moralności w polityce, to lud się od niej odwróci. Trzeba ludzi wciągnąć w proces rozwojowy, wmówić w nich nieraz to i owo i wysoko cenić moralność. Bardzo szanuję Parnella, ale skoro Gladstone uznał go za niemożliwego, to przyznać trzeba, że mąż ten rozumie się potrosze na rzeczy. Uważam czcigodnego gospodarza naszego, pana Nagla za wyjątek zresztą, bo nie chciał przyznać Gladstonowi czystych intencji... ha, ha, ha... dalibóg, nie chciał. Pan Nagel nie jest również łaskaw na Tolstoja. Podobno, w rozmowie z panną Kielland wyraził wątpliwości co do niego.

Nagel rozmawiał ze studentem Olsenem, na ostatnie słowa, obrócił się żywo i rzekł:

— Nie pamiętam, bym rozmawiał o Tolstoju z panną Kielland. Uważam go za wielkiego poetę, ale na punkcie filozofji jest to zupełny cymbał! — zaraz jednak dodał: — Sądzę, że możemy sobie dziś pozwolić na dosadniejsze wyrazy, o ile mamy na to ochotę. Jesteśmy sami mężczyźni, w kawalerskiej budzie. Zgoda? Mam właśnie ochotę chwycić coś w pazury i pomruczeć.

— Jak wola! — odparł urażony doktor. — Tolstoj ma być błaznem?

— Tak, tak... każdy niech gada co chce! — zawołał nagle adjunkt, który doszedł w opilstwie do stanu zupełnej nieustraszoneści. — Żadnych ograniczeń, doktorze, bo inaczej wyrzucimy cię za drzwi. Każdy ma gadać co chce! Stöcker, na przykład, jest niepoprawnym lajdakiem... udowodnię to, udowodnię.

Wszyscy się roześmiali i długo trwało, zanim wrócono do Tołstoja.

Nagle rozplomienił się Nagel.

— Nie jest to duch wielki, ale nawet zgoła przeciętny, a jego nauka nie jest o włos głębsza od wrzasków allelujących posiepaków armji zbawienia. Gdyby nie arystokratyczne nazwisko i miliony rubli, nie stałby się sławnym z tego jeno powodu, że wyuczył kilku chłopów łatania chodaków... Ale mniejsza z tem, zabawmy się lepiej... zdrowie pańskie, panie Grögoard!

Nagel trącał się raz po raz z Minutą i wogóle przez cały wieczór był dlań bardzo uprzejmy. Raz jeszcze uczynił wzmiankę o swej paplaninie i poprosił, by zapomniał.

— Już mnie nic nie zdziwi z ust pańskich! — rzekł doktor i nadał się.

— Oponuję, w samej rzeczy, chętnie — przyznał Nagel — a dziś specjalną mamdo tego chętkę. Przedwczoraj doznałem przykrości, a także niepogoda wywoływa ten skutek. Zrozumie pan to, doktorze... przepraszam bardzo. Wracając do Tołstoja, nie uważam go za głębszego od generała Bootha, na przykład. Obaj są to nauczyciele, nie zaś myśliciele. Biorą jeno gotowe myśli, popularyzują je i w ten sposób kierują światem. Ale jeśli się już czemś obraca, handluje, to trzeba to czynić z zyskiem, tymczasem Tołstoj handluje z ogromnemi stratami. Dwaj przyjaciele założyli się raz o dwanaście szylingów. Jeden twierdził, że z odległości dwudziestu kroków wystrzeli drugiemu orzech z palców, nie zraniwszy ręki. Potem strzelił haniebnie, a z ręki zostały jeno strzepy. Ranny jęknął, ale ostatkiem sił zawołał jeszcze: — Przegrałeś zakład! Dawaj dwanaście szylingów!... Tak zawołał... no i dostał



pieniądze. W ten sam sposób stara się Tołstoj niweczyć wszystkie źródła życia i sprawić, by świat djabli wzięli z wielkiej miłości dla Boga. Wstyd mi wielki za niego, wstyd... chociaż zuchwalstwem wydać się może, by agronom wstydził się hrabiego. Nie mówiłbym tego, gdyby Tołstoj był młodzieńcem i walczył z pokusami celem życia w czystości i propagowania cnoty, ale jest to starzec, nie posiadający żadnych już ludzkich uczuć. Można by zarzucić, że nie dotyczy to samej jego nauki! Dotyczy jednak! Dopiero wówczas, gdy życie spędzone w uciechach i starość uczyniła go łykowatym i odpornym na wszystko, idzie do młodych i każe im rezygnować. Młodzieniec słucha, przyznaje, że wedle litery pisma wszystko jest słuszne, ale mimo to nie rezygnuje i grzeszy dalej po królewsku, przez lat czterdzieści. Gdy miną, dosiada i on białej szkapy, ujmując krzyż w wyschłą dłoń i głosi innym młodzieńcom naukę rezygnacji. He... he... to komedja, powtarzająca się bez końca. Tołstoj rozwesela mnie, zachwycony jestem, że taki gruchot zdobył się na kapitalny figiel... i czekam, by zasnął w Panu i dostał zbawienia. W gruncie rzeczy jednak robi on to, co każdy starzec przed nim i po nim robił będzie. Na tem koniec...

— Pozwolę sobie — odparł doktor — zwrócić uwagę, że niezależnie od wszystkiego, Tołstoj jest prawdziwym przyjacielem i opiekunem biednych i opuszczonych. Czyż to nic? Proszę, pokaż mi pan tu, u nas człowieka bogatego na wysokim stanowisku, któryby w ten sposób ujmował się za biedotą. Wydaje mi się też zgoła zuchwalstwem nazywanie Tołstoja cymbałem, dlatego że nauka jego nie jest ogólnie przestrzegana.

— Brawo doktorze! — zaryczał impetycznie adjunkt.  
— Brawo! Ale powiedz pan to ostrzej, ordynarniej!

Każdy może mieć swe zdanie. Jest to zuchwalstwo... tak,... ogromne zuchwalstwo... udowodnię to!

— Zdrowie pańskie! — rzekł Nagel. — Pamiętajmyż poco tu jesteśmy. Pan doktor twierdzi, że jest wielką zasługą dać nędzarzowi dziesięć rubli, gdy się ma miliony? Nie pojmuję pańskiego rozumowania, jak również zapatrywań większości ludzi. Muszę być, widać, inny. Choćby szło o życie, nie będzie mi nigdy jasnem, dlaczego ma zasługiwać na podziw bogacz, dający jałmużnę.

— Słusznie! — zauważył adwokat, podburzająco. — Jestem socjalistą i takie same mam zapatrywanie.

Rozjuszyło to doktora, zwrócił się do Nagla i syknął:

— Nie wiem, czy pan ma dobre informacje odnośnie do ilości i wysokości darów, jakie rozdziela Tołstoj w ciągu roku. Musi być chyba pewna granica na wszystko, nawet podczas wieczorku kawalerskiego.

— Odnośnie do Tołstoja — odparł Nagel — pytanie brzmi: Ile mogę rozdać rocznie? — Ciekawe tylko czemu składa na swą żonę odpowiedzialność za to, że nie daje więcej... No, ale pomińmy tę sprawę... Idzie o co innego. Sądzisz pan, że ktoś daje n. p. koronę dlatego, że jest dobry, i że sądzi, jakoby spełniał czyn dobry, moralny? Naiwność zupełna! Są ludzie którzy muszą rozdawać i nie są w stanie czynić inaczej. Sprawia im to psychiczne użycie. Nie rozumują logicznie, kryją się z tem, bo utraciliby część rozkoszy. Dają pokryjomu, szybko, drżącemi rękami, a w duszy odczuwają nieznana im samym rozkosz. Nachodzi ich raptem żądza dawania, uczuwają przymus nieodporny, od którego lży cisną im się do oczu. Nie dają przez dobroć, ale pod naciskiem popędu, dla własnej satysfakcji. Są tacy ludzie, podziw budzą, ale ja tego nie



rozumiem. Muszę być zgoła odmienny. Któż, zdaniem mojem nie woli dawać, niż brać? Któż na całym świecie, pytam, nie woli łagodzić niedoli, niż sam ją cierpieć? Pan sam na przykład, doktorze, dałeś niedawno pięć koron chłopakowi, który zawiózł pana łodzią do chorego. Słyszałem to przypadkiem. Czemużeś mu pan to dał? Pewnie nie dlatego, by dokonać zbożnego czynu, ani w myśli to panu nie powstało. Człowiek ów nie potrzebował może nawet datku. Pan jednak dałeś mu pieniądze pod naciskiem pewnego impulsu, przymusu dania, potrzeby sprawienia komuś radości... Nie warto, zaiste, trąbić tak głośno o ludzkiej dobroczynności. Wychodzi się pewnego dnia na ulicę, jest taka i taka pogoda, spotyka się tych a tych ludzi i popada w pewien nastrój. Nagle spostrzegamy jakieś dziecko, czy żebraka... powiedzmy żebraka, którego widok wywołuje drgnięcie. Doznaje się pewnego uczucia, staje i tupie. Owa twarz targnęła jakąś strunę w duszy naszej. Zwabiamy żebraka w bramę i wciskamy mu potajemnie dziesięć koron w garść. — Zabiję cię, jeśli piśniesz o tem słowo! — powiadamy, zgrzytając niemal zębami i płacząc ze wzburzenia. Tak bardzo zależy nam na tajemnicy. Rzecz może się powtarzać dzień po dniu, tak że dawca popada czasem sam w kłopot i nie ma oera przy duszy... Nie jest to moja własna cecha, ale znam takiego człowieka, znam dwu nawet. Otóż daje się, bo tak być musi. Skąpcy, to rzecz inna, to wyjątki. Dając, czynią wielką ofiarę... nie ulega kwestji. I dlatego ludzi takich, walczących o każdy oer jałmużny, cenię wyżej, niż hojnych, dla własnej przyjemności rzucających koronami. Pozdrów pan ode mnie, doktorze, Tolstoja i oświadczyć mu, że gwizdzę na jego wstrętą, publiczną manję jałmuż-

niczą... chyba, że rozda wszystko do grosza... nie i w takim razie nie zmienię zdania... Zresztą przepraszam, jeśli kogoś uraził... Może jeszcze cygarko, panie Grögoard... Zdrowie pańskie, doktorze!...

Pauza.

— Iluż ludzi, jak sądzisz pan, pozyskasz dla swoich poglądów? — spytał doktor.

— Brawo! — krzyknął adjunkt. — Brawo, powiada adjunkt Holtan!

— Nie chcę pozyskiwać nikogo! — odparł Nagel. — Gdybym żył z nawracania ludzi, niedługobym wytrzymał. Nie mogę tylko zrozumieć, czemu inni ludzie różnią się ode mnie poglądami, przeto pewnie nie mam racji, chociaż z tem pogodzić się znowu nie mogę.

— Nie słyszałem do tej pory, — rzekł doktor — byś pan uznał coś i kogoś. Radbym wiedzieć, czy godzisz się pan bodaj z kimś jednym na świecie.

— Wytlumaczę rzecz w kilku słowach. Pan chciałś powiedzieć: — Patrzcież, człowiek ten nie uznaje niczyjej wyższości, jest uosobieniem pychy i niezgody. — Otóż, mimo że umysł mój nie ogarnia zbyt wielu rzeczy, mogę wymienić setki setek zwykłych, a uznanych wielkich ludzi, których świat wielbi, tak że aż bolą uszy. Wolałbym atoli podać jeno kilku wielkich naprawdę bohaterów ducha, twórczych pół-bogów... innych zaś, szczególnych w swym rodzaju genjuszów uznać za istoty bez znaczenia, którzy rodzą się i mijają niepostrzeżenie. Do nich zaliczam też Tolstoja.

— Słuchajno pan! — rzekł wzgardliwie doktor i wzruszył ramionami, jakby chciał rzeczy koniec położyć. — Czy sądzisz, że Tolstoj pozyskałby sławę światową, nie będąc duchem wielkim? Niezmiernie



zabawne jest co pan głosisz, ale to czysty nonsens! Pleciesz pan, niech mnie лихо porwie, aż się niedobrze robi!

Adjunkt Holtan zaryczał:

— Brawo doktorze! Nie dajmy sobie zatykać gęby przez naszego gospodarza!

— Pan adjunkt przypomniał mi, — odrzekł grzecznie, śmiejąc się Nagel — że w istocie nie szczególny ze mnie gospodarz. Poprawię się więc. Panie Olsen, nie masz pan nic w szklance. Czemuż pan nie pijesz?

Student Olsen siedział przez cały czas niemy i niby skamieniały, nastawiając uszy z zaciekawienia. Powiadano, że jak to czynić zwykli podczas feryj studenci... pisze romans.

Sara weszła i zawiadomiła, że kolacja czeka w sali na dole. Adwokat, osowiały już potrochu, zerwał się na jej widok, dopędził na schodach i rzekł:

— Śliczna z ciebie bestyjka...

Potem wrócił, usiadł poważnie na swoim miejscu. Był już tak podpity, że nie mógł reagować na zarzuty, jakie stawiał doktor jego socjalizmowi. Doktor kpił z niego, zwąc posiepakiem, pośrednikiem pomiędzy siłą, a niemocą, kauzyperdą, co żyje ze sporów, każąc sobie za to dobrze płacić, człowiekiem, obracającym słuszość do góry nogami. I takie stworzenie zwie się socjalistą?

— Hm... idzie o zasady... o zasady — bąkał niepewnie adwokat.

Doktor wyraził się niesłychanie wzgardliwie o zasadach adwokata Hansena i idąc na kolację do sali, atakował go raz po raz, kpił z jego zdolności adwokackich, oraz całej socjalistycznej roboty. Doktor był zacierzewiałym liberałem i nie cierpiał gadułów-

socjalistów. — Cóż to są owe zasady socjalistyczne? — pytał. — Do diabła z niemi! — Dosiadł ulubionego konika i dał zwięzłą formułę socjalizmu. To idea zemsty klas najniższych. A ich ruch polityczny! Tłum dzikich, ślepych bestyj, co pędzą za przywódcami, wywiesiwszy ozory. Sięgnijcież spojrzeniem poza własny nos! Nie, lud nie myśli. Inaczej przeszedłby do liberałów, staraliby się zdziałać coś użytecznego, praktycznego miast leżeć na barłogu i przeżuwać bezpłodne marzenia. Pfuj, do diabła! Weźmy takich przywódców, cóż to za ludzie? Obdarci, wychudli głupcy, co siedzą na poddaszach i piszą rozprawy o naprawie świata. Trafia się czasem porządny człowiek, któż mógłby coś złego rzec o Karolu Marksie? Ale ci marksiści, to teoretycy, chcący piórem usunąć nędzę ze świata. Taki pan wmyślał się w nędzę, w każdy jej stopień, objął umysłem wszystkie cierpienia, potem zaś macza pióro, zapisuje z zapalem kartkę po kartce, gromadzi na arkuszach kolumny cyfr, zabiera bogatym, daje biednym, rozdziela ogromne sumy, przeorywa całe pole ekonomji, rzuca miliardami zdumionym nędzarzom... a wszystko to czyni naukowo... teoretycznie! Nakoniec zaś pokazuje się, że w naiwności swej wyszedł z fałszywej zupełnie zasady, bo z zasady równości ludzkiej. Pfuj, do djaska! To rzecz wprost fałszywa. Wszystko to czynią ludzie owi nadaremnie, miast użyteczną pracą wspomóc lewicę we wprowadzaniu reform na korzyść prawdziwej demokracji...

Doktór zaperzył się i sypał aksjomatami i frazesami. Przy stole, nastrój pogorszył się jeszcze. Wypito mnóstwo szampana i wszyscy krzyczeli głośno, tak że nawet siedzący obok Nagła Minuta wmieszał się kilku zdaniem do rozmowy. Adjunkt siedział sztywno i pokrzy-



kiwał dziko. Jajo wylało mu się na surduty i nie śmiał się ruszyć. Podeszła Sara, chcąc go obetrzyć, ale adwokat skorzystał z tej sposobności, pochwycił ją w ramiona i zaczął wyrabiać niesłychane głupstwa. Przy stole zapanował chaos.

Nagel kazał zanieść kosz szampana do siebie na górę i niedługo potem wstano. Adjunkt i adwokat wzięli się pod ręce, śpiewali z wielkiej radości, a doktor gadał ciągle o zasadach socjalistycznych. Ale na schodach zgubił na nieszczęście po raz dziesiąty binokle, które na koniec pękły. Oba szkła rozsypały się w kawałki, a oślepiiony niemal na resztę wieczoru doktor wpadł w jeszcze większą wściekłość, siadł przy Naglu i rzekł drwiąco:

— O ile dobrze rozumiem, jest pan człowiekiem religijnym... nieprawdaż?

Powiedział to poważnie, czekając odpowiedzi, a po chwili dodał: — Za pierwszą rozmową naszą, w dniu pogrzebu Karlsena nabrałem przekonania, że pan jest człowiekiem religijnym.

— Stoję w obronie życia religijnego w człowieku, — odparł Nagel — nie idzie mi zaś specjalnie o chrystjanizm. Powiedziałeś pan, doktorze, że należy powiesić wszystkich teologów, ja zaś spytałem: — Dlaczego? — Dlatego, że rola ich skończona! — odrzekłeś pan i na tym punkcie zgodziliśmy się. Atoli życie religijne jest faktem. Turek woła: — Allah jest wielki! — i ginie za swe przekonanie. Norweg klęka do dziś przed ołtarzem i pije krew Chrystusa. Każdy lud posiada swój dzwonek krówski, w który wierzy i umiera w tej wierze szczęśliwy. Rzecz główna nie to w co się wierzy, ale jak się wierzy.

— Dziwi mnie ta pusta gadanina! — rzekł doktor rozgniewany. — Zadaję sobie pytanie, czy pan nie

jesteś jeno zamaskowanym zwolennikiem prawicy  
Jawia się coraz to nowe rozprawy krytyczne o teolo-  
gach i ich pismach, coraz to nowy pismak niweczy ich  
i kraje na kawałki, a pan mimo to obstajesz przy tem,  
jakoby krew Chrystusa i cała ta komedja miała wartość  
w czasach naszych. Nie rozumiem poglądów pańskich.

Nagel pomyślał i rzekł:

— Są one w krótkich słowach następujące. Jakaż  
korzyść stąd wyniknie, jaki zysk praktyczny, pytam,  
jeśli zniweczymy całą poezję, wszystkie marzenia  
i całe piękno mistyki? Przebacz pan, jeślim już przed-  
tem pytał o to samo. Czy pan wie co to jest prawda?  
Posuwamy się naprzód tylko przez symbole, a symbole  
owe zmieniamy ciągle po drodze... Proszę, nie za-  
pominajże pan o swojej szklance.

Doktór wstał, przeszedł przez pokój i rozgniewany  
widokiem zmiętego rogu dywanu, ukląkł, by go wy-  
gładzić starannie.

— Mógłbyś mi, Hansen, pożyczyć okularów! — za-  
wołał wściekle, podniósłszy się. — Siedzisz i śpisz tylko.

Ale Hansen nie chciał pożyczyć okularów, więc  
doktór obrócił się doń plecami i siadł z powrotem przy  
Naglu.

— To głupstwo, to nonsens! — powiedział — to  
wszystko, z mego punktu widzenia, śmiecie. Do pewnego  
stopnia masz pan może rację. Spójrzno pan na Han-  
sena... ha, ha, ha... przebacz, Hansen, że się z ciebie  
śmieję. Powinienbyś czuć wewnętrzne rozradowanie, ile  
razy dwaj obywatele pokłócą się i zaskarżą. Powinien-  
byś ich pogodzić ładnie, pięknie i nie wziąć za to grosza!  
A następnej niedzieli powinienbyś udać się na zebranie  
robotnicze i wygłosić, wobec dwu rękodzielników  
i trzech chłopców od rzeźnika, prelekcję o przyszłym



socjalistycznym państwie. Tak... oczywiście... zysk każdego odpowiadać powinien jego zdolności wytwórczej... wszystko musi być ślicznie uporządkowane, i nikomu nie śmie się dźiać krzywda. Nagle wstaje jeden chłopiec od rzeźnika i powiada: — Ja posiadam ogromny, ale to wprost bajeczny talent konsumpcyjny, natomiast w produkowaniu nie jestem tak uzdolniony... — Cóżbyś na to odpowiedział, ośle... ha? Ano chrap sobie, chrap... to potrafisz doskonale!

Doktór był strasznie pijany, język mu się plątał, oczy patrzyły błędnie. Po chwili zwrócił się znów do Nagla i rzekł ponuro:

— Zresztą, należałoby pozabijać nie tylko teologów, ale, niech mnie Bóg skarże... wszystkich... wszystkich. Trzebaby świat cały wytępić i niechby sobie kula ziemską biegła dalej.

Nagel trącił się z Minutą. Doktor, nie otrzymawszy odpowiedzi, zawrzasnął gniewnie:

— Słyszysz pan co mówię? Powinnibyśmy się wszyscy pozabijać, powiadam... pan też... pana też trzebaby zabić!

Spoglądał przytem zajadle.

— Myślałem już o tem, — odparł Nagel — ale osobiście brak mi odwagi — urwał, a potem dodał: — Nie mam odwagi, ale na wszelki wypadek, na wypadek, gdyby mi przyszła, postarałem się o broń i noszę ją zawsze przy sobie.

Dobył z kamizelki małą flaszeczkę apteczną ze znakiem trupiej główki i podniósł w górę. Była do połowy jeno nalana.

— Prawdziwy kwas pruski, czysty jak woda! — rzekł. — Ale brak mi odwagi... Czy dość tego, panie doktorze... czy starczy? Użyłem połowy dla zabicia

pewnego zwierzęcia i skutek był piorunujący. Rzuciło się kilka razy, skrzywiło komicznie, chwyciło raz, czy dwa powietrza i koniec. Szach mat, w trzecim ciągu.

Doktór wziął flaszeczkę, potrząsnął nią i odparł:  
— Dość tego, za dużo nawet... Powinienbym to panu, coprawda, odebrać... ale ponieważ panu brak odwagi...

— Tak... brak mi odwagi.

Pauza. Nagel schował flaszeczkę. Doktor zwisnął na krześle, popijał, patrzył martwo i splotwał. Po chwili krzyknął do adjunkta:

— Cóż z tobą, Holtan? Czy masz jeszcze „skojarzenie wyobrażeń?” Ja już nie... Dobranoc!

Adjunkt otworzył oczy, przeciągnął się, wstał, podszedł do okna i zaczął wyglądać. Gdy po chwili znowu wszczęto rozmowę, skorzystał ze sposobności, przesliznął się wzdłuż ściany, otworzył drzwi i wyszedł niepostrzeżenie. W ten sposób opuszczał zawsze towarzystwo.

Minuta wstał także, chcąc iść, ale gdy go poproszono, by jeszcze został chwilę, usiadł zpowrotem. Adwokat Hansen zasnął. Trzej trzeźwi do tej pory, student Olsen, Minuta i Nagel zaczęli rozmawiać o literaturze. Doktor słuchał z półotwartymi oczyma i milczał. Potem zasnął także.

Student czytał dużo i cenił wysoko Maupassanta. Twierdził, że ten pisarz najdokładniej zbadał kobietę i jest niedoścignionym poetą miłości. Posiada niesłychaną śmiałość obrazowania i znajomość ludzkiego serca. Nagel śmiał się, oburzał, bił pięścią w stół, argumentował, napadał na wszystkich pisarzy, kilku zaledwo przyznając prawo do życia. Dyszał przytem ze wzburzenia, a piana ukazała mu się na wargach.



— Poeci! — wołał. — Ha... ha... ha... oni to mieliby docierać najgłębiej w serce ludzkie? Cóż są poeci? To największe pyszałki, zagarnęli dla siebie wielką władzę w życiu współczesnem, a czemże są jak nie liszajem na ciele społeczeństwa, trądem, opuchliną, z którą trzeba się delikatnie obchodzić, pielęgnować z całym pietyzmem, bo nie znosi dotknięcia i boli. Tak, tak, poetów trzeba traktować z ceregielami, zwłaszcza najgłupszych, najmniej rozwiniętych, karzełkowatych, inaczej bowiem wynoszą się zagranicę i wrzeszczą. Zagranicę... ha, ha, miły Boże, cóż za komedja! Jeśli się zdarzy nawet poeta prawdziwy, pieśniarz upojony duchem bożym, to niewątpliwie umieszczony zostanie daleko poza grafomanami, jak Maupassant, który pokazał jak mu łatwo przychodzi płodzić tomy. Tak bywa zawsze! Oczywiście, niema na przedzie miejsca dla takiej jasnej gwiazdy jak Alfred de Musset, dla którego miłość to nie zmysłowa rutyna, ale cudny wiew wiośniany, a z którego wierszy buchają płomienie. On nie znajdzie tylu zwolenników co marny Maupassant ze swą ordynarną, bezduszną poezją łydek...

Nagel przekroczył wszelką miarę. Napadł również Wiktora Hugo i zbeszcześcił wszystkich wielkich poetów świata. Dla zobrazowania pustki poetycznego frazesu przytoczył słowa: — O czemuż twoja stal nie jest tak ostra, jak twa odmowa! — Prawda? Ślicznie brzmi... cóż pan na to, panie Grögaard?

Nagel rzucił, mówiąc to, przenikliwe spojrzenie Minucie. Wlepił weń oczy i powtórzył raz jeszcze głupi frazes. Minuta nie odrzekł nic, blade jego oczy rozwarły się szeroko ze strachu i zmieszany dokończył szklanki wina.

— Wspominasz pan Ibsena! — ciągnął dalej, chociaż nie było mowy o Ibsenie. — Zdaniem mojem jest jeden tylko poeta w Norwegji, ale nie jest to Ibsen. Podnosi się Ibsena jako myśliciela, ale należałoby odróżnić popularne rezonerstwo od myślenia prawdziwego. Mówią o sławie jego, o odwadze, a przecież trzebaby zwrócić uwagę, że co innego jest odwaga praktyczna, a teoretyczna, co innego bezosobiste męstwo rewolucjonisty, a co innego bezczelność na użytek domowy. Pierwsza rozbłyska w życiu, drugie olśniewa w teatrze. Cóż to za wielki pisarz norweski, który się nadyma, w lancy rycerskiej ma szpilkę i jak mrówka wali głową w kół od płotu, by pokazać odwagę? Prawdziwa rozkosz patrzeć na te harce zdaleka. Wre walka, mąż staje przeciw mężowi, postacię istic napoleońskie, a ryzyko takie jak we francuskim pojedynku... Ha... ha... ha.... Nie... człowiek rewoltujący naprawdę, to nie małe piszące kurjosum, abstrakcyjne pojęcie literackie Niemców, ale silny, dzielny człowiek, wiodący bój życia. Ibsena nigdy, zaprawdę, zapal rewolucyjny nie wpędził na bezdroże, jego torpedy były to jeno teorje prowincjonalne, w porównaniu do płomiennego czynu życia. Zresztą był może i jest dość dobry dla czasów naszych, które fabrykują książki dla hołoty. Nędzny i mały, posiada w każdym razie podobną wartość jak Lew Tołstoj ze swem bezwstydnem bredzeniem filozoficznym... Niechże ich wszystkich biorą djabli.

— Wszystkich... wszystkich razem?

— Mniej więcej. Jest, oczywiście, jeden przynajmniej poeta... to znaczy Björnson, w najlepszych czasach swych... Jego to jedyne możemy, mimo wszystko...



— Ależ większość zarzutów skierowanych przeciw Tolstojowi dotyczy również Björnsona. Był on także nauczycielem, kaznodzieją moralnym, zwyczajnym, nudnym starcem, fabrykantem książek itd....

— Nie! — krzyknął Nagel donośnie i gestykulując żywo jął bronić Björnsona. — Nie można porównywać nawet Tolstoja z Björnsonem, zarówno dlatego, że razi to uczciwy rozsądek agronomiczny, jak i z powodu, że oburza się na to dusza. Jeden i drugi są to niewątpliwie genjusze... nie wiele sobie robię ze zwykłych codziennych genjuszów, ale przyznaję, że stopień ten osiągnął Tolstoj,... natomiast twierdzę, że Björnson prześcignął go o wiele. Nie przeszkadza to wcale, iż Tolstoj umiał robić książki nieraz lepsze od björnsonowskich, ale czegoż to dowodzi? Wszakże kapitanowie duńscy, norwescy malarze i angielskie damy również umieją robić dobre książki. Idzie o to, że Björnson był człowiekiem, a nie pojęciem abstrakcyjnym. Rozbijał się jako żywy człowiek po świecie i potrzebował miejsca za czterdziestu. Nie udawał sfinksa, nie czynił się wobec ludzi wielkim i mistycznym, jak Tolstoj w swych stepach, albo Ibsen w kawiarni. Dusza Björnsona, to los targany burzą, bojuje wszędzie i zawsze i psuje sobie opinię u bywalców kawiarni „Grandu.“ Jest masywny i władczy, jest to jeden z niewielu wodzów. Może, stojąc na trybunie, gestem ręki uciszyć zaczynające się gwizdanie. W mózgu jego ciągle coś drąży i przewala się, zwycięża z rozmachem, a błędy jego są dosadne, ale tu i tam widnieje indywidualność jego. Björnson, to jedyny nasz poeta natchniony, mający iskrę bożą. Zaczyna, jak wiatr szeleszczący latem po zbożu, a wkońcu słyhać jeno jego samego, poza tem nic. Ma

ruch duszy właściwy genjuszowi. Poezja Ibsena to czysto mechaniczna praca biurowa w porównaniu z björnsonowską. Wiersze Ibsena klaskają rymami, a większość jego dramatów, to bloki drzewa. Czegóż jeszcze trzeba u djaska... I zresztą dajmy wszystkiemu spokój i wypijmy zdrowie wszystkich trzech...

Była druga. Minuta ziewnął znużony pracą dzienną i nieskończenie długą gadaniną Nagla i wstał, chcąc iść. Pożegnał się już i zbliżył do drzwi, gdy nagle stanął, albowiem zaszło coś drobnego, co potem, w skutkach miało nabrać doniosłego znaczenia. Zbudził się doktor i machnąwszy ręką, przewrócił kilka szklanek, a Nagel siedzący najbliżej, został oblany szampanem. Zerwał się, potrząsnął ze śmiechem mokrą pierśią i krzyknął wesoło: hura!

Minuta chwycił chustkę i ręcznik i podbiegł, chcąc osuszyć zwłaszcza kamizelkę, która najwięcej ucierpiała. Poprosił, by ją zdjął na chwilę, ale Nagel nie chciał dać kamizelki. Hałas zbudził także adwokata, który, choć nie wiedział o co idzie, również zaczął wznosić okrzyki. Minuta poprosił raz jeszcze o kamizelkę, ale Nagel potrząsnął przecząco głową. Nagle spojrzał nań, wpadło mu coś, wstał, zdjął kamizelkę i podał ją Minucie porywczo.

— Oto jest! Proszę ją oczyścić i zatrzymać... tak... tak... weź ją pan... nie masz wszakże kamizelki... Pst! Dość gadania! Chętnie to czynię, drogi przyjacielu! — Minuta wykręcał się, więc Nagel wetknął mu kamizelkę pod pachę, otworzył drzwi i wypchnął go po przyjacielsku z pokoju.

Minuta znikł.

Stało się to tak szybko, że jeno Olsen, siedzący najbliżej drzwi zauważył co zaszło.



Adwokata ogarnął humor stryczkowy, zaproponował tedy, by potłuc i resztę szklanek. Nagel się zgodził i czterej dojrzali ludzie zabawiali się teraz rzucaniem szklanek o ścianę. Potem pili z flaszek, ryczeli jak marynarze i tańczyli po skorupach. Dopiero o czwartej skończyła się pijatyka. Doktor pijany był straszliwie. Student Olsen, stojąc już w drzwiach, zwrócił się do Nagla i rzekł:

— To, coś pan mówił o Björnsonie, można równie dobrze zastosować do Tolstoja... Nie jesteś pan konsekwentny...

— Ha... ha... ha — zaśmiał się doktor opętańczo. — On żąda konsekwencji... o tej godzinie... Czy możesz pan wymówić słowo... encyklopedysta... ha? Czy stać pana na skojarzenie wyobrażeń, kochany panie... Chodź pan, zaprowadzę pana do domu... Ha... ha... ha... o tej godzinie, on żąda...

Deszcz ustał. Nie było słońca, ale zapowiadała się wcale znośna pogoda.

#### XIV.

Wczesnym rankiem zjawił się Minuta zpowrotem w hotelu. Poszedł do pokoju Nagla, złożył na stole zegarek, kilka kawałków papieru, zrzynek ołówka, oraz flaszeczkę z trucizną i chciał cicho odejść, gdy jednak Nagel zbudził się, musiał rzecz objaśnić.

— Znalazłem rzeczy te w kieszeniach kamizelki...  
— powiedział.

— W kieszeniach? A prawda... prawda! Któraż godzina?

— Ósma. Ale zegarek pański stoi, a nie chciałem go nakręcić.

— Nie wypileś pan, sądzę, trucizny?  
Minuta potrząsnął z uśmiechem głową.

— Nie! — odparł.

— Nie próbowałeś pan nawet? Flaszeczka nalana ma być do połowy. Proszę pokazać.

Minuta pokazał, że tak jest w istocie.

— Dobrze! A więc jest ósma. Pora wstawać. Ale... panie Grögoard... przypomniałem sobie właśnie... Musi mi pan gdzieś wypożyczyć skrzypce... Chciałbym spróbować... może się nauczę... Nie, nie, głupstwo... prawdę mówiąc, chcę skrzypce kupić... chcę je darować znajomemu, a więc nie potrzebuję ich dla siebie. Musisz mi się pan koniecznie wystarać o skrzypce.

Minuta przyrzekł uczynić co tylko możliwe.

— Dziękuję stokrotnie! — zakończył. — A przyjdź pan, proszę, znowu, gdy będziesz miał ochotę. Znasz pan drogę do mnie. Dzień dobry!

W godzinę potem znalazł się Nagel w lesie pod plebanją. Ziemia była jeszcze mokra od wczorajszego deszczu, a słońce nie dogrzewało mocno. Usiadł na kamieniu i patrzył bystro na drogę. Odnalazł, pewny był, w miękkim piasku ślad stóp Dagny, która widocznie poszła do miasta. Czekał dość długo, wreszcie ruszył naprzeciw.

Nie omylił się, spotkał ją na samym skraju lasu. Szła z książką w ręku, niosła „Gertrudę Colbjørnsen“ Skrama. Zaczęli mówić zrazu o tej książce, potem zaś rzekła Dagny:

— Wyobraź pan sobie... pies nasz zdechł nagle.

— Tak? — zdziwił się.

— Przed paru dniami znaleźliśmy go martwym. Nie rozumiem, jak się to stało.



— Proszę pani, pies ten czynił na mnie zawsze haniebne wrażenie. Był to dog z krótkim nosem i bezczelną twarzą człowieczą. Patrząc na zwisające wargi jego i strapioną miną, wydawało się, że nosi brzemie smutku za cały świat. Raduję się nawet, że nie żyje.

— Wstydz się pan...

Przerwał jej nerwowo, z niewiadomego powodu wzburzony i porzucając temat psa, zaczął jej opowiadać o spotkanym jakale, najśmieszniejszym pod słońcem. Nie krył on się z tem, a nawet podkreślił ponad miarę tę swoją wadę. Miał dziwaczne poglądy na kobietę i opowiadał w sposób komiczny zwłaszcza jedną historję z Meksyku. Panował straszliwy mróz, termometry pękały, ludzie przesiadywali ciągle w domach. Musiał on jednak udać się pewnego dnia do sąsiedniego miasta przez odsłoniętą zupełnie drogę, przy której stało kilka jeno nędznych chat. Lodowaty wiatr kłuł go niemiłosiernie po twarzy. Nagle z chaty wybiegła półnaga kobieta i krocząc obok niego, powtarzała raz po raz. — Strzeż się pan, masz odmrożony nos! — Miała w ręku warzechę i zakasane rękawy. Porzuciła robotę, by zobaczyć człowieka z odmrożonym nosem i ostrzec go... Ha, ha... ha, to niesłychana rzecz!... Po chwili, kobiecie tej zaczyna puchnąć prawy policzek, nabiera białego koloru i zamienia się cały w ogromną odmrożynę! Prawda, że to niemożliwe?... Ale mimo mnóstwa przykładów poświęcenia kobiecego jakąś był zgoła nieprzystępny dla kobiet. Twierdził, że kobieta to stworzenie dziwaczne i nienasycone, nie wyjaśniając, czemu tak jest. Nie do wiary, mówił, co może sobie nabić do głowy kobieta. Opowiadał o przyjacielu swym, który się zakochał w pewnej młodej damie, imieniem Klara.

Ale mimo wszelkich starań Klara go nie chciała, chociaż był przystojnym, okazałym młodzianem. Klara miała siostrę, krzywą, garbatą oraz brzydką i o nią to zaczął się pewnego dnia starać ów młodzian. Bóg jeden wie, żali czynił to z wyrachowania, czy też zakochał się w niej mimo brzydoty. Cóż jednak czyni Klara? Kobięcość pokazała teraz pazury. Klara krzyczy, przewraca dom do góry nogami, woła: — Mnie chciał dostać... mnie, ale nic z tego ... nic z tego! — Ale, sądzi pani, że dostał siostrę, w której był już mocno zakochany? Nie... i to właśnie jest miarą chytryści niewieściej. Klara nie chciała żadną miarą dopuścić, by dostał siostrę... He, he, he... Ją chciał mieć, przeto nie wolno mu było brać siostry, chociaż ta kaleka nie miała szans dostania innego męża. I tak nie dostał żadnej... Jest to jedna z wielu historyjek dziwnego jakały, który właśnie przez jąkanie opowiadał ją nader wesoło. Był to człek wielce zagadkowy... Ale może nudzę panią?

— Nie! — odrzekła Dagny.

— Był to człek wielce zagadkowy i skąpy. Miał też skłonności złodziejskie. Kradł nawet rzemienie okienne z wagonów kolejowych, by je spożytkować w inny sposób. Wyrabiał rzeczy niesłychane i raz go pono nawet przyłapano na takim złodziejstwie. Z drugiej jednak strony, gdy mu przyszła fantazja, marnotrawił pieniądze! Raz postanowił odprawić kolosalną podróż powozem. Nie znał nikogo, więc dla samego siebie wynajął dwadzieścia cztery dorożki, dwadzieścia trzy wyprawił przodem, a w ostatniej pojechał sam, patrząc na przechodniów z dumą wielką, rad ze swego pomysłu.



Nagel przechodził z tematu na temat, bez żadnego powodzenia, bo Dagny nie słuchała prawie słów jego. Umilkł tedy i zamyślił się. Uczuł, że czyni głupio, błaznując tak ciągle. Napastował młodą damę, i to wybrankę serca swego, opowiadaniem o odmrożeniach i dwudziestu czterech dorożkach! Przypomniawszy sobie też, że uprzednio już zasypał się gruntownie pustą gadaniną o Eskimosie i teczce. Zebrał się w sobie i omal nie stanął. Pocóż u licha to wszystko? Trzeba się pilnować. To wstyd! Ośmieszał się w chwilach takiego paplania i cofał o całe tygodnie i miesiące w drodze do celu. Cóż o nim musi sądzić? Spytał nagle:

— Kiedyż się odbędzie bazar?

Odparła z uśmiechem:

— Czemuż pan wysila się ciągle, by mówić? Czemu pan zdenerwowany?

Pytanie to zaskoczyło go tak, że spojrzał pomieszany na Dagny. Serce mu zabiło i rzekł przyciszonym głosem:

— Panno Kielland, za ostatniem widzeniem się naszym przyrzekłem, że o ile będzie mi wolno rozmawiać z panią, nie wymienię słów zabronionych. Staram się dotrzymać obietnicy i dotrzymuję do tej pory.

— Tak, — powiedziała do siebie raczej, niż do niego — należy dotrzymać obietnic i nie łamać przyrzeczeń.

— Byłem już w lesie nim pani przyszła, i tam to sobie postanowiłem, wiedząc, że panią zobaczę.

— Skądżeś pan to wiedział?

— Ujrzałem ślady stóp pani na drodze.

Rzuciła mu spojrzenie i zmilknęła.

Potem powiedziała:

— Rękę masz pan owiniętą, czyś się pan skaleczył?

— Tak — odparł. — Pies pani ugryzł mnie.

Patrzyli na siebie przez chwilę. Nagel zacisnął dłonie i rzekł po chwili z boleścią:

— Co nocy byłem tu w lesie i patrzyłem w okna pani przed zaśnięciem. Wszakże niema w tem nic złego! Wprawdzie zostało mi to wzbronione, ale czyniłem tak, bo nie mogłem zaprzestać! Tak pies pani ugryzł mnie, walcząc o życie. Zabiłem go, strułem, gdyż czekał, gdym się zbliżał pod okna, chcąc pani powiedzieć: dobranoc.

— Pan zabiłeś psa?

— Tak.

Pauza. Stali, patrząc na siebie. Pierś jego falowała gwałtownie.

— Byłbym w stanie popełnić coś dużo gorszego, by panią zobaczyć! — powiedział. — Nie wie pani jak bardzo cierpię, dniem i nocą, myśląc o pani. Mówię z ludźmi, śmieję się, odprowadzam wesołe hulanki... dziś, do czwartej rano miałem gości, piliśmy na umór i porozbijaliśmy wkońcu wszystkie szklanki... ale cokolwiek robię, bezustanku myślę o pani i nie mogę sobie dać rady. Nic nie ma dla mnie wartości i nie wiem już co czynić. Proszę się bodaj na dwie minuty ulitować, bo mam coś powiedzieć. Nie bój się pani, pragnę jeno coś powiedzieć, bo czuję bolesny przymus...

— Czyż nie będziesz pan wkońcu rozsądny? Obiecałeś to wszakże!

— Obiecałem? A może obiecałem, ale trudno dotrzymać. Ano, będę rozsądny, wierz mi pani. Tylko jak tego dokazać? Proszę, naucz mnie. Pewnego dnia omal nie włamałem się do plebanji. Chciałem otworzyć



drzwi i pójść poprostu do pokoju pani, choćby mnie nawet widziano! Ale opanowałem się, używając wszystkich sił... tak było. Posunąłem się nawet do mówienia źle o pani, chcąc zniweczyć tę moc, jaką masz nade mną. Poniziałem panią w oczach innych ludzi, nie czyniąc tego jednak przez zemstę, ale dla ukarania samego siebie, dla nauczania się zaciskania zębów i uniknięcia ponizania we własnej świadomości. Dlatego to uczyniłem, nie wiedząc zresztą, czy pomoże. Chciałem też odjechać i spakowałem rzeczy, ale nie będąc w stanie, musiałem zostać! Nie sposób. Raczej ruszyłbym za panią, gdybyś stąd wyjechała. Jeździłbym tak, nawet nie znajdując pani nigdzie i szukał bez końca, nie tracąc nadziei, że spotkam bodaj człowieka, który panią widział, przyjaciółkę, która ścisnęła dłoń twoją i widziała twój uśmiech, pani. Takbym czynił. Nie mogę jechać! Zresztą jest lato, las ten jest moim kościołem, ptaki znają mnie, gdy przyjdę rano, pochylają głowy, patrzą, a potem zaczynają śpiewać. Nie zapomnę też wrażenia, jakie odniosłem w dniu przybycia, gdy w całym mieście ku czci pani powiewały flagi. Uczułem dziwną, tajemną sympatię, oszołomiony chodziłem po pokładzie, a potem wysiadłem. Tak było onego wieczoru. Potem zaznałem również dużo miłych rzeczy. Mogę chodzić tędy, kędy pani kroczy, czasem spostrzegam twój ślad na piasku, jak dziś i czekam wówczas na panią. Kryję się w las, kładę za głazem i czekam. Od czasu ostatniej rozmowy, dwa razy widziałem panią, raz czekałem na to przez sześć godzin. Leżałem przez cały czas nie wstając z obawy, że nadejdziesz i zobaczysz mnie. Bóg wie, gdzieś pani była tak długo onego dnia.

— Byłam u Andersenów! — powiedziała żywo.

— Być może. Wreszcie ujrzałem panią. Nie byłaś sama, ale widziałem dokładnie i z poza głazu przesłałem pani pozdrowienie. Jakaś myśl przeniknąć musiała panią, bo nagle obróciłaś głowę i spojrzałaś wprost na ów głaz...

— Proszę pana... Drżysz pan, jakby to co powiem miało być wyrokiem śmierci...

— Tak jest... oczy pani stały się zimne, jak lód.

— Musi się to skończyć, panie Nagel! Rozważywszy wszystko spokojnie, musisz pan przyznać, że nie postępujesz jak należy wobec człowieka nieobecnego. Prawda? Postaw się pan na jego miejscu. Przytem dla mnie jest to niezmiernie przykre. Czegóż pan chcesz właściwie? Wiedz pan raz na zawsze, że nie złamię przyrzeczenia, bo go... kocham... Czy teraz jasne wszystko? Bądźże pan ostrożniejszy. Bez ogródek wyznam jeszcze, że nie mogę iść tak dłużej z panem, jeśli nie będziesz miał tego, co powiedziałam, na względzie.

Była wzburzona, usta jej drżały, powstrzymywała z wysiłkiem łzy. Nagel milczał, ona zaś dodała po chwili:

— Może mnie pan odprowadzić do samego domu, jeśli panu na tem zależy,... ale nie czyn nam obojgu przykrym tego spaceru. Może pan co opowie, posłucham chętnie, jak zawsze.

— Dobrze! — zawołał w głos radośnie, jak gaduła, któremu paplać pozwolono. — Jeśli mogę iść z panią, to... O, jakże zimną oblewasz mnie pani wodą, jak mnie formalnie biczujesz, jakże złą jesteś dla mnie...

Przez czas pewien rozmawiali o rzeczach obojętnych, zwalniając tak kroku, że się nie posuwali niemal naprzód.



— Jakże tu pachnie, jak pachnie! — powiedział. — Po deszczu, w oczach rośnie trawa i kwiaty. Czy pani interesują drzewa? To dziwne, ale czuję się spokrewniony tajemniczo z każdym drzewem lasu, jakby to była ongiś moja rodzina, a gdy tu stoję, wspomnienia jakieś snują mi się przez duszę. Zaczekaj pani na moment. Posłuchaj! Jakże ptaki śpiewają szaleńczo słońcu. Potraciły całkiem głowy i podlatują nam wprost do twarzy, nie wiedząc co czynią.

Poszli dalej.

— Ciągle jeszcze mam w myśli — powiedziała — piękny obraz pański o łódce z jedwabnym żaglem w kształcie półksiężyca. Jakże to piękne! Wydaje mi się, że bujam kędyś wysoko, na niebie i łowią ryby srebrną wędką.

Uszczęśliwiony, że pamięta owo wrażenie z nocy świętojańskiej, odparł gorąco, ze łzami w oczach:

— To prawda! Powinnaby pani siedzieć w tej łodzi.

Gdy się znaleźli w samym środku lasu, spytała nieogłębnie:

— Jak długo tu pan zabawisz?

Pożałowała zaraz, radaby była cofnąć te słowa, ale uspokoiła się, gdyż rzekł z uśmiechem, unikając bezpośredniej odpowiedzi:

— Jestem tu gdzie pani jest i pozostanę, jak długo mi starczy pieniędzy. Ale nie potrwa to znów tak strasznie długo.

Spojrzała nań wdzięczna za takt okazany i zauważyła, że spostrzegł jej zakłopotanie.

Uśmiechnęli się do siebie, a ona powiedziała:

— Nie potrwa długo? Słyszałam, że pan jesteś bardzo bogaty.

Pówrocił mu na twarz dawny, tajemniczy wyraz i odparł:

— Czym bogaty? Podobno rozeszła się tu, po mieście wieść, iż jestem magnat, że mam posiadłość wielkiej wartości. Ale to nie prawda, wierzaj mi pani, to humbug. Nie mam posiadłości, w każdym razie jest mała, silnie obdłużona, obciążona różnemi zobowiązaniami, a wreszcie współwłaścicielką jest moja siostra.

Roześmiała się z niedowierzaniem.

— Mówisz pan zazwyczaj prawdę, gdy idzie o sprawy osobiste... — rzekła.

— Nie wierzysz mi pani... powątpiewasz? Wyjaśnię wszystko, chociaż upokarza mnie to wielce. Wiedz pani, że zaraz po przybyciu tutaj udałem się pieszo do sąsiedniego, o pięć mil odległego miasteczka i stamtąd nadałem do siebie samego trzy telegramy z ofertą znacznej sumy za posiadłość w Finlandji. Telegramy te zostawiłem otwarte na stole przez kilka dni, by każdy w hotelu mógł je przeczytać. Czy mi pani teraz wierzy? Czyż moje bogactwo to nie istny humbug?

— O ile pan znowu nie kłamiesz?

— Znowu? Myli się pani! Przysięgam na Boga, nie kłamię!

Pauza.

— Czemuż pan to jednak uczyniłeś?

— Za długo trwałoby szczegółowe wyjaśnienie... słowem uczyniłem to wyłącznie w tym celu, by się pysznić, by w mieście wywołać sensację... He... he... taki miałem cel.

— Kłamiesz pan!

— Niech mnie лихо porwie, jeśli kłamię!

Pauza.



— Dziwny z pana człowiek. Bóg jeden wie dokąd zmierzasz. Raz nie wahasz się pan czynić mi najgorętszych wynurzeń... potem znów, gdy cię chcę kilku słowami przywieść do rozsądku, robisz koziołka i przedstawiasz się pan sam za najgorszego szarlatana, kłamcę i oszusta. Mógłbyś pan sobie oszczędzić trudu, bo jedno, ni drugie nie czyni na mnie żadnego wrażenia. Jestem prostaczką, a cała ta genjalność przekracza mój rozum.

Była zagniewana.

— Nie chciałem okazywać żadnej genjalności. Wszystko przecież daremne, pocóż miałbym się wysilać.

— Pocóż jednak mówisz pan o sobie przykre rzeczy, przy lada okazji? — zawołała gwałtownie.

Odparł zwolna, spokojnie, dobitnie:

— By uczynić na pani wrażenie... tak jest, poto. Stanęli patrząc na siebie. Po chwili podjął na nowo:

— Przedtem już miałem zaszczyt rzec pani kilka słów o mojej metodzie. Pyta pani poco zdradzam własne tajemnice, które mógłbym ukryć? Odpowiadam: — Przez politykę, przez wyrachowanie. Wierzę, że mimo zaprzeczeń, otwartość moja czyni jednak na pani pewne wrażenie. Na każdy sposób pewien respekt budzić musi ta bezlitosna obojętność, z jaką się wydaje na łup. Może się mylę, ale na to niema rady. Przytem cóż tracę? Wszakże pani dla mnie i tak stracona! Doszedłem już do tego co się zwie rozpaczą, albo hazardem. Sam dopomagam pani do budowania oskarżeń przeciw sobie i umacniam w decyzji odepchnięcia mnie. Czemu to czynię? Oto dlatego, że mnie mierzi w duszy przemawiać na swą korzyść i tą nikczemnością starać się czegoś dokazać. Nie przeszłoby mi to przez usta. Powiesz pani, że podstępem i chytrością zmierzam do

tego samego celu, który osiągają inni skromną otwartością?... Nie będę się bronił. Nazwij to pani humbugiem,... zupełna racja, słuszność absolutna, sam dodam, że jest to fałszerstwo świadome. Humbug zatem... zgoda... cały jestem wcielonym humbugiem. Wszyscy ludzie podlegają humbugowi mniej, czy więcej, czy tedy jeden humbug różni się znacznie od drugiego, gdy wszystko jest jeno humbugiem?... Czuję, że się dałem unieść i radbym dosiąść ulubionego konika. Ale nie... nie... o Boże jakże mnie to męczy! Powiadam sobie: — Daj pokój, niech się dzieje co chce... punctum... Któżby n. p. przypuszczał, że w domu doktora Stenersena nie wszystko jest w porządku. Komużby przyszło na myśl snuć jakieś przypuszczenia o szanowanej ogólnie rodzinie? Pytam jeno, nie twierdzę. Składa się z dwu osób jeno, z męża i żony, niema dzieci, niema szczególniejszych trosk, a mimo to jest tam może osoba trzecia, Bóg to raczy wiedzieć, ale koniec końcem, może tam być jeszcze młody człowiek, zbyt gorliwy przyjaciel domu, podsędek Reinert. Trudno wiedzieć! Może obie strony ponoszą winę? Może nawet doktor wie wszystko, a nie czyni żadnych kroków... Pił on przynajmniej tej nocy strasznie dużo, a potem zaproponował, by wszystkich wytruć kwasem pruskim i pozwolić kuli ziemskiej biec dalej... biedny człowiek!... I nietylko on tkwi po kolana w humbugu... mówię to ja, Nagel, tkwiący w nim po pas. Weźmy n. p. Minutę! Dobry z kośćmi człek, sprawiedliwy przed Panem, męczennik! Wszystko dobre po jego stronie, a jednak nie spuszczam zeń oka. Powtarzam: nie spuszczam zeń oka! Panią to dziwi, czy przeraża? Nie miałem tego zamiaru. Uspokoję panią, gdy powiem, że Minuty niczem zachwiać



nie sposób. Jest to człek niezłomny. Ale dlaczegoż nie spuszcza go z oka, dlaczego śledzę go z za rogu domu, gdy o drugiej w nocy... proszę uważać... o drugiej w nocy wraca z niewinnej zgoła przechadzki? Czemuż to szpieguję go, gdy roznosi worki z węglem i kłania się wszystkim? Bez powodu, droga pani, bez żadnego powodu! Interesuje mnie tylko, mam o nim wysokie mniemanie i cieszę się, że wśród ogólnego humbugu pozostał czystym i sprawiedliwym człowiekiem. Dlatego to wspominam o nim... pani mnie rozumie... nieprawdaż?... He, he... he... ale wracam do siebie... Ach, nie, nie chcę wracać do siebie... wszystko, byle nie to!

Ten ostatni wykrzyk był tak smutny, że obudził w niej politowanie. Uczuła w tej chwili, że dusza jego udręczona jest i poraniona bardzo. Ale natychmiast zniweczył ten nastrój, roześmiewszy się lodowato i krzyknąwszy, że wszystko jest humbug. To też opuściły ją przyjacielskie uczucia i powiedziała ostro:

— Wzmianka pańska o pani Stenersen była aż nadto wyraźna, by być wprost nikczemną. Także Minuta, biedny kaleka, posłużył panu dla zebrania dla siebie laurów. Postąpiłeś pan źle... podle!

Ruszyła przodem, on zaś powlókł się za nią. Spuścił głowę, zadrgały mu ramiona, a Dagny zauważyła ze zdumieniem, że spływają mu po twarzy łzy. Chcąc je ukryć, obrócił się i zaczął gwizdać na ptaka.

Szli przez dwie minuty w milczeniu. Dagny była wzruszona i gorzko żałowała swych słów. A może miał słuszość... któż wie? Bóg jeno mógłby powiedzieć, czy człowiek ten nie spostrzega więcej w ciągu tygodnia, niżli ona w całych latach.

Kroczyli bez słowa. On się uspokoił i miał w dłoni chustkę. Za kilka minut musieli stanąć u wrót plebanji.

Dagny spytała:

— Czyś pan bardzo skaleczony? Proszę pokazać!

Mówiąc to głosem serdecznym, wzruszonym, stanęła. Niewiadomo, czy uczyniła to, by go pocieszyć, czy też uległa mu na moment.

Namiętność w nim zawrzała. Mając ją tak blisko, milczącą, pochyloną nad swą dłońią, czując zapach jej włosów, porwany został szaleńczym wprost porywem miłości. Otoczył ją jednym ramieniem, a gdy się zaczęła bronić, i drugim, przycisnął silnie do piersi, podniósł niemal z ziemi, ku sobie. Uczuł, że grzbiet jej się w tył przegina i że się poddaje. Spoczywała rozkosznie w jego objęciu, a przymglone jej oczy patrzyły weń bezsilnie. Mówił do niej, powtarzał, że jest urocza, że do końca życia będzie jego jedyną miłością. Przedtem już człowiek pewien zadał sobie dla niej śmierć!... Zareczał, że uczynić to gotów za lada skinieniem, za lada słowem. Mówił upojne słowa, tulił coraz goręcej, powtarzał: — Kocham cię! Kocham!...

Nie opierała się już, głowa jej opadła na jego ramię, on zaś całował ją namiętnie raz po raz, ustając jeno, by wyrzec miłosne słowo. Czuł, że się doń sama tuli, a gdy całował, zamykała jeszcze bardziej oczy.

— Przyjdź jutro, pod osiczynę... wiesz... Przyjdź.. kocham cię, Dagny. Przyjdziesz? Przyjdź kiedy chcesz... przyjdź o siódmej!

Nie odpowiedziała, rzekła tylko:

— Proszę mnie puścić...

Powoli wysunęła się z jego ramion.

Stała przez chwilę zmieszana, rozglądając się, potem drgnęła, usta jej przybrały wyraz bezradny, po-



deszła do przydrożnego kamienia, siadła i zaczęła płakać.

Pochylony nad nią, mówił zcicha przez kilka minut. Po chwili zerwała się, zacisnęła pięści, blada ze złości chwyciła się za piersi i zawołała z wściekłością:

— Jesteś pan nikczemnikiem... Boże... jaki z pana podlec! Nie wiesz pan nawet, widzę, coś uczynił!

Wybuchnęła ponownie płaczem.

Starał się ją uspokoić, ale daremne czynił wysiłki. Przez pół godziny stali u przydrożnego kamienia nie ruszając się z miejsca.

— Chcesz pan bym przyszła? Nie przyjdę, nie chcę pana widzieć na oczy! Jesteś łajdak!

Prosił, klękał, całował jej suknię, ale powtarzała raz po raz, że jest łajdakiem i że postąpił nikczemnie. Każała mu iść precz, zostawić ją samą, zabroniła uczynić kroku dalej.

Ruszyła ku domowi.

Mimo to chciał iść za nią, ale uczyniła gest odmowy i powiedziała:

— Nie idź pan za mną! Nie!

Zatrzymał się, spoglądając, gdy się atoli oddaliła o dziesięć, czy dwadzieścia kroków, zacisnął pięści podbiegł, wbrew zakazowi i zmusił, by stanęła.

— Nie uczynię pani nic złego! — powiedział. — Proszę, ulituj się pani nade mną! Jak tu stoję gotów jestem zabić się, by panią uwolnić od siebie. Starczy słowo. To samo powtórzę pani jutro, jeśli się spotkamy. Proszę tylko być sprawiedliwą wobec mnie. Podlegam niewątpliwie potędze, która ma w pani swe źródło i oprzeć się jej nie mogę. Nie moja wina, że panią spotkał na swej drodze. Daj Bóg, byś pani nie przechodziła nigdy tego co ja!

Potem obrócił się i odszedł.

Ramiona mu drżały ciągle, podczas gdy kroczył ku miastu. Nie widział nikogo, nie rozpoznawał żadnej twarzy i przyszedł do siebie dopiero na schodach hotelu, minąwszy całe miasto.

## XV.

Dni następnych nie było Nagla w mieście. Zrobił wycieczkę parowcem, a pokój jego w hotelu był zamknięty. Nikt nie wiedział gdzie przebywa, odjechał statkiem w północnym kierunku, zapewne w celach rozrywki.

Wrócił pewnego ranka, zanim jeszcze mieszkańcy wstali, był blady i wyczerpany czuwaniem. Mimo to nie udał się do hotelu, pochodził po wybrzeżu tam i z powrotem, a potem ruszył znowu ku Indviken, gdzie z komina parowego młyna zaczęło się kurzyć.

Zabawił niedługo, chciał widocznie przeczekać jeno kilka godzin i gdy plac targowy zapełnił się, stanął na rogu budynku pocztowego, śledząc krzątających się ludzi. Zobaczywszy zieloną spódnicę Marty Gude, przystąpił do niej i pozdrowił.

Przeprosił i spytał, czy go poznaje. Przypomniał, że nazywa się Nagel i że chce kupić starożytny fotel. A może już sprzedany?

Nie był jeszcze sprzedany.

— Dobrze! — powiedział. — Czy był może u pani ktoś, kto dawał więcej? Może był jakiś zbieracz?

— Tak, ... ale ...

— Co? Naprawdę? Był ktoś? Dama... co pani powiada? Te nieznośne zbieraczki muszą wszędzie



wetknąć nos! Posłyszała o rzadkim przedmiocie i chciała zaraz posiąść fotel. Taki to już zwyczaj owych damulek. Ileż dawała, jak wysoką proponowała kwotę? Powiadam pani, że pod żadnym warunkiem nie dam sobie wydrzeć tego zabytku... niech mnie djabli porwą, jeśli do tego dopuszczę!

Martę oszołomiła ta jego porywczność i odparła spiesźnie:

— Będzie go pan miał, zaręczam... oddam go z całą przyjemnością.

— Mogę tedy przyjść dziś, koło ósmej dla zakończenia sprawy? — spytał.

— I owszem... Ale czyż nie lepiej będzie jeśli panu ten fotel odeślę wprost do hotelu? W ten sposób rzecz byłaby załatwiona...

— Za nic w świecie! Nie pozwolę, pod żadnym warunkiem. Rzecz taka musi być powierzona rękom fachowca. Nie mogę znieść nawet, by patrzył na ten przedmiot ktoś obcy. Przyjdę tedy o ósmej. Ale proszę pani... przyszło mi właśnie na myśl... nie należy ocierać z kurzu, ani myć... broń Boże... ni kropli wody...!

Nagel poszedł do hotelu, położył się w ubraniu na łóżku i spał bez przebudzenia aż do wieczora.

---

Zjadłszy kolację, poszedł na wybrzeże, prosto do domku Marty Gude, zapukał i wszedł.

Spostrzegł, że dopiero co starto kurz, podłoga była czysta, okna lśniące, a Marta miała na szyi sznurek pereł. Najwidoczniej oczekiwała go.

Pozdrowił, usiadł i nawiązał niezwłocznie rokowania. Marta nie ustępowała, przeciwnie była teraz upartsza, niżli przedtem, i obstawała przy wydaniu fotelu darmo.

Musiał wkońcu udawać rozgniewanego i zagroził, że jej rzuci w twarz pięćset koron, a potem ucieknie, zabierając fotel. Zasługiwała na to w pełni! Nie napotkał w życiu, jak powiedział, takiej głupoty, uderzył pięścią w stół i spytał, czy nie zwarjowała przypadkowo.

— Wie pani, — powiedział, spoglądając jej surowo w oczy — opór ten zaczyna we mnie budzić podejrzenie. Proszę wyznać otwarcie, czy fotel ten nabyty został uczciwie? Miewam, proszę pani, do czynienia z różnymi ludźmi i muszę pilnie baczyć na wszystko. Jeśli został on wyszachrowany, lub w sposób dwuznaczny nabyty, nie chcę wiedzieć o niczem. Proszę zresztą przebaczyć, jeśli fałszywie zrozumiał owo wzbranianie się pani.

Zaklinał ją uroczyście, by mu wyznała całą prawdę.

Onieśmielona, przerażona i napół obrażona temi przypuszczeniami, powiedziała, że fotel ów został przywieziony skądś przez dziadka i od stu lat znajduje się w posiadaniu rodziny. Zaręczyła, że niczego nie ukrywa. Tak opowiedziała, ze łzami w oczach.

— A więc niechże raz będzie koniec i basta! — powiedział, dobywając portfelu.

Przystąpiła, chcąc mu przeszkodzić, ale nie zwracając uwagi na to, położył na stole dwa czerwone banknoty, poczem zamknął portfel i rzekł:

— Proszę!

— Dajże mi pan tylko pięćdziesiąt koron! — prosiła, wskutek zmieszania zupełnego, gładząc go po włosach, by skłonić do ustąpienia. Nie wiedziała co czyni i gładziła dalej, prosząc ze łzami, by dał tylko pięćdziesiąt.

Podniósł głowę i spojrzał. Podobną była do zakonnicy, w białym kwefie włosów, z błyszczącymi oczami



ta biedna, czterdziestoletnia dziewczica. Dziwna piękność jej podziałała nań przez chwilę. Wziął jej rękę, pogłaskał i rzekł:

— Jakże dziwną jesteś, droga pani!

Ale zaraz puścił ją i wstał, mówiąc:

— Mam tedy nadzieję, że nie masz pani nic przeciw temu, bym zabrał sobie zaraz ten fotel i wziął mebel w ręce.

Nie bała go się już. Widząc, że się powalał kurzem, podała mu chustkę dla otarcia dłoni.

Pieniądze leżały na stole.

— Sądzę, że najlepiej będzie, — powiedział — jeśli pani zachowa w tajemnicy tę sprzedaż. Pocóż ma o tem gadać całe miasto... nieprawdaż?

— Pewnie... — powiedziała zadumana.

— Na miejscu pani, zaraz bym schował pieniądze, albo zasłoniłbym czemś okno, na przykład tamtą oto spódnicą.

— Będzie może za ciemno! — powiedziała, ale wzięła spódnicę i zasłoniła szyby, a on jej pomagał.

— Powinna była pani uczynić to zaraz. Nie trzeba by mnie ludzie widzieli tutaj.

Nie odpowiedziała nic. Wzięła pieniądze, podała mu rękę i zaczęła ruszać ustami, nie mogąc wyrzec słowa.

Stojąc tak, z jej dłonią w swojej, spytał:

— Powiedz mi pani, proszę... niezawodnie ciężko pani żyć bez żadnych środków, bez pomocy... a może dostaje pani jakąś małą zapomogę?

— Tak.

— Droga pani, proszę przebaczyć co powiem. Otóż, gdy się tylko rozniesie, że masz trochę pieniędzy, nie tylko straci pani zapomogę, ale zabiorą pani wszystko

na pokrycie zasiłku... tak będzie. Dlatego trzeba zachować w zupełnej tajemnicy naszą transakcję... rozumie pani? Mówię, jako człowiek praktyczny... proszę o tem nie wspominać nikomu. Prawda... muszę też pani dać mniejsze banknoty, by nie trzeba było zmieniać!

Przewidywał wszystkie szczegóły. Usiadł i zaczął liczyć. Ale nie liczył dokładnie, poprostu wyjął wszystko co miał drobnymi banknotami i zwinął razem.

— Proszę to schować! — rozkazał.

Odwróciła się, rozpięła kaftanik i ukryła pieniądze na piersiach.

Gdy z tem skończyła, nie wstał jednak zaraz, ale spytał z pozoru przypadkowo:

— Coś to chciałem... ach, czy zna pani może Minutę?

Zauważył, że spłonęła rumieńcem.

— Spotkałem go parę razy, — dodał — przekonałem się też, że to człek wielkiej wartości. Narazie prosiłem go, by mi się wystarał o skrzypce. Jak pani sądzi,... uczyni to zapewne... A może pani go nie zna?

— Znam.

— Prawda,... przypominam sobie. Wspominał mi, że kupił od pani kilka kwiatów na pogrzeb Karlsena. Zna go pani zapewne dość dobrze. Cóż pani powie? Czy się wywiąże, jak należy, z polecenia? Mając do czynienia z ludźmi, trzeba się wywiadywać. Sam straciłem znaczną kwotę przez ślepe zaufanie do pewnego człowieka. Było to w Hamburgu.

Niewiadomo, z jakiego powodu opowiedział jej o człowieku, przez którego stracił pieniądze, zaś Marta stała oparta na stole. Była niespokojna. Po chwili rzekła dość porywczo.:



— Nie, nie mów pan o nim!

— O kimże to?

— O Janie... o Minucie.

— Ma imię Jan?

— Tak jest!

— Naprawdę?

— Tak...

Nagel umilkł. Ta prosta wiadomość, że Minuta ma na imię Jan, była ciosem dla jego myśli, który zmienił mu nawet wyraz twarzy. Siedział przez chwilę oniezmiały, potem zaś spytał:

— A czemuż pani zwie go po imieniu, Janem, nie zaś Grögoardem, lub Minutą.

Spuściła zmieszana oczy i odparła:

— Znamy się od dzieciństwa...

Pauza.

Nagel rzekł żartobliwie, nader obojętnym głosem:

— Od samego początku miałem wrażenie, że Minuta jest w pani silnie zakochany. Nie dziwi mnie to wcale, choć uważam Minutę za zbyt zuchwałego. Po pierwsze, nie jest już młodzieńcem, powtóre zaś jest kaleką. Ale jakże dziwne są kobiety? Pod wpływem chętki rzucają się z radością, z zachwytem nawet w objęcia byle komu... he, he, he... W roku 1886 byłem świadkiem dziwnego zdarzenia. Oto pewna znajoma panna wyszła za chłopca do posyłek, u jej ojca. Nie zapomnę tego nigdy. Był to młody, szesnasto- czy siedemnastoletni praktykant w firmie ojca, bez brody jeszcze, ale ładny, śliczny, przyznać trzeba. Rozszałała miłością, rzuciła się na tego wyrostka i pojechała z nim zagranicę. Wróciła po pół roku, ale miłość zagasła... smutna to rzecz, ale trudna rada. Była mężatką i basta. Cóż miała robić? Nudziła się

przez kilka miesięcy śmiertelnie, potem zaś palnęła pięścią w stół, pokazała światu figę i zaczęła hulać ze studentami i komisjonerami do upadłego. Skończyło się na skandalu, po którym zwano ją ogólnie: *La Glu*. Ale nie poprzestając na tem, zdumiała świat raz jeszcze. Pewnego dnia zaczęła nagle pisać nowele, została literatką i mówiono, że ma wielki talent. Pojętną bardzo będąc, wyuczyła się od studentów i kantorowiczów mnóstwa rzeczy, oraz przejrzała sztuczki pisarskie. Od tego czasu ogłaszała wyśmienite rzeczy... He... he... he... Szatańska baba... nieprawdaż? Takie jesteście wy, kobiety. Pani się śmieje? Jednak trudno zaprzeczyć. Siedmnastoletni smarkacz może każdej zawrócić w głowie, a sądzę, że nawet Minuta, wzięwszy się lepiej do rzeczy, nie musiałby samotnie pędzić życia. Ma w sobie coś nawet dla mężczyzn pociągającego, serce jego czyste, a usta wolne od fałszu. Zna go pani doskonale i wie, że tak jest... nieprawdaż? Co innego stryj jego, handlarz węgla. Jest to stary lis i o ile wiem, człek niemiły. Zdaje mi się, że Minuta sam podtrzymuje handel. Dlaczegożby nie miał założyć i prowadzić własnego? Krótko powiedziawszy, Minuta jest tak czy owak w stanie utrzymać rodzinę... Pani potrząsa głową?

— Nie... nie! — powiedziała.

— Ano, to nie. Niecierpliwie panią i nudzę moją gadaniną o ludziach obojętnych, jak zresztą być musi... Ale coś mi wpadło w tej chwili. Proszę mi nie brać za złe, ale radzę pani dobrze zamykać się na noc... To rada przyjacielska... Czemuż pani spogląda tak trwożnie? Droga pani, naczóż ta płochliwość i to niedowierzanie wobec mnie. Mówię tylko, że winna pani, teraz zwłaszcza, mając trochę grosza, nie ufać każ-



demu. Miasto, jak słyszałem, nie jest wcale bezpieczne i trzeba się bardzo pilnować. Około drugiej w nocy, wie pani... bywa tu dość ciemno... właśnie też, o tej porze słyszałem podejrzany hałas pod memi własnymi oknami. Tak... tak... proszę się nie gniewać za tę uwagę. Żegnam panią... Cieszę się, że pani wyrwał wreszcie z rąk ten fotel... Żegnam panią, droga panno Marto!

Uściśnął jej dłoń. W drzwiach obrócił się raz jeszcze i dodał:

— Najlepiej będzie, jeśli pani powie, że dałem pani za ten antyk kilka koron... tylko tyle, ani szylinga więcej, inaczej pieniądze przepadną napewno... proszę pamiętać! Nieprawdaż... mogę liczyć, że pani tak powie.

— Tak powiem... — odrzekła.

Poszedł, zabierając ze sobą fotel. Twarz mu promieniała, parskał śmiechem i śmiał się w głos, jakby dokonał jakiegoś niesłychanego psikusa. Na miły Bóg... ale się to dopiero będzie cieszyła! — wykrzyknął wesoło. — He, he, he, nie zmruży w nocy oka z radości, że tak bogata!

W domu zastał czekającego nań Minutę.

— — — — —  
Przyszedł ze zwojem plakatów pod pachą. Żywe obrazy zapowiadały się bardzo dobrze. Miały wyobrażać sceny z historii, w wielobarwnym świetle, zaś Minuta otrzymał także rolę statysty.

— Kiedyż się odbędzie pierwsze przedstawienie?  
— spytał Nagel.

Otwarcie nastąpi w czwartek, dziewiątego lipca, w rocznicę urodzin królowej. Ale dziś już wieczorem miał Minuta ponaklejać plakaty, nawet na bramie

cmentarza, na co otrzymano osobne zezwolenie. Przyszedł zresztą z wieścią o skrzypcach. Nie było w mieście nic takiego do nabycia. Jedyne, możliwe skrzypce posiadał organista, ale nie chciał ich sprzedawać, prztem miał podczas bazaru odegrać kilka utworów.

— Ano, to niema rady! — powiedział Nagel, a gdy Minuta wstał, chcąc odejść, dodał: — Możebyśmy się napili czegoś. Jestem dziś w doskonałym humorze, gdyż powiodła mi się jedna rzecz. Po wielu wysiłkach zdołałem nakoniec osiąść mebel, jakiego nie ma żaden zbieracz w kraju. Spójrz pan na ten fotel. Jest to perła, prawdziwy i jedyny w swoim rodzaju Hollender, którego bym nie oddał za cały majątek. Z tej to właśnie okazji radbym wypić z panem szklaneczkę, o ile pan nic nie masz przeciw temu. Czy mam zadzwonić? Nie? Ależ jutro możesz pan przecież rozlepić plakaty... Nie mogę zapomnieć o szczęściu, jakie mnie spotkało! Wiedz pan, że jestem również przy okazji zbieraczem starożytności i tutaj śledzę za rzadkimi przedmiotami. Opowiadałem panu już, zdaje się, o mym zbiorze dzwonków krówskich? Ach, nie masz pan pojęcia co za człowiek ze mnie. Oczywiście, jestem agronomem, ale mam przy tem również inne interesy. Posiadam dwieście sześćdziesiąt siedem dzwonków, zbierać je zacząłem przed dziesięciu laty, a dziś mój zbiór jest już bardzo poważny. Wiesz pan, jak doszedłem do tego fotela? Przypadek... świńskie szczęście! Przechodząc pewnego dnia wybrzeżem i mijając mały domek, spojrzałem z nawyku przez szyby. Naraz stanąłem, zobaczywszy ten oto fotel i poznawszy się na jego wartości. Zapukałem, wszedłem i przyjęła mnie starsza, białowłosa kobieta... ach... jakże się zowie?... zresztą mniejsza, nie znasz



jej pan zapewne... a, prawda... zwie się Gude, Marta Gude, czy podobnie... Zrazu wzbraniała się oddać mi tego sprzętu, ale ustąpiła po perswazji i dziś na koniec otrzymałem go. Najlepsze z wszystkiego to to, że fotel ten dostał darmo. Rzuciłem jej na stół, by się nie cofnęła, kilka koron, ale rzecz ta warta setki. Nic sobie nie wyrzucam jednak, czyż miałem obowiązek jako kupiec i fachowiec dbać o interes sprzedającej, która nie знаła się na rzeczy? Prawda... nie można być głupcem... trzeba ciągnąć z wszystkiego zyski... to wszakże walka o byt... Teraz wiesz pan wszystko i sądzę, że nie odmówisz szklanki wina.

Minuta trwał przy tem, że iść musi.

— Wielka szkoda! — zawołał Nagel. — Cieszyłem się na rozmowę z panem. Jesteś jedynym człowiekiem w mieście, który mnie interesuje i z którego warto nie spuszczać oka... he, he... he... rozumiesz pan... nie spuszczać z oka! Na imię panu prócz tego Jan! Przyjacielu drogi, wiedziałem to już dawno, nie sądzę, że się dowiedział dopiero dziś wieczór... Ach, czegoż się pan znów boisz? Co za nieszczęście, że się ludzie boją mnie ciągle... Nie zaprzeczaj pan, patrzyłeś przez chwilę z wyrazem wielkiej trwogi, a nawet wydało mi się, żeś zadrżał całym ciałem...

Minuta dotarł już do drzwi. Chciał widocznie skończyć całą sprawę krótko i wyjść z pokoju. Rozmowa stawała się coraz to niesamowitsza.

— Czy to dziś szóstego lipca? — spytał Nagel niespodzianie.

— Tak, — odparł Minuta, kładąc dłoń na kłamce — dziś jest szósty lipca.

Nagel zbliżył się doń powoli, natarł nań zbliska, wlepił mu oczy w twarz i położył rękę na ple-

cach. Stojąc chwilę w tej pozycji, spytał znienacka szeptem:

— Gdzie pan byłeś szóstego czerwca?

Minuta nie odrzekł słowa. Owładnął nim strach, poraziło go tępe spojrzenie, ten tajemniczy szept. Nie zdolny pojąć, co znaczy owo krótkie, rozpaczne pytanie o datę z minionego miesiąca, szarpnął drzwi i zataczając się, wybiegł na korytarz. Tutaj wirował przez moment dokoła własnej osoby, nie mogąc znaleźć schodów, a Nagel stał w drzwiach i perswadował mu:

— Głupstwo... głupstwo... zapomnij pan! Innym razem wszystko wyjaśnię...

Minuta nie słyszał tych słów. Zanim Nagel skończył, zbiegł na dół, stąd, nie patrząc w lewo, ni prawo, wypadł na ulicę, pędem przebył plac targowy, aż do wielkiej studni, rzucił się w pierwszą bocznicę i znikł.

W godzinę potem, około dziesiątej, zapalił Nagel świeże cygaro i wyszedł z hotelu. W mieście panował jeszcze ruch. Drogą, ku plebanji wiodącą, snuli się tam i z powrotem ludzie, krocący pomału, a z ulic dolatywały śmiechy i pokrzyki rozbawionych dzieci. Mężczyźni i kobiety siedzieli na schodach domów i rozmawiali, korzystając z ciepłego wieczoru. Sąsiedzi nawoływali się przez szerokość ulicy i otrzymywali uprzejme odpowiedzi.

Nagel szedł w kierunku śpichrzów portowych. Widział, jak Minuta nakleja afisze na gmachu pocztowym, banku, szkole i więzieniu, czyniąc to starannie i sumiennie. Wkladał w tę funkcję dużo dobrej woli, nie licząc się z czasem, mimo że mógł zużytkować dla siebie wolny od pracy wieczór. Nagel minął go zbliśka i pozdrowił, ale nie przystanął.



Dotarłszy do samych niemal śpichrzów, usłyszał poza sobą wołanie. Marta Gude zatrzymała go.

— Przepraszam! — powiedziała. — Dałeś mi pan za dużo pieniędzy...

— Dobry wieczór! — odparł. — Czy pani także wybrała się na przechadzkę?

— Nie, byłam w mieście, czekałam na pana przed hotelem. Dał mi pan za dużo pieniędzy.

— Czyż mamy zaczynać na nowo tę komedję?

— Ależ pan się omylił! — zawołała ze zgrozą. — Było więcej drobnych, niż za dwieście koron.

— No i cóż z tego? Ano może i było parę banknotów więcej. Może mi je pani przecież zwrócić.

Zaczęła rozpinać stanik, ale przestała i obejrzała się, nie wiedząc co począć. Przeprosiła, mówiąc, że za dużo wkoło ludzi, nie może tedy wyjąć pieniędzy, które dobrze ukryła.

— To nic! — powiedział szybko. — Mogę po nie przysłać, albo odebrać je sam u pani.

Poszli oboje do jej domku, spotykając po drodze mnóstwo ludzi, którzy na nich patrzyli ciekawie.

W pokoiku Marty Gude usiadł Nagel przy oknie, zasłoniętem dotąd spódnicą, gdzie siedział poprzód. Milczał, patrząc, jak szuka pieniędzy i dopiero, gdy mu podała garść zblakłych i ciepłych jeszcze od jej ciała dziesięciokoronówek, ozwał się, prosząc, by je zatrzymała.

Ale ona powzięła, jak dawniej, znowu podejrzenie co do jego zamiarów i rzekła:

— Nie... nie rozumiem pana...

Wstał spiesźnie.

— Ja natomiast rozumiem panią doskonale! — odparł.

— Dlatego wstaję i odchodzę. Czy pani już spokojna?

— Tak... Nie... niechże pan nie stoi przy drzwiach!  
— mówiąc to, wyciągnęła ramiona, by go powstrzymać. Dziwna dziewczyna znieść nie mogła, by komuś sprawić przykrość.

— Mam do pani prośbę! — powiedział, nie siadając.  
— Mogłaby mi pani sprawić wielką radość,... za co się, tak czy owak, odwdzięczę. Radbym, by pani przyszła w czwartek na bazar! Czy robi mi pani tę przyjemność? Rozerwie się pani, będzie tam mnóstwo ludzi, światła, będzie muzyka i żywe obrazy. Uczyni to pani, a nie pożałujesz! Śmieje się pani, dlaczegoż to? Ach, jakież ma pani białe zęby!

— Nie mogę nigdzie iść. Jakże pan mógł przypuścić, że tam pójde? Czemuż pan tego chce?

Wyjaśnił jej otwarcie i uczciwie, że powziął taki zamysł już dawniej, ale znowu zapomniał. Poprosił na nowo, by poszła, by wzięła udział w zabawie, chce ją bowiem tam widzieć. Jeśli taka jej wola, dodał, nie przemówi nawet do niej i nie będzie jej dokuczał, gdyż nie ma tego zamiaru. Sprawí mu jeno radość, gdy ją zobaczy wśród ludzi młodą, wesołą i usłyszy jej śmiech.  
— Droga pani, — zakończył — musi to pani uczynić!

Spojrzała nań. Białe włosy odbijały jaskrawo od czarnych oczu. Skubała guziki stanika, a ręka jej była wąska, nieco szara, może niezbyt czysta, ale czyniła wrażenie skromności. Wzdłuż przegubów wiły się błękitne żyłki.

— Ach, — powiedziała — mogłoby to być miłe. Ale nie mam w czem iść, nie mam sukni odpowiedniej na taki wieczór...

Przerwał jej, mówiąc, że do uroczystości jeszcze trzy dni, przeto do czwartku może się wystarać o wszystko...

— Czasu aż nadto! Więc zgoda? — spytał.



Zgodziła się po chwili wahania.

— Nie należy się dobrowolnie zagrzebywać, bo wynika stąd szkoda własna. Przytem, kto ma oczy i zęby pani... nie, to istny grzech! Pieniądze na stole niech służą na suknię... tak, tak... tylko się nie opierać! Zwłaszcza, że jest to mój własny koncept, a panią kosztowało dużo wysiłku, by się przewyciężyć.

Powiedział jej jak zawsze krótko i węzłowato: dobro-noc, nie dając najmniejszego powodu do obaw. Gdy się znaleźli w sieni, sama podała mu raz jeszcze rękę i podziękowała za zaproszenie na bazar. Powiedziała, że od lat nie zdarzyło jej się coś takiego i już odwykła od wszelkich przyjemności... Przyrzekła, że się zachowa, jak należy...

Stare to dziecko przyrzekało, że się grzecznie zachowa, mimo że nikt o tem nie wspomniał.

## XVI.

Nadszedł czwartek, deszcz padał trochę, ale mimo to otwarto wieczorem bazar, przy muzyce i wielkim natłoku uczestników. Zjawilo się całe miasto, a nawet ze wsi zjechało dużo osób na tę niezwyčajną rozrywkę.

Nagel przybył około dziewiątej i zastał salę pełną. Wyszukał sobie miejsce przy drzwiach i zatrzymał się tam na chwilę, słuchając przemówienia. Był błydy i jak zawsze miał na sobie żółte ubranie. Zdjął przepaskę z ręki, gdyż obie rany zagoiły się niemal zupełnie.

Na trybunie ujrzał doktora Stenersena z żoną, po prawej w głębi stał też Minuta, wraz z resztą uczestników w żywych obrazach, ale Dagny nie było.

Zaduch sprawiony przez świece i tłum wygnał go rychło ze sali. W drzwiach napotkał podsędką Reinerta, który

na ukłon odpowiedział ledwo dostrzegalnym ruchem głowy. Zatrzymał się w kurytarzu.

Tu spostrzegł coś, co pobudziło jego zaciekawienie i zajmowało przez długi jeszcze czas myśli. Po lewej stronie ujrzał przez otwarte drzwi pokój boczny, gdzie przybyli składali okrycia, a w nim Dagny Kielland, szukającą czegoś w jego własnym płaszczu. Nie mylił się, w całym bowiem mieście nikt nie posiadał takiej żółtej zarzutki, przytem pamiętał dobrze, gdzie ją powiesił. Szukała czegoś i korzystając ze sposobności, gładziła raz po raz dłonią okrycie. Obrócił się szybko, by jej nie zaskoczyć.

To drobne wydarzenie zaniepokoiło go. Czegóż szukała i co miała do roboty z płaszczem? Myślał o tem długo i nie mógł zapomnieć. Bóg wie, może szukała w kieszeni broni palnej, sądząc, że szaleniec jak on do wszystkiego jest zdolny. A może... przypuśćmy... podsunęła mu tajemnie list? Niemożliwość ta wydała mu się przez chwilę przypuszczalną, ale potem osądził, że się myli, musiała czegoś szukać we własnem okryciu, wszystko było jeno przypadkiem... jakże mógł oddawać się takiej beznadziejnej złudzie! Gdy jednak potem zobaczył, że Dagny toruje sobie drogę na salę, poszedł niezwłocznie do garderoby i przeszukał płaszcz, a serce mu przytem biło. Ale nie znalazł listu, jeno własne rękawiczki i chustkę do nosa.

Rozległy się oklaski. Burmistrz skończył mowę inauguracyjną. Publiczność wyroiła się na kurytarze i do przewiewnych ubikacyj bocznych, obsiadając stoliki pod ścianami i racząc się przekąskami, które roznosiły gościom przebrane za kelnerki liczne młode damy miejscowe, w białych fartuszkach z serwetami w rękach.

Nagel nie mógł nigdzie odnaleźć Dagny, spotkał natomiast pannę Andersen, pełniącą również rolę kelnerki,



pozdrowił, poprosił o wino, a ona przyniosła mu szampana.

Spojrzał zdumiony.

— Pan nie pija wszakże nic innego! — powiedziała z uśmiechem.

Drobna ta złośliwość ożywiła go znacznie, zaprosił ją na szklankę szampana, a ona usiadła niezwłocznie przy jego stoliku, mimo, że jej było bardzo spiesзно. Podziękował za tę uprzejmość, złożył komplement odnośnie do stroju i wyraził zachwyt nad starożytną broszą z filigranu, wpiętą w chustkę na szyi. Wyglądała doskonale: wykwintna, arystokratyczna twarz o długim nosie była subtelna, niemal chorobliwie subtelna, spokojna zupełnie i wolna od nerwowych drgań. Mówiła pewnie, rozważnie, tak że dawała wrażenie bezpieczeństwa. Była damą, kobietą w całej pełni.

Gdy wstała, powiedział:

— Będzie tu dziś ktoś, komu chciałbym wieczór ten ile możliwości umilić. To panna Gude, Marta Gude. Nie wiem, czy ją pani zna? Słyszałem, że już przyszła. Jest tak samotna. Minuta opowiadał mi o niej. Czy pani sądzi, że mógłbym prosić, by usiadła przy nas? Oczywiście, o ile pani nic przeciw temu nie ma.

— Ależ nie, nie! — zawołała panna Andersen. — Przeciwnie, z przyjemnością sprowadzę ją tu, wiem gdzie siedzi.

— I przyjdzie pani sama... nieprawdaż?

— Przyjdę... dziękuję!

Podczas gdy Nagel siedział i czekał, nadszedł podśedek Reinert, wraz z adjunktem i Dagny. Nagel wstał i pozdrowił ich. Dagny, blada mimo gorąca, miała suknię żółtawą o krótkich rękawach, na szyi zaś gruby, złoty łańcuch, w którym jej nie było do twarzy. Zatrzy-

mała się na chwilę w drzwiach, jedną ręką poprawiając na plecach jasny swój warkocz.

Nagel podszedł do niej i w krótkich, namiętnych słowach poprosił, by mu przebaczyła wielką winę, popełnioną ostatniego piątku. Zaręczał, że stało się to po raz ostatni i że odtąd nie będzie miała powodu przebaczać mu czegokolwiek. Mówił cicho, wygłaszając jeno konieczne słowa, i zamilkł.

Słuchała, patrzyła nań nawet, gdy zaś skończył, odparła:

— Nie wiem już nawet dobrze, o czym pan wspomina. Zapomniałam... chcę zapomnieć.

Potem odeszła, spojrzawszy nań wielce obojętnie.

Wszędzie rozbrzmiewał pobrząk głosów, talerzy, szklanek, trzaskanie korków, śmiechy, nawoływania, zaś z sali dolatywały niesforne i fałszywe dźwięki orkiestry instrumentów dętych...

Zjawiała się panna Andersen wraz z Martą Gude, a za nimi przyszedł też Minuta. Wszyscy siedli przy stoliku Nagla i spędzili tu kwadrans. Od czasu do czasu wstawała panna Andersen, by podać kawy proszącym o nią, wkońcu zaś odeszła całkiem, gdyż miała zbyt wiele do roboty.

Nastąpiły teraz, jeden po drugim różne punkty programu. Śpiewał kwartet, student Olsen deklamował grzmiącym głosem wiersz własnego układu, dwie damy grały na fortepianie, a organista zaprodukował swe pierwsze solo na skrzypcach. Dagny siedziała ciągle z obu panami. Zjawił się posłaniec po Minutę. Musiał on załatwić różne rzeczy, przynieść więcej szklanek, filiżanek, kanapek, gdyż wszystkiego brakło dla ogromnej masy ludzi, masy ludzkiej małego miasteczka.



Gdy się znaleźli we dwoje, Marta wstała, chcąc odejść. Powiedziała, że nie może zostać sama, bo spostrzegła, jak podsędek czynił uwagi, z których śmiała się panna Kielland. Najlepiej będzie, gdy sobie pójdzie.

Ale Nagel namówił ją, by przynajmniej wypila przedtem jedną jeszcze szklaneczkę. Marta miała suknię czarną, dobrze skrojoną, ale nie była dla niej stosowna, czyniła ją starszą i kontrastowała zbyt z białymi jej włosami. Oczy tylko błyszczały mocno, a gdy się śmiała, twarz jej ożywiała się młodością.

— Czy się pani to wszystko podoba? — spytał. — Czuje się pani zadowoloną?

— Dziękuję! — odparła. — Bardzo mi tu dobrze.

Rozmawiał z nią ciągle, stosując się do jej poziomu i opowiadał historyjki, z których się śmiała. Dowiedziała się, jak wszedł w posiadanie jednego ze swych najcenniejszych, najstarszych dzwoneczków krowich. Było na nim wyryte imię owej krowy, zwała się: Oeistein i musiała być wobec tego bykiem...

Marta zaśmiała się wesoło, zapominając gdzie jest, potrzasała głową i radowała się, jak dziecko z tego nie-szczęśliwego dowcipu.

— Wie pani co! — powiedział. — Zdaje mi się, że Minuta jest zazdrosny o mnie.

— Ej, nie... — odparła z wahaniem.

— Miałem to wrażenie. Zresztą co tam, miło mi siedzieć tak z panią sam na sam. Cieszy mnie, gdy słyszę śmiech pani.

Nie odpowiadając, spuściła oczy.

Rozmawiali dalej, a Nagel siedział tak, że mógł spoglądać na stolik Dagny.

Nadeszła panna Andersen, zamieniła kilka słów, napiła się ze swojej szklanki i znikła zpowrotem.

Raptem wstała Dagny i podeszła do stolika Nagła.

— Jakże tu wesoło! — powiedziała drżącym nieco głosem. — Dobry wieczór, Marto! Z czego się śmiesz?

— Bawimy się doskonale, — odparł Nagel — ja plotę trzy po trzy, a panna Gude jest tak pobłażliwą, że się śmieje... Czy można pani zaproponować szklaneczkę?

Dagny usiadła.

Rozległy się na sali grzmiące oklaski. Marta skorzystała z tego, by wstać i przekonać się o co idzie. Odchodziła coraz to dalej, wreszcie zawołała:

— Czarodziej występuje! Muszę to zobaczyć! — i odeszła.

Pauza.

— Porzuciła pani swe towarzystwo?... — rzekł Nagel i byłby mówił dalej, ale mu przerwała:

— A towarzyszka porzuciła pana!

— O, powróci niezawodnie! Prawda, jak dobrze wygląda panna Gude? Dzisiejszego wieczoru weseli się, jak dziecko.

Dagny nic nie odrzekła, spytała natomiast:

— Nie było pana przez czas jakiś...

— Tak.

Pauza.

— Czy się panu naprawdę podoba dzisiejsza uroczystość?

— Mnie? Ach, nie wiem nawet co się dzieje! — odparł. — Nie przyszedłem, by się bawić.

— Pocóż tedy?

— Oczywiście poto, by panią zobaczyć... z odległości, w milczeniu jeno...

— Ach! I w tym celu przyprowadziłeś pan ze sobą inną kobietę?

Nie mógł tego zrozumieć. Patrzył na nią i dumał.



— Pani ma na myśli pannę Gude? Nie wiem, do-  
prawdy co odpowiedzieć. Opowiadano mi o niej dużo.  
Po całych latach siedzi w domu samotna i pozbawiona  
rozrywki. Nie przyprowadziłem jej zresztą, tylko  
chciałem trochę zabawić, by się nie nudziła, nic ponadto.  
Panna Andersen przywiodła ją do mego stolika. Ach,  
jakże nędzne wiedzie życie! Ale białe jej włosy są na-  
prawdę bardzo ładne...

— Pan chyba nie myśli że jestem zazdrosna... nie-  
prawdaż? Jeśli tak, to mylisz się pan wielce. Przypo-  
minam sobie opowiadanie pańskie o pewnym jåkale,  
który jechał dwudziestu czterema dorożkami i który się  
zakochał w niejkiej Klarze. Pamiętam doskonale, że  
owa Klara, nie chcąc o nim nawet słyszeć, nie chciała  
również dopuścić, by dostał jej ułomną siostrę. Sam  
pan wiesz chyba najlepiej, pocoś mi to opowiedział,  
ale jeśli zamierzasz pan obudzić we mnie zazdrość, to  
trud daremny... Ani panu się to nie uda, ani owemu  
jåkale...

— Na miły Bóg! — zawołał. — Nie mówi pani tego  
chyba serjo.

Pauza.

— Tak, mówię serjo... — odparła.

— Czyż zachowywałbym się w ten sposób, gdybym  
chciał w pani rozbudzić zazdrość? Czyż rozmawiałbym  
z czterdziestoletnią kobietą, a potem, gdy pani się jawi,  
pozwoliłbym jej odejść?... Czyż jestem głupi?

— Nie wiem coś pan jest, wiem jeno, żeś się zakradł  
do mnie i zgotował mi najcięższe chwile w życiu, tak  
że się sama już nie rozumiem. Nie wiem czyś pan głupi,  
czy szalony i nie chcę badać, bo jest mi to żgoła obo-  
jętne.

— Oczywiście... — przyznał.

— Czemużby mi nie miało być obojętne? — podjęła na nowo, podrażniona jego uległością. — Cóż mam właściwie z panem do czynienia? Zachowałeś się pan źle wobec mnie, a ja miałabym się jeszcze zajmować panem? Opowiadasz mi pan historję pełną domyslników o jakiejś Klarze? Ścigaszesz mnie pan? W tej chwili ja przyszedłam, ale czemuż nie zostawiasz mnie pan nigdy w spokoju, jeno śledzisz na każdym kroku. Zapewne ten fakt, że zbliżyłam się do pana i rozmawiam, wytłumaczysz pan sobie jakoby mi szło... jakby mi zależało...

— Łaskawa panno Kielland, — rzekł — niczego sobie nie tłumaczę.

— Nie? Ha... a skądże pewnoś, że to prawda? Nie wierzę panu, nie mam zaufania, uważam żeś pan zdolny do... do wszystkiego. Może teraz jestem niesprawiedliwą, ale przysługuje mi chyba prawo dokuczyć panu również. Tak mnie znużyły już te wszystkie pańskie plany i domyslniki...

Nie odpowiadał, obracał jeno szklanke po stole. Gdy powtórzyła, że mu nie wierzy, rzekł:

— Zasługuję na to.

— Tak! — podjęła na nowo. — Nie wierzę panu. Nawet ramiona pańskie wydały mi się podejrzanе i myślałam, że są z waty. Wyznaję otwarcie, że przed chwilą badałam w garderobie płaszcz pański, czy nie ma wypchanych ramion, a chociaż się przekonałam, że nie, nie mogę uwierzyć. Nie jeteś pan wysoki, to też wiem napewno, że użyłbyś każdego środka, by się podwyższyć, gdyby jeno był. Trudno wierzyć! Któż pan jesteś i poco przybyłeś tutaj? Nawet nie pod własnem nazwiskiem przebywasz pan u nas. Nazywasz się pan właściwie Simonsen... tak jest, Simonsen! Doniesiono mi to z hotelu. Pewna dama tak pana zagadnęła, nim zdo-



łałeś przeszkodzić. Jakież to śmieszne i złe. Opowiadają w mieście, że się pan zabawiasz rozdawaniem cygar wyrostkom i wywołujesz po ulicach jeden skandal za drugim. Podobno spytałeś pan o coś nieprzyzwoitego pewną służącą, spotkaną na placu targowym i to wobec ludzi... A mimo to oświadczasz mi się pan i stajesz ciągle na mej drodze... Dręczy mnie strasznie, że pan masz tę śmiałość, że poważasz się...

Urwała. Wargi jej drżały, była wzburzona, słowa gwałtowne wyrywały jej się z ust, wierzyła w to co mówi i nie krępowała się wcale. Nastąpiła mała pauza, a on odpowiedział:

— Zupełna słuszność, nadrezyłem panią niemało... przez cały miesiąc dzień w dzień, śledząc czyjeś słowa i czyny, można w niejednym mu sprawić przykrość. Miasteczko jest małe, wpadam ludziom w oczy, wszyscy się o mnie potykają, a każdy, gdy mnie jeno zobaczy, patrzy mi na palce. Ha, no, trudno. Zresztą przyznaję, że nie zachowuję się jak należy.

— Naturalnie — rzekła ostro — naturalnie zwracasz pan uwagę dlatego tylko, że miasteczko nasze jest tak małe. W większym nie byłbyś pan jedynym przedmiotem ciekawości.

Ta chłodna, a trafna odpowiedź wywołała zrazu podziw jego i chciał już rzec jakiś komplement, ale rozmyślił się. Była wzburzona, uprzedzona doń i nie przypisywała mu, oczywiście, wielkiego znaczenia. Uczuł się dotkniętym. Czemże był w jej oczach? Zwyczajnym, obcym człowiekiem w małym miasteczku, na którego uwagę zwracają wszyscy dlatego jeno, że obcy i nosi żółte ubranie. Rzekł tedy z goryczą:

— Czyż nie opowiadają jeszcze, że raz pewnego napisał drastyczny wiersz na płycie grobowej, na grobie

Miny Meek?... Tak było w istocie. Prawdą jest również, że zażądałem w aptece lekarstwa przeciw pewnej brzydkiej chorobie, ale go nie dostałem, gdyż nie miałem recepty... A prawda... przypominam sobie jeszcze... czy nie mówił pani Minuta, że m go chciał przekupić dwustu koronami, by wziął za mnie na siebie ojcostwo pewnego dziecka? Jest to czysta prawda. Minuta może potwierdzić każdej chwili. Ach... ileż to jeszcze innych mógłbym dodać rzeczy...

— Nie, dość tego! — odparła butnie. Patrzyła nań ostro, lodowato i przypominała jedno po drugim. Mówiła o fałszywych telegramach i fikcyjnem bogactwie, o futerale na skrzypce, który włóczył z sobą nie mając skrzypiec i nie umiejąc grać, o medalu ratunkowym, zdobytym, wedle własnych słów, brzydkim sposobem, pamiętała o wszystkim i nie szczędziła go. Każda drobnostka nabierała teraz w jej oczach znaczenia i dała mu do poznania, że o ile przedtem sądziła, że kłamie o sobie, to teraz pewną jest, że sprawek tych dopuścił się naprawdę. Tak, jest człkiem bezczelnym i wielce podejrzanym! — A mimo to, — zakończyła — usiłujesz mnie pan chwycić w szpony, zaniepokoić, skłonić, bym się dopuszczała z panem rzeczy złych. Jesteś pan bezwstydnym, nie masz serca dla drugich, kochasz tylko siebie, gadasz pan i gadasz wyłącznie o sobie...

W tej chwili przerwał jej doktor Stenersen, który, machając rękami, nadbiegł z sali. Zajmował się urządzaniem bazaru i traktował rzecz z wielkim zapalem.

— Dobry wieczór, panie Nagel! — zawołał. — Dziękuję za fetę niedawną. Była to szalona noc... Panno Kielland, musi być pani w pogotowiu, bo za chwilę zaczynamy żywe obrazy.



Powiedziawszy to, znikł.

Ponownie odegrano utwór jakiś i nastał wielki niepokój. Dagny pochyliła się, spojrzała przez drzwi na salę, potem zaś rzekła do Nagła:

— Marta wraca.

Pauza.

— Słyszysz pan co mówię?

— Słyszę... — powiedział pół przytomny. Nie podnosząc oczu, kręcił po stole pełną szklanką, nie pił i siedział z głową, aż na stół pochyłoną.

Powiedziała drwiąco:

— Nieprawdaż... gdy się słyszy taką muzykę, radby człowiek siedzieć gdzieś w oddali, z dłonią ukochanej w dłoniach... Tak pan powiedział raz. Wydaje mi się, że to ten sam walc Lannera... a gdy wróci Marta...

Urwała, jakby żałując swej złośliwości, błysło jej w oczach i poruszyła się nerwowo na krześle. On siedział dalej pochyłony, i dyszał ciężko. Wstała, ujęła szklankę i chciała właśnie coś rzec, zaczęła nawet:

— Muszę już iść...

Spojrzał na nią znienacka, ujął szklankę i wstał także. Wypili oboje wino w milczeniu. Zmuszał się, by nie okazać, że mu drżą ręce, widziała, że walczy o spokój. Człowiek ten, którego, jak mniemała, zabiła szyderstwem, ozwał się niespodzianie obojętnie i grzecznie:

— Przyszło mi na myśl... ponieważ się już pewnie nie zobaczymy... radbym prosić, by pani, pisząc przy sposobności do narzeczonego, przypomniła mu o dwu koszulach, jakie obiecał Minucie, przed dwoma laty. Przepraszam, że mieszam się w nieswoje sprawy, ale czynię to jeno przez wzgląd na Minutę... Raz jeszcze przepraszam... niechże pani napisze, że idzie o koszule wełniane, a przypomni sobie niezawodnie.

Przez chwilę stała osłupiała, z otwartemi ustami, zapominając nawet o postawieniu szklanki na stole. Trwało to czas dłuższy, potem rzuciła mu spojrzenie wściekle, buntownicze, w oczach jej spostrzegł druzgoczącą odpowiedź i nagle obróciła się doń plecami. Odchodząc, postawiła ze stukiem szklanek swą na stole przy drzwiach i znikła w sali.

Zapomniała widzieć zupełnie, że podsędek i adjunkt czekają na nią, siedząc ciągle w tem samym miejscu.

Nagel usiadł. Ramiona mu drgały i chwycił się raz po raz za głowę. Siedział skulony. Gdy Marta przyszła, zerwał się, błysk wdzięczności oblał jego twarz i przysunął jej krzesło.

— Jaka pani dobra, jaka dobra, — powiedział. — Proszę siadać! Jeśli pani chce, opowiem mnóstwo historyjek. Postaram się zabawić panią, byle pani tylko siedziała ze mną. Droga panno Marto, może pani iść do domu kiedy się pani spodoba... pójdziemy razem... nieprawdaż? Nie sprawię nigdy żadnej nieprzyjemności. Proszę się napić szklaneczkę wina, małą szklaneczkę. Opowiem coś wesołego, co warte śmiechu. Cieszę się bardzo z powrotu pani. Jakże mile śmieje się pani, chociaż zazwyczaj jest tak poważna! Ślicznie jest na sali... prawda? Ale posiedźmy tu chwilę, bo tam bardzo gorąco... Proszę zająć miejsce.

Marta wahała się, siadła jednak wkońcu.

Nagel mówił i mówił, opowiadał jedną po drugiej śmieszną historję i przeżycia swoje, paplał, jak najęty, gorączkowo, z przymusem, obawiając się, że odejdzie, gdy mówić przestanie. Z wysiłku bladł i czerwieniał, zasypywał się, chwycił bezradnie za głowę, by odnaleźć wątek, a Marcie wydawało się to śmieszne, to też dobrodusznie śmiała się bez przerwy. Rozbawiona uczuła,



jak jej się otwiera serce i zaczęła nawet sama mówić. Była dziwnie naiwna i serdeczna. Gdy powiedział, że życie jest strasznie nędzne, odparła: — Zdrowie pańskie! — Kobieta ta, żyjąca w biedzie z kilku sprzedanych dziennie jaj, oświadczyła wprost:

— Życie bywa czasem piękne!

— To prawda! — potwierdził. — Ale teraz musimy zobaczyć żywe obrazy. Stańmy w drzwiach. Będziemy mogli usiąść, gdy pani zechce. Czy pani dobrze widzi? Mogę wziąć panią na ręce.

Zaśmiała się, potrząsając przecząco głowę.

Wesołość Nagla opadła odrazu, gdy ujrzał Dagny na trybunie. Oczy mu skamieniały, widział ją tylko. Śledził kierunek jej spojrzenia widział falującą na jej piersi czerwoną różę, mierzył ją od stóp do głowy, badał wyraz jej twarzy. Stała w głębi, w grupie ludzi, ale mimo starannego przebrania poznał ją odrazu. Panna Andersen siedziała pośrodku i była królową. Wszystko razem stanowiło obraz zalany czerwonym światłem, stanowiący rodzaj rebusu złożonego z ludzi, strojów i zbroi. Doktor Stenersen dokonał tego z wielkim trudem i poświęceniem.

— Jakie to śliczne! — szepnęła Marta.

— Tak... Co jest śliczne? — spytał.

— Cały obraz... wszakże pan widzi... gdzież pan patrzy?

— Prawda... bardzo ładny obraz.

Chcąc uniknąć podejrzenia, że patrzy w jeden jeno punkt, jął pytać o nazwiska poszczególnych aktorów, ale nie słuchał jej wyjaśnień. Tymczasem czerwone światło przygasło i spuszczone kurtynę.

Pięć obrazów przewinęło się w ciągu kilku minut, nadeszła dwunasta, a Nagel i Marta stali w drzwiach

do końca. Gdy się skończyło i zabrzmiała muzyka, usiedli i wszczęli dalszą rozmowę. Marta, ulegając dobroćliwości wrodzonej, nie wybierała się do domu.

Pomiędzy stolikami krążyły teraz młode damy z notatnikami i sprzedawały losy na loterję fantową, gdzie można było wygrać lalki, fotele na biegunach, hafty, serwisy do kawy, a nawet zegar stołowy. Ze-wsząd dolatywał rozgwar głosów, ludzie gwarzyli i hałasowali, jak na giełdzie. Rzec miała potrwać do drugiej.

Panna Andersen usiadła znowu przy stoliku Nagla. Oświadczyła, że jest straszliwie znużona i przyjęła ochoczo szklanę... pół szklanki szampana. Wkońcu spytała, czy ma przyprowadzić Dagny.

I przyprowadziła ją, a za Dagny przyszedł Minuta. Naraz stała się rzecz taka:

W pobliżu ktoś obalił stół, a filiżanki i szkło potoczyły się z brzękiem na ziemię. Dagny wydała okrzyk przestachu i chwyciła nerwowo Martę za ramię. Po chwili roześmiała się i poprosiła o przebaczenie, zarumieniona z wrażenia. Była silnie wzburzona, a oczy jej błyszczały. Miała na sobie płaszcz i była gotowa iść do domu, czekała tylko na adjunkta, który miał ją, jak zwykle, odprowadzić.

Atoli adjunkt, siedzący z podsędkiem od przeszło godziny, był już dobrze pijany.

— Pan Nagel chętnie cię odprowadzi, Dagny! — powiedziała panna Andersen.

Dagny wybuchła śmiechem, a panna Andersen spoj-rzała na nią zdziwiona.

— Nie... nie mam już odwagi chodzić sam na sam z panem Naglem! Ma mnóstwo dziwnych conceptów. Mówiąc między nami... pewnego dnia zaproponował mi schadzkę... Tak było naprawdę. Prosił, bym



przysła pod drzewo, pod wielką osikę, która stoi tam a tam! O nie... pan Nagel jest dla mnie zbyt nieobliczalny. Dziś zażądał też ode mnie dwu koszul wełnianych, które narzeczony mój obiecać miał pewnego dnia Grögoardowi. Sam Grögoard jednak nic o tem nie wie... prawda, Grögoardzie... ha... ha... ha... to kapitalne!

Śmiejąc się ciągle wstała, podeszła do adjunkta i zamieniła z nim słów kilka. Widocznie chciała go skłonić by szedł.

Minuta zaniepokoił się. Jął czynić wysiłki, by rzecz wyjaśnić, ale zmieszany dał wkońcu pokój i tylko wodził trwożliwem spojrzeniem po wszystkich. Marta również zdumiała się i przełękła, Nagel zaś szeptał jej słowa uspakajające i napełniał szklanki. Panna Andersen zaczęła mówić o bazarze, który mimo deszczu zgromadził taką masę ludzi. Dochód będzie, oświadczyła, znaczny, gdyż wydatki są niewielkie...

— Cóż to za piękna dama, która grała na harfie, ta, z byronowskim wyrazem ust i strzałą srebrną we włosach? — spytał Nagel.

— To dama zamiejskowa, przybyła do miasta w odwiedziny... Czyż jest tak piękna?

Uznał, że jest piękna i zadał odnośnie do niej kilka jeszcze pytań, chociaż wszyscy czuli, że myślami był gdzieindziej. Nad czemże to rozmyślał? Skąd się wzięła pionowa zmarszczka na jego czole? Siedział, obracając zwolna szklankę.

Dagny wróciła. Stojąc za krzesłem panny Andersen i zapinając rękawiczki, spytała głosem donośnym i dźwięcznym:

— Co pan myślałeś, panie Nagel, prosząc mnie o schadzkę? Jakie pan miałeś istotne zamiary? Proszę, powiedz pan...

— Ależ Dagny!... — szepnęła, wstając panna Andersen. Minuta wstał także. Wszyscy doznali bardzo przykrego wrażenia. Nagel podniósł oczy. Twarz jego nie zdradzała wielkiego wzburzenia, puścił tylko szklankę, załamał parę razy ręce i zaczął ciężko dyszeć. — Cóż uczyni? — myśleli wszyscy. — Cóż znaczy, że się zrazu uśmiechnął, a potem spoważniał? — Ku wielkiemu zdumieniu towarzystwa, odparł po chwili spokojnie:

— Czemu prosiłem o schadzkę? Panno Kielland, czyżby nie było lepiej, bym pani oszczędził wyjaśnienia? Tyle pani już sprawilem przykrości. Żałuję tego bardzo i Bóg świadkiem radbym wszystko cofnąć. Wie pani dobrze, czemu wówczas prosiłem o schadzkę, gdyż nie zatajałem nigdy powodu, chociaż uczynić tak należało. Proszę łaskawie przebaczyć, ale więcej powiedzieć nie mogę...

Zamilkł. I ona milczała, zapewne innej się spodziewała odpowiedzi. Adjunkt nadszedł w sam czas, by położyć koniec tej przykrej scenie. Był rozgrzany i nie całkiem pewnie stał na nogach.

Dagny przyjęła jego ramię i wyszła.

Małe kółko pozostałych ożywiło się zaraz, wszyscy odetchnęli, Marta śmiała się z każdej drobnostki i klasnęła w dłonie. Czasem czerwieniała po długim śmiechu, spoglądała po innych, badając czy to spostrzegli. To urocze zakłopotanie, które powtórzyło się kilka razy, zachwycalo Nagla, to też dokazywał co niemiara, by ją utrzymać w nastroju. Nakoniec wsadził w usta korek i zaczął na nim wygrywać pieśń o Noem, który się upił winem.

Pani Stenersen przyłączyła się do nich. Oświadczyła, że do końca wytrwa na miejscu. Teraz właśnie mają



wystąpić dwaj zapaśnicy i musi ich zobaczyć. Zresztą nie spieszno jej do domu, gdzie długie noce spędzać musi nieraz sama. Zaproponowała, by całe towarzystwo poszło przyjrzeć się zapaśnikom i tak się też stało.

Siedli w sali i zaraz zjawił się wysoki, brodaty mężczyzna. Szedł środkiem między rzędami krzeseł, niosąc skrzynkę ze skrzypcami. Był to organista, który skończywszy swe produkcje, miał zamiar iść do domu. Stał, złożył ukłon i zaczął zaraz z Naglem mówić o skrzypcach. Minuta był u niego i chciał kupić instrument, ale odmówił, bo odziedziczył go po przodkach i był mu, jakby dzieckiem umiłowaniem. Skrzypce te noszą nawet imię i nazwisko jego... nie jest to zwykły instrument... zaraz pokaże... Powiedziawszy to otworzył ostrożnie szkatułkę.

Ukazał się ponętny, ciemno-brunatny instrument, starannie okryty jedwabiem, z watą na strunach.

— Prawda, że ślicznie wyglądają. Trzy litery utworzone z małych rubinów znaczą: Gustaw, Adolf, Christensen. Nie, grzechem byłoby sprzedawać coś takiego. Czemże bym się pocieszał w długie wieczory zimowe? Inna sprawa, gdyby szło o zagranie, o kilka pociągnięć smyczka...

Nagel nie chciał grać.

Organista wyjął już skrzypce i trzymał je w ręku. Zapaśnicy kończyli swe skoki, publiczność klaskała, on zaś opowiadał dalej o szczególnym tym instrumencie, w ciągu trzech pokoleń dziedziczonym w rodzinie, zachwalając, że skrzypki są lekkie jak pióro. Podawał je Naglowi, prosząc by się przekonał.

Nagel przekonał się, że tak jest w istocie. Wziąwszy instrument, brzęknął parę razy w struny. Przybrał minę znawcy i rzekł: — To prawdziwy „Mittelwalder“,

jak widzę. Nie trudno było o klasyfikację, bo firma wypisana była na kartce w wnętrzu pudła. Pocóż więc ta mina? Gdy zapaśnicy znikli i oklaski ustały, wstał nie rzekłszy ni słowa, wyciągnął rękę po smyczek i za chwilę, podczas gdy publiczność wstawiała, by odejść, gdy w sali panował rozgwar i głośna gadanina, zaczął grać. Zwolna wracała cisza. Wszyscy zdumieni się na widok tego barczystego mężczyzny w jaskrawo żółtem ubraniu, stojącego pośrodku sali. Nagel grał. Zaczął od barkaroli, potem przeszedł na węgierski taniec Brahmsa i roztoczył przed słuchaczami długie pot-pourri najrozmaitszych dzikich, namiętnych utworów. Pochylił głowę na struny, wyglądał niemal mistycznie. Wystąpił niespodzianie, poza programem, w pół ciemnej już sali, wyglądał oryginalnie, posiadał niesłychaną, dziką biegłość, a wszystko to oszołomiło słuchaczy, którym się wydało, że mają przed sobą czarodzieja. Grał przez kilka minut wśród grobowego milczenia całej sali. Przeszedł w tony głębokie, fanfarowe, pełne mocy i patosu, w forte spiżowo brzmiące. Grał niewiadomo już co, stojąc nieruchomo z głową na strunach, a poruszając jeno smyczkiem. Porwał wszystkich małomieszczan i chłopów tem właśnie, że zaskoczył samych nawet organizatorów bazaru, gdyż zjawił się jak duch, to też gra jego wydała im się lepszą, niż była w istocie, lepszą nad wszystkie punkty programu. Takie odnieśli wrażenie, mimo bezlitosnej gwałtowności tej muzyki. Po czterech, czy pięciu minutach uczynił kilka przeraźnie fałszywych pociągnięć. Zawyło okropnie, rozległ się wrzask rozpacz, straszny, oburzający, tak że wszyscy zadrżeli, nie mogąc pojąć co to znaczy. Po kilku takich smagnięciach urwał i odjął skrzypce od policzka.



Minęła cała minuta, zanim się słuchacze opamiętali, potem zaczęli namiętnie klaskać, wskakiwali na krzesła i wołali: brawo. Organista skłonił się nisko, odebrał skrzypce schował troskliwie, potem zaś chwycił dłoń Nagła, dziękując mu wielokrotnie. Huczało wokoło jak w ulu, nadbiegł zadyszany doktor Stenersen, złapał Nagła za ramię i wrzasnął:

— Do kroćset... człowiecze... więc pan grasz... grasz pan... u kata!

Siedząca najbliżej panna Andersen spojrzała ze zdumieniem i powiedziała:

— Mówiłeś pan przecież, że grać nie umiesz?

— Nie umiem w istocie — odparł — to znaczy trochę gram, ale niema o czem mówić. Ach, gdyby pani wiedziała jak to wszystko było fałszywe, jak nieprawdziwe! Wydawało się jednak, nieprawdaż, bardzo głębokie... wielkie, potężne. To sztuczka. Trzeba świat bez skrupułów okpiwać... A może wrócimy do naszych szklanek? Raczy pani poprosić pannę Gude, by przyszła do nas...?

Wrócili do pokoju bocznego. Publiczność wychodząc, rozmawiała żywo o tajemniczym człowieku, który wszystkich tak zadziwił. Sam nawet podsędek Reinert zatrzymał się na moment i rzekł uprzejmie do Nagła:

— Był pan łaskaw zaprosić mnie na kawalerski wieczorek... dziękuję bardzo. Nie mogłem przybyć, byłem zajęty, ale dziękuję bardzo za pamięć.

— Czemuż pan na końcu tak straszliwe zrobił pociągnięcia? — spytała panna Andersen.

— Doprawdy, nie wiem. Samo się to jakoś stało. A może chciałem djabłu nastąpić na ogon.

Przyszedł ponownie doktor Stenersen, złożył Nagłowi gratulację, ale Nagel powtórzył, że gra jego była jeno komedią i humbugiem, pełnym najordynarniejszych efektów. Szkoda, że nikt nie zdaje sobie sprawy, jak była zła. Chwyty podwójne były fałszywe... tak przeważnie trochę fałszywe, słyszał to sam, ale nie mógł zaradzić, albowiem dawno wyszedł z wprawy.

Zjawilo się coraz to więcej ciekawych i siadali w pobliżu stolika Nagla. Zostali aż do końca. Reszta wyszła. Zaczęto gasić światła, gdy się wreszcie ruszyli z miejsca. Było wpół do trzeciej.

Nagel pochylił się ku Marcie i szepnął:

— Pozwoli pani, bym ją odprowadził do domu... nieprawdaż? Chciałbym coś powiedzieć.

Szybko wyrównał rachunek, pożegnał pannę Andersen i ruszył za Martą. Nie miała okrywki, jeno parasol, który ukrywała, gdyż był dziurawy. Wycho-  
dząc, zauważył Nagel, że Minuta śle za nimi bolesne, przeciągłe spojrzenia. Twarz miał skrzywioną niezwykle.

---

Poszli wprost do mieszkania Marty. Nagel rozglądał się wokoło, ale nie mógł dostrzec nikogo. Powiedział:

— Byłbym bardzo wdzięczny, gdyby pani miała odwagę wpuścić mnie na chwilę.

Zawahała się.

— Już późno... — powiedziała.

— Pamięta pani, żem przyrzekł nie sprawiać pani żadnych przykrości. Muszę z panią pomówić.

Otworła drzwi.

Gdy weszli, zaświeciła lampę i zasłoniła okno. Milczał podczas, gdy była tem zajęta, potem spytał:

— Zabawiło to panią trochę?



— O, tak... dziękuję.

— Nie o tem chcę zresztą mówić z panią. Proszę, usiądź pani bliżej, przy mnie. Obawa zupełnie zbyteczna... proszę przyrzec, że się pani nie będzie bała... proszę mi dać na to rękę.

Podawała mu dłoń, a on jej nie puścił.

— Nie sądzi pani chyba, że kłamię, że chcę panią okłamać... Mam zamiar powiedzieć coś... a więc nie ma mnie pani za kłamcę?

— Nie.

— Wszystko potem wyjaśnię... narazie pragnę wiedzieć jak dalece mi pani ufa... ile wiary u pani posiadam... Ach, nie, gadam głupstwa.... Sprawa, o którą idzie, jest nieco trudna. Czy uwierzyłaby mi pani, gdybym powiedział, że... że panią kocham? Musiała to pani sama zauważyć... A gdybym się posunął dalej jeszcze... Chciałbym poprostu prosić, byś pani została żoną moją. Tak, żoną... nareszcie powiedziałem, co trzeba. Nie kochanką... ale żoną. Na Boga... czemuż się pani zaraz odsuwa? Proszę mi nie wyrywać ręki, wytłumaczę lepiej jeszcze, tak, że pani wszystko zrozumie. Proszę sobie pomyśleć, że pani dobrze rozumie, co mówię i czego chcę, że bez żadnych ogródek, poprostu staram się o rękę pani. Proszę to przyjąć za fakt i pozwolić mi mówić dalej. Dobrze? Ile ma pani lat? Ach, nie chciałem pytać o to. Ale skoro już się stało, wyznam, że mam lat dwadzieścia dziewięć i wyrosłem z lekkomyślności młodzieńczej. Pani może o pięć lub sześć lat starsza, ale to nic...

— Jestem starsza o lat dwanaście! — powiedziała.

— Dwanaście? — wykrzyknął zachwycony, że śledzi jego słowa, że nie straciła jeszcze głowy. — Dwanaście? To wyśmienicie!... To idealnie! Sądzi pani,

że dwanaście lat różnicy, to przeszkoda? Chyba nie jesteś przy zdrowych zmysłach, drogie dziecko! Cóż znaczy różnica, choćby i trzy razy po dwanaście lat, wobec mego uczucia dla pani i pełnej szczerości z jaką wymawiam w tej chwili każde słowo. Rozważyłem wszystko oddawna, to znaczy, nie oddawna, ale zawsze od wielu, wielu dni. Nie kłamię i proszę, na miłość boską, wierz mi pani. Rozmyślałem. Oczywiście pani są tak dziwne, pociągnęły mnie od pierwszego zaraz wejrzenia i zawieść mogłyby na koniec świata. W ten sam sposób, pewien stary człowiek wodził mnie spojrzeniem po lesie przez pół nocy. Był to warjat... Ale mniejsza z tem! Urzekłaś mnie pani oczyma. Wszak pamiętasz... stałaś pani tu, pośrodku izby, a gdym przechodził ulicą, wiodłaś za mną oczyma, nie obracając głowy. Nie zapomnę tego nigdy. Za pierwszym spotkaniem wzruszył mnie też uśmiech pani. Nie spotkałem nikogo, ktoby się tak serdecznie, ciepło śmiał. Nie wie pani o tem sama i właśnie owa nieświadomość pociąga mnie przedziwnie... Plotę straszliwe głupstwa, słyszę to sam, ale mam uczucie, że gadać muszę bezustanku, gdyż inaczej nie uwierzy mi pani... to mnie niepokoi. Czuję, że pani siedzi jak na szpilkach, to znaczy, każdej chwili gotowa jest wstać i odejść, gdyby tak nie było, mówiłbym o wiele lepiej. Proszę, pozwól, bym trzymał dłoń twą, pani, a zaraz jaśniej się będę wysławiał. Tak, dziękuję!... Rozumie się, nie chcę osiągnąć niczego, prócz tego o czem mówiłem, nie mam żadnych ubocznych myśli. Cóż panią tak dziwi w moich słowach? Nie może pani pojąć, jak wpadłem na szaleńczą myśl i dlaczego... dlaczego chcę... uważa to pani za niemożliwe... o tem myśli pani właśnie... nieprawdaż?



— Tak... ach nie, Boże wielki, dajże pan pokój!

— Proszę posłuchać... nie zasługuję na to, by mnie nie posądzać o fałsz...

— O, nie! — powiedziała Marta z żalem. — Nie posądzam pana o nic złego. Ale to jest niemożliwe.

— Czemu? Czy jest pani związana z innym?

— Nie, nie.

— Naprawdę, nie? Gdyby pani była związana z kimś innym, powiedźmy na przykład z Minutą...

— Nie! — zawołała w głos i ścisnęła silnie rękę Nagla.

— Nie? A więc nic nie stoi na przeszkodzie. Proszę słuchać co powiem. Niech pani nie sądzi, iż stoję o tyle wyżej od pani, by to miało przeszkadzać. Nie ukrywam też, że nie zachowuję się tak, jakby należało. Słyszała pani sama co dziś wieczór mówiła pana Kieland. Może i od innych w mieście dowiedziała się pani, że mam rozliczne wady. Czasem ktoś mnie skrzywdzi, ale zasadniczo jest to prawdą, mam bardzo dużo stron złych. To też czystością duszy i dziecięcą świeżością myśli stoi pani dużo wyżej, niż ja, nie zaś ja nad panią. Ale przyrzekam, że będę dla pani dobry, proszę wierzyć, że gdyby mi nawet sprawiało dużo trudu, z wielką usilnością starał się będę, by panią uszczęśliwić... Jeszcze jedno. Boi się pani niezawodnie opinii publicznej w mieście? Po pierwsze, miasto musi się zgodzić z tem, że zostanie pani moją żoną, zaślubioną w miejscowym nawet kościele, jeśli pani chce. Powtóre zaś, miasto i tak już wie, żeśmy się parę razy spotkali, a dziś spędzili razem cały wieczór. To też sprawa nie pogorszy się już. Zresztą, cóż sobie mamy robić z opinii świata?... Pani płacze? Droga moja, czy panią boli, żem cię wystawił na gadaninę ludzką?

— Nie, nie o to mi idzie.

— O cóż więc?

Nie odpowiedziała.

Wpadło mu coś do głowy i spytał:

— A może sądzi pani, że źle postępuję? Przecież pani piła bardzo mało szampana, niecałe dwie szklanczki. Może się pani wydaje, iż czyham w zasadzce, chcąc wykorzystać ten fakt, że pani piła i wymusić na pani uległość. Czy dlatego pani płacze?

— Nie, nie dlatego.

— Dlaczegoż tedy?

— Nie wiem.

— Chyba nie posądza mnie pani o postronne jakieś zamiary? Proszę na Boga wierzyć, jestem nawskroś uczciwym człowiekiem.

— Wierzę panu. Nie mogę jeno zrozumieć samej siebie... zmieniło się coś we mnie. Pojąć nie mogę, by pan chciał...

Właśnie, że chciał. Ujął jej małą, słabą dłoń i tłumaczył wszystko przy akompaniamencie szmeru deszczu. Mówił cicho, dostosowywał się do jej pojęć, popadał chwilami w naiwność dziecięcą. Obiecywał, że pojedą daleko, niewiadomo dokąd, wymkną się tak, by nikt nie wiedział, gdzie są... tak będzie najlepiej. Kupią sobie małą chatkę, kawałek pola i lasu, przecudnego lasu, albo coś podobnego, co będzie jej własnością. Nazwą to Edenem, a on będzie pracował. Spytał, czy i ona chce pracować. Czasem może się zdarzyć, że go ogarnie smutek... może mu wpaść coś... jakieś wspomnienie, jakieś gorzkie przeżycie, które ogarnie myśl jego. Ale wówczas ona będzie cierpliwą... nieprawdaż? Przyrzekał, że się postara, by to możliwie jak najmniej okazywać, że zamknie się z własnymi myślami, albo pójdzie w las i wróci do-



piero po przeminięciu owego nastroju. W ich chacie nie padnie nigdy ostre słowo. Dom zostanie przystrojony najpiękniejszymi, dzikimi roślinami, mchem i glazami, jakie znajdą, a podłoga zasiana jałowcem, który dla niej uzbiera. W czasie Bożego Narodzenia nie zapomną nigdy, by wystawić snop dla ptaków. Czas im będzie mijał w ten sposób, w szczęściu niezmaconem. Będą zawsze razem, będą wspólnie wchodzili i wychodzili, nigdy się nie rozłączając. Latem odbywać będą dalekie przechadzki i patrzeć na zioła i drzewa, rozrastające się z roku na rok, coraz to bujniej. Przysięgał, że będą przyjmować gościnnie obcych i przyjezdnych. Będą też trzymali zwierzęta, różne piękne zwierzęta, która ona będzie karmiła z ręki podczas, gdy on będzie pracował łopatą i oskardem...

— O, tak... — powiedziała bezwiednie, a on usłyszał to słowo.

Raz, lub dwa razy w tygodniu zaprzestaną pracy, by razem pojsć na polowanie, albo połów ryb. Pójdą oboje, ręka w rękę, ona ubrana w krótką suknię z paskiem, on zaś w bluzę i wysokie buty. Będą śpiewać, mówić głośno i krzyczeć, tak że echa rozebrzmia po lesie!... Nieprawdaż... pójdą ręka w rękę?

— O, tak... — powtórzyła.

Porywały ją coraz bardziej jego słowa. Mówił jasno, wchodząc w szczegóły, nie zapominając o niczem. Wspomniał nawet, że w posiadłości ich musi być źródło. Postara się o to, postara o wszystko, byle jeno miała doń zaufanie. Zaręczał, że starczy mu sił na wykarczowanie miejsca pod dom w lesie... ręce ma wszakże potężne... Śmiejąc się, porównywał jej drobną, dziecięcą dłoń ze swoją...

Pogodziła się z tem, że czyni z nią co chce, nie spłoszyło ją nawet, gdy pogłaskał jej policzek. Siedziała spokojnie, patrząc nań. Potem przytykając usta do jej ucha, spytał, czy ma odwagę i czy chce z nim żyć. Powiedziała: — Tak! — szepnęła to słowo w rozmarzeniu, zaraz atoli zawahała się i dodała, że po rozwadze uważa rzecz za niemożliwą. Jakże mógł się zdecydować? Czemże była ona?

Jął ponownie przekonywać, że powziął decyzję, że chce tego całą siłą woli. Zaręczał, że nie będzie cierpiała niedostatku, chociaż zrazu nie wszystko pójdzie gładko, to będą pracować i niema powodu do obaw. Przez całą godzinę mówił w ten sposób, krusząc po kawałku jej opór. Przez ten czas, dwa razy przyciskała ręce do twarzy i wołała: — Nie! Nie! — ale wkońcu poddała się, bo z rysów twarzy wyczytała, że mu nie idzie o zwycięstwo chwilowe. A więc w imię boże, niechże się stanie, czego chce! Była zwyciężona, nie miało celu walczyć dłużej. W rezultacie otrzymał jej bezwzględna zgodę.

Tkwiąca we flaszcze świeca spaliła się niemal do końca, a oni siedzieli obok siebie na krzesłach, trzymając się za ręce i rozmawiając. Marta była do głębi wzburzona, miała łzy w oczach i uśmiechała się jednocześnie.

On rzekł:

— Wracając do Minuty... pewny jestem, że podczas bazaru odczuwał zazdrość.

— Tak, — odparła — być może, ale teraz już niema rady.

— Prawda... teraz już niema rady... Słuchaj, jedyna, chciałbym ci sprawić radość... coby tu zrobić? Radbym wywołać w tobie taki zachwyt, byś przycisnęła ręce do piersi. Powiedz coś, zażądaj cze-



goś! Ach, jakżeś ty dobra, jedyna przyjaciółko moja, nie prosisz nigdy, o nic. Marto... słuchaj i zapamiętaj sobie, będę cię strzegł, będę się starał odgadywać pragnienia twoje i nie wypuszczę cię z opieki aż do ostatnich chwil życia. Myśl o tem i nie zapominaj... dobrze? Uczynisz to? Nie dojdzie, zaręczam, do tego, byś pomyślała, żem złamał przyrzeczenie.

Nadeszła czwarta.

Wstali, Marta zbliżyła się doń o krok, on zaś przycisnął ją do piersi. Objęła go za szyję i tak stali przez chwilę. Czuł gwałtowne uderzenia jej dziewiczego serca, czuł to i pogładził uspakajająco jej włosy. Porozumieli się.

Zaczęli znowu rozmawiać.

— Przez całą noc będę czuwała i myślała... — ozwała się Marta. — Może spotkamy się jutro, jeśli chcesz?

— Tak, jutro! — odparł. — Oczywiście, ale kiedy, czy mogę przyjść o ósmej.

— Dobrze. Czy chcesz, bym wdziała tę samą suknię?

To wzruszające pytanie, drżące usta i szeroko rozwarte oczy, spoglądające nań, wzruszyły go, przenikły mu do samego serca. Odparł:

— Jak ty sama chcesz, drogie, kochane, słodkie dziecko! Jakżeś dobra!... Nie, nie pozwalam, byś czuwała w nocy. Pomyśl o mnie, powiedz: dobranoc i śpij. Nie boisz się zostać sama?

— Nie... Ale ty zmokniesz w drodze do domu.

I o tem pomyślała, że zmoknie!...

— Bądź wesoła i śpij smacznie! — powiedział.

Gdy się znalazł w sieni, przypomniał sobie coś, obrócił się do niej i rzekł:

— Zapomniałem o jednym. Wiedz, że nie jestem bogaty. Czyś tak może myślała?

— Nie, nie myślałam nic takiego... — odrzekła, potrząsając głową.

— Nie, nie jestem bogaty. Starczy nam na kupno domu i tego, czego potrzebujemy, tyle posiadam. Potem będę pracował, starał się o wszystko, dam radę wszelakiemu brzemieniu... posiadam dość silne ramiona... Czy nie czujesz rozczarowania z powodu, że nie jestem bogaty?

Powiedziała: — Nie! — i uściśnęła mu raz jeszcze obie dłonie. Wkońcu poprosił, by zamknęła dobrze za nim drzwi i wyszedł na ulicę.

Lało jak z cebra i ciemność panowała wielka.

Nie udał się do hotelu, ale ruszył w stronę plebańskiego lasu. Szedł przez kwadrans, z trudem orjentując się w ciemności, wreszcie zwolnił kroku, zboczył z drogi i dotarł omackiem do wysokiego drzewa. Była to osika. Tutaj stanął.

Wiatr szumiał po lesie, deszcz padał dalej, wszystko wokół czarne było i opustoszałe. Wyszeptał imię Dagny, powtarzając je kilka razy. Stał pod drzewem i powtarzał ciągle, coraz to głośniej. Obrzązła go dziś wieczór, wylała całą swą pogardę na jego głowę, czuł w piersiach każde słowo, jak grot przez nią rzucony, a jednak powtarzał raz po raz jej imię. Ukląkł przy drzewie, dobył scyzoryka i pociemku wyciął w korze pnia jej inicjały. Pracował przez kilka minut, macając, posuwając się naprzód i tnąc ponownie, aż skończył.

Przez cały czas nie miał czapki na głowie.

Znalazłszy się na drodze, przystanął, podumał i zawrócił omackiem na to samo miejsce. Wodząc po pniu palcami, znalazł litery, ukląkł ponownie, pochylił się



i ucałował to imię, te inicjały, jakby biorąc z niemi rozbrat, jakby żegnając je, poczem wstał i odszedł szybko.

Piąta była w chwili, gdy wchodził do hotelu.

## XVII.

**D**nia następnego padał również deszcz i zwisały ciężkie, ciemne chmury. Zdało się, że nie będzie końca wodzie bijącej o szyby i ściekającej z rynien. W małym ogródku, za hotelem wszystko było pochylone i obwisłe. Liście leżały na ziemi i pokryte były błotem.

Nagel spędził cały dzień w pokoju, czytał, chodząc tam i z powrotem, jak to miał w zwyczaju i spoglądał ciągle na zegarek. Dzień dłużył mu się niesłychanie. Cekał niecierpliwie wieczora.

Gdy nadeszła ósma, poszedł natychmiast do Marty, nie przeczuwając nic złego, ale zastał ją zapłakaną i cierpiącą. Próbował rozmawiać, ale odpowiadała krótko, wymijająco i nie patrzyła nań. Kilka razy prosiła, by jej przebaczył i nie gniewał się.

Wziął ją za rękę, a ona zaczęła drżeć i chciała się cofnąć, wkońcu atoli siadła przy nim na stolku i nie ruszyła się, aż odszedł, po dobrej godzinie. Cóż się stało? Nalegał, pytał, ale nie mógł z niej nic wydobyć.

Powiedziała, na zapytanie, czy chora, że nie, tylko rozważyła wszystko dokładnie...

Spytał, czy może żałuje danego słowa i przypuszcza, że go nie dość kocha.

— Tak... to właśnie! — odparła. — Ale przebacz mi pan i nie gniewaj się. Przez całą noc, aż do świtu roztrząsałam rzecz i wydawała mi się z każdą godziną

coraz niemożliwszą. Spytała również własnego serca i przekonała się, że nie kocha go tak jakby powinna.

— Ano trudno! — rzekł po pauzie. — Możeby mnie pani jednak później pokochała? Cieszyłem się, że rozpocznę nowe życie... Byłbym tak dobry dla pani!

To ją wzruszyło, przycisnęła rękę do piersi, ale patrzyła dalej w ziemię i milczała.

Spytał czy niema szans, by pozyskał jej miłość później, wśród pożycia małżeńskiego.

— Nie! — odparła, z długich jej rzęs spadło kilka łez.

Pauza. On drżał, a żyły mu na czole nabrzmiały.

— Ano droga pani, — powiedział — więc trudno! Ale niechże pani nie płacze. Sytuacji to wcale nie zmieni. Proszę przebaczyć, że nalegał prośbami. Chciałem jak najlepiej...

Chwyciła żywo dłoń jego i przytrzymała, tak że aż się zdziwił tej gwałtowności i spytał:

— Może panią razi coś specjalnie we mnie? Zastosuję się i naprawię o ile w mej mocy... Czyżby pani uważała za złe, że...

Przerwała mu gorączkowo:

— Nie... nie, nie! Tylko wszystko razem jest wprost niewykonalne. Nie wiem nawet wcale kto pan jest... Wiem, że mi pan sprzyja... proszę nie rozumieć fałszywie...

— Kto jestem? — powtórzył i spojrzał na nią bystro. Nagle błysło mu przeczucie, pojął, że ktoś podkopał jej zaufanie do niego, że coś wrogiego rozdzieliło ich, więc spytał:

— Czy był kto dzisiaj u pani?

Nie dała odpowiedzi.

— Przepraszam, że pytam, nie mam bowiem już prawa pytać.



— O, jakże szczęśliwa byłam tej nocy! — zawołała. — Mój Boże, jakże czekałam nadejścia ranka i chwili ujrzenia pana. Ale dziś naszły mnie wątpliwości.

— Proszę mi powiedzieć jedno tylko. Nie wierzy pani, że byłem wobec niej uczciwy? Nie dowierza mi pani mimo wszystko.

— Nie, nie, proszę się nie gniewać, — zawołała. — Ale wszakże jesteś pan obcy tutaj, nie wiem o panu nic prócz tego co sam opowiadasz. Może ma pan dziś szczere postanowienie, ale któż wie jakie myśli zjawić się mogą później?

Pauza.

Nagle ujął ją pod brodę, podniósł jej głowę, spojrzał w oczy i spytał:

— Cóż jeszcze mówiła panna Kielland?

Zmieszała się, spojrzała trwożnie i zawołała przeżona:

— Nie powiedziałam tego... czyż powiedziałam? Nie... nie!

— Nie, nie powiedziała pani! — rzekł i zapatrzył się bezmyślnie w jeden punkt, nic nie widząc. — Nie wspomniała pani jej imienia, proszę się uspokoić... Ale panna Kielland była tu w istocie, weszła temi drzwiami i wyszła, spełniwszy swe zadanie. Była to dla niej sprawa tak ważna, że przyszła mimo niepogody. To rzecz arcydziwna... Droga, kochana, jedyna Marto, klękam przed tobą, bo dobra jesteś! Proszę uwierz mi na dzisiejszy jeno wieczór uwierz, że nie myślę cię oszukiwać, potem złożę dowody. Nie cofaj pani słowa. Pomyśl nad wszystkim dobrze raz jeszcze... pomyśl proszę! Rozważ rzecz do jutra i pozwól, że przyjdę po odpowiedź raz jeszcze...

— Nie, nie... nie wiem...

— Nie wiesz pani? To znaczy radabyś dziś pozbyć mnie się na zawsze? Tak... tak...

— Wolałabym przyjść kiedyś do pana... gdy się ożenisz i będziesz miał swój dom... to znaczy, ...wolałabym zostać służącą u pana... Tak jest, wolałabym.

Pauza. Niedowierzanie jej było już tak silne, że nie mógł go przewyciężyć. Czuł z boleścią, że wymyka mu się coraz to bardziej, im dłużej mówi. Czemuż płakała? Co jej dolegało? Dlaczego trzymała go za rękę? Poruszył na nowo sprawę Minuty. Była to próba, chciał w ten sposób skłonić ją do zgody na spotkanie dnia następnego, gdy rozważy raz jeszcze wszystko dobrze. Powiedział:

— Proszę przebaczyć, że znowu i to po raz ostatni wspominam o Minucie. Nie... nie, proszę się uspokoić, mam ważny powód, że tak czynię. Nic złego nie powiem o tym człowieku, przeciwnie, pamięta pani wszakże, żem się wyrażał o nim jak można jeno najlepiej. Przypuszczałem iż on właśnie dzieli mnie od pani, a mimo to twierdziłem iż równie dobrze, jak każdy inny mógłby utrzymać rodzinę. Wierzę i teraz, że byłoby to możliwe, gdyby mu w początkach pomóc trochę. Ale pani nie chciała tego słuchać, zapewniła, że nie ma z Minutą nic wspólnego, raz prosiła, bym o nim nie wspominał. Zgoda! Podejrzenie moje atoli nie zostało rozwiane, nie przekonała mnie pani dostatecznie, to też pytam znowu, czy pomiędzy Minutą, a panią istnieje jakiś stosunek? W takim razie cofnę się niezwłocznie. Potrzęsa pani głową? Czemuż nie chce pani rozważyć propozycji mej raz jeszcze i zdecydować stanowczo jutro. Wszakże tak nakazałaby słuszność. Pani posiada w innych rzeczach tyle dobroci serca!



Uległa wkońcu, wstała, pod wpływem wzburzenia zaczęła się uśmiechać i płakać, a nawet, jak poprzód, gładziła mu włosy. Zgodziła się na spotkanie nazajutrz, prosząc jeno, by przyszedł wcześniej o czwartej, lub piątej, póki jasno, by nikt nie mógł nic zarzucić. Powiedziała też, że winien już odejść, najlepiej niezwłocznie, zaś jutro będzie nań czekała o umówionej porze...

Dziwnem dzieckiem była ta stara panna, jedno słowo, czy wzmianka zdołała porwać ją, uczynić serdeczną i pobudzić do śmiechu. Aż do rozstania trzymała go za rękę i odprowadziła w ten sposób do samych drzwi. Na schodach powiedziała mu bardzo głośno: dobranoc, jakby urągając komuś, kto mógł być w pobliżu.

Deszcz ustał niemal całkiem, gdzieniegdzie przezierał błękit nieba przez chmury i zrzadka jeno padały krople na mokrą ziemię.

Nagel odetchnął swobodniej, nabrał wiary, że zdoła odzyskać jej zaufanie i że mu się wszystko powiedzie.

Nie poszedł atoli do domu, tylko powlókł się wzdłuż śpichrzów portowych, po wybrzeżu, minął ostatnie domy i dotarł do drogi plebańskiej. Nie było wokół nikogo.

Nagle wstał ktoś z nad rowu przydrożnego i jął kroczyć przed nim. Była to Dagny. Widział jasny jej warkocz, zwisający na płaszczu od deszczu.

Dreszcz go przeniknął od stóp do głowy. Stał na moment bardzo zdumiony. Więc nie była dziś na przedstawieniu? A może chciała się przejść przed rozpoczęciem żywych obrazów. Kroczyła bardzo powoli, stawiała i patrzyła na ptaki polatujące wśród drzew. Czy go widziała? Czy chciała wystawić na próbę? A może na widok jego wstała, by doświadczyć, czy będzie miał śmiałość zbliżyć się raz jeszcze?

Nie było obawy, nie chciał jej się narzucać! Nagle zawrzał gniewem ślepym, szaleńczym gniewem na tę dziewczynę, która go oto znowu kusiła, dla samej jeno chętki upokorzenia potem. Mogła przecież znowu powiedzieć wszystkim publicznie na przedstawieniu, że się spotkali. Wszakże była u Marty i zniweczyła jego szczęście. Bezustanku miotała mu kamienie pod nogi, chcąc odplacić za to co uczynił, ale płaciła z większą, sroższą dużo, niżli trzeba było nawiązką.

Szli tak powoli, w odległości pięćdziesięciu kroków od siebie, przez kilka minut. Nagle spostrzegł, że gubi chustkę od nosa. Zobaczył, jak powiewa, jak się ślizga po płaszczu i pada na drogę. Czyż wiedziała o tem?

Powiedział sobie, że go wystawia na próbę. Nie ochłonęła jeszcze z wściekłości na niego, chciała by podniósł chustkę, przyniósł jej, chciała mu spojrzeć w twarz i nasycić się klęską, jaką poniósł u Marty. Zakipiał gniewem, ścisnął wargi, a zmarszczki głębokie zjawily się na jego czole. Ha... ha... oczywiście, chciała by stanął przed nią, wydał jej się w ręce i by go mogła wyśmiać raz jeszcze! Oto rzuciła na drogę chustkę, białą, bielusięnką, koronkową chustkę. Wystarczy schylić się i podnieść...

Szedł równo, powoli dalej, a dotarwszy do chustki nastąpił na nią i ruszył dalej.

W ten sposób kroczyli przez chwilę jeszcze. Potem zobaczył, że spoziera na zegarek i zawraca z powrotem. Szła wprost na niego. Czy spostrzegła brak chustki? Zawrócił również i ją iść powoli przed nią. Doszedłszy do chustki nastąpił na nią powtórnie i to w jej oczach. Potem ruszył dalej. Czuł ją tuż za sobą, ale nie przyspieszał kroku. Szli tak, jedno za drugim, aż do miasta.



Jak oczekiwał, udała się na przedstawienie, on zaś poszedł do domu.

W pokoju będąc, otworzył okno, oparł się łokciami o deskę i trwał tak przez chwilę, złamany i wyczerpany wzburzeniem. Gniew go opuścił, skulił się, złożył głowę na rękach i zaszlochał bez łez, cicho, a całe ciało jego drżało. Tak się wszystko odbyło. O, jakże żałował teraz, jakże chciałby to cofnąć! Upuściła chustkę, może z rozmysłem, może chcąc go upokorzyć... ale cóż stąd? Mógł ją podnieść, skrać i nosić przez całe życie na piersi. Była biała jak śnieg, on zaś wgniótł ją w błoto. Może nie odebrałaby mu tej chustki, gdyby ją wziął do ręki, możeby darowała... Bóg jeden wie! Gdyby atoli wyciągnęła dłoń, byłby powinien paść na kolana i wzniósłszy ramiona błagać jak o łaskę, by mógł zatrzymać tę chustkę, jako pamiątkę. I cóż, choćby drwiła i urągała mu?

Nagle ruszył, w dwu skokach przebiegł schody, wypadł na ulicę i w ciągu paru minut, zostawiwszy za sobą miasto, znalazł się na drodze plebańskiej. Miał nadzieję, że znajdzie jeszcze chustkę. I w rzeczy samej zostawiła ją na ziemi, mimo że jak to wiedział, musiała ją zauważyć, gdy następował po raz drugi. Ach, cóż za szczęście, mimo wszystko. Dzięki Bogu! Serce mu biło, gdy ją podejmował, pobiegł do domu, wyprał nieskończoną ilość razy w czystej wodzie i ostrożnie rozpostarł. Chustka ucierpiała niemało, w jednym rogu rozdarta była nawet obcasem. Ale cóż stąd? Uszczęśliwiony był, że ją odnalazł.

Dopiero usiadłszy z powrotem przy oknie zauważył, że biegł środkiem miasta bez czapki. Tak, tak... oszalał niewątpliwie! A gdyby go była zobaczyła? Chciała wziąć na próbę i znowu poniósł sromotną po-

rażkę. Nie... trzeba było z tem raz skończyć. Postanowił, że jej spojrzy w oczy, spokojny w sercu, podniósłszy głowę, spoglądając chłodno i nie zdradzi się niczem. Postanowił spróbować. Umyślił sobie, że wyjedzie, zabierając Martę. Była dlań za dobra, ale postanowił, że zasłuży na nią, pracując wytrwale bez godziny spoczynku, aż się stanie godnym.

Pogoda wracała zwolna, czyniło się jaśniej, lekkie powiewy niosły zapach trawy i wilgotnej ziemi. Ożywiło go to, umyślił, że zaraz rano pójdzie do Marty i tak pokornie będzie prosił, by się zgodziła...

## XVIII.

**A**le nazajutrz przed południem niszczały do-  
szcześnie wszystkie nadzieje. Nasamprzód przy-  
szedł doktor Stenersen i zastał Nagla jeszcze w łóżku. Przeprosił za to, tłumacząc że ten szatański bazar  
zajmuje mu całe dni i noce. I teraz nawet przychodzi,  
powiedział, z poleceniem, w pewnej misji. Idzie o to,  
by skłonić Nagla do zaprodukowania się dziś wieczór  
publiczności. O grze jego krążą najprzedziwniejsze  
wieści, a miasto, dosłownie, spać nie może z ciekawości.

—Pan czyta dzienniki, jak widzę? Acha, polityka!  
Czy zna pan ostatnie mianowania? Na ogół biorąc  
wybory nie wypadły jakby należało, szwedzkie stron-  
nictwo nie zostało rozgromione... ale sądzę, że na dość  
długo położą po sobie uszy... Pan spał, widzę, dość  
długo. Już dziesiąta. I co za pogoda! Wszystko drży  
z ciepła. Powinienbyś się pan wybrać na przechadzkę.

Nagel oświadczył, że zaraz wstaje.

— No, a cóż odpowiedzieć komitetowym bazaru?



Nie... nie będzie grał.

— Nie? A wszakże jest to sprawa ogólnonarodowej doniosłości. Czyż przysługuje panu prawo usuwania się od tej ofiary?

Nie, nie sposób.

Do kroćset! A właśnie zapanował taki podniosły nastrój. Zwłaszcza damy obligowały wprost doktora wczoraj wieczór, by koniecznie pozyskał Nagla. Panna Andersen nie dała mu chwili spokoju, zaś panna Kielland wzięła na bok i prosiła gorąco, by go nie puścił ze szponów, zanim przyobieca grać.

— Jakto? Panna Kielland — powiedział — nie wie wcale jak gram? Nie słyszała mnie.

— Mimo to nalegała najsilniej. Ofiarowała się nawet akompanjować... Nakoniec powiedziała: — Proś go doktorze, od nas wszystkich! — Mógłbyś pan doprawdy uczynić kilkanaście pociągnięć i sprawić nam uciechę.

Nie i nie!

— To są wykręty. Wszakże mogłeś pan grać zeszłego czwartku.

Nagel tłumaczył się nieco zakłopotany. A może umie jeno tych parę okruszyn, to nędzne potpourri, tych kilka tańców wystudjowanych na efekt, by olśnić ludzi? Zresztą poza tem gra strasznie fałszywie, sam nie mogąc się często słuchać... Nie... nie...

— Ależ...

— Doktorze, nie zrobię tego!

— Więc jeśli nie dziś wieczór, to może przynajmniej jutro. Jutro jest niedziela, ostatnie przedstawienie i spodziewamy się wielkiego napływu gości.

— Nie! Proszę wybaczyć, ale nie zagram i jutro wieczór. Głupio jest brać w rękę skrzypce, gdy się gra jak ja. To dziwne, że nawet pan nie zauważył...

Doktór wziął się na tę przynętę.

— Tak! — powiedział. — Spostrzegłem tu i ówdzie fałsz. Ale do licha, nie wszyscy są przecież znawcami.

Nic i to nie pomogło, doktor dostał odpowiedź odmowną i musiał iść.

Nagel zaczął się ubierać. Ach, więc i Dagny usiłowała go pozyskać, chciała mu nawet akompanjować! To nowa pułapka... oczywiście. Wczoraj nie powiodło jej się, chciała się więc pomścić... A może był niesprawiedliwy, może przestała go nienawidzić, może pragnęła zawrzeć pokój. Błagał ją w sercu o przebaczenie za to, że ją podejrzewał. Wyjrzał na plac targowy i rozweselony słońcem i błękitem nieba, zaczął nucić.

Gdy był już niemal gotowy do wyjścia, podała mu Sara list przez uchylone drzwi. Nie nadszedł pocztą, ale przyniósł go posłaniec. Był od Marty i zawierał kilka jeno wierszy. Prosiła, by nie przychodził, gdyż wyjeżdża. Prosiła, by jej na miłość boską wszystko przebaczył i nie odwiedzał już nigdy, gdyż bardzo przez to cierpi. U spodu pod podpisem dodała, że go nigdy nie zapomni. — Nie zapomnę pana nigdy! — napisała. W całym, krótkim liście brzmiał smutek, a nawet litery wyglądały biednie i ponuro.

Padł na krzesło. Wszystko przepadło! I tu nawet spotkał się z odprawą! Jakież to dziwne, że wszystko się przeciw niemu sprzysięgło! Czyż kiedy miał uczciwsze i szlachetniejsze zamiary? A jednak daremnie. Siedział przez kilka minut bez ruchu.

Nagle skoczył i spojrzał na zegarek. Była jedenasta. Pomyślał, że gdy zaraz pobiegnie, to zastanie jeszcze Martę! Pospieszył do jej domu, ale zastał go pustym i zamkniętym. Zaglądał przez okna do obu izb i nie mógł dojrzeć nikogo.



Złamany i milczący wrócił do hotelu, nie widząc, którędy idzie, nie podnosząc oczu z ziemi. Jakże mogła uczynić to? Jak mogła? Wszakże byłby ją pożegnał, życzył wszystkiego dobrego w życiu, byłby ukląkł przed nią, bo jest dobra, posiada najczystsze w świecie serce,... jakże mogła to uczynić? Teraz nie było już rady.

Dowiedział się w kurytarzu od Sary, że list przyniósł posłaniec z plebanji. I to więc było dziełem Dagny. Urządziła wszystko, obliczyła i wykonała szybko cały plan. Nie, nie przebaczy mu więc nigdy!

Przez cały dzień włóczył się po ulicach, chodził po pokoju, po lesie, słowem nie zaznał chwili spokoju. Głowę miał zwieszoną i szeroko rozwarte oczy, ale nie widział nic.

Następny dzień minął tak samo. Była to niedziela, z całej okolicy zjechali się ludzie, by zobaczyć bazar i żywe obrazy. Proszono raz jeszcze Naglą, by zechciała zagrać parę utworów. Tym razem zjawił się inny członek komitetu, konsul Andersen, ojciec Fryderyki. Ale odmówił ponownie. Przez cztery dni chodził jak szalony, nieprzytomny, opanowany jednym uczuciem, czy myślą. Codziennie i to po kilka razy zaglądał do domku Marty w nadziei, że wróciła. Dokądże wyjechała? Ach, gdyby ją nawet znalazł i tak byłoby wszystko daremne... daremne!

Pewnego wieczoru natknął się na Dagny. Wyszła ze sklepu, otarła się oń rękawem i poruszyła ustami, jakby chciała coś rzec. Ale nagle oblał ją rumieniec i zamilkła. Nie poznał jej odrazu, zmieszany stał przez chwilę i patrzył, potem zaś obrócił się i poszedł. Ruszyła za nim, słyszał po jej krokach, że idzie coraz to prędzej, miał uczucie, że chce go doścignąć i przyspieszał, by uciec i skryć się przed nią. Przeniknął go strach, że

zgotuje mu jakieś nowe nieszczęście. Wkońcu dotarł do hotelu, wpadł i pędem rzucił się do swego pokoju. Bogu dzięki, ocalał.

Działo się to 14 lipca we wtorek.

Nazajutrz wydało się, że powziął decyzję uczynienia czegoś. Twarz jego zmieniła się w ciągu tych niewielu dni zupełnie, poszarzała, otepiała, a oczy straciły blask i życie. Często też, uszedłszy już duży kawał miastem, przypominał sobie, że czapka jego została w hotelu. W takich razach powtarzał sobie, że się to musi skończyć raz na zawsze i mówiąc to, zaciskał pięści.

Wstawszy we środę, zbadał przedewszystkiem flaszeczkę z trucizną, potrząsł nią, powąchał i schował do kieszeni. Ubierając się, snuł jak zazwyczaj długie, źle skojarzone wywody myślowe, które go często napadały, nie dając spocząć biednej jego głowie. Mózg pracował z szaleńczym pośpiechem, był wzburzony, i tak zrozpaczony nadmiarem ogłuszających myśli, że z trudem dławiał łzy.

Miał, Bogu dzięki, swą flaszeczkę! Płyn był czysty jak woda, i pachniał gorzkiemi migdałami. Niedługo już przyda się on, jeśli nie będzie innej rady. Czemużby nie? Tak upojnie, pięknie marzył o wielkim czynie, o czemś olbrzymiem, o czynach, na widok których żegnaliby się ludożercy... a wszystko to wzięło zły obrót. Nie podołał zadaniu. Czemużby tedy nie miał uciec się do tego płynu? Szło jeszcze tylko o to, by połknąć go bez wielkich grymasów. Tak... uczyni to, gdy się czas spełni i wybije godzina.

Dagny wygra...

— O, jakże potężna jest ta dziewczyna, zgoła przeciętna, z długim warkoczem i rozumnem sercem! Rozumiem teraz dobrze owego biedaka, który bez niej żyć nie chciał



owego młodzieńca cytującego: „stal“ i „ostatnią odmowę.“ Nie dziwię mu się już... położył wszystkiemu koniec... czyż mnie samemu pozostało co innego? O, jakże rozbłysną jej aksamitne oczy, gdy i ja pójdę tą drogą! Ale kocham cię, kocham i za to nawet, nie tylko za cnoty twe, ale i za twe zło, kocham cię. Dręczysz mnie pobłażliwością swą. Czemuż to znosisz, że mam więcej niż jedną oko? Powinnabyś mi je zabrać, obydwie nawet zabrać! Nie powinnabyś zezwolić, bym spokojnie chodził po ulicach i miał dach nad głową. Porwałaś mi Martę, ja kocham cię mimo to, ty wiesz, że tak jest i śmiesz się, ja zaś kocham cię i za to, że ze mnie drwisz. Czyż możesz żądać więcej? Czyż tego nie dość? Kocham, jak nic innego w świecie, twe długie, białe ręce, twój głos, twe jasne włosy, twój oddech i twoją duszę. Nie mogę się przed tem ocalić i nie władam już sobą. Kpij ze mnie i szydź, cóż to znaczy, Dagny, gdy cię kocham? Nic, a nic się przez to nie zmienia. Możesz mi uczynić co ci przyjdzie do głowy, a mimo wszystko, jesteś zawsze tak samo piękna i godna miłości w mych oczach. Rozczarowałem cię czemś, uważasz mnie za złego, nędznego i zdolnego do każdego zła. Gdyby istniał środek na poprawę mego niskiego wzrostu, użyłbym go. Jeśli tak mówisz, jest tak w istocie, godzę się na to i zapewniam cię, że w chwili, kiedy to mówisz, miłość moja zaczyna śpiewać. Nawet gdy spoglądasz wzgardliwie, albo obracasz się do mnie plecami bez słowa, nawet gdy mnie gonisz ulicami, chcąc upokorzyć, wówczas nawet serce moje pała ku tobie miłością. Zrozum, że teraz nie oszukuję żadnego z nas obojga, ale choćbyś się i z tego wyśmiała, nie zmieni to uczuć moich. Gdybym kiedyś znalazł diament, nazwałbym go Dagny, bo jeno imię twoje rozplómienia radość

moją. Więcej nawet, z rozkoszą słuchałbym, gdyby imię twe powtarzali ciągle wszyscy ludzie, zwierzęta, góry i gwiazdy, rad ogłuchnąć na wszystko inne i wsłuchany przez całe życie w ten jeden nieskończony ton. Byłbym w stanie wynaleźć ku czci twojej nową przysięgę dla wszystkich ludów ziemi, by przysięgały na ciebie. Gdyby zaś Bóg uznał to za grzech i ostrzegł mnie, powiedziałbym: — Dopisz to do wykazu grzechów mych, a zapłacę duszą, gdy się spełni czas i wybije godzina...

— Jakież to wszystko dziwne! Wszędy natrafiam na przeszkody, a ciągle tę samą mam siłę i żywotność, te same możliwości otwierają się przede mną i mógłbym dokonać tej samej pracy. Czemuż tedy nagle mam związane ręce i czemu wszystko zamknęło się przede mną? Czy to moja wina? Nie wiem. Mam zmysły w porządku, nie podlegam złym nawyczkom, nie obciąża mnie nałóg, ani też nie rzucam się oślep w niebezpieczeństwo. Myślę jak przedtem, czuję jak przedtem, władam jak dawniej członkami i sądzę ludzi, jak ongiś sądziłem. Idę do Marty, wiedząc, że jest mi ocaleniem, dobrą duszą, aniołem. Zrazu boi się, ale wkońcu dochodzimy do porozumienia. Marzy mi się życie spokojne i szczęsne, w odosobnieniu, w chatce nad brzegiem strumienia, chodzimy po lasach, ona w krótkiej sukni, ja w wysokich butach, wszystko idzie po myśli jej sentymentalnego, dobrotliwego serca. Czemużby nie? Mahomet przyszedł do góry! Marta przepaja mi czystością dni, a spokojem nocy, zaś Pan spogląda na nas z góry. Nagle miesza się świat, staje dęba i nazywa to szaleństwem. Powiada: rozsądny mężczyzna i rozsądna kobieta nie uczyniliby nigdy czegoś takiego, przeto jest to szaleństwo. Ja występuję sam jeden, tupię i powtarzam, że czyn nasz jest rozsądny. Cóż wie świat? Nic.



Nawykamy przecież jeno do pewnego obrazu, uznajemy za realny, jak to czynili nasi nauczyciele, ale wszystko jest jeno przypuszczeniem, nawet czas, przestrzeń, ruch, materja, słowem wszystko. Świat przypuszcza jeno...

Nakrył oczy dłonią i stojąc na środku pokoju, chwiał głową, jakby dostał zawrotu.

— O czymże to myślałem...? Acha, bała się mnie, ale przyszło do porozumienia. I uczułem w sercu, że przez całe życie muszę być dla niej dobry. Wypowiem światu wszelkie stosunki, zwrócę mu pierścioneł. Byłem jako głupiec pomiędzy głupcami, popełniałem szalone nonsensy, grałem nawet na skrzypcach, a ludzie wołali: — Dobrze ryczysz, lwie! Wstręt budzi we mnie ów ohydny triumf, owo klaskanie mięsożerców, nie konkuruję bowiem z telegrafistą z Kabelwaagu, ale odchodzę w dolinę ciszy i stanę się najłagodniejszym stworzeniem leśnem. Będę czcił mego Boga, nucił wesoło pieśni, będę zabobonny i ogolę się zawsze tylko czasu przypiływu, a siejąc zboże, zwrócę pilną uwagę na okrzyki pewnych ptaków. Gdy się znużę pracą, zobaczę stojącą w drzwiach żonę, ona skinie na mnie, ja zaś pobłogosławię ją i podziękuję jej za serdeczny uśmiech... Marto, doszliśmy do porozumienia, wszak prawda? Obiecałaś sama wkońcu, gdym ci wszystko wyjaśnił. A przecież wszystko poszło na marne. Porwano mi ciebie, napadnięto i porwano, nie na zgubę twoją, ale moją zgubę...

— Dagny, nie kocham cię, bo wszędzie byłaś mi przeszkodą, nie kocham twego imienia, drażni mnie i złości. Nazywam cię Dangni i wystawiam język... Słuchajże mnie na rany chrystusowe! Przyjdę do ciebie, gdy wybije godzina, gdy umrę, pokażę ci się na murze, z twarzą podobną do waleta żółednego, będą cię ścigał jako szkielet, tańczył będę wokoło ciebie i porażę dotknięciem

dłoni. Tak, zaprawdę, uczynię, tak uczynię! Niechże Bóg mnie przed tobą strzeże na wieki, to znaczy niech cię porwą diabli, o co proszę gorąco...

— A co potem? Po raz siódmy i ostatni pytam, co potem? Kocham cię, Dagny, wiesz o tem mimo wszystko i wiesz, że słów gorzkich żałuję. Ale co potem? I co mi z tego? I może być, że tak jak jest, jest najlepiej. Jeśli to samo sądzisz, czuję, że tak być musi. Jestem jeno zatrzymanym w drodze wędrowcem. Ale gdybyś się nawet zgodziła, zerwała z innymi i związała się ze mną, na co nie zasługuję, nacóżby się to zdało? Dopomogłabyś mi co najwyżej do stworzenia mych dzieł, spełnienia mego czynu na ziemi, ... mówię ci to, choć serce mi zamiera ze wstydu. Uczyniłbym cobyś chciała, bo cię kocham, ale dusza moja cierpiałaby wielce... Nacóż się przyda przypuszczać jedną rzecz po drugiej i wyszukiwać niemożliwości? Nie zerwałabyś z innymi, nie związałabyś się ze mną, ale byś mnie wyśmiała i wzgardziła mną. Cóż mam tedy wspólnego z tobą? Punctum!

Pauza. Z wściekłością:

— Zresztą wiedz, że oto piję tę szklanekę wody i... pal cię lichu! Bezgranicznie głupio myślisz, jeśli ci się wydaje, że cię kocham, że się na to wysilam teraz, gdy czas mój nadchodzi. Znieść nie mogę całego twego, poprawnie mieszczańskiego bytowania, frymuśnego, ufryzowanego, beztreściwego życia. Brzydę się tem, przysięgam na Boga i gdy myślę o tobie, czuję rozgoryczenie i święty gniew. Cóżbyś ze mnie zrobiła? He, he, osiągnąłbym, że uczyniłabyś ze mnie wielkiego człowieka. Ha... uderz się w piersi! Wstydzę się strasznie twoich wielkich ludzi...

— Wielki człowiek! Iluż wielkich ludzi zna świat. Przedewszystkiem Norwegja, bo ci są, oczywiście, naj-



wiekszy. Potem Francja, ojczyzna Wiktora Hugo i poetów. Potem idą wielcy ludzie cyrku Barnuma. A wszyscy balansują na ciebie niebieskiem, które w porównaniu z Syrjuszem nie jest większe od tyłka pchły. Ale człowiek wielki uważa się za tak wielkiego, że sam sobie spojrzeć może na czubek głowy. Lavoisier prosił, by go nie wieszano, jak długo nie skończy pewnego eksperymentu chemicznego. To znaczy: — Nie tykaj kółek moich! — Ha, ha, co za komedja! Wszak całości zasadniczych nie zwiększył o marnego oera sam Euklides ze swemi aksjomatami! O jakże ubożuchna i mało dumna jest ta ziemia Pana naszego!

— Wielkiego człowieka robi się poprostu z bylejakiego profesjonisty, który przypadkowo ulepszył jakiś elektryczny kondensator, albo n. p. tyle posiadał siły fizycznej, by przejechać na rowerze przez Szwecję. W dodatku, wielcy ludzie piszą książki dla rozpowszechnienia czci wielkich ludzi! Ha,... dobry żart tynfa wart! Zresztą każda gmina chce mieć swego wielkiego człowieka, prawnika, romanso-pisarza, czy odkrywcę bieguny, ogromnej wielkości. A ziemia staje się tak przedziwnie płaska, mała i łatwa do ogarnięcia okiem...

— Dagny, teraz moja kolej. Rezygnuję, wyśmiewam cię, szydę z ciebie... cóż masz ze mną wspólnego? Nigdy nie zostanę wielkim człowiekiem...

Powiedzmy jednak, że istnieje mnóstwo wielkich ludzi legjon olbrzymów, tej a tej wielkości... czemuż tego nie przypuścić? I cóż dalej? Czy ilość ich ma mi imponować? Przeciwnie, im będą liczniejsi, tem staną się powszedniejsi. Albo, czyż mam naśladować świat, który jak zawsze pada na kolana i biegnie za wielkimi ludźmi, krzycząc: hura! Ja miałbym to czynić? Komedja! Komedja! Idzie ulicą wielki człowiek, a jeden

szaraczek szturka drugiego w bok i powiada: — Popatrz, oto idzie wielki człowiek! — Wielki człowiek siedzi w teatrze, a jedna nauczycielka szturka drugą w wychudły pośladek i powiada szeptem: — Popatrz, tam w łoży parterowej siedzi wielki człowiek! — He... he... A on sam, wielki człowiek inkasuje! Tak, zbiera datki. Szaraczki mają rację, powiada i zbiera hołdy jak rzecz należną sobie, nie gardząc niemi i nie wstydząc się. I pocóż? Czyż nie jest wielkim człowiekiem?

— Młody student Olsen zaprotestowałby w tem miejscu. Sam chce zostać wielkim człowiekiem, podczas wakacyj pisze romans. Przypomniałby mi znowu mą niekonsekwencję: — Panie Nagel — powiedziała by — jest pan niekonsekwentny! Proszę o bliższe wyjaśnienie.

Dałbym mu wyjaśnienie.

On jednak nie byłby zadowolony i spytałby: — Wobec tego, niema wcale wielkich ludzi?

Takby spytał, już po wyjaśnieniu. Ale mimo wszystko odpowiedziałbym mu znowu, jak umiem najlepiej:

— Istnieje oczywiście cały legion wielkich ludzi! Rozumie pan o czem mówię? Istnieje mnóstwo wielkich, ale największych jest bardzo mało. Oto różnica. Niebawem każda gmina będzie miała swego wielkiego człowieka, ale największy zjawia się raz na tysiąc lat, za ledwo. Świat uważa za wielkiego poprostu człowieka z talentem, czy genjuszem, a genjusz, Boże drogi, to pojęcie arcydemokratyczne. Tyle, a tyle funtów bęsztyka dziennie daje genjusz aż do trzeciego, czwartego i dziesiątego pokolenia. Genjusz, w znaczeniu popularnem, to nie jest nic nadzwyczajnego, to poprostu takie sobie ludzkie a propos. Stoi się przy tem spokojnie i nie odskakuje ze strachu. Wyobraźmy sobie,



że w obserwatorium astronomicznem patrzymy na mgławicę Orjona. Nagle słyszymy, że Farnley pozdrowia kogoś, kłaniając się nisko. Oto przyszedł wielki człowiek, ten z łoży parterowej. Uśmiechamy się do siebie... nieprawdaż... i powracamy do obserwowania mgławicy. Tak mi się zdarzyło. Czy teraz rozumiesz pan, panie Olsen, moje stanowisko? Chcę powiedzieć, że ponad owych powszednich wielkich ludzi, przed którymi ludzie dają sobie szturchańce, nierównie wyżej stawiam nieznane, młode genjusze, młodzieńców pomarłych w wieku szkolnym, którym dusza rozsadziła ciało, owe błyszczące, świętojańskie robaczki, które trzeba spotkać za życia, by wiedzieć że istniały. Takie mam upodobanie. Przedewszystkiem zaś powiadam: Konieczną jest rzeczą odróżnić genjusz najwyższy od normalnych i wyodrębnić, by nie zatonął w ciżbie proletariatu genjuszaków. Chcę widzieć na miejscu właściwym arcyducha. To też daj mi pan pokój ze swymi genjuszakami gminnymi, mnie idzie o istotę najwyższą, o Jego Eminencję Punkt Szczytowy...

Na to, zaręczam, odpowie młody Olsen:

— Ależ to są jeno teorie, paradoksy!

— Ja atoli nie widzę w tem ani paradoksu, ani teorii. Już tak jakoś inaczej patrzę na wszystko... Czyż to moja osobista wina? Jestem obcy, cudzoziemiec bytowania, idea opętańcza Boga... mniejsza o nazwę, zresztą...

Coraz to gwałtowniej:

— Oświadczam wam, że bez względu na nazwę nie poddam się wam przez całe wieki! W sercu własnem czuję, że mam słuszość... czasem, o pewnych godzinach odczuwam cały nieskończony związek przyczynowy świata. Dodam jeszcze, że nie ustąpię i w pył zetnę

wasze wszystkie przypuszczenia, dotyczące wielkich ludzi. Młokos Olsen twierdzi, że twierdzenia moje to jeno teoria i dobrze, jeśli to teoria, to ją niweczę i stawiam na jej miejscu lepszą... nie cofam się bowiem przed niczem... Powiem...: Czuję wżgardę dla wielkiego człowieka z parterowej łoży, bowiem w sercu mojem jest on błaznem i głupcem. Patrząc jak się puszy, pogardzam nim. Czy się sam dobił genjuszu? Wszakże takim przyszedł na świat... Pocóż mu tedy wołać: hura?

Młokos Olsen pyta:

— Ależ pan sam chcesz na szczycie posadzić arcyducha i uczcić go, a wszakże on również nie wywalczył sobie genjuszu swego?

Młokos Olsen sądzi znowu, że mnie przyłapał na niekonsekwencji. Ja atoli powiadam owładnięty świętem prawem:

— Nie podziwiam samego nawet arcyducha! Unicestwiam samą nawet Eminencję Punkt Szczytowy, jeśli jest to konieczne dla oczyszczenia ziemi. Podziwiamy arcyducha z powodu jego wielkości, jego najwyższej treści genialnej, tak jakby było to jego własną zasługą, nie zaś zasługą całej ludzkości, czyli w gruncie rzeczy materji. Genjusz wziął wszystko co dały wieki, przeto wyniszczył i wyjałowił je, ale wszystko to zebrał w sobie, poznał swe przeznaczenie i spełnił czyn... Powiadasz pan: — teoria! — Nie, to nie teoria, to przekonanie mego własnego serca. Jeśliby nawet zresztą było to teorią, to poszukam w mózgu i znajdę wyjście i postawię trzecią, czwartą i piątą tezę sprzeczną, a nie uznam się za pobitego.

Młokos Olsen również nie podaje tyłu, bo ma cały świat z tyłu i oświadcza:



— Wobec tego nie masz pan nic, co byś mógł podziwiać, żadnego wielkiego człowieka, żadnego geniusza!

Odpowiadam znowu, a Olsenowi robi się gorzej i sam chce zostać wielkim człowiekiem. Uspokajam go i powiadam:

— Nie, nie podziwiam geniusza, ale podziwiam i kocham rezultat oddziaływania geniusza na świat, do czego za narzędzia jeno służy wielki człowiek. Jest on jeno, że tak rzekę, szydłem do wybijania dziur. Cóż, czy zrozumiałeś pan wreszcie?

Nagle wzniosł ręce i zawołał:

— Ach ! W tej chwili ujrzałem znowu nieskończony związek przyczynowy świata! Jakiż blask! Wielka inicjacja stała się mym udziałem w tym momencie, w tym pokoju. Nie było dla mnie tajemnic, a wszystko przejrzałem do dna. Co za blask! Co za blask!

Pauza.

— Tak... tak... tak... tak! Jestem obcy pośród ludu i wnet wybije godzina. Tak... tak! Cóż mam zresztą do czynienia z wielkimi ludźmi? Nic. Wszakże to jeno humbug i oszustwo. Zgoda! Czyż atoli wszystko nie jest jeno humbugiem i oszustwem? Tak jest napewno. Kama, Minuta, wszyscy ludzie, miłość i życie samo, wszystko co słyszę, widzę i spostrzegam, jest oszustwem, nawet błękit nieba, to ozon, trucizna, powolnie działająca trucizna... Ale gdy niebo czyste i błękitne, pływam sobie tam, w górze powoli po zdradzieckim ozonie. Łódź moja z wonnego drzewa, żagiel...

— Sama Dagny powiedziała, że to piękne. Dziękuję ci, Dagny, że to powiedziałaś, dziękuję, mimo wszystko, bo wówczas zadrżałem z radości. Pamiętam każde

twoje słowo, noszę je z sobą, rozważam i nigdy nie zapomnę... Zwyciężysz, kiedy wybije godzina. Nie będę cię ścigał, nie pokażę ci się na murze... przebaczone, że to powiedziałem przez zemstę. Przybędę, otoczę cię białymi skrzydłami, utulę, gdy będziesz spała, kroczył będę za tobą na jawie i szeptał ci będę dobre słowa. Uśmiechniesz się czasem, posłyszawszy je. Gdybym atoli sam nie dostał tak białych skrzydeł, poproszę anioła, by mnie zastąpił, sam zaś okryję cię, spozierając, jak się uśmiechasz do innego. Tak uczynię, jeśli będę mógł i naprawię to zło, które ci sprawiłem. Raduję się tą myślą i tęsknię za chwilą, kiedy będę mógł to uczynić. A może w inny sposób mógłbym ci sprawić radość? Każdej niedzieli rano, gdy pójdziesz do kościoła, będę śpiewał nad twą głową i poproszę anioła o to samo. Gdyby nie chciał, rzucę się przed nim na kolana i będę błagał, aż mnie wysłucha... Tak uczynię i pragnę zacząć już jak najprędzej, szczęśny się czuję, myśląc o tem. Niedługo to już nastąpi, a sam nawet chwilę tę przyśpieszę... O jakąż radość... pomyśl... gdy się wszystka mgła rozproszy... la, la, la, la, la...

Szczęśliwy, rozezaltowany zbiegł po schodach do jadalni. Śpiewał dalej... Tu jednak, małe wydarzenie położyło koniec jego dobremu humorowi i zatruliło mu znowu kilka godzin. Śpiewał i szybko jadł śniadanie, stojąc przy stole. Nie siadł i nie zauważył, że są inni ludzie w sali. Spostrzegłszy, iż dwaj goście hotelowi patrzą nań z gniewem, przeprosił uprzejmie, dodając, że zachowałby się spokojniej, gdyby ich zauważył. W dniach takich, jak dzisiejszy, przy wspaniałej pogodzie nie widzi nic i nie słyszy. Ach, jakże muchy brzęczą wesoło.



Nie dostał odpowiedzi. Dwaj panowie spoglądali nań ze złością i rozmawiali dostojnie o polityce. Nastrój Nagła opadł zaraz. Zamilkł i cicho wymknął się z jadalni. W ulicy zboczył do sklepu, zaopatrzył się w cygara i ruszył, jak zwykle do lasu. Dochodziła dwunasta.

Ach, jakże ludzie są zawsze ci sami. Siedzieli oto w sali dwaj, adwokaści, czy agenci handlowi, czy też niewiadomo jacy panowie, rozmawiali o polityce i patrzyli nań z podejrzliwością, że złością dlatego, że w przystępie radości nucił sobie z cicha. Robiąc nader poważne miny, żuli śniadanie, nie znosząc, by im przeszkadzano. He... he... obaj mieli zwisające brzuchy i grube, wyścielone tłuszczem palce. Serwety zatknęli za kołnierzyki. Trzebaby zawrócić i naurągać im trochę. Cóż to za dostojnicy? Agenci handlujący kaszą, skórami amerykańskimi, a może nawet... pożal się Boże... zwykłymi garnkami z gliny. A jednak w jednym momencie zniweczyli mi radosne myśli. Nie wyglądali nawet dostojnie. Jeden miał jaką taką minę, drugi zato, ten od skór amerykańskich, miał usta krzywe, obwisłe z jednej strony, tak że wyglądały na dziurkę od guzika. Z uszu wyzierały mu też grube pęki włosów. Pfuj! Wstrętne maski. A mimo to nie wolno śpiewać z radości, gdy taki drań siedzi przy korycie.

Tak... tak... ludzie są zawsze tacy sami. Panowie rozmawiają o polityce, śledzą bacznie, kto został mianowany... dzięki Bogu, Huskerud pozyskany jeszcze został dla prawicy! He, he, jakaż rozkosz patrzeć na te miny właścicieli kopalń, jakie robili, mówiąc. A wszakże cała norweska polityka to umiejętność fałszowania i handel trzodą! Ja, Listerbu, Ola Olsen, godzą się,

by wdowie z Nordlandu wypłacono sto siedemdziesiąt pięć koron odszkodowania, jeśli wzamian otrzymam drogę gminną w parafji Fjaerde za cenę trzystu koron... Oto handel!

Ale, u djaska, nie wolno ci nucić wesołej piosnki, bo to przeszkadza Oli ze Stortingu w jego pracy! Inaczej będzie źle! Zważ, człowiecze, że Ola myśli, że Ola studjuje. Nad czymże to łamie sobie głowę? Jakiż to wniosek zamierza postawić jutro? He, he, to mąż zaufania w małym, norweskim światku, wybrany przez naród poto, by zabierał głos w komedji państwowej, ćmiąc mocny tytoń z krótkiej fajeczki, przybrany w papierowy kołnierzyk, rozmiękczony zacnym, pracowitym potem! Miejsca dla wybrańców... na bok u licha... by mieli się gdzie rozpierać łokciami!

Ach, miły Boże, jakież to krągłe tłuste zera tworzą wielkie cyfry!

Zresztą... basta! Niech djabli biorą zera! Kiedyś! sprzykrzy się ten humbug i ludzie dadzą mu pokój. Lepiej pójść do lasu, gdzie niebo nad głową, gdzie więcej miejsca dla człeka obcego i polatujących ptaków... Dobrze wyszukać sobie leżysko na mokrej ziemi, położyć się na brzuchu i radować się tem, że moczarzysta wilgoć przejmuje cię nawskroś. Zanurza się głowę w sitowie i rozmokłe liście, a robaki, liszki i małe miękkie ślimaczki łożą po ubraniu i twarzy, spoglądając zielonemi ślepkami. Wokół cisza lasu, bezruch powietrza, a z góry patrzy Bóg na człowieka, który jest jego najuporczywszą manją opętańczą. He, he, przychodzi nastrój, ogarnia dziwna, szatańska radość, robi się szaleństwo niesłychane, miesza ze sobą wszystko, stawia się świat na głowie i cieszy tem jakby czynem zasługi. Czemużby nie? To skutek



pewnych wpływów, które ponoszą. Unosi się pod niebiosą, to z czego drwiło się wczoraj, toczy bój pod hasłem pokoju światowego, radby człowiek ustanowić komisję dla ulepszenia trzewików listonoszy, protegować biednego Pontusa Wiknera i wogóle stawać w obronie Boga i wszechświata. Niech djabli biorą istotny porządek rzeczy, ryczy się nań, kpi zeń i powiada, że pięć jest liczbą parzystą. He... he... juhe! To radość co się zowie, to swoboda! Stroi się własną harfę i gra psalmy i godzinki, których określić nie sposób.

Duszą miotają wiatry i fale, owłada ją najstraszliwszy galimatjas, ale to nic, to przyjemność niezrównana, tak płynąć bez oporu. Pocóż się opierać? Wszakże wstrzymany w drodze podróżnik może sobie na niejedno pozwolić w ostatnich chwilach swoich? Nieprawdaż? Basta! Robię co mi się podoba!

Różne rzeczy przychodzą do głowy. Mógłbym użyć wpływ na misje wewnętrzne, na sztukę japońską na budowę kolei hallingstańskiej, na cośkolwiek bądź i coś postawić na nogi. Przychodzę do przekonania, człowiek jak I. Handesen, szanowany w mieście krawiec, u którego kupiłem raz surdut dla Minuty, posiada ogromne zasługi, jako obywatel i człowiek. Zacząłem go szanować, a potem pokochałem. Dlaczegoż to? Z uciechy, z buty, z zatwardziałej radości, co wywołały pewne wpływy. Szepcę mu w ucho, że go podziwiam, życzę mu szczerze mnóstwa małego i dużego bydląt, a żegnając się, wciskam mu, dalibóg, własny medal ratunkowy w dłoń, skoro raz już uległem tym dziwnym wpływom? Ale nie dość tego. Zaczynam nagle żałować, że raz wyrażałem się bez szacunku o Oli ze Stortingu. Ach, co za lube szaleństwo się teraz rozpoczyna!

Cóż uczynił Ola dla Ryfilke i dla całego państwa? Powoli nabieram przekonania, że pracował wytrwale i uczciwie i serce mi wzbiera. Dobrotliwość mnie ponosi, łkam z politowania dlań i ślubuję sobie po kilka kroć, że mu to wynagrodzę. Aby krzywdę wynagrodzić Oli oczerniam wszystkich wkoło, z rozkoszą pozabawiam innych wszystkich zasług i daję Oli, wyszukując najcudowniejszych słów, by go uczcić. Powiadam wprost, że wszystko co najszczytniejsze w świecie to przeważnie dzieło Oli. Napisał on jedyną, godną czytania rozprawę o analizie spektralnej, on sam uczynił płodonośniami prerję Ameryki w roku 1719, on wynalazł telegraf, on był na Saturnie i w dodatku pięć razy rozmawiał z Bogiem. Wiem dobrze, że Ola wszystkiego tego nie uczynił, ale desperacka dobroćliwość ponosi mnie, twierdzę mimo wszystko, że tego dokonał, płaczę, łkam, klnę ostatnimi słowami samego siebie i skazuję się na najokrutniejsze, piekielne kary. Czemuż to czynię? Przez dobroć i w chęci przywrócenia czci Oli. Wywodzę najgórniejsze tony celem dania mu wspaniałego zadośćuczynienia, śpiewam bluźnierczo i rozwiążle, twierdząc, że Ola stworzył wogóle cały świat, wyznaczył w przestrzeni miejsca słońcu i gwiazdom, oraz utrzymuje to wszystko przy życiu. Przysięgam na to w różne sposoby, słowem, pozwalam sercu memu szaleć, mieszając najsubtelniejszą delikatność, z klątwami i bezecenstwami. A ile razy wynajdę coś niesłychanego, podciągam pod siebie kolana i śmieję się radośnie z udałego zadośćuczynienia, jakie się wkońcu dostanie Oli. Zasłużył na to w pełni, wzamian za niegodne słowa, jakie raz o nim wyrzekłem i których żałuję.

Pauza.



Ach prawda... pewnego dnia powiedziałem rzecz niesmaczną o pewnem cielem... o cielem, które zmarło. Zaraz... zaraz... była to młoda dziewczyna, która umierając, dziękowała Bogu, iż jej pożyczył ciała, którego nie użyła, ni razu. Tak... była to Mina Meek, przypominam sobie teraz i wstydę się od stóp do czubka głowy. Nieraz wygaduje się coś, za co potem zbiera wstyd okropny. O, ileż razy ze wstydu staje się i krzyczy w głos! Coprawda, jeden tylko Minuta wie o tem świństwie, ale i tak wstyd mi samego siebie. Nie mówię już o haniebniejszem jeszcze głupstwie, którego nie zapomnę,... o tym Eskimosie i teczce na papiery. Uf... precz z tą myślą... radbym się pod ziemię zapasć. Cicho... sza! Uszy do góry... do djabła ze skrupułami! Pomyśl tylko, że gdy ogromny zespół zbawionych wszystkich ludów znajdzie się w niebie i ty staniesz w obliczu tej wspaniałości... O Boże... jakież to nudne... jakież to wszystko nudne!

Nagel, dotarwszy do lasu, rzucił się na pierwszy z brzegu wzgórek wrzosem pokryty i ukrył w dłoniach głowę. W głowie huczał mu chaos myśli nieogarniętych. Niebawem zasnął. Od kiedy wstał, minęły dopiero cztery godziny, a jednak zapadł w sen, śmiertelnie znużony i wyczerpany.

---

Zbudził się o wieczorze. Rozejrzał się. Słońce zachodziło za parowy młyn w Indwiken, a ptaki polatywały śpiewając, z drzewa na drzewo. Wyjaśniło mu się w głowie, znikły gorzkie myśli, był zupełnie spokojny. Siedział oparty o pień i myślał. Co czynić? Czemużby nie skończyć zaraz? Nie, musiał przedtem uporządkować różne rzeczy, napisać list do siostry, przesłać Marcie mały upominek w kopercie, nie mógł

umierać tego jeszcze wieczoru. Nie wyrównał zresztą hotelowego rachunku i nie dał nic Minucie, co uczy-  
nić pragnął...

Wolnym krokiem wrócił do hotelu, postanowiwszy, że skończy z sobą nazajutrz około północy, bez żadnych ceregieli, krótko i wężłowato.

O trzeciej rano stał jeszcze w oknie swego pokoju, wyglądając na plac targowy.

## XIX.

Następnej nocy około dwunastej opuścił Nagel z ręcznie hotel. Nie poczynił ostatnich zarządzeń, napisał tylko do siostry i włożył do koperty pieniądze dla Marty. Zresztą kufry jego, futerał ze skrzypiec i stary kupiony fotel, zostały na swoich miejscach, a na stole leżało kilka listów. Nie zapłacił rachunku hotelowego, zapomniawszy o tem zupełnie. Na chwilę przed wyjściem poprosił Sarę, by wyczyściła okna podczas jego nieobecności, a dziewczyna obiecała, że to uczyni, chociaż była noc. Nagel umył sobie starannie twarz i ręce, potem wyszedł z pokoju.

Przez cały czas był spokojny, niemal opadły z sił. Na miły Bóg, czyż warto tyle hałasu i ceregieli czynić? Rok wcześniej, rok później nie gra roli. Zresztą z myślą tą nosił się już oddawna. Znużył go przytem ów humbug powszechny, ciągle rozczarowania, zawody nadziei i pożądań. Przyszedł mu na myśl Minuta, któremu także zostawił trochę pieniędzy w kopercie, chociaż nie mógł się dotąd wyrzec co do niego podejrzeń. Wspomniał również o pani Stenersen, która chorą i asmatyczną będąc, oszukiwała męża w żywe oczy,



nie zdradzając się nigdy, nawet wyrazem twarzy, dalej o Kamie, małej, chciwej na grosz szelmie, wyciągającej doń oszukańczo ramiona poto, by go wszędzie, gdzie był dopaść i przetrząsnąć mu kieszenie. Na wschodzie i zachodzie, w kraju i zagranicą spotykał tych samych ludzi, wszyscy byli nikczemni, fałszywi i straszliwie beznadziejni, począwszy od żebraka, który nosił opaskę na zdrowej ręce, aż do niebiosów pełnych trującego ozonu. A sam, czyż był lepszy? Nie... nie... nie! Ano, teraz przyszedł wreszcie koniec.

Poszedł ku śpichrzom, by raz jeszcze zobaczyć okręty, a mijając ostatni pomost towarowy, zdjął nagle z palca żelazny pierścionek i cisnął w morze. Zobaczył, jak spadł daleko i zniknął... Oto, w ostatniej jeszcze chwili chciał się uwolnić od humbugu!

Zatrzymał się przy domku Marty i zajrzał po raz ostatni w okna. Wszystko było, jak zazwyczaj spokojne i ciche. Nie dostrzegł nikogo.

— Żegnam cię! — powiedział.

I ruszył dalej.

Bezwiednie skierował się ku plebanji. Spostrzegł, jak daleko zaszedł, dopiero w chwili, gdy się przed nim otwarło podwórze, podobne leśnej polanie. Staął. Dokądże zmierzał i czego tu oczekiwał? Czyż łudził się, że zobaczy twarz w jednym z dwu okien pierwszego piętra, twarz, która mu się nie ukazała nigdy? Nie, nie chciał tego, chociaż podświadomie przez cały czas zamiar ten tkwił w nim. Stał przez chwilę jeszcze, spoglądając, wahając się, czując, że coś w jego duszy prosi o to...

— Żegnam cię! — powiedział znowu.

Potem zawrócił szybko na drogę boczną, wiodącą głębiej w las.

Postanowił iść naoslep i usiąść gdzie bądź, nie obliczając, ani nie układając niczego, bez sentymentalizmu, w który popadł Karlsen, ogarnięty śmieszną rozpaczą. Zauważywszy, że mu się rozwiązało sznurowadło, oparł stopę o kopczyk ziemi, poprawił i zaraz usiadł.

Uczynił to bez namysłu i rozejrzał się. Wokół stały wysokie jodły, gdzieniegdzie widniały jałowce, ziemia, wrzosa...

Dobyl portfelu i włożył weń listy dla Marty i Minuty, natomiast z osobnej przegrody wyjął zawiniętą w papier chustkę Dagny, ucałował dużo, dużo razy, ukląkł, ucałował znowu, a potem zaczął ją rozdzierać na kawałki. Zajęło mu to sporo czasu, zrobiła się pierwsza, on zaś targał chustkę na coraz drobniejsze strzępy, aż zostały same jeno nitki. Wstał, włożył wszystko pod kamień, ukrył tak, by nikt nie znalazł, i usiadł znowu. Czy to już wszystko? Zaczął rozmyślać, ale nic mu nie przychodziło do głowy. Dobyl zegarka i nakręcił go, jak to czynił zawsze przed spaniem.

Rozejrzał się po ciemnym dość lesie, ale nie dostrzegł nic podejrzanego. Zaczął nadśluchiwać z zapartym oddechem. Cisza zupełna, ptaki zamilkły, noc łagodna i martwa. Sięgnął do kieszeni po flaszeczkę.

Posiadała szklanny korek, przykryty z góry papierem i otoczony szpagatem aptekarskim. Odwiązał sznurek i wyjął korek. Płyn był czysty jak woda i woń miał lekko gorzkiemi migdałami. Podniósł flaszeczkę do oczu i stwierdził, że jest w połowie nalana. W tej chwili usłyszał w dali dwa dźwięczne uderzenia. To zegar miejski wybił drugą. Szepnął: — Wybiła godzina! — Szybko zbliżył flaszeczkę do ust i wychylił.



W pierwszej chwili siedział wyprostowany, z fłaszczką w jednej, a korkiem w drugiej ręce. Oczy miał zamknięte. Wszystko poszło tak łatwo, że nie uchwycił należycie przebiegu sprawy. Potem zaczęły mu napływać myśli do głowy, otworzył oczy i rozejrzał się przerażony. Czyż nie miał już nigdy zobaczyć tych drzew, nieba i ziemi? Dziwna rzecz! Trucizna nurtowała już w nim, śnuła się przez organizm, żłobiąc sobie błękitną drogę do żył. Niebawem przyjdzie kurcz i legnie sztywny.

Wyraźnie czuł w ustach gorzki smak i wydało mu się, że język kołczeje. Zaczął bez celu machać rękami, by się przekonać, jak dalece jest martwy, potem liczył drzewa, doszedł do dziesięciu i przestał. Czyż miał umrzeć i to tej jeszcze nocy? Nie... nie... nie tej nocy. Jakże dziwne to wszystko?

A jednak tak... miał umrzeć, odczuwał krążenie trucizny w trzewiach... Dlaczegoż jednak właśnie teraz, dlaczego zaraz? Na Boga, oczy mu zasłoniła ciemność! Las szemrał, choć wiatru nie było. Na niebie zjawily się purpurowe chmury... Nie, nie teraz, nie zaraz! Słuchaj,... nie, nie chcę! Boże wielki, cóż mam czynić?

Nagle runęły mu na mózg myśli z przeraźną mocą. Nie był jeszcze gotów, tysiąc rzeczy miał spełnić. Błysło mu to wszystko czego nie dokonał. Nie zapłacił hotelu,... a omyłkę tę należało koniecznie naprawić. Tę noc przeżyć musiał jeszcze... Łaski! Łaski! Godzinę, trochę więcej jeno, niż godzinę. Wielki Boże, zapomniał też napisać... tylko bodaj dwa, trzy wiersze do pewnego człowieka w Finlandji... Szło o siostrę, o całe jej mienie... Widział teraz wszystko z przerażającą jasnością. Przypomniiał sobie nawet, że nie

wymówił abonamentu pism, tak że przychodzić będą ustawicznie i napelnią cały pokój pod sufit. Co uczynić? Wszak był już napoły martwy.

Zaczął wyrywać oburącz wrzosa, rzucił się na brzuch i chcąc zwymiotować truciznę, wtykał palec w gardło. Ale daremnie.

Porwany strachem, zatoczył się po lesie szukając wody. Wołał: — Wody! — aż echo grzmiało. Przez kilka minut szalał, rzucał się w różnych kierunkach, rozbijał o pnie, przeskakiwał jałowce, ale wody nie było.

Wreszcie znużony, objął rękami twarz zalaną potem, upadł, przewalając się naprzód i legł głową na dół. Znieruchomiał, nic sobie z tego nie robiąc, że z rany na policzku ciecze krew. O, jakże to długo trwało wszystko? Czekał cierpliwie. I znowu usłyszał zegar bijący trzecią. Zdumiał się. Czyż naprawdę miał już od godziny truciznę w sobie i żył? Sparł się na łokciu i spojrzał na zegarek. W istocie trzecia. Ach, jakże długo jeszcze czekać trzeba.

Zresztą... w imię boże... lepiej skonać! Pogodził się ze swym losem, wspomniawszy Dagny i wszystko to co miał dla niej uczynić, przyszło mu na myśl owo śpiewanie ponad nią w niedzielę i łzy mu napęłniły oczy. Może już jutro poleci do niej i zostanie na zawsze w pobliżu. Może już jutro zbudzi się lśniący, wspaśniały... Jakże źle uczynił, nie chcąc umierać, gdy mógł jej sprawić tyle radości. Żałował tego i błagał ją o przebaczenie.

Wybiła czwarta godzina. Liczył napoły przytomny uderzenia, nie myśląc o nich. Trzeba było czekać cierpliwie. Złożył ręce, prosząc Boga o rychłą śmierć w ciągu paru minut, tak aby mógł znaleźć się przy



Dagny jeszcze zanim się zbudzi. Przyrzekał wdzięczność wielką za tę łaskę, za spełnienie tego jedyne go już tylko, gorącego pragnienia...

Zamknął oczy i zasnął.

---

Spał przez trzy godziny. Zbudziły go promienie słońca i tętniący po całym lesie świegot ptasi. Wstał szybko i rozejrzał się, przypominając sobie zaraz co zaszło w nocy. Flaszeczka leżała na trawie. Przypomni ał sobie, jak serdecznie prosił Boga o rychłą śmierć, a oto żył dalej. Znowu przeciwność jakaś sta nęła mu w drodze. Ciągłe doznawał przeszkód, chociaż miał szczere zamiary. Cóż się stało z trucizną? Był to wszakże prawdziwy kwas pruski, lekarz uznał ilość jego za wystarczającą aż nadto, a małą dozą sam otr uł natychmiast psa plebańskiego. Zanim wypił, widzia ł doskonale w połowie nalaną flaszkę. Nie wypuszczał jej nigdy z rąk, nosząc w kamizelce. Cóż więc za skryte moce prześladowały go?

Nagle błysło mu, że flaszeczka znalazła się jednak raz w obcych rękach. Strzelił palcami. Tak, niezawodnie, Minuta miał ją u siebie przez pół nocy. Przy końcu wieczorku kawalerskiego w hotelu darował Minucie kamizelkę, w kieszeniach został zegarek, flaszeczka i kilka papierów, a wszystko to odniósł Minuta nazajutrz rano. Widocznie dobrotliwy kaleka wmieszał się tu znowu... Ach, co za chytr ość, co za sprytny figiel!

Rozgoryczony zacisnął zęby. Wszakże wyraźnie powiedział onego wieczoru, że nie ma odwagi otr uć się. A ten podstępny człowiek siedział, słuchał i obłudnie nie wierzył słowom jego! Drab jeden... kret! Poszedł, prosto do domu, wypróżnił flaszkę, wypłukał

ją nawet może i napełnił wodą. Dokonawszy tego zbożnego czynu, położył się najspokojniej spać.

Nagel ruszył ku miastu. Był dość wypoczęty i rozmyślał z goryczą, ale jasno o wszystkim. Zdarzenie nocne upokorzyło go we własnych oczach i ośmieszyło. Woda pachniała migdałami, on zaś czuł, że mu język drętwieje i sądził, iż umiera! Szalał, z powodu tej odrobiny zwykłej, czystej wody i skakał jak warjat po krzakach! Stanął zły, obłany rumieńcem wstydu, i krzyknął w głos, ale zaraz obejrzał się, zdjęty strachem, czy go ktoś nie słyszy, i chcąc to ukryć, zaczął nucić.

W miarę jak szedł, ulegał łagodniejszemu coraz to nastrojowi, pod wrażeniem pięknego ranka i śpiewu ptaków. Spotkał ładowną brykę, woźnica zdjął czapkę, Nagel odpowiedział na ukłon. Jakiś pies stanął przed nim i kręcąc ogonem, spojrzał mu w oczy... Ach, czemuż nie udało się umrzeć spokojnie i uczciwie? Smuciło go to jeszcze. Zasnął w poczuciu końca, w miłym poczuciu spokoju i radości. A teraz... ach, teraz Dagny wstała już, może nawet wyszła, on zaś nie może jej już sprawić żadnej radości. Oszukany został haniebnie. Minuta dokonał znowu dobrego czynu, uczynił mu przysługę, ocalił życie, zrobił to samo co on sam ongiś na okręcie pewnemu biedakowi, który nie chciał dojechać do Hamburga. Za to dostał medal... czyż nań jednak zasłużył. Ocala się, wszakże, życie człowieka bez zamiaru dobrego czynu, ocala się poprostu i basta!

Wstydząc się samego siebie, wszedł chyłkiem do hotelu i usiadł w swym pokoju. Było tu czysto i miło. Okna świeżo wyczyszczone, przysłonięte były śnieżystymi firankami, a na stole stał bukiet polnych kwiatów. Nagel nie miał dotąd kwiatów w pokoju, to też zdumiony i rozradowany, zatarł ręce. Cóż za zbieg



okoliczności... właśnie dziś te kwiaty, pomysł życzliwy biednej pokojówki! Zaczyna dusza z tej Sary! Ach, cóż za uroczy ranek! Na placu targowym wszyscy tak rozradowani. Handlarz figurek gipsowych siedział rozparty wygodnie i puszczał dym z fajki, z miną rozanieloną, chociaż nikt za oera nie kupił towaru. Może i dobrze, że spełzły na niczem plany tej nocy? Ze zgrozą wspominał moment, kiedy szukał wody po lesie i zadrżał. Czuł się wolnym od wszelakiego zła tu w tym zalanym słońcem pokoju, siedząc na swym pewnym krześle. Zresztą, u licha, cóż stąd, że się pierwszy raz nie udało? Jest na wszystko rada. Naprzykład niezawodny sześciostrzałowy rewolwer, który nabyć można w pierwszym składzie broni. Co się odwlecze, to nie uciecze.

Zapukała Sara. Usłyszała, iż wrócił i chciała zawiadomić, że śniadanie gotowe. Gdy chciała odejść, przywołał ją i spytał, czy to ona przyniosła mu kwiaty.

Przyznała się i nie chciała przyjąć podziękowań. Ujął ją mimo to za rękę.

Spytała z uśmiechem:

— Gdzie pan spędził noc? Nie wrócił pan wcale do hotelu!

— Słuchaj dziecko! Te kwiaty świadczą pięknie o tobie. Także, mimo późnej pory wyczyściłaś okna i zawiesiła firanki. Nie wiesz nawet, jaką mi sprawiłaś radość i jak szczerze życzę ci wszystkiego dobrego.

Nagle przyszedł mu znów szalony pomysł, zgola nieoczekiwany, i powiedział:

— Słuchajże! Miałem ze sobą futro, gdy tu przybył. Licho wie, gdzie się zapodziało, ale napewno było. To futro daję ci, droga Saro. Tak... tak... czynię to z wdzięczności, sprawa skończona, futro jest twoje.

Sara roześmiała się z całego serca i spytała, co ma począć z futrem.

— A to prawda! Ale twoja rzecz co z tem zrobisz. Tylko zrób mi tę przyjemność i przyjmij...

Śmiała się coraz to bardziej, a on wraz z nią. Potem zaczął żartować:

— Na miły Bóg! Jakże śliczne masz ramiona, Saro! Ale wierz mi, widziałem coś więcej, o czem nie wiesz. Oto pewnego dnia stałaś w jadalni na stole i czyściłaś sufit. Ja zazierałem przez szparę w drzwiach. Spódnice miałaś zakasaną. I wówczas zobaczyłem twą łydkę... doprawdy, co najmniej łokieć prześlicznej nogi. He, he, he! Ale mniejsza z tem. Dziś jeszcze, za parę godzin dostaniesz bransoletkę... wierzaj mi! Pozatem pamiętaj Saro, że futro jest twoje...

Dziwny człowiek, czy już całkiem oszalał? Sara śmiała się, ale strachem ją potrosze przejmowały niesłychane jego pomysły. Przedwczoraj na przykład, otrzymawszy świeżą bieliznę, dał praczce dużo więcej pieniędzy, niż jej się należało. Dziś chciał darować futro. W mieście krążyły też o nim różne wieści.

## XX.

Tak jest, oszalał, napewno oszalał. Sara stawiała przed nim kawę, mleko, herbatę, piwo, zносиła mu różności, a mimo to ledwo siadłszy do śniadania, wstał zaraz i wszystko zostało nietknięte. Wpadło mu nagle do głowy, że właśnie o tej porze Marta zwykła nosić na targ jaja. Może właśnie powróciła? Byłby to szczęśliwy traf, gdyby ją właśnie dzisiaj spotkał. Poszedł do siebie na górę i usiadł przy oknie.



Miał przed sobą cały plac targowy, ale nie ujrzał Marty. Czekał pół godziny, godzinę, bacznie śledząc wyloty wszystkich ulic, ale daremnie się wysilał. Wkońcu uwagę jego zwróciła scena rozgrywająca się pod budynkiem pocztowym. Otoczony kręgiem ciekawych, skakał Minuta po piasku. Był bez surduta i trzewików, tańczył wytrwale, ocierając pot z czoła, za każdym zaś tańcem zbierał oery od widzów. Podjął widać na nowo swą dawną działalność. Nagel zaczekał aż skończy, gdy się zaś widzowie rozproszyli, posłał po niego. Minuta przybył, jak zawsze pokorny, z opuszczoną głową i oczyma.

— Mam dla pana list! — powiedział Nagel i wetknął mu kopertę głęboko w kieszeń. Potem wszczął z nim rozmowę. — Sprawileś mi pan, przyjacielu, wielki kłopot, zakpiłeś sobie ze mnie. Dopuściłeś się chytrłości, którą podziwiam, mimo że mnie rozgoryczyła. Czy masz pan czas? Pomiećsz zapewne, żem panu obiecał swego czasu wyjaśnić pewną rzecz. Otóż nadeszła pora owego wyjaśnienia. Przedtem jednak spytam, czyś pan słyszał, że mnie w mieście uważają za warjata? Uspokój się pan, nie jestem warjatem, jak sam słyszysz zresztą. Przyznaję, byłem w ostatnich czasach nieco wzburzony, z powodu różnych, niemiłych wydarzeń, jakie przyniósł los. Ale teraz jestem znowu zupełnie zdrów... proszę mi zapomnieć o tem. Pewnie daremnemby było proponować panu coś do popicia?

Nie, Minuta nie chciał nic.

— Wiedziałem zgóry... Krótko mówiąc, podejrzewam pana silnie, Grögoardzie. Domyślasz się pan zapewne o czem mówię. Okpiłeś mnie tak straszliwie, że już nie ukrywam tego nawet. W ważnej sprawie oszukałeś mnie, niezawodnie z pobudek bezinteresownych

i pocźciwych, ale dopuściłeś się pan i tak oszustwa. Wszakże miałeś w rękach tę oto flaszeczkę?

Minuta zerknął na flaszeczkę i nie rzekł nic.

— Była w niej trucizna, pan ją wylałeś i nalałeś do połowy czystej wody. Dzisiejszej nocy była tu czysta jeno woda.

Minuta milczał dalej.

— Nie jest to czyn zły. Ten, kto to uczynił, powodował się pragnieniem uniemożliwienia zła. Mów pan, to pańska sprawka... nieprawdaż?

Pauza.

— Tak! — przyznał wreszcie Minuta.

— Tak! I w pańskich oczach był to czyn dobry, atoli w moich rzecz przedstawia się inaczej. Dlaczegoś pan to uczynił?

— Myślałem, że pan mógłby...

Pauza.

— Otóż to... Omyliłeś się pan, Grögoardzie. Zwiodło pana pocźciwe serce pańskie. Wszakże onej nocy powiedziałem wyraźnie, że nie mam odwagi użyć tej trucizny.

— Obawiałem się jednak, że mimo wszystko, mógłbyś pan to uczynić. I tak się też stało.

— Tak się stało? Co pan powiadasz? He, he! Zakpiłeś pan sam z siebie, zacny człowiecze. W istocie wypróżniłem dziś w nocy tę flaszeczkę, sam atoli nie skosztowałem ani kropli.

Minuta spojrział zdumiony.

— Acha... spuściłeś pan, widzę nos na kwintę...! Otóż tak było. Udałem się nocą na przechadzkę, minąłem śpichrze i natrafiłem u wybrzeża na kota, wijącego się po ziemi w okrutnych mękach. Stałem i przekonałem się, że kotu utkwiał w gardle haczyk od wędki.



Żwierzę kaszłało i wiło się, nie mogąc wypłuć żelaza, a z pyska płynęła krew. Ująłem kota, próbując wyjąć haczyk, ale oszalały z bólu nie dał się opatrzyć i zaczął drapać wściekle, tak że mi skaleczył policzek. Ot, widzisz pan ranę. Zamyśliłem się co czynić, a właśnie wybiła druga. Było już więc za późno, by szukać czyjejś pomocy. Nagle przypomniałem sobie o noszonej w kamizelce truciznie i chcąc zakończyć męczarnie biednego kota wlałem mu zawartość flaszeczki w gardziel. Sądząc, że się z nim dzieje coś strasznego, kot rozwarł szeroko oczy, skoczył nagle w górę, pobiegł parę kroków, skoczył znowu i zaczął dalej wić się po piasku. We flaszeczce była woda, nie mogła go zabić, ale zwiększyła tylko jeszcze męki jego. Z haczykiem w gardle, dysząc i krwawiąc, potoczył się gdzieś i zdechł pewnie po długich mękach z upływu krwi.

— Uczyniłem to w dobrym zamiarze! — powiedział Minuta.

— Oczywiście. Czynisz pan zawsze jeno to co dobre i uczciwe. Nie sposób pana przychwycić na czemś zdrożnem, to też owo zacne oszustwo z trucizną nie jest dla pana żadną nowością. Tańczyłeś pan znowu przed chwilą, jak to widziałem z okna. Nie wyrzucam panu tego, pytam tylko, czemu zdjąłeś trzewiki? Masz je pan teraz na nogach, czemuż tańczyłeś pan tedy boso?

— By nie niszczyć trzewików.

— Właśnie tak myślałem. Pewny byłem, że to usłyszę i dlatego pytałem. Jesteś pan uosobieniem czystości serca i najszlachetniejszą duszą w mieście. Wszystko u pana jest dobre, bezinteresowne i bez plamy. Chcąc pana raz wystawić na próbę, zaproponowałem przyjęcie ojcostwa obcego dziecka. Odmówiłeś pan, mimo że ofiarowałem dwieście koron, a jako biedak

potrzebowałbyś tych pieniędzy. Wzdrygnęłeś się pan na samą myśl niskiego czynu. Gdybym był wiedział, jak wiem teraz kim pan jesteś, nie byłbym się posunął do takiej obrazy. Z panem jednak trzeba się ostro trzymać w siodle. Dość tego, ... trzymajmyż się rzeczy. Otóż tańczyłeś pan boso, nie bacząc na ból i nie skarżąc się. Jest to cecha pańskiego charakteru. Nie skarżysz się pan, nie powiadasz ludziom: — Patrzcież, oto zzuwam trzewiki, by ich nie niszczyć, albowiem jestem biedny! — Nie, pan działasz, że tak rzekę, w milczeniu. Zasada pańską jest o nic nie prosić, osiągasz jednak wszystko o co ci chodzi, choć sam nie otwierasz ust. Nietykalny jesteś pan ani wobec innych, ani wobec własnego sumienia. Stwierdzam tę cechę charakteru i idę dalej. Proszę o cierpliwość, dojdę wkońcu do przyrzeczonego wyjaśnienia... Powiedziałeś pan raz o pannie Gude, że nie jest ona tak nieprzystępna, jak się wydaje, i że postępując delikatnie możnaby... Sam pono doprowadziłeś pan z nią do różnych rzeczy...

— Ależ...

— Widzisz pan, że nie zapomniałem. Działo się to onego wieczoru, kiedyśmy siedzieli razem i pili. To znaczy, ja piłem, a pan przyglądałeś się. Onego, powtarzam, wieczoru powiedziałeś pan, że... Marta, mówiłeś jeno: Marta... mówi panu: Janie... wszakże nie kłamię... Janie! Tak, pamiętam doskonale. Zwierzyłeś mi się pan, że Marta zezwoliła panu na różne rzeczy i uczyniłeś pan nawet zgola wstrętny gest wskazującym palcem...

Minuta zerwał się, czerwony z gniewu i krzyknął głośno:

— To nie prawda! Nie powiedziałem tego nigdy!



— Jakto nie? Nie powiedziałeś pan? A gdybym tak zawołał na świadectwo Sary, która znajdowała się w sąsiednim pokoju i wszystko słyszała przez cienką ścianę? Coś podobnego nie zdarzyło mi się jeszcze w życiu. Przez zapieranie się pańskie wszystko, oczywiście, upada. A szkoda, radbym był wybadać pana potrosze, bo nieraz nad tem rozmyślałem. No trudno, jeśli pan przeczy... Proszę, siadajże pan i nie uciekaj, jak ostatnim razem. Zresztą drzwi są zamknięte, zamknąłem je na klucz.

Nagel umilkł i zapalił cygaro.

— Ach, miły Boże! — rzekł po chwili. — Omyliłem się w sposób straszny. Pan tego nie powiedziałeś wcale. Panie Grögoard, proszę gorąco o przebaczenie! Zapomnij o wszystkim, drogi przyjacielu, nie panieś to powiedział, ale słyszałem skąd inąd przed paru tygodniami. Jakże mogłem przypuścić bodaj na chwilę, że pan zdradzisz damę... a przytem i siebie... i to w taki sposób! Nie pojmuję, jak mi to mogło wpaść do głowy... muszę mieć istotnie myszki w głowie. Słuchajże pan... w każdym wypadku, gdym się omylił, zawsze proszę o przebaczenie, a przeto nie jestem warjat... nieprawdaż? Czasem mówię mimo to trochę dziko i nieporządnie, ale proszę, wierz mi pan, nie czynię tego z umysłu, by pana zagłuszyć i otumanić. Ulegam jeno dziwnemu, chwilowemu nastrojowi. Przepraszam też, że odstępiałem od tematu. Pan się pewnie niecierpliwi i wyczekuje objaśnienia?

Minuta milczał. Nagel chodził nerwowo od okna do drzwi i z powrotem. Stał niespodzianie i rzekł tonem znużenia i niechęci:

— Nie warto w istocie dłużej prowadzić tej całej gry. Powiem panu otwarcie co sądzę! Tak jest, umyślnie

mówilem tak, by pana oszołomić, czynilem to aż do tej chwili, w celu wydobycia z pana tajemnicy. Próbowalem różnych sposobow, ale nie pomogły i jestem wszystkiem znużony. Teraz wyjaśnię panu, Grögardzie, o co idzie. Uważam pana za skrytego draba. Tak, za chytrego draba.

Minuta zaczęła drżeć, a oczy jego biegały z wyrazem przestachu na wszystkie strony. Nagel mówił dalej:

— Milczysz pan, nie wypadasz z roli, nie mogę się dobrać do pana. Jesteś niewzruszalny, masz przedziwną siłę, podziwiam pana i jestem wielce zaciekawiony. Wszakże pamiętasz pan ów wieczór, kiedy to mówiłem, wpatrując się, tak żeś pan drżał. Próbowałem tak i owak, wyznaję, niemal całkiem bezskutecznie, a chociaż jesteś człowiek niepojęty, ni na chwilę nie miałem wątpliwości, że jesteś jakimś skrytym winowajcą. Brak mi dowodów, przeto nie bój się pan, wszystko zostanie między nami. Może dziwi pana, czemu bez dowodów jestem tak pewny swego? Kieruję się obserwowaniem ruchu głowy, wyrazem i połyskiwaniem oczu przy pewnych słowach, albo poruszaniu pewnych kwestyj, przytem w głosie pańskim są pewne vibracje... o, ten głos! Nakoniec cała osobistość pańska jest mi antypatyczna, czuję zbliżanie się pańskie i w duszy doznaję niepokoju i czuję się niedobrze. Nie rozumiesz pan tego i ja nie, ale tak jest. Przysięgam na Boga w tej chwili wiem lepiej jeszcze, niż kiedykolwiek, że jestem na właściwym tropie, nie mogę tylko schwycić pana, bo nie mam dowodów. Za ostatniem widzeniem, spytałem gdzieś pan był dnia 6 czerwca... czy wiesz pan czemu to uczynilem? Oto Karlsen zginął tego dnia i aż dotąd sądziłem, żeś pan zamordował Karlsena.



Minuta, zdumiony niezmiernie, powtórzył: — Żem zamordował Karlsena? — i umilkł.

— Tak, sądziłem tak dotąd, miałem to podejrzenie, czując, żeś pan jest skryty drab. Teraz nie sądzę tego już, omyliłem się, przyznaję, poszedłem za daleko i proszę o przebaczenie. Wierz pan, lub nie, ale mówię że żałuję, iż panu uczyniłem tę krzywdę. Ale chociaż co do tego punktu zaszła omyłka, to jestem najzupełniej pewny, że jesteś duszą nieczystą, obłudną i chytrą. Tak sądzę... skarż mnie Bóg! Patrzę oto na pana i czuję w głębi serca... na imię boskie przysięgam, że tak jest. Skąd ta pewność, pytasz pan? Proszę posłuchać. Oto od samego początku miałem powód sądzić o panu jak najlepiej, a wszystko coś pan potem mówił, lub czynił było dobre, sprawiedliwe i szlachetne. Przytem śniło mi się, żeś pan cierpiał wśród trzęsawiska w sposób straszliwy, ja zaś dręczyłem pana. Mimo to dziękowałeś mi, padłszy na kolana za to, żem cię nie dręczył srożej jeszcze. Tak śniłem i to było bardzo piękne. Nikt w mieście nie posądza pana o nic złego, wszyscy dają panu jak najlepsze świadectwo i cieszysz się pan sympatją ogółu, a wszystko przez chytrą. A jednak ja widzę całą tę nikczemność gadzinową, pełzającego po ziemi anioła, który o wszystkich dobrze mówi i codziennie spełnia jakiś dobry czyn. Czyżeś pan się o mnie źle wyrażał, zrobił mi coś złego lub zdradził me tajemnice? O, nie... i to właśnie jest cechą pańskiej węzowej duszy. Przewijasz się przyznając wszystkim rację, nie czynisz nic złego, jesteś święty, nie-tykalny, a w oczach świata bez wady. Światu to wystarcza, ale mnie nie i niedowierzam panu ustawicznie. Gdym pana zobaczył po raz pierwszy, zaszło to wśród dziwnych okoliczności. W parę dni po przybyciu, zo-

baczyłem pana o godzinie drugiej w nocy, pod domem Marty Gude na wybrzeżu. Stałeś pan nagle pośród ulicy, czekając aż przejdę i patrząc na mnie z podełba. Nie zamieniłem wówczas jeszcze z panem słowa, ale głos wewnętrzny zwrócił mi na pana uwagę i rzekł, że panu na imię Jan. W sercu uczułem, że tak jest i mówię, choćby to były ostatnie moje słowa na ziemi, wiedziałem zaraz, że panu jest Jan i że muszę zapamiętać sobie osobistość pańską. Dużo później dopiero dowiedziałem się, że imię to nosisz pan rzeczywiście. Od tej nocy zwracałem na pana uwagę, pan zaś wymykałeś mi się ciągle. Wkońcu sfałszowałeś mi, człowiecze, nawet ostatni łyk trucizny w szlachetnym celu uchronienia mnie od śmierci, gdybym miał wypić. Jakże powiedzieć co odczuwam? Czystość pańska obezwładnia mnie, a wszystkie piękne myśli i czyny odciągają coraz bardziej od celu, to jest od powalenia pana. Ale zerwę ci maskę i zmuszę do okazania czem jesteś. Ile razy spojrzę w twoje niebieskie, obłudne oczy, krew we mnie kipi z obrzydzenia, wije się przed tobą, człowiecze, a czuję, że w gruncie serca jesteś kłamcą. Wiem, że i teraz nawet, siedząc przede mną, śmiejesz się w duszy, mimo swej rozpaczliwej i skruszonej miny, że drwisz potajemnie z tego, iż nie mogę cię pochwycić, z braku dowodów.

Minuta i teraz nie rzekł słowa, a Nagel ciągnął dalej:

— Pewnie sądzisz pan, że jestem ordynarnym bandytą i głupcem, miotając ci w twarz takie oskarżenia. Mniejsza z tem, myśl co chcesz. W głębi duszy wiesz dobrze, że cię w tej chwili wziął na cel i to mi wystarcza. Ale czemuż znosisz pan tego rodzaju postępowanie? Czemu nie spluniesz mi w twarz i nie pójdziesz sobie?



Minuta ochłonał widocznie, spojrział i rzekł:

— Zamknął pan wszakże drzwi.

— Acha, oprzytomniałeś pan nareszcie i chcesz wmówić we mnie, że wierzysz w to zamknięcie drzwi? Drzwi są otwarte, spójrz pan, są naściężaj otwarte! Powiedziałem, że zamknięte poto jeno, by pana wziąć na próbę, była to pułapka. Oczywiście, przez cały czas wiedziałeś pan doskonale, że są otwarte, tylko udawałeś tę wiarę, by móc siedzieć jak zawsze z miną czystą, niewinną i radować się z tego, że ja czynię źle. Nie wyszedłeś z pokoju, nie ruszyłeś się pan. Posłyszawszy, że mam cię w podejrzeniu o różne sprawki, nastawiałeś uszy, chcąc się dowiedzieć jak dużo wiem, o ile mogę ci być groźnym. Przysięgam na Boga, wiem że tak jest, a choćbyś się pan zapierał jest mi to obojętne... Cemuż atoli odbywam ten sąd nad panem? Masz prawo zadać to pytanie, bowiem nie obchodzi mnie, zdawałoby się, cała sprawa. Przyjacielu, obchodzi mnie ona potrosze i chcę cię ostrzec. Wiedziesz pan potajemny żywot łotrzyka, a to udaje się jeno przez czas pewien. Przyjdzie chwila, że zostaniesz powalony o ziemię, a cały świat będzie mógł deptać po tobie. To rzecz pierwsza. Powtóre miałem przecucie, że pan stoisz bliżej panny Gude, niż chcesz przyznać. Cóż mnie obchodzi panna Gude, spytasz pan? Racja zupełna i muszę zmilknąć. Tak, panna Gude nie obchodzi mnie nic a nic. Ale mam prawo czuć żal, widząc, że pan z nią obcuje i zarażasz ją może swą świętobliwą zbrodniczością. Dlatego to odbyłem nad panem sąd.

Nagel zapalił zgasłe cygaro i rzekł:

— Skończyłem, a drzwi nie są zamknięte. Czy się panu stała krzywda? Milcz pan, albo odpowiadaj, ale jeśli odpowiesz to dopuść do słowa głos sumienia.

A teraz, drogi przyjacielu, dowiedz się, zanim pójdziesz, że nie mam przeciw tobie złych zamiarów.

Pauza.

Minuta wstał, dobył z kieszeni kopertę i powiedział:

— Nie mogę teraz przyjąć tego.

Zaskoczyło to Nagla, który zapomniał już o liście i powiedział:

— Co? Nie możesz pan przyjąć? Czemu?

— Nie mogę przyjąć.

Minuta położył list na stole i postąpił ku drzwiom. Nagel poszedł za nim z listem w rękę, oczy napełniły mu się łzami, a głos jego drżał:

— Weź to pan, Grögoardzie! Weź, mimo wszystko!  
— powiedział.

— Nie! — odparł Minuta, otwierając drzwi.

Nagel przymknął je z powrotem i rzekł:

— Weź pan, weź proszę. Powiedzmy lepiej, że jestem szalony. Nie myśl pan o tem, co mówiłem dzisiaj. Jestem całkiem szalony. Nie zważaj pan na to co gadałem, co bredziłem przez całą godzinę. Oczywiście, ktośby wierzył mym słowom, skoro nie jestem przy zdrowych zmysłach. Weź pan ten list, nie mam złych zamiarów, jestem tylko bardzo podniecony. Weź pan to na miłość boską, niema tam dużo, wierz pan, niema prawie nic, chciałem tylko na ostatek dać ten list, przez cały czas myślałem, by dać panu list, niemal nic nie zawierający, byle to był tylko list... pozdrowienie... oto tak, jestem panu szczerze wdzięczny.

Mówiąc to wetknął Minucie w dłoń kopertę i odszedł szybko do okna, by uniemożliwić zwrot. Ale Minuta nie ustąpił, położył kopertę z powrotem na stole i potrząsnął głową.

Potem wyszedł.



Wszystko składało się nieszczęśliwie. Nie mógł znaleźć spokoju ani w pokoju, ani wałęsając się po ulicach. Tysiące myśli miał w głowie, a każda stanowiła część tej wielkiej męki, jaka go żarła. Nie mógł pojąć dlaczego wszystko sprzysięgło się przeciw niemu, ale czuł, że sieć zacieśnia się coraz to bardziej. Doszło do tego, że nie mógł nawet nakłonić Minuty, by przyjął list, który mu chciał dać.

Wszystko było tak smutne i nieosiągalne. W dodatku opadł go nerwowy strach, jakby czyhało nań gdzieś, w zasadzce tajemnicze nieszczęście.

Często podrywał się z miejsca przerażony na widok wzdymanych wiatrem firanek. Nowe jakieś zjawyły się udręki. Twarde, niezbyt i tak piękne rysy twarzy stały się mniej jeszcze pociągające z powodu gęstego, szczecinowatego zarostu na brodzie i policzkach. Wydało mu się też, że włosy na skroniach pokryła większa siwizna.

Ale mniejsza. Wszakże świeciło słońce, on zaś winien się być cieszyć, że żyje, że może iść dokąd chce. Czyż zabronionem mu było cokolwiek? Słońce oblewało plac targowy i morze, w małych, powabnych ogródkach wkoło domów śpiewały ptaki, skacząc po gałęziach. Wszędzie płynęło złoto, piasek błyszczał, a na szczycie wieży lśniła posrebrzana gałka, miotając rozedrgane blaski, niby olbrzymi diament.

Objęła go niezmierna radość, ogromny niepohamowany zachwyt, tak że natychmiast wychylił się oknem i rzucił kilka srebrniaków dzieciom, bawiącym się przed schodami hotelu.

— Bądźcie grzeczne!... — powiedział, ledwo mogąc wyrzec te słowa ze wzruszenia. Czegóż miał się bać. Nic się właściwie nie stało, nie wyglądał też gorzej niż przedtem, a zresztą któż mógł zabronić mu ogolić się i upiększyć? Zależało to wyłącznie od niego. Poszedł zaraz do fryzjera.

Przyszły mu na myśl różne sprawunki, nie chciał również zapomnieć o bransoletce dla Sary. Pośpiewując ochoczo, załatwił wszystko, rozradowany jak dziecko. Ów strach, jakiego doznawał, było to jeno urojenie.

Miły nastrój trwał w dalszym ciągu, a do głowy napływały pogodne myśli. Niedawno miał przykry rozrachunek z Minutą, ale już przygasło to w jego pamięci i wydało się, jak mglisty sen. Minuta nie przyjął listu, ale wszakże miał jeszcze list dla Marty. Pod wrażeniem upojnej radości, jakiej doznawał i chęci rozradowania innych, pragnął wynaleźć sposób przesłania listu. Dobył kopertę i zaczął myśleć. Nie miał odwagi przesłać jej potajemnie Dagny. Pragnął jednak pozbyć się tego listu co prędzej. Nie był to właściwie list, nie było tam ni słowa, jeno parę banknotów. Możeby prosić doktora Stenersena, by go przesłał? Zadowolony tą myślą ruszył wprost do doktora.

Była szósta.

Zapukał do pracowni. Była zamknięta. Gdy szedł przez podwórze, by w kuchni zasięgnąć informacji, usłyszał, że doktorowa woła go z ogrodu. Przy wielkim, kamiennym stole ujrzał liczne towarzystwo popijające kawę. Dagny Kielland była również obecna. Miała biały kapelusz, otoczony wiankiem małych, jasnych kwiatów.

Nagel chciał się wycofać i bąknął:



— Pragnąłem widzieć się z panem doktorem...

— Ach... czyż pan może chory?

— Nie... nie.

— A więc nie wolno odchodzić.

Pani Stenersen przytrzymała go za ramię. Dagny wstała, chcąc mu odstąpić swe krzesło. Spojrzeli na siebie. Wstała umyślnie dla niego i powiedziała zcicha:

— Proszę, tu jest krzesło!

Ale on wyszukał sobie miejsce obok doktora i siadł.

To przyjęcie zmieszało go trochę. Dagny miała miękki wyraz oczu i chciała mu odstąpić swe krzesło. Uczuł bicie serca. Możeby jej wręczyć list dla Marty?

Po chwili odzyskał spokój. Rozmawiano dziwnie żywo o różnych rzeczach, rozradował się więc znowu, tak że mu głos drżał. Wszakże żył, nie umarł i śmierć go nie czeka. Weseli ludzie siedzieli wokół stołu, zasłanego śnieżnym obrusem, na którym połyskiwało srebro. Ponad głowami sklepiła się gęsto obrosła altana, towarzystwo śmiało się i oczkowało, jakżeby więc miał czuć się nieswojo.

— A możeby pan był łaskaw zagrać nam trochę na skrzypcach! — powiedziała pani Stenersen.

Skądże jej to wpaść mogło!

Gdy także i inni prosić zaczęli, roześmiał się w głos i powiedział:

— Ależ ja nawet skrzypiec nie mam!

Chciano posłać po skrzypce organisty, zaręczając że będą za moment na miejscu.

Oświadczył, że to daremne, gdyż ich nawet nie tknie. Zresztą skrzypce organisty zepsute są inicjałami z rubinów, wstawionymi w deskę chwytową i mają ton szklany, którego znieść nie sposób. Nigdy nie osadza się kamieni w tem miejscu. Pozatem nie włada, jak mówił,

smyczkiem i nie władał nigdy, sam to wie najlepiej. Opowiedział też zaraz coś, co było wprost symboliczne, z czasów kiedy po raz pierwszy i ostatni omawiano publicznie grę jego. Dostał gazetę wieczór i czytał ją w łóżku. Był wtedy bardzo jeszcze młody, mieszkał u siebie w domu, a recenzję zamieścił dziennik miejscowy. Odczytał ją mnóstwo razy, potem zasnął nie zgasiwszy światła. Zbudził się w nocy, odczuwając jeszcze straszne zmęczenie, świece dopaliły się i ciemno było. Ale na ziemi zobaczył coś błyszczącego białą, a wiedział, że w tem miejscu stoi spluwaczka. Poprosił zebranych o przebaczenie, powiedział, że pluł i słyszał, iż trafia gdzie należy. Potem legł i zasnął. Rano jednak przekonał się, że pluł na ów drogocenny artykuł o sobie. He, he, czyż to nie smutna przygoda?

Wszyscy zaśmiali się i humory wzrosły jeszcze bardziej. Pani Stenersen powiedziała:

— Bledszy pan dużo, niż dawniej.

— Ach, — odparł — to drobnostka!

Zaśmiał się na myśl, że może mu coś brakować.

Nagle jednak policzki jego zalała krew, powstał i oświadczył, że mu w istocie coś dolega. Nie rozumie tego, ale ma wrażenie jakby go miało spotkać coś niedobrego, przeto doznaje strachu. Jest to oczywiście śmieszne i bez znaczenia. Ale zdarzyło mu się rzeczywiście coś dziwnego.

Poproszono by opowiedział.

— Ależ nie, poco. Rzecz bez znaczenia i wprost głupia. Nie sposób zabierać czasu państwu. Przytem to nudne...

— Nie znudzi nas to, napewno! — zawołano.

— Rozwlekła to rzecz — powiedział — zaczyna się w San Francisco, a treścią jej są moje wspomnienia, z czasów kiedy paliłem opjum.



— Opjum! Ach, to niezmiernie wesoła historia!

— Nie, łaskawa pani, raczej przykra, bo dlatego nawet doznaję w biały dzień strachu. Proszę nie myśleć, że codziennie palę opjum. Palilem dwa razy tylko, drugi jednak raz nie był zgoła interesujący. Za pierwszym doznałem naprawdę czegoś szczególnego. Dostałem się w tak zwany *den* i to zgoła przypadkiem, bez wszelkiego zastanowienia! Wałęsałem się po ulicach, przypatrując się ludziom, a wkońcu, wybrawszy sobie jakąś osobę, szedłem za nią w pewnej odległości, aż mi znikła. Bez namysłu wszedłem do tego domu i wstąpiłem na schody, by zbadać gdzie się podziała. W wielkich miastach, zwłaszcza nocą można porobić niezwykle ciekawe znajomości, ale o tem nie mówimy narazie. Kroczę tedy nocą ulicami San Francisco, śledząc wysoką, chudą kobietę. W świetle latarni spostrzegam, że ma na sobie cienką suknię, a na szyi krzyż z zielonych kamieni. Szła długo, przez liczne dzielnice, zbacząc w różne ulice, a ja za nią. Wkońcu dotarliśmy do dzielnicy chińskiej, kobieta zeszła do jakiejś piwnicy, ja zaś ruszyłem jej śladem. Po prawej był mur, a po lewej kawiarnie, golarnie i pralnie. Zatrzymała się u jednych drzwi, zapukała, twarz o skośnych oczach zajrzała przez okienko i kobietę wpuszczono. Zaczekałem chwilę, zapukałem tak samo i dostałem się także do wnętrza. Było tu dużo dymu i panował rozgwar. U szynkwasu zobaczyłem ową kobietę. Kłóciła się z Chińczykiem w błękitnej, zwisającej na spodnie koszuli. Podszedłem i usłyszałem, że chce swój krzyż zastawić za coś, ale nie godzi się wydać krzyża, jeno pragnie go sama przechować. Był wart dwa dolary, dług jej poprzedni wynosił dolara, tak że cały rachunek dochodził do kwoty trzech dolarów. Popłakiwała, załamywała ręce i była bardzo

interesująca. Chińczyk także wyglądał ciekawie. Nie chciał inaczej załatwić interesu, jak otrzymując krzyż. Pieniądze, lub zastaw!

— Poczekam chwilę, — rzekła kobieta — namyśle się, ale wiem, że się wkońcu zgodzę, choć nie powinnam tego czynić.

Załkała znowu i załamała ręce, patrząc w twarz Chińczykowi.

— Czego pani uczynić nie powinna? — spytałem.

Poznała że jestem cudzoziemcem, i nie odpowiedziała.

Była bardzo interesująca, postanowiłem tedy coś przedsięwziąć. Mogłem jej dać pieniądze, celem przekonania się co dalej nastąpi. Uczyniłem to przez ciekawość i wetknąłem potem jeszcze dolara, by widzieć co z nim zrobi. Zaciekawiony byłem wielce.

Wpatrzyła się we mnie załawionemi oczyma i podziękowała bez słów, kiwając jeno głową. Podkreślałem, że kierowała mną jeno ciekawość. Zapłaciła u szynkwasu i zażądała zaraz pokoju, dając za to wszystko co miała.

Wyszła, ja za nią. Znaleźliśmy się w długim korytarzu z numerowanemi pokojami po obu stronach. Wśliznęła się w jeden z nich i zamknęła drzwi. Zaczekałem chwilę, a gdy nie wychodziła, ruszyłem zlekka klamkę, ale drzwi były zamknięte.

Wszedłem do pokoju sąsiedniego i znowu czekałem. Była tam czerwono kryta otomana i dzwonek, zaś w ścianie tkwiła lampa. Położyłem się, czas płynął i zaczęło mi być nudno. Chcąc coś uczynić, pocisnąłem dzwonek. Nie miałem żadnych żądań, ale zadzwoniłem.

Ukazał się mały Chińczyk, spojrzał na mnie i znikł. Minęło kilka minut: — Chodź, chcę ci się raz jeszcze przypatrzeć! — powiedziałem, dzwoniąc znowu.



Wrócił cicho, niby duch, ślizgając się w miękkich pantoflach. Nie rzekł nic, ja też milczałem. Chłopak wręczył mi maleńką, porcelanową fajeczkę na długim cybuchu trzcinowym, potem podał mi ognia. Zapaliłem. Niebawem uczułem szum w uszach...

Odtąd pamiętam jeno, że się znalazł gdzieś, w górze. Płynąłem coraz to wyżej, a wokoło mnie było niewypowiedzianie jasno, zaś chmury napotymane lśniły bielą. Nie wiedziałem dokąd zmierzam, niczego nie pamiętam, jeno to, że zawisł niezmiernie wysoko. W dali dostrzegłem zielone łąki, szafirowe jeziora, doliny i góry, zalane słoneczną poświatą. Słyszałem muzykę, dolatującą od gwiazd, a cała przestrzeń wokół falowała melodją. Białe chmury przepajały mnie ogromną rozkoszą, płynęły poprzeze mnie i miałem uczucie, że umrę z upojenia. Trwało to bez końca, zapomniałem o czasie i własnem istnieniu. Nagle zamajaczyło mi w duszy jakieś ziemskie wspomnienie i zacząłem spadać.

Spadałem, światło słabło, stawało się coraz to ciemniej, ujrzałem znowu ziemię, miasta, uczułem wiatr i dym. Zorientowałem się w chwili, gdy stanąłem na dole. Wokoło mnie było morze. Znikło uczucie szczęścia, uderzałem o kamienie i drżałem z zimna. Pod stopami miałem biały piasek, a nad sobą toń morza. Popłynąłem kilka metrów, mijając dziwne rośliny, zielone, grube kwiaty i liście, chwiejące się na długich szypułkach. Wszystko było tu ciche, bezgłose, chociaż ruszało się ustawicznie. Niebawem dotarłem do rafy koralowej. Była splądrowana do ostatniego koralu, ale nie czułem się już tak samotny, wiedząc, że ktoś tu był przede mną. Popłynąłem znowu naprzód, by wydostać się na ląd, ale po kilku ruchach stanąłem, ujrzawszy leżące na dnie zwłoki ludzkie. Była to kobieta wysoka i chuda. Leżała,

pošzarpana na skale. Poruszyłem ją i poznałem po krzyżu z zielonych kamieni na szyi, ale była martwa. Za tą właśnie kobietą dotarłem do kurytarza z numerowanymi pokojami. Zrazu chciałem odpłynąć, ale widząc w jak przerażonej pozycji leży na ostrej skale z otwartymi oczyma, pociągnęłem ją na piasek, ułożyłem porządnie i wsunąłem jej krzyż pod suknię, tak by ryby go nie zabrały. Potem odpłynąłem...

Nazajutrz rano powiedziano mi, że kobieta owa zmarła tejże nocy. Skoczyła w morze w pobliżu dzielnicy chińskiej, gdzie ją znaleziono nad ranem. Dziwne to było bardzo i pomyślałem, że mógłbym ją może spotkać jeszcze, gdybym się o to postarał. Zapaliłem przeto raz jeszcze opjum, by ją zobaczyć, ale nie powiodło się.

Było to bardzo dziwne, ale potem stało się coś jeszcze. Wróciłem do Europy i zamieszkałem w domu. Pewnej ciepłej nocy udałem się na przechadzkę, zaszedłem do portu, do bagrów parowych i słuchałem przez czas pewien rozmów na okrętach. Wszystko było ciche, pompy bagrów spoczywały. Znużony byłem, ale nie chciałem wracać, wśród tak ciepłej nocy. Wszedłem na rusztowanie jednego bagra, siadłem tam, i rozmarzony powietrzem, zasnąłem.

Zbudziło mnie wołanie. Spojrzałem na dół i zobaczyłem stojącą pośród kamieni wybrzeża, kobietę. Była wysoka, chuda i dostrzegłem przy migotliwym świetle gazu, że ma bardzo cienką suknię.

Ukloniłem się.

— Deszcz pada! — powiedziała mi.

Nie zauważyłem w istocie, że deszcz pada, ale teraz trzeba się było schronić, gdzieś pod dach. Zszedłem co prędzej z rusztowania, a w tej samej chwili zaczęły pompy z łoskotem funkcjonować. Jedna szufla pompy



wnosi się i znika, potem druga, słowem pomyi idą. Gdybym się nie był na czas usunął, zostałbym poszarpany i zduszony momentalnie. Zrozumiałem to niezwłocznie.

Rozejrzałem się. W istocie rosiło zlekka. Kobieta uczyniła pół obrotu, by odejść, ujrzałem ją tuż przed sobą i poznałem po krzyżu na piersiach. Chcąc się zbliżyć, ruszyłem żwawo, ale nie zdołałem jej doścignąć. Nie stąpała po ziemi, ale płynęła bez ruchu ciała, zboczyła na zakręcie i znikła mi z przed oczu.

Stało się to przed czterema laty.

Nagel umilkł. Doktor miał widocznie ochotę zaśmiać się, ale rzekł, udając jak największą powagę:

— I odtąd nie spotkałeś jej pan?

— Spotkałem i to dzisiaj właśnie. Z tego nawet powodu doznaję uczucia strachu. Stałem u okna hotelowego pokoju i patrzyłem w ulicę. Nagle zobaczyłem, że idzie wprost ku mnie, przez plac targowy, od strony jakby spichrzów portowych. Stała tuż przed memi oknami i spojrzała w górę. Niepewny czy na mnie właśnie patrzy, przeszedłem do drugiego okna, ale odprowadziła mnie oczyma i patrzyła dalej. Ukłoniłem jej się, ona zaś, zobaczywszy to, wykonała szybki zwrot i odpłynęła z powrotem przez plac targowy ku śpichrzom. Pies Jakobsen wypadł ze zjeżoną siercią z hotelu, szczekając gwałtownie. Uczyniło to na mnie pewne wrażenie. Nie widziałem jej tak dawno, a oto zjawiała się znowu. Może chciała mnie przestrzec przed czemś?

W tej chwili doktor wybuchnął śmiechem.

— Tak! — zawołał. — Pewnie chciała pana ostrzec, byś nie szedł do nas.

— Oczywiście, tym razem omyliła się! — odparł Nagel. — Niema żadnego niebezpieczeństwa. Poprzed-

nio jednak zostałbym bez niej poszarpany szuflami przy pompach. Przeraziłem się trochę... ale to rzecz bez znaczenia... nieprawdaż? He, he... ładnieby było, gdybyśmy ciągle w ten sposób narażeni byli na różności. Śmiech zbiera poprostu.

— Nerwy i zabobon! — oświadczył krótko doktor.

Teraz zaczęli i inni opowiadać niesamowite historie. Godziny mijały i zaczęło się mroczyć. Nagel milczał przez cały czas, wkońcu zaś wstał, by odejść. Zrezygnował z trudzenia Dagny listem, umyśliwszy nazajutrz wręczyć go doktorowi. Radosny jego nastrój rozwiął się zupełnie.

Gdy już miał odchodzić, zobaczył zdumiony, że Dagny wstała również.

— Ach, — rzekła — nasłuchiłam się tyle niesamowitych historyj, że chcę przed wieczorem znaleźć się w domu.

Wyszli razem z ogrodu. Nagel uczuł gorący prąd radości. Teraz mógł jej wręczyć list. Nie zdarzy się chyba lepsza sposobność.

— Miałeś pan wszakże do mnie interes! — krzyknął za nim doktor.

— Właściwie nie! — odparł nieco zmieszany. — Chciałem złożyć tylko uszanowanie. Tak dawno nie byłem u państwa... do miłego widzenia!

Oboje doznawali niepokoju, idąc ulicą. Chcąc to ukryć, zaczęła Dagny mówić o pogodzie. Jakże ciepły dziś wieczór!

— Tak, ciepły i cichy.

Nagel nie wiedział też co mówić. Szedł, patrząc na nią. Miała jak zawsze aksamitne oczy i jasny, spływający na plecy warkocz. Odżyły wszystkie uczucia, szedł upojony jej obecnością. Przysłaniał oczy dłonią, a za



każdem nowem spojrzeniem wydawała mu się piękniejszą. Zapomniał o wszystkim, o tem, że nim gardziła, że ukryła Martę i że go bezlitośnie kusiła chustką. Musiał się odwracać, by nie ulec wybuchowi namiętności. Nie, nie, należało panować nad sobą po męsku. Wszakże już dwa razy doprowadził ją do ostateczności. Wstrzymywał niemal oddech, by się uodpornić.

Dostali się na główną ulicę. Hotel stał po prawej. Zdawało mu się, że Dagny chce coś powiedzieć. Ale kroczył dalej w milczeniu. Czyż mu pozwoli, myślał, towarzyszyć sobie przez las? Nagle spojrzała nań i rzekła:

— Dziękuję panu za opowieść. Czy doznaje pan teraz strachu. Nie trzeba się bać!

Była dziś łagodna i dobra. Postanowił skierować rozmowę na list.

— Chciałbym panią prosić o jedną przysługę. Ale może nie wolno, może nie zechce pani tego uczynić?

— I owszem, chętnie! — odparła.

Tak powiedziała. Tedy sięgnął do kieszeni po list.

— Prosiłbym panią bardzo o wręczenie tego listu. Jest to jeno zawiadomienie... nic ważnego... List przeznaczony jest dla panny Gude... Pani może wie, gdzie przebywa panna Gude. Wyjechała.

Dagny stanęła. Dziwne, powłóczyście, omglone spojrzenie błysło z jej oczu. Przez długą chwilę stała bez ruchu.

— Dla panny Gude? — spytała.

— Tak! — odparł. — Może pani będzie łaskawa... Nic spiesznego. List może zaczekać...

— Dobrze, dobrze! — zawołała żywo. — Doręczę list pański panie Gude! Daj go pan!

Wsunęła do kieszeni kopertę, skinęła głową i rzekła porywczo:

— Tak... tak, dziękuję panu. Muszę już iść!

Spojrzała nań ponownie i odeszła.

Został sam. Czemuż urwała tak nagle rozmowę? W spojrzeniu jej nie było gniewu, przeciwnie... A jednak tak raptownie odeszła! Oto skręca tam w stronę plebanji... za moment znikła...

Nie widząc jej już, poszedł do hotelu. Miała śnieżno-biały kapelusz. I rzuciła mu tak dziwne spojrzenie...

## XXII.

Omgłone, powłóczyście było to jej spojrzenie. Nie rozumiał go wcale. Postanowił za następnem widzeniem wszystko naprawić, o ileby była gniewną. Głowa mu ciążyła. Ale nie miał powodu do obaw... tak nie miał napewno.

Siadł na sofie i jął przewracać kartki książki, nie czytając jednak. Po chwili wstał i zaniepokojony poszedł do okna. Nie przyznając się do tego, unikał spojrzenia w ulicę, by nie zobaczyć znów czegoś niezwykłego. Nogi mu zaczęły drżeć. Cóż to było? Wrócił na sofę, książka zsunęła się na ziemię. Tętniło mu w głowie, czuł się naprawdę chorym. Niewątpliwie miał gorączkę. Dwie ostatnie, spędzone w lesie noce dały mu się we znaki. Przemarzał od stóp do głowy. Dreszcz nim wstrząsał jeszcze w ogrodzie, u doktora.

To pewnie minie, pomyślał, nie miał zwyczaju popadać w rozpacz za byle przeziębieniem. Jutro będzie, napewno, zupełnie zdrow! Zadzwoił, kazał sobie podać koniaku, ale to nie wywarło skutku, nie oszołomiło go nawet, chociaż wypił kilka dużych szklanek. Najgorzej, że głowa odmówiła usług i nie mógł jasno myśleć.



Jakże mogło go to ogarnąć w ciągu godziny! Co robić? Czemuż to wzdymają się tak niespokojnie firanki, chociaż niema wiatru? Cóż to znaczy? Wstał, spojrział w lustro i stwierdził, że wygląda źle i niezdrowo. Włosy mu w istocie przysiwiały, a oczy miały czerwone obwódki.

— Czy doznaje pan teraz strachu? Nie trzeba się bać! Cudna Dagny!... Pomyśl tylko... ten śnieżysto-biały kapelusz...

Zapukano do drzwi, wszedł gospodarz. Przyniósł mu nakoniec rachunek, długi rachunek, na dwu kartkach. Zresztą uśmiechał się i był nad wyraz ugrzeczniomy.

Nagel sięgnął zaraz po portfel i zaczął w nim szukać. Jednocześnie ogarnięty trwożnem przecuciem, spytał, ile wynosi suma ogólna, a gospodarz zaręczył, że chętnie poczeka do jutra, lub innego dnia, gdyż niema w tem nic pilnego.

Bóg jeden wie, czy zdoła zapłacić, czy nie. Nagel nie znajdował pieniędzy. Jakto, czyż ich nie miał? Rzucił portfel na stół i jął szukać po kieszeniach bezradny, strwożony. Sięgnął do spodni, dobył trochę drobnych i rzekł:

— Tu mam trochę pieniędzy, ale pewnie nie wystarczy... nie wystarczy... proszę, policz pan sam.

— Nie, — rzekł gospodarz, — to nie wystarczy.

Pot oblał czoło Nagla. Dał gospodarzowi narazie kilka znalezionych koron i jął szukać w kamizelce, ale nic nie znalazł. Przyszła mu na myśl, by od kogoś pożyczyć. Może mu ktoś uczyni tę przysługę. Trzeba by się na miły Bóg do kogoś zwrócić z prośbą!

Gospodarza opuściła zadowolona mina, nawet stał się mniej grzeczny. Wziął ze stołu portfel Nagla i zaczął sam szukać.

— Tak... tak, — rzekł Nagel — zobacz pan sam. Same tylko papiery. Nie rozumiem, co się stało.

Gospodarz otworzył przegrodę wewnętrzną i nagle opuścił portfel, a twarz jego opromienił uśmiech nadzwyczajnego zdumienia.

— Są pieniądze! — powiedział. — Są tysiące! Pan żartował oczywiście, poto, by się przekonać, czy wiem, co żart.

Rozradowany jak dziecko, zgodził się Nagel na to objaśnienie. Odetchnął z ogromną ulgą i rzekł:

— Naturalnie, żartowałem, wpadło mi do głowy żartować trochę. Bogu dzięki, mam pieniądze, mam dużo pieniędzy, O, spójrzże pan!

Miał w istocie dużo grubych banknotów, masę pieniędzy w tysiąc-koronówkach. Gospodarz musiał iść zmienić, by otrzymać zapłatę. Długo jednak jeszcze, gdy wyszedł, krople potu lśniły na czole Nagla i drżał od wzburzenia. Jakże był niespokojny i jak mu huczało w głowie.!

W chwilę potem legł na sofie. Zapadł w niespokojny sen, wił się, mówił głośno, śpiewał, wstał po koniak i pił go w półśnie, drząc cały. Sara zaglądała doń raz po raz, ale chociaż z nią mówił ciągle, nie rozumiała wiele z tego wszystkiego. Leżał z zamkniętymi oczyma.

— Nie, nie chcę się rozbierać... — wołał — cóż za koncept? Wszakże dzień jasny. Słysząc wyraźnie świergot ptaków. Lepiej nie wzywać doktora. Zapisalby mi jeszcze żółtą i białą maść. Użyłbym ich przeciwnie i zabiłbym się w ten sposób natychmiast. Wszakże Karlsen zginął w ten sposób! Pamiętasz, Saro, Karlsena? Tak zmarł przez to. Tak, czy owak Karlsenowi utkwiał w gardle haczyk od wędki, a gdy doktor przybył z lekarstwem, okazało się, że we flaszcze jest



jeno zwykła woda studzienna, którą się udławił. Ha... ha... to śmiechu warte. Saro, wszakże nie sądzisz, że jestem pijany? Asocjacja idei... rozumiesz? Encyklopedyści... i tak dalej! Licz wedle guzików, Saro, i przekonaj się, czy jestem pijany... Słuchaj... huczą młyny miejskie! O Boże, w jakiejże norze zakazanej żyjesz, Saro! Chcę cię, jak napisano, wyrwać z rąk nieprzyjaciół twoich. Niech cię zresztą piekło pochłonie! Któż ty jesteś właściwie? Wszyscy jesteście obłudnicy i zapędzę was do pułapki. Nie wierzysz? O, śledziłem ja cię dobrze! Pewny jestem też, że porucznik Hansen obiecał Minucie dwie wełniane koszule. Ale czy myślisz, że je dostał? Minuta nie ważył się nawet przyznać. Zaraz ten błąd wyjaśnię. Minuta nie miał odwagi, skrył się... czy rozumiesz to? Jeśli się nie mylę, panie Grögaard, to siedzisz tu znowu i śmiejesz się szelmowsko poza gazetą. Prawda? Zresztą cóż mnie to obchodzi? Czy jesteś jeszcze, Saro? Dobrze! Zostań jeszcze przez pięć minut, a opowiem ci coś ciekawego! Zgoda? Ale wpierw wyobraź sobie człowieka, któremu wypadają brwi... Zapamiętaj to sobie. Wypadają mu zwolna brwi. Powtóre pozwól, że zapytam, czy spałaś kiedy w trzeszczącym łóżku? Licz wedle guzików, czy tak było. Zawszem ci nie dowierzał. Wszystkich zresztą mieszkańców śledziłem z niedowierzaniem. Doskonale spełniłem swe zadanie, dałem wam mnóstwo wspaniałych tematów do rozmowy, przewróciłem wam życie do góry nogami, jedną po drugiej niezwykle wstrząsającą scenę dodałem do waszego bytowania, przypominającego ślepą kiskę... Ho, ho, jakże szumią młyny. Wkońcu radzę ci, czciogodna dziewico Saro, córko Józefa, parobka hotelowego, jedz polewkę mięsną póki gorąca, bo gdy ostygnie,

zostanie sama jeno woda. Koniaku, Saro, boli mnie głowa po obu stronach i pośrodku u góry. Przedziwny to ból...

— Może pan coś zje ciepłego? — spytała Sara.

— Coś ciepłego? Cóż ci to po głowie ciągle chodzi? Całe miasto dowiedziało by się natychmiast, że jadł coś ciepłego! Zapamiętaj sobie, że nie zamierzam szerzyć zgorszenia, ale chcę pozostać dobrym podatnikiem, wedle obowiązujących przepisów spacerować po plebańskiej drodze i nie patrzeć na rzeczy tak desperacko, inaczej, niż inni ludzie. Wznoszę dłoń do przysięgi. Nie obawiaj się o mnie, Saro! Boli mnie tu i owdzie, ale dlatego właśnie nie chcę się rozbierać, bo w ten sposób prędzej zło minie... Trzeba wybić klin klinem...

Pogorszało mu się coraz to bardziej i Sara siedziała jak na szpilkach. Radaby była uciec, ale gdy wstała, spostrzegł to zaraz i pytał, czy go chce opuścić. Czekala, by zasnął, znużony gadaniną. On zaś paplał bezustanku, leżąc z zamkniętymi oczyma, czerwony na twarzy od gorączki, wstrząsany dreszczem. Opowiadał, że wynalazł nowy sposób oczyszczenia z mszyc krzaków malinowych pani Stenersen. Postanowił mianowicie pewnego dnia kupić wiadro nafty, udać się na plac targowy, zdjąć trzewiki, napelnić je naftą, potem podpalić jeden po drugim, a potem tańczyć wokół w skarpetkach i śpiewać. Miało się to stać przed południem, gdy tylko ozdrowieje. Chciał z tego stworzyć cały cyrk, operę końską i przyklaskiwać z bicia.

Potem wymyślał śmieszne nazwiska i tytuły dla znajomych osób. Podsędka Reinerta nazwał: Bilge i powiedział, że: Bilge jest to tytuł. — Pan Reinert czcigodny Bilge miasta... powiedział. Następnie jął



się zastanawiać jak wysokie są pokoje w domu konsula Andersena. — Trzy i pół łokcia! — wołał. — Trzy i pół łokcia... czyż nie mam racji? — Dodał, że właściwie leży chory skutkiem połknięcia haczyka od wędki, co nie jest złudzeniem, bo krew płynie i trochę boli...

Nakoniec pod wieczór, zasnął głęboko.

---

Zbudził się około dziesiątej. Był sam, leżał na sofie. Kołdra, którą go okryła Sara, spadła, ale nie było mu i tak zimno. Sara zamknęła okna, wstał i otworzył je. Wydało mu się, że ma głowę w porządku, czuł jeno osłabienie i drżał. Porwał go na nowo strach, za lada trzaśnięciem ściany, lub odgłosem z ulicy wzdrygał się, czując, że go to przenika nawylot. Pomyslał, że może prędzej wydobrzeje w łóżku i zdjął ubranie.

Ale nie mógł spać. Leżał, odtwarzając przeżycia ostatniej doby, od czasu pójścia do lasu z flaszczką studziennej wody, aż do obecnej chwili, kiedy leżał w pokoju, dręczony gorączką. Jakże to wszystko długo trwało! Nie opuszczał go strach, tajemne głuche uczucie, że zbliża się niebezpieczeństwo, czy katastrofa. Cóż to znaczy? Co znaczą te szepty wokoło jego łóżka? Pokój napępniały szepczące pomruki. Złożył ręce, sądząc, że zaśnie...

Nagle spojrzał na palec i zauważył brak pierścionka. Serce zaczęło mu bić gwałtownie. Widział teraz dokładnie słaby, czerniawy znak wokoło palca, ale pierścionek znikł! Miłosierny Boże! Pierścionek znikł. Tak, sam go wrzucił w morze, sądząc, że już nie potrzebny, bo umrze... dlatego rzucił. Ach, gdzież ten pierścionek?

Wyskoczył z łóżka i wdział ubranie co prędzej, jak szalony, zataczając się po pokoju. Była dziesiąta, należało koniecznie znaleźć go do dwunastej. Była to godzina ostatnia... ostatnia sekunda!... Ach, gdzież ten pierścionek?

Zbiegł po schodach, wypadł na ulicę i popędził ku śpichrzom. Z hotelu obserwowano go, ale nie zważał na to. Był strasznie wyczerpany, kolana mu się ugiwały, ale nie zdawał sobie z tego sprawy. Tak, teraz zrozumiał powód, trapiącego go przez cały dzień strachu. Oto znikł pierścionek żelazny! Ukazała się też kobieta z krzyżem.

Oszalały ze strachu, wskoczył na wybrzeżu w pierwsze z brzegu czółno, ale było przytroczone do pała i nie mógł go odczepić. Przywołał jakiegoś człowieka, by mu pomógł. Ale człowiek ów odparł, że nie ma odwagi, albowiem czółno nie jest jego własnością. Nagel powiedział, że bierze wszystko na siebie, że kupi czółno, byle tylko znaleźć pierścionek. Okazało się, że czółno zamknięte jest na kłódkę. Nagel postanowił tedy wziąć inne.

Skoczył w następne czółno.

— Gdzie się pan wybiera? — spytał ów człowiek.

— Chcę szukać pierścionka! Znasz mnie pan może? Miałem pierścionek. Możesz pan sam zobaczyć ślad na palcu... nie kłamię tedy. Rzuciłem go w wodę i musi tu gdzieś leżeć.

Nie mógł zrozumieć o co idzie.

— Pan chce szukać pierścionka na dnie morza? — spytał.

— Tak, widzę, że mnie pan rozumiesz! — zawołał Nagel. — Muszę odzyskać swój pierścionek, to rzecz oczywista. Chodź pan i zawieź mnie.



Spytał ponownie:

— Chcesz pan znaleźć pierścionek, rzucony w morze?

— Tak, tak! Ruszajmy prędko! Zapłacę dużą kwotę.

— Niech pana Bóg ma w swej opiece. To rzecz niemożliwa... Czyż pan chce palcami dostać ten pierścionek?

— Tak, palcami. Wszystko jedno. Pływam, jak węgorz, jeśli trzeba. A może miast palców użyć czegoś innego, by go wydostać.

Nieznany człowiek wszedł do czółna i zajął miejsce na ławce, by sprawę omówić. Ale odwracał ciągle twarz. Szaleństwem było, zdaniem jego, takie przedsięwzięcie. Co innego, gdyby szło o kotwicę, albo łańcuch. Ale pierścionek... to rzecz niemożliwa. Zwłaszcza, że nie wiadomo nawet dokładnie, gdzie leży.

Nagel zaczął wkońcu pojmować, że wszelki wysiłek daremny. Jeżeli atoli nie było rady, w takim razie przepadł z kretelem! Oczy stanęły mu słupem, drżał z gorączki i strachu. Uczynił ruch, jakby chciał skoczyć z czółna, ale nieznany człowiek powstrzymał go. Nagel zwiśł zaraz bezwładnie, wyczerpany śmiertelnie, zbyt słaby, by się z kimś mocować. Boże wielki... coraz to gorzej! Pierścionek przepadł, niedługo nadejdzie dwunasta, a jego niema. Został ostrzeżony... co to będzie!

W tej chwili zamajaczyła mu w głowie iskierka świadomości i w ciągu dwu, trzech minut przemyślał mnóstwo rzeczy. Przypomniawszy sobie też coś, o czym nie pomyślał dotąd zgoła. Oto pożegnał się listownie z siostrą wczoraj i rzucił list do skrzynki. Nie umarł, ale list szedł dalej i dalej i nic go wstrzymać nie było w stanie. Szedł coraz dalej... był już niezmiernie daleko. Musiał tedy umrzeć w chwili, gdy dojdzie do

siostry. Zresztą pierścioneł znikł... wszystko się tedy stało niemożliwe.

Zacisnął zęby i stał bezradny, spoglądając na morze, którego mógł dosięgnąć niewielkim skokiem. Zerknął na przewoźnika na ławce. Odwracał twarz, ale gotów był każdej chwili chwycić go w razie potrzeby. Zdziwiło go, że ciągle odwraca twarz.

— Pomogę panu dostać się na ląd! — rzekł nieznajomy, ujął Nagła pod ramię i wysadził z czołna.

— Dobranoc! — powiedział Nagel, obracając się doń plecami.

Nieznajomy ruszył za nim, podejrzewając go widocznie i nie spuszczał z oka. Nagel wściekły, obrócił się i ponownie rzekł: — Dobranoc! — Potem podszedł szybko do pomostu, chcąc skoczyć w głąb.

Nieznajomy przytrzymał go ponownie.

— Nie uda się to panu! — rzekł mu do ucha. — Pływasz pan zbyt dobrze i wydostaniesz się nawierzch.

Nagel drgnął i pomyślał. W istocie pływał doskonale i niezawodnie dostałby się na ląd. Spojrzał na nieznajomego, wpatrzył się weń. Zobaczył przed sobą zniechęconą twarz Minuty.

Znowu Minuta.

— Przepadnij w otchłani piekła, nikczemna żmijo! — wrzasnął, zataczając się, niby pijany, drogą. Szedł w stronę miasta, potykał się, padał i podnosił znowu. Minuta drugi raz pokrzyżował jego plany! Na Boga, cóż wymyśleć nowego? Wszystko tańczyło mu przed oczyma. Nad miastem, zda się, szalała burza. Padł znowu.

Podniósł się na kolana i chwiał udręczoną głową. Wtem usłyszał od strony morza jakieś wołanie! Było pół do dwunastej, a pierścioneł nie został odnaleziony.



Uczuł poza sobą jakąś stworę, usłyszał, że nadchodzi jakieś zwierzę, o skórze w łuski, z płaskim brzuchem, wlokącym się po ziemi, zostawiającym mokry ślad, był to straszliwy hieroglif z ramionami przy głowie i żółtym rogiem na nosie. Dalejże! Uciekać! Znowu doleciało wołanie, a on zatkał uszy dłońmi, by nie słyszeć.

Zerwał się. Nie wszystko stracone. Wszakże mógł użyć sześciostrzałowego rewolweru, rzeczy najlepszej! Zapłakał z wdzięczności za tę nową nadzieję i ruszył ile sił naprzód. Nagle wpadło mu, że jest noc, że wszystkie sklepy zamknięte. I zaraz opadł z sił, myślą tą rażony przewalił się głową naprzód, uderzając czołem w ziemię.

W tej chwili nadszedł gospodarz i kilku ludzi z hotelu, by zobaczyć co się z nim dzieje...

Zbudził się i spojrzał wokoło. Śnił jeno to wszystko. Spał. Dzięki Bogu, marzyło się mu tylko, nie opuszczał łóżka.

---

Leżał chwilę, rozmyślając. Spojrzał na rękę i stwierdził brak pierścionka. Zegarek wskazywał niemal północ, brakło paru jeno minut. A może uniknął niebezpieczeństwo, może ocalał? Może nic się nie stanie o północy? Serce mu biło gwałtownie, Czekał z zegarkiem w ręku, drżąc na całym ciele... liczył minuty... sekundy.

Zegarek upadł na ziemię, Nagel wyskoczył z łóżka. — Coś woła! — wyszeptał, stojąc u okna z szeroko roztwartymi oczami. Szybko narzucił odzież, otworzył drzwi i wybiegł na ulicę. Obejrzał się... nikt go nie śledził. Wielkimi skokami ruszył w stronę przystani, a w ciemni migotał biały tył jego kamizelki. Dotarł do pomostu portowego, przebiegł go i stanąwszy na skraju, skoczył w morze.

Po chwili wypłynęło na powierzchnię wody kilka baniek.

Tegoż roku, w kwietniu szły Dagny i Marta przez miasto, o późnej godzinie. Wracały z zebrania towarzyskiego. Było ciemno i lód widniał gdzieniegdzie po ulicach, dlatego szły powoli.

— Nie schodzi mi z myśli to co dziś wieczór mówiono o Naglu... — rzekła Dagny — wielu szczegółów nie znałam wcale.

— Ja nie słyszałam, — odparła Marta, — gdyż wyszłam z pokoju.

— Jednej atoli rzeczy nikt nie wie... — dodała Dagny. — Oto Nagel powiedział mi jeszcze zeszłego lata, że Minutę czeka zły koniec. Nie pojmuję, jak mógł to już wówczas wiedzieć. Oznajmił mi to na długo przedtem, zanim się od ciebie dowiedziałam, co ci uczynił Minuta.

— Powiedział to?

— Tak.

Znalazły się na drodze plebańskiej. Las wokół nich cichy był i jeno kroki ich własne tętniły po twardej drodze.

Po długim milczeniu ozwała się Dagny:

— Tędy chodził zawsze.

— Kto? — spytała Marta i dodała: — Jest tak ślisko. Może ci podać ramię?

— Dobrze, albo raczej ja ci podam moje.

Szły dalej w milczeniu, przytulone do siebie.

K O N I E C.







# WYDAWNICTWO POLSKIE POZNAŃ

---

## BIBLIOTEKA LAUREATÓW NOBLA

---

Dotychczas wyszły następujące utwory:  
TOM

1. ROMAIN ROLLAND — COLAS BREUGNON.
2. RABINDRANATH TAGORE — OPOWIADANIA.
3. MAURYCY MAETERLINCK — ŻYCIE PSZCZÓŁ.
4. BJÖRNSTJERNE BJÖRNSSON — SYNNÖVE SOLBAKKEN.
5. RUDYARD KIPLING — KSIĘGĄ DŻUNGLI.
6. RABINDRANATH TAGORE — ROZBICIE.
7. SELMA LAGERLÖF — TĘTNIAJĄCE SERCE.
8. FRANCE — POGLĄDY KSIĘDZA HIERONIMA COIGNARDA.
9. TAGORE — SADHANA — SZEPT DUSZY — ZBŁĄKANE PTAKI.
10. KAROL SPITTELER. — IMAGO — ROMANS.
11. HENRYK PONTOPPIDAN — DJABEŁ DOMOWEGO OGNISKA.
12. KNUT HAMSUN — BŁOGOSŁAWIEŃSTWO ZIEMI.
13. MAURYCY MAETERLINCK — INTELIGENCJA KWIATÓW.
14. KAROL GJELLERUP — PIELGRZYM KAMANITA.
15. RUDYARD KIPLING — DRUGA KSIĘGA DŻUNGLI.
16. RABINDRANATH TAGORE — WSPOMNIENIA.
17. MAURYCY MAETERLINCK — WIELKA TAJEMNICA.
18. PAWEŁ HEYSE — L'ARRABBIATA — NOWELE WŁOSKIE.
19. RUDYARD KIPLING — STALKY I SP.
20. KAROL GJELLERUP — DOJRZALI DO ŻYCIA.
21. KNUT HAMSUN — GŁÓD.
22. HENRYK PONTOPPIDAN — ZIEMIA OBIECANA.
23. KAROL GJELLERUP — WĘDROWCY ŚWIATA.
24. BJÖRNSTJERNE BJÖRNSSON — TOMASZ RENDALEN.



TOM

25. ROLLAND — DUSZA ZACZAROWANA I. ANETKA I SYLWJA.
  26. VERNER v. HEIDENSTAM — HANS ALIENUS.
  27. ROLLAND — DUSZA ZACZAROWANA II. LATO.
  28. PAWEŁ HEYSE — WESELE NA KAPRI—NOWELE WŁOSKIE.
  29. SELMA LAGERLÖF — GÖSTA BERLING.
  30. WŁADYSŁAW ST. REYMONT — PĘKNIĘTY DZWON.
  31. GERHARD HAUPTMANN — GŁUPIEC.
  32. MAURYCY MAETERLINCK — GOŚC NIEZNANY.
  33. KAROL SPITTELER. — KONRAD PORUCZNIK. GUSTAW.
  34. MAETERLINCK — MĄDROŚĆ I PRZEZNACZENIE.
  35. KNUT HAMSUN — KOBIETY U STUDNI.
  36. JACINTO BENAVENTE — ŹLE KOCHANA.
  37. ROMAIN ROLLAND — JAN KRZYSZTOF — TOM I.
  38. SELMA LAGERLÖF — MAJA LIZA.
  39. RUDOLF EUCKEN — WIELCY MYŚLICIELE — TOM I.
  40. RUDOLF EUCKEN — WIELCY MYŚLICIELE — TOM II.
  41. YEATS — OPOWIADANIA O HANRAHANIE RUDYM.
  42. GJELLERUP — GDYM PO RAZ PIERWSZY UJRZAŁ JĄ.
  43. RABINDRANATH TAGORE — GORA.
  44. ROMAIN ROLLAND — JAN KRZYSZTOF — TOM II.
  45. MAURYCY MAETERLINCK — SKARB UBOGICH.
  46. RUDYARD KIPLING — KIM.
  47. KAROL GJELLERUP — MŁYN NA WZGÓRZU.
  48. ROMAIN ROLLAND — JAN KRZYSZTOF — TOM III.
  49. MAURYCY MAETERLINCK — ŻYCIE TERMITÓW.
  50. ROMAIN ROLLAND — JAN KRZYSZTOF — TOM IV.
  51. RABINDRANATH TAGORE — DOM I ŚWIAT.
  52. LAGERLÖF — CHARLOTA LOEWENSKOELD.
  53. KNUT HAMSUN — OSTATNI ROZDZIAŁ — TOM I.
  54. KNUT HAMSUN — OSTATNI ROZDZIAŁ — TOM II.
  55. PAWEŁ HEYSE — KLEOPATRA I INNE NOWELE.
  56. ROMAIN ROLLAND — DUSZA ZACZAR. III. MATKA I SYN.
  57. MAURYCY MAETERLINCK — ŚMIERĆ.
  58. RABINDRANATH TAGORE — ZERWANE PĘTA.
-











Biblioteka Politechniki Krakowskiej



**I-301934**

Biblioteka Politechniki Krakowskiej



**100000321379**